

Czarny Korsarz



EMILIO SALGARI

Czarny Korsarz

TŁUM. SANDRA STRUGAŁA, MARCIN WYREMBELSKI

ROZDZIAŁ I. PIRACI Z TORTUGI

Wśród spowijających morze gęstych mroków donośnym echem rozbrzmiała wypowiedziana ochryplym głosem pogróżka.

— Hej, wy tam! Stójcie! Albo pošemy was na dno!

Niewielka łódź, która opornie cięła atramentowe fale, oddalając się w pośpiechu od ledwie majacego na horyzoncie wysokiego brzegu — zupełnie jakby uciekała przez jakimś niebezpieczeństwem — zatrzymała się raptownie. Dwaj znajdujący się na jej pokładzie marynarze podnieśli się jak na komendę i szybko wciągnęli wiosła. Z niepokojem wpatrywali się w przestrzeń przed sobą, aż w końcu dostrzegli wielki cień, który niczym duch wyłonił się z morskiej otchłani.

Obydwaj mężczyźni mieli pod czterdziestkę, ostre rysy twarzy, a ich gęste, nastroszone brody, które prawdopodobnie nigdy nie widziały szczotki ani grzebienia, przydawały im istic zuchwałego wyglądu.

Na głowach nosili podziurawione jak rzeszoto szerokie kapelusze filcowe o postrzępionych rondach. Ich wypłowiałe, podarte i pozbawione rękawów koszule flanelowe ledwo okrywały masywne torsy. Obaj byli przepasani czerwoną tkaniną — podobnie jak reszta odzienia w godnym pożałowania stanie. Przytrzymała ona dwa wielkie i ciężkie pistolety, których używano pod koniec szesnastego wieku. Nawet ich krótkie spodnie były obszarpane, a nogi i bosc stopy ubabrane w czarnym błocie.

Krótko mówiąc, dwóch obdartusów. Gdyby osławione gujańskie kolonie karne powstały już w tamtych czasach, można by ich z powodzeniem wziąć za dwóch zbiegłych więźniów. W świetle gwieździstej poświaty patrzyli na wylaniający się zza granatowej linii horyzontu cień. Gdy ten zaczął nabierać coraz wyrazistszych kształtów, spojrzeli po sobie z niepokojem.

— Co widzisz, Carmaux? — zapytał ten, który wyglądał na młodszego. — Przypatrz się dobrze, masz lepszy wzrok ode mnie. Wiesz, że to kwestia życia lub śmierci.

— Widzę statek oddalony o jakieś trzy strzały z pistoletu, ale nie umiem powiedzieć, czy płynie od strony Tortugi¹, czy z hiszpańskich kolonii.

— Czyżby przyjaciele? Aż trudno uwierzyć, że ośmieliliby się podpłynąć tak blisko, niemal pod lufy fortecznych dział. W dodatku ryzykują spotkanie z flotą wielkich żaglowców eskortujących galeony pełne złota!

— Kimkolwiek są, to już nie gra roli. Spozrzedli nas, Van Stillerze, i na pewno nie pozwolą nam uciec. Lepiej nawet nie próbować, bo jeden kartacz² by im wystarczył, żeby nas posłać do diabła.

Ten sam, co uprzednio, donośny głos ponownie rozległ się w ciemności, niosąc się echem daleko ponad wodami Zatoki:

— Kto tam?

— Diabeł — odburknął człowiek zwany Van Stillerem.

Jego kompan zaś wszedł na ławkę i krzyknął na całe gardło:

¹Tortuga — wyspa na M. Karaibskim, u pń. wybrzeży Haiti; w XVII w. główna baza piratów atakujących statki oraz tereny należące do Hiszpanii. [przypis edytorski]

²kartacz — pocisk artyleryjski zawierający w lekkiej obudowie odłamki metali lub ołowiane kule rozpryskujące się przy wybuchu; używany do XIX w. [przypis edytorski]

— A kto śmie pytać, kim jesteśmy? Jeśli cię zżera ciekawość, to sam tu do nas zejdziesz, a przywitamy cię pięknie kulką z pistoletu.

Ta beczelna zaczepka, zamiast rozsierdzić człowieka wypytującego przybyszów, sprawiła go chyba w zadowolenie, gdyż odparł:

— Moi dzielni przyjaciele! Chodźcie tu do nas i uściśnijcie Braci Wybrzeża³!

— Bracia Wybrzeża! — krzyknęli dwaj mężczyźni w łodzi, nie posiadając się z radości.

A ten, który nazywał się Carmaux, dodał:

— Niech mnie morze pochłonie, że nie rozpoznałem głosu, który przynosi nam te wspaniałe wieści.

— Kto to niby jest? — zapytał jego kompan, zabierając się energicznie do wiosłowania.

— Spośród wszystkich śmiałków z Tortugi tylko jeden pirat mógłby poważnie się na wyprawę pod same hiszpańskie forty.

— Czyli kto?

— Czarny Korsarz.

— Niech mnie kule biją! To on! We własnej osobie!

— Mamy dla niego przykre wieści — wyszeptał Carmaux i westchnął. — Niestety nie żyje...

— Być może łudził się, że jeszcze zdąży go wybawić z rąk Hiszpanów, prawda, przyjacielu?

— Tak, Van Stillerze.

— I pomyśleć, że to już drugiego mu wieszają!

— Tak, drugiego... Dwaj bracia zgładzeni na przeklętej szubienicy!

— Będzie chciał ich pomścić, Carmaux?

— Mam nadzieję. A my mu w tym pomożemy. Dzień, w którym ten przeklęty gubernator Maracaibo⁴ zawiśnie, będzie najpiękniejszym dniem mojego życia. Sprzedam wtedy dwa szmaragdy, które noszę zaszyte w spodniach. Dostanę za nie przynajmniej tysiąc piastów⁵, co starczy na obfitą wyzerkę w gronie moich kamratów.

— Jesteśmy! A nie mówiłem?! To „Błyskawica” Czarnego Korsarza!

Statek, który chwilę temu był tylko cieniem, teraz znajdował się na pół kabla⁶ od łodzi.

Był to trzymasztowy żaglowiec, jeden z tych, których używali piraci z Tortugi podczas łowów na ogromne, hiszpańskie galeony, wywożące do Europy skarby z Ameryki Środkowej, Meksyku i innych ziem położonych w pobliżu równika.

Te zwinne korsarskie statki wyposażone były zazwyczaj w potężne maszty, umożliwiające żeglugę nawet przy najłżejszej bryzie. Miały wąską stępkę oraz zadarte wysoko dziób i rufę, zgodnie z prawidłami ówczesnej sztuki konstruktorskiej, a także dysponowały pierwszorzędnym uzbrojeniem.

Dwanaście karonad⁷ gotowych zionąć niszczycielskim ogniem ze swoich czarnych gardzieli wзираło po stronie sterburty i bakburty⁸, na kasztelu⁹ natomiast przeżyły się dwie lekkie armaty ładowane kartaczami, mogące obrócić w perzynę każdy statek.

Okręt

³*Bractwo Wybrzeża* — luźna organizacja piratów i korsarzy działających w XVII w. na M. Karaibskim, zwanych bukanierami. Ich główną bazą była niewielka wyspa Tortuga, a następnie Port Royal na Jamajce. Atakowali statki oraz tereny należące do Hiszpanii, sprzymierzając się z siłami Anglii, Francji i Holandii. Pod koniec XVII w., po uznaniu przez Hiszpanów posiadłości krajów, które wspierały bukanierów, zostali wyrugowani ze swoich siedzib. Nieliczni kontynuatorzy Bractwa prowadzili czysto przestępczą działalność, napadając na statki cywilne. [przypis edytorski]

⁴*Maracaibo* — miasto w płn.-zach. Wenezueli, położone nad cieśniną łączącą jezioro Maracaibo z Zatoką Wenezuelską; zał. w 1529 jako kolonia hiszpańska, w 1668 zostało zdobyte i złupione przez bukanierów pod wodzą François l'Olonnais. [przypis edytorski]

⁵*piastr* (z wł. *piastra*: blaszka) — tu: talar hiszpański (peso), duża srebrna moneta, bita od XV do XIX w. zarówno w Hiszpanii, jak i w jej koloniach w Nowym Świecie. [przypis edytorski]

⁶*kabel* — jednostka odległości stosowana w nawigacji, równa ok. 200 m. [przypis edytorski]

⁷*karonada* — rodzaj działa okrętowego o krótkiej lufie i dużym kalibrze, strzelającego ciężkimi pociskami na małą odległość, używanego od 2 poł. XVIII w. do 1 poł. XIX w. [przypis edytorski]

⁸*sterburta i bakburta* (żegl.) — odpowiednio: prawa i lewa burta statku. [przypis edytorski]

⁹*kasztel* — nadbudowa na dawnych żagłowcach; kasztel rufowy stanowił miejsce dowodzenia statkiem podczas bitwy i był wyposażony w lekkie działa. [przypis edytorski]

Korsarski żaglowiec stanął w dryf, czekając na przybicie łodzi. W świetle latarni widać było stojący na dziobie tuzin uzbrojonych ludzi, którzy nie zawahaliby się wypalić z muszkietów przy najmniejszym podejrzanym ruchu.

Dwaj marynarze wciągnęli wiosła, po czym przycumowali do żaglowca. Załoga rzuciła im drabinkę, a oni z zaskakującą zręcznością wspięli się na pokład.

Dwóch zbrojnych z załogi wycelowało w nich muszkiety, podczas gdy trzeci, oświetlając nowo przybyłych światłem latarni, zbliżył się do nich i zapytał:

— Kto wy?

— Na Belzebuba, mego stróża! — wykrzyknął Carmaux. — To nie poznajecie już przyjaciół?

— A niech mnie rekin połknie, jeśli to nie Bask Carmaux! — wykrzyknął człowiek z latarnią. — Jakim cudem jeszcze żyjesz! Wszyscy na Tortudze myśleli, żeś martwy! A tu proszę — kolejny wskrzeszony! A czy to nie przypadkiem hamburczyk Van Stiller?

— Z krwi i kości — odpowiedział pirat.

— A więc i ty wywinąłeś się od stryczka?

— Cóż... śmierć mnie nie chciała, więc postanowiłem pożyć jeszcze parę lat.

— A wasz kapitan?

— Sza! — uciszył go Carmaux.

— Możesz mówić. Nie żyje?

— Stado indorów! Już żeście sobie pogdakali? — zawołał szorstki głos, ten sam, który wcześniej groził dwóm mężczyznom w łodzi.

— Niech mnie piorun trzaśnie! Czarny Korsarz! — wyjąkał drżącym głosem Van Stiller.

Carmaux zaś rzekł podniesionym tonem:

— Jestem na twoje rozkazy, kapitanie.

Z mostku kapitańskiego zszedł mężczyzna i z ręką opartą na kolbie przypiętego do pasa pistoletu skierował się w ich stronę.

Od stóp do głów ubrany w czerń, która przydawała mu elegancji, co było nietypowe dla korsarzy z Zatoki Meksykańskiej, którzy zazwyczaj zadowalali się parą spodni i koszulą, dbając bardziej o broń niżli o ubranie.

Miał na sobie cienki kaftan z czarnego jedwabiu, obszyty koronką tego samego koloru, z mankietami z czarnej skóry. Z tej samej tkaniny uszyte były spodnie, przewiązane w pasie szeroką szarfą z frędzlami. Do tego wysokie buty z cholewami, a na głowie nosił szerokokorondny filcowy kapelusz ozdobiony długim, czarnym piórem, które zadziornie się zakrzywiało i opadało mu na ramię.

Podobnie jak jego ubiór, także i wygląd miał w sobie coś żalobnego. Na tle czarnych koronek kołnierzyka i wielkiego kapelusza odcinała się blada, posągowa twarz, którą zdobiła krótka, lekko kręcona czarna broda upodabniająca go do Jezusa z Nazaretu.

A rysy twarzy miał przepiękne: regularny nos, małe, czerwone jak korale usta, szerokie czoło przecięte ledwie widoczną zmarszczką, która przydawała mu smutku oraz kształtne, czarne niczym dwa węgielki oczy, długie rzęsy, które raz po raz rozbłyskiwały z taką mocą, że na ich widok drżeli nawet najzuchwalsi korsarze z Zatoki.

Wysoka, smukła sylwetka, pełna elegancji postura i arystokratyczne dłonie od pierwszego wejrzenia wskazywały na jego szlachetne pochodzenie, a także na wrodzone zdolności przywódcze.

Dwaj kamraci ujrzeni, że mężczyzna ruszył w ich kierunku. Spojrzeli po sobie z niepokojem, szepcząc:

— Czarny Korsarz!

— Kim jesteście i skąd przybywacie? — zapytał Czarny Korsarz i zatrzymał się przed nimi, z ręką niezmiennie wspartą na rękojeści pistoletu.

— Jesteśmy piratami z Tortugi, należymy do Bractwa Wybrzeża — odpowiedział Carmaux.

— Skąd przybywacie?

— Z Maracaibo.

— Uciekliście z rąk Hiszpanów?

— Tak, kapitanie.

— Pod którym dowództwem pływaliście?

Strój

Uroda

— Czerwonego Korsarza.

Na te słowa Czarnego Korsarza przeszedł dreszcz. Stał przez chwilę w milczeniu i mierzył obu piratów płomiennym spojrzeniem.

— A więc na statku mojego brata — odezwał się w końcu drżącym głosem.

Gwałtownie chwycił Carmaux za ramię i zaciągnął go niemalże siłą na rufę. Przechodząc pod mostkiem kapitańskim, spojrział w kierunku mężczyzny wyczekującego na rozkaz i rzucił:

— Pozostań na pełnym morzu, panie Morgan. Załoga ma być w gotowości bojowej, kanonierzy z zapalonymi lontami. W przypadku zagrożenia od razu meldujcie!

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiedział marynarz. — Żadna łajba nie zbliży się bez twojej wiedzy.

Czarny Korsarz, nie zwalniając uścisku na ramieniu Carmaux, wszedł pod pokład i skierował się do małej, bardzo elegancko umeblowanej kabiny, oświetlonej połączoną lampą, co było niezgodne z panującym na korsarskich statkach zakazem palenia świec po dziewiątej wieczorem. Wprowadził do środka Carmaux i wskazał mu krzesło, po czym utkwiał w nim wzrok i przez chwilę przypatrywał mu się uważnie z założonymi rękami. Jego twarz przybrała siny odcień i była bledsza niż zwykle, a pierś unosiła się i opadała w rytm szybkiego oddechu.

Dwukrotnie otwierał usta, żeby zadać pytanie, jednak od razu je zamykał w obawie przed odpowiedzią, której nie chciał usłyszeć.

W końcu przemógł się i zapytał bezdźwięcznym głosem:

— Zabili go, tak?

— Kogo?

— Mojego brata, tego, którego zwano Czerwonym Korsarzem.

— Tak, panie kapitanie — odpowiedział Carmaux i westchnął — Tak samo, jak zabili Zielonego Korsarza.

Z piersi kapitana wyrwał się rozdzierający krzyk. Straszliwie zbladł, chwycił się dłonią za serce, po czym opadł na krzesło, zasłaniając twarz szerokim rondem kapelusza.

Zamarł tak na kilka chwil, a kajutę wypełnił jego szloch. Po chwili zerwał się na równe nogi zawstydzony tym odruchem słabości. Okropne uczucie, które nim zawiądnęło, wyparowało w okamgnieniu. Na jego twarzy na powrót zagościł spokój, czoło wypogodziło się, skóra przybrała swój dawny odcień, tylko spojrzenie płonęło blaskiem tak ponurym, że przypominało o ciarki.

Dwukrotnie obszedłabinę, by trochę ochłonąć, po czym usiadł na krześle i rzekł:

— Obawiałem się, że nie zdążę na czas. Teraz pozostaje mi tylko zemsta. Rozstrzelali go?

— Powiesili, panie.

— Jesteś tego pewien?

— Widziałem na własne oczy, jak zawisł na szubienicy wzniesionej na Plaza de Granada.

— Kiedy go zabili?

— Dzisiejszego popołudnia.

— Jak umarł?

— Jak bohater, panie. Czerwony Korsarz nie mógł przecież umrzeć inaczej.

— Mów dalej.

— Kiedy pętla zaciskała się na jego szyi, wykrzesał z siebie resztkę sił, by splunąć gubernatorowi w twarz.

— Temu ścierwu Van Gouldowi?

— Tak, księciu flamandzkiemu.

— Znowu on! Wszędzie tylko on! Czyżby poprzysiął mi nieubłaganą nienawiść? Zabrał mi braci: jednego zdradziecko zabił, a dwóch powiesił!

— Nienawidził ich, bo to byli najodważniejsi korsarze w Zatoce, panie.

— Ale pozostaje mi jeszcze zemsta! — krzyknął złowrogim głosem pirat. — Nie, nie spocznę póki nie zniszczę Van Goulda i całej jego rodziny i póki nie obrócę w popiół miasta, którym rządzi. Maracaibo, przywiódł mnie do zguby, więc teraz ja przywiódę

Rozpacz

Przysięga, Zemsta

do zguby ciebie! Choćbym miał wezwać z Tortugi wszystkich korsarzy i wszystkich bukanierów¹⁰ z San Domingo i Kuby, nie pozostanie z ciebie kamień na kamieniu! A teraz mów, przyjacielu! Opowiedz mi wszystko od początku. Jak was schwytano?

— Nie w otwartej walce, lecz podstępem, kapitanie. Twój brat, kapitanie, o czym zresztą wiedziałeś, obrał kurs na Maracaibo, by pomścić śmierć Zielonego Korsarza. Podobnie jak i ty, poprzysiął księciu flamandzkiemu śmierć na szubienicy. Było nas osiemdziesięciu, byliśmy gotowi na wszystko, także do walki zbrojnej, lecz w naszych zamiarach nie przewidzieliśmy nadchodzącego załamania pogody. Przy wejściu do Zatoki zaskoczył nas straszny huragan, który zepchnął statek na płyciznę, gdzie rozszalałe fale roztrzaskały go w drzazgi. Zaledwie dwudziestu sześciu piratów z trudem dotarło do brzegu. Wszyscy byliśmy w oplakany stanie, zupełnie wyczerpani, w dodatku bez broni. Czerwony Korsarz podnosił nas ciągle na duchu. Obawiał się, że Hiszpanie mogą zauważyć naszą obecność i rozpocząć pościg, więc poprowadził nas przez bagniska. Jednak zamiast znaleźć w leśnej gęstwinie bezpieczne schronienie, wpadliśmy w zasadzkę. Trzystu Hiszpanów pod wodzą Van Goulda we własnej osobie otoczyło nas zwartym pierścieniem. Tych, którzy stawiali opór, zabili, a pozostałych wzięli w niewolę i powlekli do Maracaibo.

— Mój brat był wśród nich?

— Tak, kapitanie. Choć był uzbrojony zaledwie w sztylet, bronił się jak lew. Wołał zginać w walce, niż dać się powiesić, ale Flamandczyk, gdy tylko go rozpoznał, zamiast przeszyć go szablą czy kulą, wyznaczył mu inną śmierć. Zawlekli nas do Maracaibo i skazali na śmierć przez powieszenie. Po drodze żołnierze znęcali się nad nami, a miejscowi nie szczędzili obelg. Wraz z moim przyjacielem Van Stillerelem mieliśmy więcej szczęścia od naszych kamratów. Wczoraj rano udusiliśmy stojącego na warcie strażnika i uciekliśmy. Znaleźliśmy schronienie w chacie pewnego tubylca, skąd widzieliśmy śmierć twojego brata i jego ludzi. Późnym wieczorem, dzięki pomocy naszego czarnego przyjaciela, wsiedliśmy do łodzi z zamiarem przepłynięcia Zatoki Meksykańskiej i dotarcia do Tortugi. Oto cała historia, kapitanie.

— A mój brat nie żyje... — rzekł Czarny Korsarz z przerażającym spokojem.

— Byłem blisko niego, tak jak teraz blisko ciebie, kapitanie.

— I wciąż wisi na tej przeklętej szubienicy?

— Będzie tak wisieć przez trzy dni.

— A potem wrzucą go do rynsztoku?

— Tak, kapitanie.

Czarny Korsarz gwałtownie wstał i podszedł do pirata.

— Strach cię obleciał? — zapytał wyzywającym tonem.

— Nie boję się nawet Belzebuba, kapitanie.

— Więc nie obawiasz się śmierci?

— Nie, panie.

— Popłyniesz ze mną?

— Gdzie?

— Do Maracaibo.

— Kiedy?

— Dzisiejszej nocy.

— Złupimy miasto?

— Nie, na razie jest nas za mało, ale wkrótce Van Gould o mnie usłyszy. Popłyniemy my dwaj i twój kompan.

— Sami? — zapytał zdumiony Carmaux.

— Zgadza się.

— Co zamierzasz?

— Odzyskać zwłoki brata.

— Uważaj, kapitanie! Jeszcze wpadniesz w ich łapska.

— Czy wiesz, kim jest Czarny Korsarz?

— Do stu tysięcy piorunów! Toż to najzuchwalszy pirat z Tortugi.

— Zatem zaczekaj na mnie na mostku, ale wpierw każ szykować szalupę.

¹⁰bukaniem — zajmujący się piractwem i myślistwem zbiegowie i przestępcy pochodzenia angielskiego, francuskiego i holenderskiego, zamieszkujący XVI–XVII w. wyspy Wielkich Antyli. [przypis edytorski]

- Mam lepszy pomysł, szybciej będzie naszą łodzią.
- Zgoda. A teraz ruszaj!

ROZDZIAŁ II. ŚMIAŁA WYPRAWA

Carmaux usłuchał rozkazu i oddalił się pośpiesznie, wiedział bowiem, że z groźnym Korsarzem nie ma żartów.

Van Stiller czekał na niego na pokładzie w towarzystwie kwatermistrza i kilku piratów, którzy wypytywali go o tragiczną śmierć Czerwonego Korsarza i jego ludzi, domagając się krwawej zemsty na Hiszpanach z Maracaibo i nade wszystko na samym gubernatorze. Hamburczyk, gdy dowiedział się, że mają przygotować łódź, by popłynąć na brzeg, z którego cudem uciekli, nie krył zdumienia i obawy.

- Mamy tam wrócić?! — wykrzyknął. — Przecież zapłacimy za to głowę, Carmaux.
- No cóż! Tym razem nie popłyniemy tam sami.
- A niby kto zamierza nam towarzyszyć?
- Czarny Korsarz.
- A to zupełnie co innego. Ten czort wcielony wart jest więcej niż stu korsarzy.
- Tyle tylko, że on sam z nami popłynie.
- To nic, Carmaux. Z nim nic nam nie grozi. Płyniemy prosto do Maracaibo?

— Tak, przyjacielu, jeśli wyprawa zakończy się sukcesem, to dobra nasza. Hej, kwatermistrzu, wrzuc do łodzi trzy muszkiety, trochę amunicji, parę kordelasów¹¹ dla nas obu i coś na ząb. Nigdy nic nie wiadomo, co się może wydarzyć ani kiedy wrócimy.

- Już wszystko załadowane — odkrzyknął kwatermistrz. — Dołożyłem też tytoniu.
- Dziękuję ci, przyjacielu. Jesteś perłą wśród kwatermistrzów.
- A oto i on — powiedział w tej samej chwili Van Stiller.

Na mostku pojawił się Czarny Korsarz. Ubrany był w swój żałobny strój, do boku przypasał długą szpadę, a za pas włożył dwa duże pistolety i jeden z tych ostrych, hiszpańskich sztyletów zwanych mizerykordią¹². Przez ramię przewiesił obszerną pelerynę, kruczoczną jak reszta ubioru.

Zbliżył się do stojącego na mostku kapitańskim marynarza, najprawdopodobniej swojego zastępcy i zamienił z nim kilka słów. Chwilę później zwrócił się do obu korsarzy:

- W drogę!
- Jesteśmy gotowi — odpowiedział Carmaux.

Wszyscy trzej opuścili się na pokład łodzi, którą już wcześniej przycumowano do rufy, by załadować na nią broń i żywność. Czarny Korsarz szczerze owinął się peleryną i zajął miejsce na dziobie, podczas gdy piraci złapali za wiosła i odpłynęli.

Na korsarskim żaglowcu szybko wygaszono światła pozycyjne, strymowano¹³ żagle. „Błyskawica” ruszyła kursem za łodzią, halsując¹⁴, aby jej nie wyprzedzić. To Morgan odprowadzał swojego dowódcę w pobliże wybrzeża, by w razie zagrożenia przyjść mu z pomocą.

Czarny Korsarz leżał z głową wspartą na ramieniu i milczał. Byстрым wzrokiem dokładnie lustrował mroczny horyzont, próbując przeniknąć ciemności spowijające południowoamerykańskie wybrzeże. Od czasu do czasu odwracał głowę w stronę swojego statku, który nieustannie podążał ich śladem w odległości siedmiu lub ośmiu kabli, po czym znów kierował wzrok z powrotem na południe.

Tymczasem Van Stiller i Carmaux energicznie wiosłowali, a lekka i zwrotna łódka przuła czarne fale. Ani jeden, ani drugi nie wydawał się być zmartwiony powrotem na

¹¹*kordelas* — lekko zakrzywiona, krótka szabla z osłoną dla dłoni (jelcem kabłąkowym), używana w XVII–XIX w., głównie przez marynarzy, będąca jednym z charakterystycznych elementów wyposażenia pirata. Kordelas był bronią wytrzymałą, którą można było wyrąbywać sobie drogę przez ciężkie liny i płótno, a równocześnie z powodu dość krótkiego ostrza poręczną w walce w zwarciu na zatłoczonym statku, wśród takielunku i pod pokładem, skuteczniejszą niż długie rapiery lub szpady, ponadto skuteczne posługiwanie się nim wymagało mniej szkolenia. [przypis edytorski]

¹²*mizerykordia* (z łac. *misericordia*: miłosierdzie) — niewielki miecz, sztylet, służący m.in. do dobijania rannych (stąd jego nazwa). [przypis edytorski]

¹³*strymować żagiel* (żegl.) — nadawać żaglowi odpowiedni kształt: napinać go tak, aby miał odpowiednie do warunków wybrzuszenie i sprawnie działał. [przypis edytorski]

¹⁴*halsować* (żegl.) — o jednostce żaglowej: płynąć zakosami, wykonując wielokrotne zwroty. [przypis edytorski]

ziemi zamieszkałe przez ich bezwzględnych wrogów, albowiem w odwadze i przemyślności niezwykłego Korsarza, którego imię wzbudzało strach we wszystkich nadmorskich osadach rozległej Zatoki Meksykańskiej, pokładali bezgraniczną wiarę.

Wody jeziora Maracaibo¹⁵ były gładkie, zupełnie jakby wylano na nie oliwę, co ułatwiało wiosłarzom sprawną i szybką żeglugę. Zwieńczone od strony morza dwoma wzniesieniami, układające się w podkowę niewysokie brzegi akwenu chronią wewnętrzne wody jeziora przed uderzeniami fal, co zapobiega tworzeniu się w ich głębinach silnych prądów morskich.

Dwaj piraci wiosłowali zawzięcie od godziny, kiedy Czarny Korsarz, który do tej chwili pozostawał niemal w całkowitym bezruchu, zerwał się nagle na nogi, jakby chciał lepiej przyjrzeć się temu, co rysowało się na szerokim horyzoncie.

W oddali, mniej więcej na południowym zachodzie, w jednodominutowych odstępach błyskało światło, odbijając się od powierzchni wody.

— Maracaibo — powiedział Czarny Korsarz ponurym głosem, który zdradzał z trudem tłumioną wściekłość.

— Zgadza się — potwierdził Carmaux.

— W jakiej odległości się znajdujemy?

— Będą ze trzy mile¹⁶, panie kapitanie.

— A więc o północy dotrzemy na miejsce.

— Tak.

— Czy straż pilnuje wybrzeża?

— Tylko łodzie celników.

— Musimy ich ominąć.

— Znamy miejsce, gdzie możemy bezpiecznie przybić do brzegu i ukryć łódź w narzeczonym gąszczu.

— Naprzód!

— Za pozwoleniem, kapitanie...

— Mów!

— Lepiej by było, żeby nasz statek nie podpływał już bliżej.

— Już zawrócił. Zaczeka na nas na pełnym morzu — odparł na to Czarny Korsarz.

Przez kilka chwil stał w milczeniu, po czym zapytał:

— To prawda, że hiszpańska flota patroluje okolicę?

— Tak, kapitanie, oddziały admirała Toledo czuwają nad bezpieczeństwem na wodach od Maracaibo po Gibraltar¹⁷.

— Ha! Czyli że nas się boją?! Ale razem z Franciszkiem l'Olonnais pošemy ich wszystkich na dno. Cierpliwości, jeszcze kilka dni i Van Gould przekona się, z kim ma do czynienia.

Owinął się znów peleryną, zasunął kapelusz na oczy i usiadł, wpatrując się nieruchomo w jasny punkt, który zwiastował latarnię morską. Łódź pomknęła przed siebie, lecz już nie kierowała się ku przesmykowi prowadzącemu do jeziora Maracaibo. Piraci zmienili kurs i wyminęli patrole, które niechybnie zatrzymałyby łódź i uwięziły jej załogę.

Pół godziny później brzeg zatoki był już wyraźnie widoczny, dzieliła ich od niego odległość trzech lub czterech kabli. Gęsto zalesiona namorzynami¹⁸ plaża łagodnie schodziła do morza. Zaduch panujący pośród tych porastających ujścia rzek i cieków wodnych roślin powodował okropną gorączkę, jak choćby *vomito prieto*, czyli żółtą febrę. Nieco wyżej, na tle rozgwieżdżonego nieba, kłębiła się bujna roślinna szata, ponad którą górowały pękate korony gigantycznych rozmiarów drzew.

Carmaux i Van Stiller zwolnili i odwrócili się ku brzegowi. W obawie przed zasadzką, płynęli dalej z wielką ostrożnością, zachowując ciszę i rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Czarny Korsarz przez cały czas nawet nie drgnął, położył tylko przed sobą trzy

Natura

¹⁵Maracaibo, jezioro — akwen w płn.-zach. Wenezueli, mierzący 14 tys. km² powierzchni, zasilany przez liczne rzeki, połączony cieśniną Tablazo z Zatoką Wenezuelską, a tym samym z Morzem Karaibskim. [przypis edytorski]

¹⁶mila — daw. miara odległości o różnej wartości; mila morska to ok. 1850 m. [przypis edytorski]

¹⁷Gibraltar — tu: miasto w Wenezueli, na pld. brzegu jeziora Maracaibo; zał. w 1592 jako gł. port miasta Mérida, nazwane San Antonio de Gibraltar, na cześć europejskiego Gibraltar, wówczas należącego do Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹⁸namorzyny — przybrzeżne lasy i zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

załadowane na pokład przez kwatermistrza muszkiety. Był gotów powitać prochem każdą łajbę, która ośmieliłaby się zbliżyć na odległość strzału.

Było już po północy, gdy łódka dobiła do plaży, wbijając się w sam środek gęstwiny i powykręcanych korzeni namorzynów.

Czarny Korsarz wstał. Omiótł wzrokiem wybrzeże, po czym zwinnie zeskoczył na ziemię i przywiązał łódź do jednej z gałęzi.

— Zostawcie muszkiety — rozkazał Van Stillerowi i Carmaux. — Macie pistolety?

— Tak, kapitanie — odpowiedział hamburczyk.

— Wiecie, gdzie jesteśmy?

— Jakies dziesięć, dwanaście mil od Maracaibo.

— Zdołamy zakraść się tam dzisiejszej nocy?

— To niemożliwe, kapitanie. To nieprzebyte gąszcz i nie damy rady się przez niego przedrzeć przed świtem.

— Musimy więc zaczekać do jutrzejszego wieczora?

— Chyba że chcesz podjąć ryzyko i pojawić się w mieście za dnia. W przeciwnym razie musimy odczekać.

— Pojawienie się w mieście za dnia byłoby nieostrożnością — odparł Czarny Korsarz, jakby mówił do siebie. — Gdybym miał wsparcie swojego statku, który mógłby nas w każdej chwili zabrać na pokład, byłbym gotów podjąć takie ryzyko, ale „Błyskawica” żegluje teraz daleko, po wodach wielkiej Zatoki Wenezuelskiej.

Pogrążył się w zadumie na kilka chwil, po czym rzekł:

— Uda nam się jeszcze odnaleźć mojego brata?

— Jego ciało będzie wisiało na Plaza de Granada przez trzy dni — odparł Carmaux. — Tak, jak mówiłem.

— A więc mamy czas. Znacie kogoś w Maracaibo?

— Tak, Murzyna, który poratował nas łodzią w trakcie ucieczki. Zamieszkuje w odludnym szalasie na obrzeżach lasu.

— Nie zdradzi nas?

— Ręczymy za niego.

— Zatem w drogę!

Carmaux szedł przodem, Czarny Korsarz w środku, a Van Stiller zamykał pochód. Wdrapali się na skarpe, po czym zagłębili w samo serce mrocznej puszczy, zachowując ostrożność i nasłuchując. W dłoniach trzymali nabite pistolety, w każdej chwili spodziewając się zasadzki.

Dookoła rozpościerała się nieprzebrana gęstwina, wśród której panowały ciemności jak we wnętrzu wielkiej jaskini. Bujne korony drzew wieńczące pnie różnych kształtów i rozmiarów przysłaniały całkowicie nieboskłon.

Nieliczone liany to pięły się wysoko, mocno oplatając palmy, to zwisały długimi warkoczami prosto ku ziemi albo rozrastały się we wszystkich kierunkach, co na tyle utrudniało przemarsz, że śmiałowie zmuszeni byli torować sobie drogę, karczując roślinność za pomocą swoich kordelasów. Z kolei płątanina potężnych korzeni wyrastających z ziemi wymuszała na nich szukanie jakiejś okrzęnej drogi wolnej od takich przeszkód. Co jakiś czas w leśnej gęstwiny rozbłyskiwały niczym lampiony ławice małych światełek, które na zmianę wirowały wokół drzew, iskrzyły się w ich koronach i tańczyły tuż przy ziemi. Na chwilę nagle gasły, po czym rozjarzały się na nowo, tworząc przepiękne świetlne fale, rodem ze świata baśni.

Były to olbrzymie świetliki zamieszkujące lasy Ameryki Środkowej zwane *vaga-lume*¹⁹. Siła wytwarzanego przez nie światła pozwala odczytać z odległości kilku kroków nawet najdrobniejsze pismo. Zaledwie kilka sztuk tych owadów zamkniętych w słoiku wystarczy do oświetlenia całego pokoju. Nie brakowało też *Lampyrus occidentalis*, robaczek świętojańskich, innego gatunku fosforyzujących owadów, które żyją w olbrzymich rojach w gujańskich lasach równikowych.

Trzej korsarze kontynuowali marsz w całkowitym milczeniu, wciąż zachowując należytą czujność — dobrze zdawali sobie bowiem sprawę, że oprócz ludzi muszą strzec się

¹⁹*vaga-lume* (port.) — potoczna portugalska nazwa chrząszczy z rodzin *Elateridae*, *Phengodidae* i *Lampyridae* zdolnych do bioluminescencji (wytwarzania światła). [przypis edytorski]

także mieszkańców lasu — krwiożerczych jaguarów, a nade wszystko węży, zwłaszcza żararak, których skóra przybiera odcień zeschniętych liści, czyniąc je niemal niedostrzegalnym dla ludzkiego oka w świetle dnia.

Pokonali tak bez mała dwie mile, gdy idący na przedzie Carmaux, który najlepiej znał te okolice, zatrzymał się nagle i wycelował przed siebie pistolet.

— Jaguar czy człowiek? — bez cienia strachu spytał Czarny Korsarz.

— Mógł to być jaguar, ale równie dobrze mógłby to być szpieg — odparł Carmaux. — W tych dzikich krainach nigdy nie można być pewnym jutra.

— Którędy przeszedł?

— Dwadzieścia kroków ode mnie.

Pirat ukucnął, wstrzymał oddech i cały zamienił się w słuch. Usłyszał szelest liści, lecz tak niewyraźny, że tylko wyjątkowo czujne ucho byłoby w stanie go wyłować.

— To może być zwierzę — rzekł, prostując się. — Nie jestem pewien! Ale my się niczego nie boimy. Szable w dłoń i za mną.

Obszedł pień wielkiego drzewa, które górowało nad pobliskimi palmami, po czym zatrzymał się w gąszczu gigantycznych liści, wyężdżając wzrok w ciemności. Szelest liści ustał, jego ucho tymczasem wyłapało brzęk metalu, a chwilę później jakby suchy trzask przypominający odgłos odciąganej kurki.

— Stójcie! Ktoś nas śledzi i czeka tylko na odpowiedni moment, aby nas powystrzelać.

— Czyżby zauważyli, że przybiliśmy do brzegu? — wymamrotał zaniepokojony Carmaux. — Hiszpanie wszędzie mają szpiegów.

Trzymając szablę w prawej dłoni, w lewej zaś pistolet, Czarny Korsarz zaczął bez najmniejszego szmeru przeszukiwać liściasty gąszcz. Nagle Carmaux i Van Stiller zobaczyli, jak rzuca się na postać ukrytą w zaroślach. Błyskawiczny atak udaremnił próbę ucieczki czającego się pośród roślinności człowieka, który uderzony z pełnym impetem rękojeścią szpady w twarz upadł na wznak.

Carmaux pośpiesznie podniósł broń, którą tamten wypuścił z ręki w chwili upadku, nie zdolawszy oddać nawet jednego strzału, podczas gdy Van Stiller trzymał go na muszce.

— Drgnij tylko, a już po tobie — powiedział Van Stiller.

— To jeden z naszych wrogów — zauważył Czarny Korsarz.

— Żołnierz przeklętego Van Goulda — dopowiedział Van Stiller. — Chętnie się dowiem, dlaczego czaił się właśnie tutaj.

Hiszpan, który solidnie oberwał w głowę, powoli dochodził do siebie i próbował się podnieść.

— *Carrai!* — wymamrotał drżącym głosem. — Chyba wpadłem w ręce samego diabła?

— Zgadłeś — powiedział Czarny Korsarz. — Niech będzie i samego diabła, skoro tak nas, piratów, lubicie nazywać.

Hiszpan zadrżał, co nie umknęło uwadze Carmaux.

— Nie trzęś tak portkami, przynajmniej na razie — rzekł i zaśmiał się w głos. — Oszczędzaj siły na później, gdy będziesz już dyndał i wywijał w powietrzu fandango²⁰ z zaciśniętym na szyi powrozem.

Następnie zwrócił się do Czarnego Korsarza, który w milczeniu obserwował jeńca, i rzekł:

— Posłać mu kulkę, kapitanie?

— Nie — odparł tenże.

— A może wolisz go powiesić na jednej z gałęzi tego tam olbrzymiego drzewa.

— Bynajmniej.

— A co jeśli to jeden z tych, co wieszali naszych kamratów i Czerwonego Korsarza, kapitanie?

Na te słowa oczy Czarnego Korsarza rozblęły złowrogim blaskiem, który jednak szybko zgasł.

— Nie chcę jego śmierci — rzekł oschle. — Żywy przyda nam się bardziej niż jako wisielec.

²⁰*fandango* — hiszpański taniec ludowy o szybkim, dynamicznym tempie wybijanym kastanietami oraz podkutymi specjalnie butami, wykonywany z towarzyszeniem gitary. [przypis edytorski]

— Zatem zwińmy go porządnie — odpowiedzieli jednogłośnie dwaj piraci.

Oderwali kawałek czerwonej tkaniny, którą byli przepasani, po czym skrępowali nim nadgarstki więźnia, ten z kolei ani myślał stawiać opór.

— Przyjrzyjmy się, coś ty za gagatek — powiedział Carmaux.

Zapalił kawałek odciętego od armaty lontu, który przechowywał w kieszeni, i zbliżył go do twarzy Hiszpana. Nieszczęśnik, który wpadł w ręce straszliwych piratów z Tortugi, miał na oko trzydzieści lat, kanciastą twarz pokrytą rudawą brodą i szare, rozbiegane z przerażenia oczy, był chudy i tyczkowaty niczym jego krajan Don Kiszot.

Miał na sobie żółty, skórzany kaftan wyszywany arabeskami, szerokie i krótkie spodnie w czarno-czerwone paski i wysokie buty z czarnej skóry. Na głowie nosił stalowy hełm przystrojony mocno już przerzedzonymi piórami nie pierwszej świeżości, a za pasem, w znacznie już zardzewiałej pochwie, tkwiła szabla.

— Na rogi Belzebuba! — wykrzyknął Carmaux, śmiejąc się. — Z tego, co widzę, gubernator Maracaibo nie żywi swoich wojaków kapłonami²¹, bo ten tu jest chudszy niż wędzony śledź. Myślę, panie kapitanie, że warto go powiesić.

— Nie kazałem go wieszać — odparł Czarny Korsarz, a następnie trącił więźnia końcem szabli i rzekł:

— Teraz nam się wypowiadasz!

— I tak już po mnie, więc nic ci nie powiem — odparł Hiszpan. — Nikt przecież nie wychodzi żywy z twoich rąk. Nawet jeśli powiem ci to, co chcesz usłyszeć, wcale nie mogę być pewny, że dożyję jutra.

— Zuch z niego — rzekł Van Stiller.

— A swoją odpowiedzią zasłużył sobie na łaskę — dodał Czarny Korsarz. — No już, będziesz gadał?

— Nie — powiedział jeniec.

— Obiecuję, że ocalisz życie.

— A kim ty jesteś, żeby ci wierzyć?

— Przecież wiesz, kim jestem.

— Piratem.

— Owszem, ale piratem, co się zwie Czarny Korsarz.

— Najświętsza Panienko z Gwadelupy! — krzyknął Hiszpan i zrobił się błąd jak ściana. — Czarny Korsarz tutaj?! Przybyłeś wyrząść nas wszystkich w pień i pomścić śmierć brata, Czerwonego Korsarza?

— Zgadza się, a jeśli nie wyśpiewasz mi wszystkiego — powiedział Czarny Korsarz ponurym głosem — pozabijam was wszystkich, a z Maracaibo zostaną zgliszcza!

— Święci pańscy! Co ty tu robisz? — powtórzył jeniec, który nie otrząsnął się jeszcze z szoku.

— Gadaj, bo wypruję z ciebie flaki.

— I tak już jestem trupem.

— Czarny Korsarz to człowiek honoru, weź to pod uwagę. On nigdy nie złamał raz danego słowa — odparł kapitan uroczyście.

— Niech ci będzie, zaufam ci.

ROZDZIAŁ III. JENIEC

Na dany przez kapitana znak Van Stiller i Carmaux podnieśli jeńca i posadzili u stóp drzewa. Nie rozwiązali mu jednak rąk, choć byli pewni, że nie będzie próbował ucieczki.

Czarny Korsarz usiadł naprzeciw niego, na olbrzymim korzeniu, który wił się niczym monstrualny wąż, a dwaj piraci stanęli na straży przed zaroślami, obawiali się bowiem, że jeniec nie jest sam.

— Powiedz mi — rzekł Czarny Korsarz po kilku minutach milczenia — czy ciało mojego brata wciąż jest wystawione na widok publiczny?

— Tak — odpowiedział jeniec. — Gubernator rozkazał nie ściągać go przez trzy dni i trzy noce, potem rzuci zwłoki do lasu na pożarcie dzikim bestiom.

— Myślisz, że da się wykraść ciało?

²¹kapłon — kastrowany kogut, tuczony na mięso. [przypis edytorski]

— Być może, bo Plaza de Granada jest strzeżona tylko przez jednego wartownika. Piętnastu wisielcom trudno by przecież było uciec.

— Piętnastu?! — powiedział Czarny Korsarz złowrogim tonem. — Ten łotr Van Gould nie oszczędził nawet jednego?

— Nikogo.

— I nie strasza mu zemsta piratów z Tortugi?

— Maracaibo ma mury umocnione i obsadzone armatami.

Pogardliwy uśmiech zagościł na ustach dumnego Czarnego Korsarza.

— Co nam mogą zrobić armaty? Nasze kordelasy znaczą wiele więcej. Mielicie okazję się o tym przekonać podczas szturmów na San Francisco de Campeche²², na St. Augustine²³ na Florydzie i w innych miejscach.

— To prawda, ale Van Gould czuje się bezpiecznie w Maracaibo.

— Ach tak?! W takim razie zobaczymy, jak się poczuje, gdy rozmówię się z Franciszkiem l'Olonnais.

— Franciszek l'Olonnais! — wykrzyknął Hiszpan, którego przeszedł dreszcz przerażenia.

Czarnego Korsarza najwyraźniej nie obeszło przerażenie jeńca, bo kontynuował swoje przesłuchanie, choć nieco innym już tonem:

— Co tu robiłeś?

— Pełniłem wartę na plaży.

— Sam?

— Tak.

— Podejrzewaliście, że napadniemy na miasto?

— Obawialiśmy się ataku, wartownicy zauważyli podejrzany statek.

— Czy gubernator rozkazał wzmocnić obronę fortu?

— Nie tylko, wysłał też kilku zaufanych ludzi do Gibraltaru, by ostrzec admirała.

Tym razem to Czarnego Korsarza przeszedł dreszcz, tyle że był to dreszcz niepokoju, bo bać to się raczej nie miał w zwyczaju.

— Ach tak! — wykrzyknął, a jego blada twarz zrobiła się czerwona ze złości. — A więc mój statek może być w niebezpieczeństwie? — zamyślił się, po czym wzruszył ramionami i dodał:

— To nic! Kiedy okręty admirała dotrą do Maracaibo, będę już na pokładzie „Blyskawicy”.

Zerwał się gwałtownie, zagwizdał na dwóch piratów stojących na czatach przed żurawami i rzucił krótko:

— Wracamy.

— A co robimy z jeńcem? — zapytał Carmaux.

— Zabierzemy go ze sobą. Odpowiadacie za niego głową.

— Niech mnie kule biją! — wykrzyknął Van Stiller. — Przywiążę go sobie sznurem do pasa, wtedy odejdzie mu ochota na ucieczkę.

Ruszyli w drogę gęsiego. Prowadził Carmaux, Van Stiller zaś zamykał pochód i pędził przed sobą jeńca, nie chcąc ani na chwilę stracić go z oczu.

Wstawał świt. Różowe promienie jutrzemki rozprasały ciemności i rozlewały się po niebie, przenikając przez baldachim gigantycznych drzew. Liczne w południowej Ameryce, a zwłaszcza w Wenezueli mały budziły się do życia, wypełniając gęstwinę dzikimi krzykami.

Na czubkach smukłych i eleganckich palm zwanych *assai*, w bujnych koronach ogromnych drzew kapokowych, w gąszczu *sipos*, olbrzymich lian oplatających pnie drzew i czepiających się powietrznych korzeni storczyków, pośród zachwycających bromelii, obficie

Świt

Natura

²²San Francisco de Campeche — ob. Campeche, miasto w Meksyku, nad Zat. Meksykańską; zał. w 1540, stanowiło główny port półwyspu Jukatan, w 1685 zostało napadnięte i zdobyte przez piratów pod wodzą Laurensa de Graafa, podobnie jak 20 innych nadbrzeżnych miast w regionie. [przypis edytorski]

²³St. Augustine — miasto w płn.-wsch. części Florydy, nad Atlantykiem, najstarsza europejska osada w kontynentalnej części USA; założone w 1565, było stolicą hiszpańskiej prowincji Floryda; kilkakrotnie zdobywane i plądrowane, m.in. w 1586 przez angielskiego korsarza Francisza Drake'a, w 1668 przez piratów Roberta Searle. [przypis edytorski]

obsypanych szkarłatnymi kwiatami, figlarnie niczym chochliki płały małpy wszelkiej maści.

Nieopodal baraskowało stadko uroczych małek *mico*, które pomimo swoich lilipucich rozmiarów — mieściły się w pirackiej kamizelce! — pod względem bystrości i zwinności nie miały sobie równych w świecie człekokształtnych. Kawalek dalej z kolei harcowały gromady *sabui*, nieco większych od wiewiórek, o rudej sierści i grzywie jak u lwiątek, a także czeredy *mono*, najchudszych wśród wszystkich małp, wyposażonych w tak długie, patykowate kończyny, że z daleka łatwo je pomylić z olbrzymimi pajakami. Nie brakowało też stadka *prego*, które z dzikim upodobaniem niszczą wszystko, co napotkają na swej drodze, stając się prawdziwym utrapieniem plantatorów.

Wszędzie było widać nieprzeliczone chmary ptactwa, a najprzeróżniejsze ptasie okrzyki zlewały się z wrzaskami małp. Wśród rozłożystych liści drzew *pomponasse*, z których wytwarza się piękne i lekkie panamskie kapelusze, w zagajnikach *laransia* o kwiatach wydzielających odurzające zapachy, na wspaniałych palmach *quaresme* o purpurowych kwiatach trajkotały na cały głos malutkie *mabiaco*, gatunek papug o ciemnoniebieskiej głowce; skrzeczały też ary, dorodne ptaki o czerwonym upierzeniu, które od świtu do zmierzchu z uporem godnym lepszej sprawy wrzeszczą bez ustanku „arà arà”, oraz *chora-deira*, ptaki-płaczki, wyśpiewujące smętnie swą wieczną skargę.

Piraci i ich hiszpański jeniec, nawykli do marszu przez gęstą dżunglę porastającą kontynent i wyspy Zatoki Meksykańskiej, nie zatrzymywali się, by podziwiać rośliny, małpy czy ptaki. Maszerowali najszybciej, jak się dało, wyszukując w gąszczu przetarte przez drapieżniki lub tubylców przejścia, albowiem pragnęli czym prędzej wydostać się na otwartą przestrzeń i ujrzeć wody jeziora Maracaibo.

Czarny Korsarz popadł zgodnie ze swoim zwyczajem w posępną zadumę, która towarzyszyła mu wszędzie bez względu na to, czy przebywał akurat na pokładzie statku, czy też korzystał z uroków Tortugi.

Owinięty w swoją długą, czarną pelerynę, z kapeluszem nasuniętym na oczy, kroczył za Carmaux z głową zwieszoną na piersi. Z dłonią wspartą na szpadzie, nie spoglądając ani na towarzyszy, ani na jeńca, maszerował niczym samotny wędrowiec przedzierający się przez dżunglę.

Piraci, którzy dobrze znali jego zwyczaje, o nic nie wypytywali i pozwolili mu rozmyślać w samotności. Od czasu do czasu szeptem zamieniali ze sobą kilka słów, chcąc uzgodnić kierunek marszruty, po czym przyspieszali kroku, zagłębiając się coraz to bardziej w splątaną sieć niekończących się *sipos*, drzew palmowych, *jacarandò* i *massaranduba*, które chroniły ich przed hordami uroczych ptaszków *trochilidi* o lśniącym błękitnym piórach i czerwono-ognistym dziobie, znanych też pod nazwą „ptaki-muchy”. Byli już w drodze od dobrych dwóch godzin, w dodatku coraz bardziej przyspieszali kroku. W pewnym momencie Carmaux zaczął uważnie przyglądać się podłożu i otaczającym go drzewom, po czym przystanął, wskazując Van Stillerowi zagajnik *cajueiro*, drzew o skórzastych liściach, które przy wietrznej pogodzie wydają dziwaczne dźwięki.

— To tutaj, Van Stillerze? — spytał. — Chyba mnie pamięć nie myli.

Chwilę później pośród zarośli dało się słyszeć przyjemne dla ucha, łagodne dźwięki, które brzmiały, jakby ktoś je wygrywał na flecie.

— Cóż to takiego? — odezwał się Czarny Korsarz, podnosząc nagle głowę i zrzucając z siebie pelerynę.

— Flet Moko — odparł uśmiechnięty Carmaux.

— Kim jest Moko?

— To Murzyn, który pomógł nam w ucieczce. Jego szalas stoi w tym zagajniku.

— Dlaczego gra?

— Zapewne zajęty jest hipnotyzowaniem swoich węży.

— Czyżby był zaklinaczem tych gadów?

— Zgadłeś, kapitanie.

— Ale ten flet może nas zdradzić.

— Zabiorę mu go, a węże wyślemy na wycieczkę po dżungli.

Czarny Korsarz gestem dłoni nakazał im iść dalej, ale dobył szabli na wypadek przykłej niespodzianki. Carmaux zdążył już zniknąć w zaroślach. Szedł ostrożnie ledwie widoczną

w gąszczu ścieżynką, aż nagle zatrzymał się, wydając z siebie okrzyk, w którym zdziwienie mieszało się z obrzydzeniem.

Przed splecionym z gałęzi szalasem, zadaszonym szerokimi liśćmi palmowymi, na wpół ukrytym pod *cujerą*, olbrzymią rośliną ocieniającą częstokroć tubylcze chaty i obfitującą w podobne do dyni owoce siedział czarnoskóry mężczyzna budową ciała przypominający Herkulesa²⁴: szeroki w barkach, o bardzo umięśnionych ramionach i nogach, które z pewnością skrywały wielką siłę.

Miał mięsiste wargi, płaski nos i wystające kości policzkowe. W jego twarzy było coś dziecięcego, biła z niej bliżej nieokreślona naiwna dobroć.

Mężczyzna siedział na pniu drzewa i grał na flecie z cienkiej trzciny bambusowej, wydobywając z niego łagodne, przeciągłe dźwięki, które wywoływały w słuchającym przedziwną niemoc.

Przed nim wił się posłusznie z tuzin najbardziej niebezpiecznych węży środkowej Ameryki: popielato-brązowe żararaki, o małej trójkątnej głowie i smukłym ciele, tak jadowite, że nie bez powodu Indianie ochrzcili je przydomkiem „przeklętych”; ich jeszcze bardziej jadowite kuzynki żararaki *urutu*, zwane także węzami krzyżowymi ze względu na plamę na głowie w kształcie krzyża, posiadające jad paraliżujący nerwy wokół miejsca ukąszenia; tak zwane *kaskawe*, znane także jako grzechotniki straszliwe, oraz zupełnie czarne węże *naja*, których jad powoduje błyskawiczną śmierć.

— Moko — krzyknął Carmaux, przerywając czarodziejski rytuał.

Melodia urwała się. Murzyn wbił w pirata swoje porcelanowe oczy i z niedowierzaniem rzekł:

— To wy? Co tu jeszcze robicie?! Myślałem, że już dawno dotarliście do Zatoki, daleko od Hiszpanów.

— Tak, to my, ale... niech mnie piorun trzaśnie, jeśli sądzisz, że podejść do ciebie bliżej, skoro dookoła roi się od tych paskudnych gadzin.

— Moje węże nie zrobią krzywdy przyjacielom — roześmiał się Murzyn. — Zaczekaj chwilę, biały przyjacielu, tylko je uspię.

Przyniósł wypleciony z liści koszyk, włożył zwierzęta do środka, bacząc, by się nie rozpełzły, zamknął go dokładnie, na wszelki wypadek przyciskając wieko dużym kamieniem, po czym rzekł:

— Teraz bez obaw możesz podejść bliżej, biały bracie. Jesteś sam?

— Nie, przyprowadziłem ze sobą kapitana mojego statku, brata Czerwonego Korsarza.

— Czarnego Korsarza? On tutaj? No to Maracaibo ma się czego obawiać!

— Posłuchaj mnie, czarny bracie, chcemy cię prosić o kolejną przysługę: pozwól nam skorzystać z twojego szalasu. Możesz liczyć na naszą wdzięczność.

W tej chwili nadszedł Czarny Korsarz wraz z Van Stillerelem prowadzącym jeńca. Poddziwiał Murzyna skinieniem dłoni, po czym wziął na stronę Carmaux i zapytał:

— To ten człowiek pomógł ci w ucieczce?

— Tak, panie kapitanie.

— Nienawidzi Hiszpanów?

— Tak samo jak my.

— Zna Maracaibo?

— Nie gorzej niż my Tortugę.

Czarny Korsarz odwrócił się w kierunku Murzyna i podziwiając w milczeniu jego imponującą muskulaturę, rzekł jakby do siebie:

— Tak, takich ludzi właśnie mi trzeba.

Następnie wszedł do szalasu i rozejrzał się po jego wnętrzu. Zauważył stojące w kącie splecione z gałęzi krzesło, usiadł na nim i na powrót pogrążył się w zadumie.

Tymczasem Murzyn pośpieszył przygotować posiłek, na który złożyły się różne smakołyki: placuszki z manioku, rodzaju mąki otrzymywanej z zawierających trujące substancje bulw, które po starciu i odcisnięciu soków tracą swoje szkodliwe właściwości;

Wąż

Jedzenie

²⁴Herkules (mit. rz.) a. Herakles (mit. gr.) — bohater słynny z ogromnej siły i wykonania 12 trudnych i niebezpiecznych zadań. [przypis edytorski]

owoce *gravioli*, kształtem przypominające szyszki, skrywające pod kolczastą skórką białą, smakowity miąższ o kremowej konsystencji; tuziny pachnących bananów zwanych „złotymi”, mniejszych od tych tradycyjnych, ale smaczniejszych i pożywniejszych.

Jakby jeszcze tego było mało, Moko uraczył gości tak zwanym *pulque*, sfermentowanym napojem powszechnie pozyskiwanym z agawy, serwując go w wydrążonej dyni.

Trzej piraci, którzy podczas nocnej wędrówki niczego nawet nie przegryźli, najedli się teraz do syta, nie zapominając przy tym o nakarmieniu więźnia. Po jedzeniu wyciągnęli się wygodnie na świeżo naciętych liściach, które Moko specjalnie dla nich zniósł do szałas, po czym zasnęli snem tak spokojnym, jakby znajdowali się w najbezpieczniejszej na świecie kryjówce.

Sam Moko tymczasem mocno związał powierzonego jego pieczy jeńca i zaczął pełnić wartę.

Przez cały dzień żaden z piratów się nie poruszył, lecz gdy tylko zapadły ciemności, Czarny Korsarz ocknął się raptownie.

Był bledszy niż zwykle, a jego czarne oczy płonęły ponurym blaskiem.

Nerwowym krokiem kilkakrotnie okrążył szałas, po czym zatrzymał się przed więźniem, mówiąc:

— Dałem ci słowo, że cię nie zabiję, choć mógłbym powiesić cię na pierwszej lepszej gałęzi. Musisz mi odpowiedzieć na pytanie: Czy dam radę zakraść się niepostrzeżenie do pałacu gubernatora?

— Chcesz go zamordować, by pomścić śmierć Czerwonego Korsarza?

— Zamordować?! — zawołał gniewnie pirat. — Ja się pojedynkuję, a nie morduję zdradziecko! Jestem człowiekiem honoru. Pojedynek pomiędzy mną a nim, tak, ale nie morderstwo.

— Gubernator jest stary, a ty, panie, młody. Poza tym nie zdołasz przedostać się do jego sypialni niezauważony. Nad jego bezpieczeństwem czuwają liczne strażę.

— Wiem, że jest odważny.

— Jak lew.

— Wciąż jest pełen krzepy. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.

Odwrócił się w stronę dwóch piratów, którzy także już wstali, i polecił Van Stillerowi:

— Zostaniesz tu i będziesz miał oko na jeńca.

— Do tego wystarczy Murzyn, kapitanie.

— Nie, Murzyn jest silny jak Herkules, więc pomoże mi przenieść zwłoki mojego brata. — Chodź, Carmaux, wkrótce wypijemy butelkę hiszpańskiego wina w Maracaibo.

— Do stu zdechłych wielorybów! O tej porze, kapitanie? — zawołał zdziwiony Carmaux.

— A co, strach cię obleciał?

— Gdzieżby znowu, za tobą poszedłbym choćby do piekła zagrać na nosie samemu Belzebubowi, ale boję się, że nas złapią.

Drwiący uśmiech wykrzywił wąskie wargi Czarnego Korsarza.

— To się jeszcze okaże — odparł. — Chodź!

ROZDZIAŁ IV. POJEDYNEK W MARACAIBO

W owych czasach Maracaibo było jednym z najważniejszych miast w Zatoce Meksykańskiej znajdujących się w posiadaniu hiszpańskich kolonizatorów, choć liczba jego mieszkańców nie przekraczała dziesięciu tysięcy.

Położone malowniczo na południowym krańcu Zatoki Wenezuelskiej, naprzeciw przesmyku otwierającego się na wody szerokiego jeziora o tej samej nazwie, które wcina się daleko w głąb lądu, Maracaibo od samego początku stało się ważnym ośrodkiem handlu, do którego sprowadzano wszystkie produkty z pozostałych wenezuelskich miast.

Hiszpanie wybudowali w nim solidny fort, wyposażony w liczne armaty, a na dwóch wysepkach, które strzeżyły miasta od strony Zatoki, postawili potężne garnizony, które miały chronić miasto w razie łupieżczych napadów.

Podróżnicy, którzy jako pierwsi postawili tu stopę, wzniesli w okolicy piękne domy, a nie brakowało też pałaców zaprojektowanych przez architektów przybyłych z dalekiej Hiszpanii, poszukujących szczęścia w Nowym Świecie. W Maracaibo wyjątkowo liczne

Miasto

były gospody, gdzie zwykle gromadzili się majątni właściciele kopalń i gdzie o każdej porze roku tańczono fandango i bolero²⁵.

Kiedy Czarny Korsarz, Carmaux i Moko wkroczyli do miasta, nie napotykając na swej drodze żadnych przeszkód, na ulicach wciąż było gwarno, a w tawernach zaopatrzonych w zamorskie trunki roilo się od klientów, Hiszpanie bowiem nawet we własnych koloniach nigdy nie odmawiali sobie kieliszka malagi²⁶ czy rodzimego sherry²⁷.

Czarny Korsarz zwolnił kroku. Z nasuniętym na oczy kapeluszem, szczelnie owinięty peleryną, choć wieczór był ciepły, z lewą ręką dumnie wspartą na rękojeści wiernej szpady, czujnie obserwował domy i ulice, starając się zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia.

Gdy dotarli na główny plac miasta, Plaza de Grenada, Czarny Korsarz zatrzymał się nagle na rogu jednego z budynków i oparł się ciężko o mur.

Jego oczom ukazał się widok tak makabryczny, że przyprawilby o ciarki nawet najbardziej bezdusznego człowieka na ziemi.

Naprzeciw pałacu, na którym powiewała hiszpańska flaga, na piętnastu ustawionych w półkolu szubienicach wisiało piętnastu nieboszczyków.

Ich stopy były bosc, ubrania w strzępach, z wyjątkiem jednego wisielca, który odziany był w szaty czerwone jak ogień, a na nogach miał wysokie, pirackie buty.

Nad wisielcami krążyły całe stada *zopilotes* i *urubu*, niewielkich, czarno upierzonych sępów, powszechnie znanych w Ameryce Środkowej jako czyszciciele miast. Najwyraźniej chciały jak najszybciej rozpocząć swą upiorną ucztę, nie czekając, aż ciała nieszczęśników zaczną się rozkładać.

Carmaux zbliżył się do Czarnego Korsarza i powiedział wzruszony:

— To nasi kamraci.

— Tak — potwierdził stłumionym głosem Czarny Korsarz. — Chcą zemsty, więc będą ją mieli!

Wyprostował się nadludzką siłą woli, po czym zwiesił głowę na piersi, jak gdyby chciał ukryć pełne wzruszenia oblicze, i oddalił się szybkim krokiem w stronę tak zwanej posady, niewielkiego hoteliku, w którym przesiadywali, opróżniając całe beczki wina, lubujący się w nocnym życiu mieszkańcy miasta.

Czarny Korsarz wypatrzył wolny stolik, po czym usiadł, a raczej bezwładnie opadł na wysoki fotel i zwiesił głowę. Carmaux zaś zawołał:

— Hej, karczmarzu, ty szelmo, podaj nam karafkę twego najzaczniejszego *jerez!* Tylko, żeby mi było prawdziwe hiszpańskie, bo inaczej marny twój los! Morskie powietrze tak mnie wysuszyło, że z chęcią opróżniłbym całą twoją piwniczkę!

Na wypowiedziane przezeń w nienagannym baskijskim słowa karczmarz zagęścił ruchy i niezwłocznie pośpieszył do stolika z butelką osławionego trunku.

Carmaux napełnił trzy szklance, lecz Czarny Korsarz był tak bardzo pogrążony w rozmyślaniach, że nawet nie tknął swojej.

— Do stu zdechłych wielorybów! — wymamrotał Carmaux, trącając łokciem Murzyna. — Kapitan jest wzburzony jak nigdy, nie chciałbym teraz znaleźć się w skórze Hiszpanów. Muszę przyznać, że to niebywała zuchwałość z naszej strony zapuścić się aż tutaj. No ale on niczego się nie boi.

Rozejrzał się po karczmie z zaciekawieniem, ale i z pewną bliżej nieokreśloną obawą. Zauważył kilku uzbrojonych w długie *navajas*²⁸ osobników, którzy podejrzliwie mu się przyglądali.

— Coś mi się zdaje, że nam się przysłuchują — szepnął do Moko. — Co to za jedni?

— Baskowie w służbie gubernatora.

— Rodacy walczący pod obcą flagą. Ha! Jeśli myślą, że ich *navajas* robią na mnie wrażenie, to grubo się mylą.

²⁵*bolero* — taniec hiszpański. [przypis edytorski]

²⁶*malaga* — gatunek słodkiego wina hiszpańskiego, produkowanego w okolicach miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

²⁷*sherry* (wym.: szery) — mocne wino hiszpańskie pochodzące z rejonu miasta Jerez de la Frontera, uzyskiwane przez wzmocnienie wina dolaniem wysokoprocentowego destylatu. [przypis edytorski]

²⁸*navaja* (wym.: nawaha) — tradycyjny, składany nóż hiszpański, używany jako codzienne narzędzie oraz broń prostych ludzi, często o ostrzu mierzącym 15–20 cm. [przypis edytorski]

Tymczasem mężczyźni zagasili cygara, zwilżyli gardła kilkoma kielichami malagi i zaczęli rozmawiać między sobą tak głośno, że Carmaux nie miał najmniejszych problemów, by wylapać, co mówią.

— Widzieliście wisielców? — zapytał jeden z nich.

— Dziś wieczorem znowu im się przyjrzałem — odrzekł inny. — Ci łajdacy wciąż dają niezłe przedstawienie. Na widok jednego z nich, tego z wywalonym na wierzch jęzorem, można pęknać ze śmiechu.

— A Czerwony Korsarz? — rzucił trzeci. — Wetknęli mu do ust cygaro, żeby jeszcze śmieszniej wyglądał. — Chętnie bym mu jeszcze podał parasol, co by się jutro osłonił przed słońcem. Zobaczymy, czy...

Huk uderzającej o stół pięści przerwał zdanie w połowie. Aż podskoczyły wszystkie kielichy. Carmaux nie mógł już dłużej znieść tych bezczelnych zniewag. Odskoczył od stolika tak błyskawicznie, że Czarny Korsarz nawet się nie zorientował.

— Niech mnie piorun trzaśnie! — zagrział. — Wielka mi odwaga obśmiewać nieboszczyków! Spróbujcie pośmiać się z żywych, moi drodzy *caballeros*²⁹!

Pięciu kompanów, zaskoczonych nagłym wybuchem gniewu nieznanego, podniosło się jak na komendę, ściskając w dłoniach swoje *navajas*. Jeden z nich, bez wątpienia najodważniejszy, zapytał z groźnym wyrazem twarzy:

— Kim jesteś, *caballero*?

— Porządnym Baskiem, który szanuje zmarłych, lecz który umie także rozpruć flaki żywym.

Słyszac tę zaczepkę, mężczyźni wybuchli śmiechem, co jeszcze bardziej rozjuszyło pirata.

— Ach, więc to tak?! — rzucił błdy z gniewu.

Carmaux spojrzal w stronę Czarnego Korsarza, który ani drgnął, zupełnie jakby całe zajście go nie dotyczyło. Następnie wyciągnął rękę w stronę tego, który zadał mu pytanie, i z całej siły go pchnął, wykrzykując mu w twarz:

— Myślisz, że prawdziwy wilk morski nie poradzi sobie z takim lądowym szczurem jak ty?!

Pchnięty Bask zatoczył się na stół. W mgnieniu oka jednak się podniósł, błyskawicznie wyciągnął zza pasa nóż i otworzył go z głośnym trzaskiem. Już miał rzucić się na Carmaux i przeszyć go ostrzem na wylot, kiedy Moko, który dotychczas przyglądał się całemu zajściu, na dany przez Czarnego Korsarza znak wskoczył pomiędzy dwóch raptusów, wywijając groźnie ciężkim, drewnianym krzesłem z żelaznymi okuciami.

— Stój albo cię zatłukę! — krzyknął do uzbrojonego Baska.

Pięciu wojowniczych najemników zrobiło krok do tyłu w obawie, że zamasyście wywijający w powietrzu ciężkim krzesłem olbrzym o skórze czarnej jak węgiel roztrzaska im zaraz głowy. Szamotanina zaalarmowała kilkunastu siedzących w sąsiedniej sali biboszów³⁰, którym przewodził drągał o fizjonomii zbira z przepasaną u boku szablą, w zawiadacko przechylonym na jedno ucho kapeluszu, ubrany w napierśnik z kordobańskiej skóry.

— Co tu się dzieje? — zapytał oschle i teatralnym gestem wyciągnął szablę z pochwy.

— Dzieją się tu rzeczy, mój drogi *caballero*... — odparł Carmaux, komicznie się kłaniając — które nie powinny cię obchodzić.

— Na wszystkich świętych! — warknął drągał, przyjmując groźny wyraz twarzy. — Widzę, że nie poznaliście jeszcze don Gamary y Mirandy, hrabiego Badajoz, szlachcica z Camarguy, i wicehrabiego...

— Wicehrabiego od siedmiu boleści — odparł Czarny Korsarz, zrywając się na równe nogi i mierząc wzrokiem dryblasę.

Władca Gamary i innych posiadłości najpierw spurpurowiał jak piwonია, a potem zbladł, po czym rzucił ochryplym głosem:

— Do stu diabłów! Zaraz pošle cię na tamten świat i będziesz mógł się przywitać z tym ścierwem, które dynda sobie teraz wraz ze swoją piracką halastrą na Plaza de Granada.

²⁹*caballero* (hiszp., lm.: *caballeros*) — kawaler; szlachcic. [przypis edytorski]

³⁰*bibosz* (z łac.) — człowiek lubiący pić alkohol w wesołym towarzystwie; opój, pijak. [przypis edytorski]

Na te słowa Carmaux już miał się rzucić na bezczelnego pyszałka, lecz powstrzymał go Czarny Korsarz, który ściągnął kapelusz, zrzucił pelerynę i szybkim ruchem dobył szpady, mówiąc drżącym głosem:

— Sam jesteś ścierwo, a twej padliny diabeł nie przyjmie nawet do piekła.

Gestem ręki dał znak, żeby wszyscy się rozstąpili. Jego ruchy zdradzały niebывalą pewność siebie i mogłyby zbić z pantałyku nawet najzuchwalszego adwersarza. Niewątpliwie świadczyły o wybornej znajomości fechtunku. Ustawił się na wprost szlachcica, po czym przyjął postawę do walki.

— Walcz, wicehrabio od siedmiu boleści! — wyszczał przez zaciśnięte zęby. — Za chwilę będzie tu o jednego trupa więcej.

Przeciwnik ustawił się w pozycji wyjściowej, lecz po chwili wyprostował się i rzekł:

— Zaraz, zaraz, *caballero*. Gdy staję z kimś w szranki, mam prawo poznać imię mojego przeciwnika.

— Pochodzę z lepszej niż ty rodziny. To ci wystarczy?

— Nie, panie, chcę poznać twoje imię.

— Moje imię? Niech tak będzie, ale tym gorzej dla ciebie, bo już nikomu go nie wyjawisz — odparł, po czym zbliżył się do niego i wyszeptał mu kilka słów do ucha. Dryblas wydał okrzyk zaskoczenia, w którym zabrzmiała nuta strachu. Cofnął się o dwa kroki, zupełnie jakby chciał schronić się w stojącej za jego plecami gromadce pobratymców i wyjawić jej dopiero co poznany sekret, lecz Czarny Korsarz jak błyskawica przystąpił do ataku, zmuszając go do natychmiastowej obrony.

Zgromadzeni wokół bibosze utworzyli wokół walczących szeroki krąg. Moko i Carmaux stali w pierwszym szeregu, obaj ze spokojem przyglądali się pojedynekowi, zwłaszcza ten ostatni dobrze znał umiejętności kapitana.

Pyszałkowaty szlachcic już po pierwszych ciosach zrozumiał, że ma przed sobą groźnego przeciwnika, który wykorzysta każdy najdrobniejszy moment nieuwagi i niepewności, żeby tylko wysłać go na tamten świat, w związku z czym bronił się, jak tylko umiał, uciekał się do wszystkich możliwych i znanych mu trików i forteli.

Nie był to jednak pierwszy lepszy szermierz, którego można tak po prostu lekceważyć. Był wysoki, barczysty i umięśniony. Ręka mu nie drżała, a ramię miał sprawne i silne. Widać było, że łatwo się nie podda.

Jednak zwinny i szczupły Czarny Korsarz nie dawał mu chwili wytchnienia. Był stale gotowy wyprowadzić cios, uderzał bez ustanku, nie chcąc, by nawet chwila zwłoki przesądziła na korzyść nieprzyjaciela.

Szpada Czarnego Korsarza zagrażała awanturnikowi z każdej strony i zmuszała go do ciągłego odparowywania ciosów. Uderzenia klingi o klingę krzesaly iskry, lśniaca szpada to zadawała energiczne pchnięcie, to uderzała z całym impetem w ostrze rywala, który wydawał się coraz bardziej zdezorientowany.

Po kilku minutach pojedynku, mimo siły na miarę Herkulesa, don Gamara y Miranda zaczął dyszeć i ustawać w walce. Odparowywanie wszystkich ciosów Czarnego Korsarza sprawiało mu widoczną trudność. Spokój odczuwany na początku walki powoli go opuszczał. Czuł, że gra idzie o jego skórę i niewiele brakuje, by zasilł w zaświatach towarzystwo wisielców z Plaza de Granada.

Czarny Korsarz zaś wydawał się tak rześki, jakby dopiero co wyciągnął szpadę z pochwy. Poruszał się ze zwinnością jaguara, napierając coraz to bardziej na przeciwnika.

Jedynie jego oczy, rozświetlone ponurym blaskiem, zdradzały wewnętrzne wzburzenie. Ani na chwilę nie odwracał wzroku od wroga, jakby chciał go zahipnotyzować i wytrącić z równowagi. Gapie przerwali okrąg i usunęli się, by ustąpić miejsca szlachcicowi, który cofał się nieustannie, zbliżając się do przeciwległej ściany. Carmaux przyglądał się pojedynekowi z uśmiechem, nie miał bowiem wątpliwości co do jego rozstrzygnięcia.

W pewnym momencie dryblas uderzył plecami o mur. Zbladł jak płótno, a wielkie krople potu zrosiły mu czoło.

— Dość już — wycharczał zmęczonym głosem.

— Nie — odrzekł Czarny Korsarz złowrogo. — Moja tajemnica musi umrzeć razem z tobą.

Ogarnięty strachem przeciwnik skulił się w sobie, po czym rzucił się naprzód, wyprowadzając kilka ciosów jeden po drugim.

Nieruchomy niczym skała Czarny Korsarz odparował wszystkie z jednakową szybkością.

— Teraz przybiję cię do ściany — zagroził.

Sparaliżowany strachem dryblas, przeczuwając swój rychły koniec, wrzasnął jak opętany:

— Pomocy! To jest Cza...

Lecz spada Czarnego Korsarza przeszła mu pierś, przygwoźdzając go do ściany i gasząc ostatnie słowa na jego ustach.

Krew trysnęła mu z ust i rozlała się na skórzany napierśnik, który nie zatrzymał śmiertelnego pchnięcia. Wybałuszył nieludzko oczy, rzucając przeciwnikowi ostatnie, pełne przerażenia spojrzenie, po czym osunął się ciężko na ziemię, łamiąc ostrze, które przybiło go do ściany.

— No i zszedł — drwiąco skwitował Carmaux, po czym pochylił się nad trupem, wyrwał mu szpadę z dłoni i wręczył kapitanowi, który ponuro przyglądał się pokonanemu.

— Skoro swoją połamałeś, to weź tę w zamian. Na Bachusa! To ostrze wykute w Toledo, najprawdziwsze z prawdziwych, jestem tego pewien, mój panie.

Czarny Korsarz bez słowa chwycił szpadę, podniósł kapelusz, rzucił na stół złotego dublona³¹ i wyszedł z karczmy wraz z Carmaux i Moko, zanim gapie mieliby odwagę go zatrzymać.

ROZDZIAŁ V. CIAŁO NA SZUBIENICY

Zanim Czarny Korsarz z dwoma towarzyszami powrócił na Plaza de Granada, zapadły już takie ciemności, że nie można było dostrzec człowieka z odległości dwudziestu kroków.

Spowijającą plac głęboką ciszę przerywało tylko od czasu do czasu złowieszcze krakanie *urubu* pilnujących piętnastu wiszących ciał. Nie było słyhać nawet kroków strażnika pełniącego wartę przed gubernatorskim pałacem, wzdłuż którego fasady stały szubienice.

Czarny Korsarz, Carmaux i Moko szli ostrożnie i powoli, trzymając się blisko murów i kryjąc się za pniami palm. Mając oczy i uszy szeroko otwarte, niespokojnie ściskając w rękach — kapitan szpadę, a pozostali dwaj szable, usiłowali niepostrzeżenie przedostać się do powieszonych kamratów.

Gdy zalegającą w mieście ciszę raz na jakiś czas przerywał złowrogi podejrzany hałas, wówczas przystawali na chwilę w cieniu drzew lub pod ciemnymi sklepieniami wieńczącymi bramy budynków i czekali niespokojnie, aż zagrożenie minie.

Zaledwie kilka kroków dzieliło ich od szubienicy, na której wisiał owiewany nocną bryzą, prawie nagi Czerwony Korsarz, gdy wtem kapitan wskazał kompanom postać poruszającą się w pobliżu pałacu gubernatora.

— Niech mnie niech mnie żarłacz ludojad połknie! — wymamrotał Carmaux. — Przeklęty strażnik! Ten człowiek gotów zepsuć nam cały plan.

— Moko jest silny — odparł Murzyn. — Moko pójdzie i porwie strażnika.

— Który podziurawi cię szpadą...

Murzyn uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy białych niczym kość słoniowa zębów, a ostrych tak, że niejeden rekin mógłby mu ich pozazdrościć, po czym rzekł:

— Moko jest przebiegły i umie się poruszać bezszelestnie jak węże, które zaklina.

— Idź! — powiedział Czarny Korsarz. — Zanim zdecyduję, czy cię zabrać ze sobą, chcę się przekonać, ile jesteś wart.

— Zaraz się przekonasz, mój panie. Schwytam tego człowieka tak, jak swego czasu chwytałem żararaki.

Odwiązał sobie od pasa wypleciony ze skóry lekki, zakończony pętlą sznur, którym posługiwali się meksykańscy *vaqueros*³² przy łapaniu byków, po czym oddalił się bezszelestnie.

Ukryty za pniami palmy Czarny Korsarz przyglądał mu się uważnie, być może podziwiał odwagę tego człowieka, który prawie zupełnie bezbronny miał stawić czoło dobrze uzbrojonemu i gotowemu na wszystko żołnierzowi.

— Nie wie, co to strach — odezwał się Carmaux.

³¹dublon — złota moneta hiszpańska bita od XVI do XIX w. [przypis edytorski]

³²vaquero (hiszp., lm: *vaqueros*) — pasterz bydła. [przypis edytorski]

Czarny Korsarz skinął tylko głową na potwierdzenie, ale nic nie powiedział. Nie spuszczał wzroku z tubylca, który czołgał się po ziemi niczym wąż, z każdą chwilą coraz bardziej przybliżając się do pałacu gubernatora.

Uzbrojony w halabardę i przypasaną do boku szablę wartownik maszerował teraz w kierunku pałacowych drzwi.

Moko, gdy tylko zauważył, że strażnik odwrócił się do niego plecami, zaczął czołgać się jeszcze szybciej, trzymając lasso w zaciśniętej dłoni. Gdy odległość między nimi zmalała do dwunastu kroków, porwał się z ziemi, zakręcił kilkakrotnie liną w powietrzu i pewnym ruchem zarzucił pętlę. Rozległ się cichy świst, a chwilę później stłumiony okrzyk. Wartownik upuścił halabardę i wywijając rękami i nogami na wszystkie strony, runął na ziemię.

Moko dopadł do niego jednym tygrysim skokiem, błyskawicznie zakneblował mu usta, po czym związał go czerwonym sznurem, który nosił przy boku. A na koniec podniósł go z taką łatwością, jakby to był chłopiec, a nie dorosły mężczyzna.

— Jest twój — rzekł Moko, rzucając jeńca do stóp kapitana.

— Zuchwały jesteś — odparł Czarny Korsarz. — Przywiąż go do drzewa i chodź za mną.

Moko usłuchał. Z pomocą Carmaux wykonał polecenie, po czym obaj dołączyli do kapitana, który przyglądał się dyndającym na sznurach ciałom.

Czarny Korsarz stał naprzeciw pirata ubranego w czerwień. Okrutnie z niego zadrwiono, wtykając mu w usta niedopalone cygaro.

Na ten widok Czarnemu Korsarzowi wyrwał się z piersi przerażający okrzyk.

— Przekłęci! — wycedził. — I jeszcze musieli go na koniec upokorzyć!

Podobny do wycia dzikiego zwierza krzyk Czarnego Korsarza przeszedł w rozdzierający szloch.

— Nie załamuj się, kapitanie! — wzruszony Carmaux próbował podnieść na duchu swojego dowódcę.

Czarny Korsarz ruchem ręki wskazał na powieszony ciało.

— Robi się, kapitanie — rzekł Carmaux.

Moko, z pirackim nożem w zębach, wspiął się na rusztowanie. Jednym ruchem przeciął sznur i zaczął wolno opuszczać ciało w dół. Carmaux stanął pod nim. Choć ciało Czerwonego Korsarza zaczęło się już rozkładać, pirat delikatnie chwycił je w ramiona, a następnie owinał w rozłożoną na ziemi czarną pelerynę swojego kapitana.

— Chodźmy — rzekł Czarny Korsarz, wdychając. — Zrobiliśmy, co do nas należało. Ocean czeka na ciało jednego ze swych nieustraszonych synów.

Murzyn podniósł owiniętego w pelerynę nieboszczyka, po czym wszyscy trzej, pogrążeni w smutku i ciszy, opuścili plac. Na jego skraju Czarny Korsarz odwrócił się i spojrzał po raz ostatni na czterestu piratów, których ciała posępnie majaczyły w ciemnościach, i rzekł smutnym głosem:

— Żegnajcie, odważni nieszczęśnicy, żegnajcie, kamraci Czerwonego Korsarza! Piracka brać wkrótce pomści waszą śmierć.

Skierował ogniste spojrzenie na górujący nad placem pałac gubernatora i dodał smutno:

— Van Gould, pomiędzy tobą a mną jest tylko śmierć!

Ruszyli w drogę. Chcieli jak najszybciej wydostać się z Maracaibo i dotrzeć do brzegu morza, by wrócić na korsarski statek. Nie powinni byli dłużej tam przebywać, po nieprzyjemnej przygodzie w karczmie stracili pewność siebie.

Minęli trzy lub cztery całkowicie opustoszałe ulice, gdy Carmaux, który szedł na przedzie, dostrzegł nagle wpółukryte pod ciemnymi arkadami ludzkie cienie.

— Wolniej! — powiedział po cichu, odwracając się w stronę kompanów. — Jeśli mnie wzrok nie myli, to chyba ktoś się na nas zaczął.

— Gdzie? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tam, pod arkadami.

— Czyżby ludzie z karczmy?

— Do stu zdechłych wielorybów! A jeśli to Baskowie ze swoimi *navajami*?

— Damy im radę, słono nam zapłacą za tę zasadzkę — powiedział Czarny Korsarz, dobywając szpady.

— Mój kordelas pokaże im, kto tu rządzi! — odparł Carmaux.

Trzej mężczyźni, owinięci w obszerne peleryny, najpewniej *serape*³³, stanęli na czatach po prawej stronie ulicy, a dwaj pozostali, do tej pory ukryci za porzuconym wozem, zamykali przejście z lewej strony.

— To Baskowie — potwierdził Carmaux. — Widzę, jak błyszczą im *navajas* u pasa.

— Ty zajmij się tymi dwoma po lewej, ja biorę na siebie tych z drugiej strony — rozkazał Czarny Korsarz. — A ty, Moko, zajmij się moim bratem, weź ciało i wynieś je stąd. I zaczekaj na nas na skraju dżungli.

Baskowie ściągnęli *serape* i owinęli nimi lewe ramiona, po czym wyciągnęli długie noże o ostrzu tak ostrym, jak klinga szpady.

— Czyli jednak! — powiedział Bask, którego Carmaux poturbował w karczmie. — Nie pomyliliśmy się.

— Z drogi! — krzyknął Czarny Korsarz i wysunął się przed swoich kamratów.

— Wolnego, *caballero* — odparł Bask i postąpił krok naprzód.

— Czego chcesz?

— Zaspokoić naszą ciekawość.

— To znaczy?

— Dowiedzieć się kim jesteś, *caballero*.

— Człowiekiem, który zabija tych, co mu wchodzą w drogę — dumnie odparł Czarny Korsarz, postępując naprzód ze szpadą zacisniętą w dłoni.

— Zatem powiem ci, *caballero*, że my się wcale nie boimy i nie damy się zaszlachtować jak ten biedak, którego przygwoździłeś do muru. Podaj swoje imię i tytuły albo inaczej nie opuścicie Maracaibo żywi. Jesteśmy w służbie jego mości gubernatora i odpowiadamy za osoby, które przechadzają się po ulicy o tak później porze.

— Jeśli chcecie je poznać, podejdźcie i zapytajcie — odparł Czarny Korsarz, błyskawicznie przybierając postawę *en garde*³⁴, po czym dodał: — Carmaux, bierz tych dwóch po prawej.

Pirat dobył kordelasa i zaczął nim wymachiwać, podchodząc jednocześnie w stronę dwóch przeciwników, którzy zagradzali przejście po drugiej stronie chodnika.

Baskowie ani drgnęli. Stali w bezruchu na lekko rozstawionych nogach, w pozycji, która pozwoliłaby im sparować każdy cios. Lewe dłonie zaciskali na pasie, w prawicach trzymali *navajas*, opierając kciuk na szerszej stronie ostrza. Oczekiwali w gotowości na dogodny moment do odparcia przeciwnika.

Najprawdopodobniej byli to tak zwani *diestros*, czyli najemnicy obcy w pojedynkach, za pan brat z najkrwawszymi walkami; nieobce im były najstraszliwsze ciosy, jak *javeque*, czyli nikczemne cięcie, które oszpecało twarz, czy straszne *desjarretazo*, pchnięcie zadane w plecy przeciwnika na wysokości ostatniego żebra i rozcinające kręgosłup.

Czarny Korsarz, widząc, że przeciwnicy nie zamierzają atakować, zniecierpliwiony, że nie może utorować sobie przejścia, z prędkością błyskawicy runął na trzech wrogów stojących przed nim, rozdając ciosy na prawo i na lewo, podczas gdy Carmaux rzucił się na dwóch pozostałych, tnąc szablą jak szalony.

Zuchwali napastnicy wcale się nie przestraszyli. Z niezwykłą zręcznością odskakiwali do tyłu, parując ciosy raz długimi ostrzami swoich noży, raz za pomocą owiniętych wokół lewego ramienia *serape*.

Obaj piraci zorientowali się prędko, że mają przed sobą niebezpiecznego przeciwnika i stali się ostrożniejsi.

Gdy jednak ujrzeni, że Moko bezpiecznie oddalił się z ciałem nieboszczka Czerwonego Korsarza i zniknął w spowitej mrokiem ulicy, z całą zajadłością rzucili się na nieprzyjaciół, chcieli bowiem jak najszybciej rozstrzygnąć sprawę, zanim zwabione odgłosami walki straże przybędą Baskom na pomoc.

Czarny Korsarz, którego szpada przewyższała długością *navajas* i który we władaniu nią mógł poszczycić się wyjątkowymi umiejętnościami, narzucal wrogom warunki toczonego

³³*serape* — prostokątny kawałek wielobarwnej tkaniny wełnianej, z frędzlami na końcach, noszony w Meksyku jako rodzaj peleryny, szczególnie przez mężczyzn. [przypis edytorski]

³⁴*en garde* (fr.) — pozycja szermiercza (gotowości do walki); także wezwanie do zajęcia takiej pozycji. [przypis edytorski]

pojedyńku. Kordelas Carmaux z kolei był wyraźnie krótszy i pirat musiał więc mieć się na baczności i co rusz powracać do pozycji wyjściowej.

Siedmiu mężczyzn było pochłoniętych zawziętą walką. Rozdawali i parowali ciosy, wysuwali się naprzód, cofali, uskakiwali na prawo i na lewo, a ostrza ich oręża krzyżowały się ze szczękiem.

W pewnym momencie jeden z Basków stracił na chwilę równowagę, potknął się, nieopatrznie odsłaniając pierś. Wówczas Czarny Korsarz błyskawicznie doskoczył do przeciwnika, zadając mu decydujący cios.

Ugodzony szpadą Bask padł bez życia na ziemię.

— Pierwszy! — krzyknął Czarny Korsarz do pozostałych. — Następny proszę!

Pozostali dwaj Baskowie wcale się nie ulękli. Nie cofając się ani o krok, stali przez chwilę niewzruszeni naprzeciw pirata. Raptem zwinniejszy z nich pochylił głowę ku ziemi, wysunął do przodu owinięte *serape* ramię i ruszył do ataku, zupełnie jakby chciał zadać groźny cios w *parte baja*, czyli w podbrzusze. Odpowiednio wymierzony rozpruwał wnętrzności. To była jednak tylko zmyłka, bowiem Bask niespodziewanie się wyprostował, uskoczył w bok, zamierzając zająć przeciwnika od tyłu, by wyprowadzić *desjaretazzo*, wspomniane już śmiertelne pchnięcie w plecy.

Czarny Korsarz jednak uchylił się z kocią zwinnością, po czym rzucił się do przodu z wyciągniętą szpadą, lecz jej ostrze utknęło w owijającym ramię przeciwnika *serape*. Próbował na powrót ustawić się w pozycji do ataku, dogodnej do parowania ciosów, które teraz zadawał mu drugi z Basków, gdy nagle z jego piersi wyrwał się krzyk wściekłości.

Ostrze szpady złamało się w połowie pod naporem ramienia wroga, który szykował się do zadania mu *desjaretazzo*.

Odskoczył w tył, wymachując resztką szpady i krzyknął:

— Carmaux! Do mnie!

Mimo że wiernemu kamratowi nie udało się jeszcze pokonać przeciwników, którzy pod naporem jego ataku cofnęli się do skrzyżowania ulic, przywołany rozkazem Czarnego Korsarza przybiegł w okamgnieniu.

— Do stu zdechłych wielorybów! — zagrział. — Wpadliśmy w tarapaty. Jeśli zdolamy przepędzić tę sforę wściekłych psów, będzie to nie lada wyczyn.

— Odstrzelimy przynajmniej dwóch z tych łajdaków — odparł Czarny Korsarz, ładując w pośpiechu wyciągnięty zza pasa pistolet.

Już zamierzał strzelić do tego, który stał najbliżej, gdy nagle ujrzał ogromny cień spadający na czterech przeciwników, którzy chwilę wcześniej — pewni swojego zwycięstwa — zdążyli zbić się w zwartą grupę. Uzbrojony w pokaźnych rozmiarów kij mężczyzna zjawił się w samą porę.

— Moko! — wykrzyknęli jednocześnie Czarny Korsarz i Carmaux.

Murzyn nie odezwał się ani słowem. Uniósł kij i zaczął grzmocić wrogów na oślep, w mgnieniu oka powalając wszystkich nieszczęśników na ziemię. Jednemu rozkwaśił głowę, innemu pogruchotał żebra.

— Dzięki ci, przyjacielu! — krzyczał Carmaux. — Do stu piorunów! Co za jatka!

— Uciekajmy! — rzekł Czarny Korsarz. — Nic tu po nas.

Z okien okolicznych domów wyjrzało kilku ciekawskich mieszkańców, których wybudziły ze snu jęki i krzyki rannych.

Dwaj piraci i Moko wzięli nogi za pas i zniknęli za najbliższym zakrętem.

— Gdzie zostawiłeś ciało? — zapytał Czarny Korsarz.

— Jest za murami miasta.

— Dziękuję za pomoc.

— Pomyślałem, że mogę wam się przydać i wróciłem najszybciej, jak mogłem.

— Czy po drodze natrafiłeś na jakieś patrole?

— Nie widziałem nikogo.

— Musimy się zatem szybko wycofać, nim się ktoś zjawi — powiedział Czarny Korsarz.

Już mieli wyruszyć w dalszą drogę, gdy Carmaux, wysłany przodem na zwiady, zawrócił prędko i rzekł:

— Panie kapitanie, zbliża się patrol!

— Skąd?

— Z tamtej uliczki.

— Pójdziemy inną. Miejcie broń w pogotowiu, przyjaciele. Naprzód! Carmaux, wróć na plac po nóż zabitego przeze mnie Baska. Skoro nie ma nic innego pod ręką, nie pogardzę nawet *navaję*.

— Jeśli pozwolisz, oddam ci swój kordelas, a sam zatrzymam *navaję*, umiem się nią posługiwać.

Dzielny pirat położył przed Czarnym Korsarzem własną broń, po czym pobiegł na plac po *navaję*, która w jego sprawnej dłoni mogła się okazać tak samo skuteczną bronią jak oddany kapitanowi kordelas.

Oddział był coraz bliżej, zbliżał się szybkim krokiem, zaalarmowany krzykami walczących i szczękiem krzyżujących się ostrzy.

Prowadzeni przez Moko piraci puścili się biegiem wzdłuż murów zabudowań. Przebiegli tak około stu pięćdziesięciu kroków, gdy nagle usłyszeli miarowy krok innego oddziału.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Carmaux. — Wezmą nas w dwa ognie.

Czarny Korsarz zatrzymał się i dobył krótkiej pirackiej szabli.

— Zostaliśmy zdradzeni? — wyszeptał.

— Kapitanie — odezwał się Moko — widzę ośmiu ludzi uzbrojonych w halabardy i muszkiety.

— Przyjaciele — odparł Czarny Korsarz — trzeba będzie drogo sprzedać życie.

— Rozkazuj, kapitanie, jesteśmy gotowi — odparli zdecydowani na wszystko kamraci.

— Moko!

— Tak, kapitanie!

— Przenieś ciało mojego brata na pokład „Błyskawicy”. Dasz radę to zrobić? Odnajdziesz naszą szalupę na plaży i bezpiecznie odpłyniesz z Van Stillerelem.

— Tak, panie.

— A my porachujemy się z naszym wrogiem. Gdybyśmy jednak polegli, Morgan będzie wiedział, co robić. Idź, zanieś ciało na statek, później tu wrócisz, by sprawdzić, czy jeszcze żyjemy.

— Trudno mi zostawić was samych, jestem silny, mogę się przydać.

— Moją wolą jest pochować mojego brata w morzu, tak jak Zielonego Korsarza. Bardziej się nam przydasz na pokładzie „Błyskawicy” niż tutaj.

— Wrócę z posiłkami.

— Morgan przybędzie z odsieczą, jestem tego pewien. Idź już, oddział jest tuż-tuż.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Jako że droga była odcięta przez dwa zbliżające się patrole, Moko pobiegł w boczną uliczkę i wdrapał się na mur okalający pobliski ogród.

Czarny Korsarz zaczekał, aż Moko przeskoczy na drugą stronę, po czym zwrócił się do Carmaux:

— Przygotujmy się do ataku na oddział, który nadchodzi od przodu. Jeśli damy radę przełamać ich opór, być może uda nam się wymknąć poza miasto i skryć się w dżungli.

Przyczaili się na rogu ulicy. Drugi oddział, dostrzeżony przez Moka, znajdował się teraz nie dalej niż trzydzieści kroków od nich, pierwszy z kolei pozostawał niewidoczny, najwyraźniej zatrzymał się.

— Bądź gotów — rzekł Czarny Korsarz.

— Jestem — odparł pirat, ukrywając się za węglem domu.

Ośmiu halabardników nagle zwolniło kroku, jakby w obawie przed zasadzką. Jeden z nich, być może dowódca, ostrzegł pozostałych:

— Powoli, chłopcy! Ci zbóje z pewnością są niedaleko.

— Nas jest ośmiu, panie Elvaez — odpowiedział jeden z nich — a karczmarz mówił, że piratów było tylko trzech.

— A więc to tak! Co za szuja z tego karczmarza, zdradził nas! Niech no go tylko dostanę w swoje łapy, to mu wypruję flaki, a dziura, którą mu wytnę, będzie tak wielka, że wyleje się przez nią całe wyżłopane przez niego wino! — wymamrotał Carmaux.

Czarny Korsarz uniósł kordelas w górę, po czym dał znak do ataku. Gdy tylko oddział wychylnął zza rogu, piraci z prędkością błyskawicy ruszyli przed siebie, tnąc szablami na lewo i prawo.

Wzięci z zaskoczenia żołnierze rozpięchli się pod gradem ciosów. Zanim otrząsnęli się z zaskoczenia, Czarny Korsarz i Carmaux byli już daleko. Nie umknęło jednak ich uwadze, że śmialków było zaledwie dwóch, rzucili się więc za nimi w pogoń, krzycząc wniebogłosy.

— Zatrzymać ich! To piraci! Piraci!

Czarny Korsarz i Carmaux pędzili jak szaleni, tyle że zupełnie na oślep. I tak jak wpadli w zawiły labirynt uliczek i zaułków, tak zupełnie nie mieli pojęcia, jak się z niego wydostać. Co rusz skręcali za róg kolejnego domu. Jak na złość, nie mogli jednak znaleźć żadnej drogi prowadzącej poza miasto.

Mieszkańcy — obudzeni krzykiem strażników i zaalarmowani obecnością morskich rozbójników, przed którymi drżano w całej Ameryce Południowej — zerwali się z posłań na równe nogi. Zewsząd dało się słyszeć trzaskanie drzwi i okien, tu i ówdzie ktoś strzelał z muszkietu.

Sytuacja uciekinierów pogarszała się z minuty na minutę. Krzyki i strzały mogły wzbudzić alarm w całym mieście i ściągnąć im na kark garnizon wojska.

— Do stu piorunów! — krzyczał Carmaux, biegnąc co sił w nogach. — Wrzeszczą jak rozgęgane gęsi! Przyniosą nam zgubę! Jeśli nie znajdziemy sposobu, by się stąd wydostać, zadyndamy na szubienicy!

Po chwili okazało się, że droga, którą biegli, była zamknięta.

— Kapitanie! — wykrzyknął nagle Carmaux. — Wpadliśmy w pułapkę. To ślepa uliczka.

— A niech to diabli! Nie ma tu nawet żadnego muru, na który można by się wspiąć i przeskoczyć na drugą stronę — zauważył Czarny Korsarz.

— Same wysokie domy.

— Zawracamy, Carmaux. Żołnierze są jeszcze daleko, cofniemy się i znajdziemy inną drogę, która pozwoli nam wydostać się z miasta.

Już miał wprowadzić słowa w czyn, gdy nagle dodał:

— Albo nie, mam inny pomysł! Myślę, że przy odrobinie sprytu uda nam się zatrzeć za sobą ślady.

Odwrócił się w kierunku zabudowań zamykających ulicę. Stał tam skromny, dwupiętrowy dom z kamienia i z drewna. Na jego górnym piętrze znajdował się mały taras, który zdobiły wazon i kwiaty.

— Carmaux — rzekł Czarny Korsarz — otwórz mi te drzwi!

— Tutaj się schowamy?

— To chyba najlepszy sposób, by żołnierze zgubili nasz trop.

— Dobrze pomyślane, kapitanie. Jako właściciele nie będziemy musieli za nic płacić.

Wziął do ręki długą *navaję*, wsadził jej ostrze w szczelinę drzwi i podważył rygiel.

Obaj piraci weszli prędko do środka i zamknęli za sobą drzwi akurat w tej chwili, gdy żołnierze mijali uliczkę, krzycząc na cały głos:

— Zatrzymać ich! Zatrzymać!

Błądząc po omacku w ciemnościach, piraci natrafili na schody prowadzące na górę. Wspięli się po nich bez wahania i zatrzymali na półpiętrze.

— Musimy oświetlić sobie drogę i zobaczyć, gdzie dalej iść — powiedział Carmaux.

— I trzeba by poznać lokatorów. Przykra niespodzianka czeka tych biedaków.

Wyciągnął krzesiwo³⁵ i kawałek lontu, zapalił go, dmuchając lekko, by rozniecić płomień.

— Hej! Tu są otwarte drzwi! — rzucił.

— I ktoś tu chrapie — dodał Czarny Korsarz.

— To dobry znak! Ci, którzy smacznie śpią, są zwykle pokojowego usposobienia.

Czarny Korsarz otworzył drzwi bez najmniejszego szmeru i wszedł do skromnie umeblowanego pomieszczenia. Wydawało się, że ktoś leży na łóżku.

Czarny Korsarz przy pomocy lontu zapalił świecę, którą dostrzegł już wcześniej na starej skrzyni służącej za komodę. Zbliżył się do łóżka i zdecydowanym ruchem ściągnął

³⁵*krzesiwo* — narzędzie służące do uzyskiwania iskry przez uderzanie nim w krzemień, zwykle wykonane ze stali. [przypis edytorski]

nakrycie. Na łóżku leżał łysy jegomość w podeszłym wieku, cały pomarszczony, o żółta-woczerwonym kolorze skóry. Mężczyzna miał kocią brodkę i kędzierzawe wąsy. Spał tak głęboko, że nie zbudziło go nawet światło w pomieszczeniu.

— Jego z pewnością nie musimy się obawiać — stwierdził Czarny Korsarz.

Złapał go za ramię i mocno potrząsnął, lecz bez skutku.

— Wystrzał z muszkietu byłby tu potrzebny — odezwał się Carmaux.

Dopiero za trzecim szarpnięciem człowiek otworzył oczy. Na widok dwóch uzbrojonych ludzi gwałtownie się poderwał i krzyknął przerażony, wytrzeszczając oczy:

— Umieram!

— Wolnego, przyjacielu! Na umieranie jeszcze przyjdzie czas — powiedział Carmaux, po czym dodał: — Mnie to się raczej wydaje, że dopiero teraz wstąpiło w ciebie życie.

— Kim jesteś? — zapytał Czarny Korsarz.

— Pocziwym człowiekiem, który nikomu nie wyrządził krzywdy — odparł starzec, szcękając zębami.

— Nie zamierzamy zrobić ci nic złego, jeśli tylko powiesz nam to, czego chcemy się dowiedzieć.

— Wasza wielmożność nie jest złodziejem?

— Jestem piratem z Tortugi.

— Pi-ra-tem! Więc jednak umarłem!

— Już ci obiecałem, że nie zrobimy ci krzywdy.

— Czego zatem chcecie od kogoś takiego jak ja?

— Na początek chcielibyśmy wiedzieć, czy przebywasz sam w tym domu.

— Sam, panie.

— Kto mieszka w sąsiedztwie?

— Sami prawi mieszczanie.

— Czym się zajmujesz?

— Jestem biednym człowiekiem.

— Akurat! Biednym człowiekiem, który posiada dom, gdy ja nie mam nawet własnego łóżka — zaszydził Carmaux. — Szczwany lisie! Martwisz się o swoje pieniądze!

— Nie mam pieniędzy, wasza wielmożność.

Carmaux wybuchnął śmiechem.

— Pirat stał się wielmożą! Ależ ten człowiek to najweselszy kompan, jakiego dotychczas poznałem!

Starzec spojrział na niego spode łba, ale starał się nie dać po sobie poznać, że poczuł się urażony.

— Do rzeczy! — powiedział groźnym tonem Czarny Korsarz. — Czym się zajmujesz w Maracaibo?

— Jestem skromnym notariuszem, panie.

— Doskonale. Zatrzymamy się w twoim domu, skromny notariuszu, i zostaniemy w nim tak długo, jak to będzie konieczne. Nie skrzywdzimy cię, lecz jeśli nas zdradzisz, skrócimy cię o głowę. Zrozumiałeś?

— Czego wy ode mnie chcecie... — załkał nieszczęśnik.

— W tej chwili niczego. Ubierz się w swoje szaty, ale siedź cicho, bo w przeciwnym razie spełnimy groźbę.

Notariusz usłuchał, lecz był tak wystraszony, że dygotał na całym ciele, i Carmaux zmuszony był mu pomóc.

— Zwiąż go teraz — rozkazał Czarny Korsarz — ale uważaj, by ci nie uciekł!

— Odpowiadam za niego, jak za siebie samego, kapitanie. Tak go zwiążę, że nawet palcem nie ruszy.

Pirat zabrał się do roboty. Czarny Korsarz tymczasem otworzył okno wychodzące na ulicę, by móc obserwować to, co się dzieje na zewnątrz.

Wszystko wskazywało na to, że żołnierze oddalili się, nie było bowiem już słyhać ich pokrzykiwań, tu i ówdzie tylko można było dostrzec zaalarmowanych wrzawą mieszkańców, którzy wyglądali przez pobliskie okna i dyskutowali ze sobą podniesionymi głosami.

— Słyszeliście? — krzyczał tęgi jegomość z długim arkebuzem³⁶ w ręku. — Mówią, że piraci odważyli się napaść na miasto.

— To niemożliwe — odpowiedziały mu liczne głosy.

— Słyszałem krzyczących żołnierzy.

— Przegonili ich?

— Tak myślę, bo nic już nie słychać.

— To dopiero zuchwałość! Zakraść się do miasta pełnego uzbrojonych po zęby żołnierzy!

— Bez wątpienia przybyli na ratunek Czerwonego Korsarza.

— Ale znaleźli tylko jego trupa.

— Niemiłe zaskoczenie dla tych łajdaków!

— Miejmy nadzieję, że żołnierze złapią jeszcze paru, by było kogo wieszać — powiedział człowiek z arkebuzem. — Drewna na szubienice jest pod dostatkiem. Dobranoc przyjaciele! Do zobaczenia jutro!

— Zgadza się — wyszeptał Czarny Korsarz — może i drewna na szubienice nie brakuje, lecz na naszych statkach jest wystarczająco dużo kul, by Maracaibo obrócić w gruzy. Pewnego dnia jeszcze o mnie usłyszycie!

Ostrożnie zamknął okno i wrócił do pomieszczenia, gdzie siedział notariusz.

Carmaux zdążył już przetrząsnąć cały dom i zaczął plądrować spiżarnię. Przypomniało mu się, że poprzedniego wieczoru nie jedli kolacji. Pośród różnych smakowitych zapasów znalazł dziką kaczkę i apetycznie zrumienioną rybę, którą pocziwy notariusz odłożył sobie na śniadanie, po czym bez zwłoki pośpieszył zaoferować zdobycze kapitanowi.

Oprócz jadła z głębi kredensu wygrzebał kilka dość zakurzonych butelek najświetniejszych hiszpańskich win: sherry, porto, alicante i madera.

— Panie — przy miłym głosem odezwał się Carmaux — teraz, gdy Hiszpanie ścigają nasze cienie, spróbuj tego pysznego lina z jeziora oraz tej dzikiej kaczki. Znalazłem też kilka butelek wybornego wina, które nasz notariusz pewnie trzymał na specjalne okazje. Niech nam przywróć odrobinę dobrego humoru. Ach! Bez wątpienia nasz przyjaciel gustuje w zamorskich trunkach. Przekonajmy się, co z niego za smakosz.

— Dziękuję — odparł Czarny Korsarz, pochmurniejąc.

Usiadł, ale nie delektował się posiłkiem. Na jego twarzy znów zagościł smutek, popadł w zadumę, stał się znów taki, jakim zawsze widywali go piraci. Skosztował ryby, wypił kilka kieliszków wina, po czym wstał i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

Carmaux tymczasem nie tylko spałaszował wszystko, co pozostało, ale opróżnił też na oczach zrozpaczonego notariusza kilka butelek wina dopiero co przezeń sprowadzonych wielkim kosztem z odległej ojczyzny. W przyplwywie dobrego humoru wywołanym opróżnieniem ich zawartości poczęstował kieliszkiem samego właściciela, licząc, że trunki złagodzą strach, którego biedaczyna się najadł, i ukoi wrzący w nim gniew.

— Do pioruna! — wykrzyknął. — Nie sądziłem, że to się tak wesoło skończy. Znaleźliśmy się w krzyżowym ogniu, ryzykowaliśmy stryzynek. Przez myśl by mi nie przeszło, że spędzę noc w towarzystwie tych wybornych butelek.

— Zagrożenie wcale nie minęło, przyjacielu — odezwał się Czarny Korsarz. — Nie mamy żadnej pewności, że Hiszpanie jutro nas tu nie znajdą. Dobrze nam tu, ale wolałbym znaleźć się już na pokładzie „Błyskawicy”.

— Z tobą nie boję się niczego, kapitanie. Jesteś wart więcej niż stu ludzi.

— Chyba zapomniałeś, Carmaux, że gubernator Maracaibo to szczywany lis i że nie odpuści, byleby tylko dostać mnie w swoje ręce. Wiesz, że między nami toczy się wojna na śmierć i życie.

— Nikt nie wie, że tu jesteś.

— Mogą coś podejrzewać, a zresztą, zapomniałeś już o Baskach? Zapewne nie mają już wątpiwości, że zabójca tego pyszałkowatego hrabiego to brat nieszczęsnych piratów: Czerwonego i Zielonego Korsarza.

— Możliwe, że masz rację, kapitanie. Jak myślisz? Możemy liczyć, że Morgan przybędzie z odsieczą?

³⁶arkebuz — dawna ręczna długa broń palna, używana od XV do pocz. XVII w.; wyparta przez muszkiet, który początkowo był jej cięższą wersją. [przypis edytorski]

— Morgan nie opuści swojego dowódcy i nie zostawi go na pastwę Hiszpanów. To odważny marynarz, nie zdziwiłbym się, gdyby próbował sforsować przesmyk i zasypać miasto gradem kul.

— Tyle że takie szaleństwo mogłoby go drogo kosztować, panie.

— Ech! Ile to już wypraw nam się udało i ile udanych walk stoczyliśmy, zawsze lub prawie zawsze wychodząc z nich bez szwanku.

— To prawda.

Czarny Korsarz usiadł i upił wina z kielicha, po czym wstał, wyszedł na korytarz i podszedł do okna, z którego wszystko było widać jak na dłoni. Po pół godzinie wszedł z impetem do pomieszczenia i zapytał:

— A Murzyna możemy być pewni?

— To zaufany człowiek.

— Nie zdradzi nas?

— Dałbym sobie rękę uciąć.

— Zdaje mi się, że widziałem, jak krąży po uliczce.

— Trzeba go wpuścić, kapitanie.

— A co zrobił z ciałem mojego brata? — spytał Czarny Korsarz, marszcząc czoło.

— Lepiej, żeby sam nam odpowiedział na to pytanie.

— Zawołaj go, ale bądź ostrożny. Jeśli cię zauważą, nasze życie nie będzie warte złamanego szeląga.

— Zostaw to mnie, kapitanie — odparł z uśmiechem Carmaux. — Daj mi dziesięć minut, a stanę się notariuszem z Maracaibo.

ROZDZIAŁ VI. Z DESZCZU POD RYNNĘ

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, a Carmaux opuścił dom notariusza i udał się na poszukiwanie Moko, którego Czarny Korsarz widział krążącego w pobliżu.

Zuchwały pirat w krótkim czasie przeobraził się nie do poznania. Wystarczyło tylko przystrzyc bujną brodę i okiełznać potargane włosy. Carmaux założył na siebie hiszpańskie szaty notariusza, przeznaczone z pewnością na specjalne okazje. Ubranie leżało na nim jak ulał, gdyż obaj byli podobnej postury.

W takim przebraniu nieustraszony wilk morski mógł z powodzeniem odgrywać rolę spokojnego i uczciwego mieszkańca Gibraltaru, a nawet samego notariusza. Z natury był jednak człowiekiem nieufnym i ostrożnym, dlatego na wszelki wypadek w przepastnych kieszeniach płaszczu ukrył pistolety.

Tak przebrany opuścił kryjówkę, udając pocziwego mieszczanina, który wyszedł zacerpnąć świeżego powietrza o poranku w oczekiwaniu, aż świt zacznie rozpraszać mroki nocy.

„Na pewno się gdzieś zaszły, ale i tak go znajdę” — rozmyślał pirat. „Jeśli nasz czarny przyjaciel wrócił znaczy to, że coś mu przeszkodziło opuścić Maracaibo. Czyżby ten diabeł Van Gould wiedział, że to Czarny Korsarz wtargnął do miasta i wykradł ciało swojego brata? Czy to los pcha odważnych piratów prosto w ręce tego starego nikczemnika? Jeśli los nam będzie sprzyjał, wydostaniemy się stąd i pewnego dnia odpłacimy mu oko za oko, ząb za ząb, życiem za życie!”

Szedł przed siebie pogrążony w rozmyślaniach. Dochodził właśnie do końca ulicy i już miał skręcić za róg najbliższego domu, kiedy ukryty w bramie żołnierz, uzbrojony w arkebuz, zastąpił mu drogę:

— Stać! — padł groźny rozkaz.

— Do stu piorunów! — wymamrotał pod nosem Carmaux. Włożył rękę do kieszeni i chwycił jeden z pistoletów. — Za długo był spokój!

Natychmiast jednak przybrał postawę dobrotliwego mieszczanina i rzekł:

— Czego sobie życzysz, żołnierzu?

— Dowiedzieć się, kim jesteś, panie.

— Jak to! Nie rozpoznajesz mnie? Jestem przecież tutejszym notariuszem.

— Wybacz mi, panie notariuszu. Od niedawna służę w Maracaibo. Gdzie zmierzasz, jeśli można wiedzieć?

— Pewien biedaczyna jest już jedną nogą na tamtym świecie, a wiecie, że w takich chwilach należy pomyśleć o spadkobiercach.

— Zgadza się, panie, ale bądź ostrożny, grasują tu piraci.

— Mój Boże! — wykrzyknął Carmaux, udając przestraszonego. — Piraci tutaj? Jakim cudem te kanalie śmiały wejść do niezdożytego miasta Maracaibo, którym zarządza śmiały Van Gould?

— Nie mam pojęcia, nie widziano żadnego statku w okolicach wysp ani też w zatoce Coro³⁷. Nie ulega jednak wątpliwości, że tu są. Wiedz, że zabili już kilku ludzi i prosto z szubienicy porwali trupa Czerwonego Korsarza, którego powieszono wraz z załogą naprzeciw pałacu gubernatora.

— Diabelskie nasienie! A gdzie są teraz?

— Prawdopodobnie uciekli z miasta. Wysłano już oddziały żołnierzy, które przeczesują okolicę. Oby udało nam się ich złapać i powiesić tak jak pozostałe zdrazieckie psy.

— A nie ukryli się przypadkiem w mieście?

— To niemożliwe, widziano ich, jak uciekali poza miejskie mury.

Carmaux dość się już dowiedział. Uznał, że czas kończyć pogawędkę i oddalić się, by nie minąć się z Mokiem.

— Będę uważał, aby ich nie spotkać — rzekł. — Spokojnej służby, żołnierzu. Muszę już iść, umierający klient nie będzie czekał.

— Powodzenia, mości panie notariuszu.

Sprytny pirat nasunął kapelusz na oczy i oddalił się śpiesznie, udając, że rozgląda się trwożliwie na wszystkie strony i pozorując strach, którego wcale nie odczuwał.

— Ha! — powiedział, gdy był już dość daleko. — Sądzą, że nie ma nas w mieście! Wspaniale, moje wy serdeńka! Będziemy sobie siedzieć w spokoju w domu znakomitego notariusza dopóty, dopóki żołnierze nie zakończą poszukiwań, a potem się ulotnimy. Co za przebiegły pomysł miał kapitan! Franciszek l'Olonnais, który uważa się za najprzebiegłego z piratów Tortugi, nie wymyśliłby lepszego fortelu!

Carmaux skręcił w znacznie szerszą od dotychczasowej ulicę, wzdłuż której wznosiły się piękne domy ze zdobięciami wejścia eleganckimi werandami, wspartymi na różnobarwnych palach. Wtem spostrzegł czarny cień olbrzymich rozmiarów, który tkwił nieruchomo pod rosnącą naprzeciw wytwornego domu palmą.

— Jeśli się nie mylę, to musi być mój czarny niczym węgiel druh — mruknął pirat. — Tym razem dopisuje nam niezwykle szczęście, ale to pewne, że sam diabeł nad nami czuwa, a przynajmniej tak utrzymują Hiszpanie.

Człowiek na poły ukryty za pnem palmy ujrzał zbliżającego się Carmaux i starał się wtopić w mrok zalegający przy budynku. Z pewnością myślał, że to jeden z żołnierzy zbliża się ku niemu. Najwyraźniej jednak w cieniu domu nie czuł się pewnie, gdyż nagle skręcił za róg, by zniknąć w jednej z ulic miasta. Pirat zdążył upewnić się, że to faktycznie był ich kamrat Moko.

Kilkoma susami dopadł kamienicy, a gdy znalazł się za rogiem, krzyknął półgłosem:

— Hej! Przyjacielu!

Moko od razu przystanął. Po chwili wahania cofnął się. Rozpoznał Carmaux, chociaż ten bardzo dobrze ukrył się w przebraniu hiszpańskiego mieszczanina. Szczęśliwy i zdziwiony zarazem wykrzyknął:

— To ty, mój biały przyjacielu!

— Masz bystre oko — zaśmiał się na to pirat.

— A kapitan?

— Nie martw się o niego, póki co jest cały i zdrow. Dlaczego wróciłeś? Kapitan rozkazał ci zanieść ciało na statek.

— Nie udało się. W puszczy roi się od żołdaków Van Goulda. To prawdopodobnie posiłki przysłane z wybrzeża.

— Czyżby się domyślili, że zesłaliśmy na ląd?

— Tego się właśnie obawiam, przyjacielu.

³⁷ *Coro* — mała zatoka na pld. od półwyspu Paraguana, ograniczającego od wschodu Zat. Wenezuelską. [przypis edytorski]

— A gdzie ukryłeś ciało?
— W moim szałasie. Okryłem je grubą warstwą suchych liści.
— Hiszpanie go nie znajdą?
— Zadbalem o to. Wypuściłem z kosza wszystkie węże. Jeśli żołnierze zechcą zajrzeć do środka, zobaczą gady i uciekną.
— Przebiegły jesteś.
— Robię, co mogę.
— Uważasz więc, że ucieczka jest niemożliwa?
— Tak, jak mówiłem, w dżungli roi się od żołnierzy.
— Poważna sprawa. Morgan, zastępca kapitana, jeśli nie doczeka się naszego powrotu, gotów popęlić jakieś głupstwo — odparł pirat. — Zobaczmy, jak skończy się ta przygoda. Przyjacielu, znają cię w Maracaibo?
— Wszyscy mnie tu znają, często przychodzę na targ handlować ziołami, które goją rany.

— Nikt cię nie będzie podejrzewał?
— Nie, przyjacielu.
— Dobrze, w takim razie chodź ze mną.
— Chwileczkę.
— Co jeszcze?
— Przyprowadziłem waszego kamrata.
— Kogo? Van Stillera?
— Istniało ryzyko, że go znajdą i schwytają. A on pomyślał, że może bardziej przydać się tutaj, niż pilnując mojego szałasu.
— A więzień?
— Związaliśmy go tak dobrze, że na pewno zastaniemy go po naszym powrocie, o ile nie uwolnią go Hiszpanie.
— A gdzie Van Stiller?
— Zaczekaj chwilę.

Murzyn złożył dłonie w tubę i wydał z siebie odgłos podobny do pisku wampira, jednego z wielkich nietoperzy zamieszkujących Amerykę Południową.

Chwilę później przywołany odgłosem mężczyzna przeskoczył przez mur okalający ogród, lądując niemalże na głowie Carmaux:

— Cieszę się, że cię widzę żywego, piracie.
— Ja także, Van Stillere — nie ukrywał radości Carmaux.
— Myślisz, że kapitan będzie miał mi za złe tę samowolę? Nie mogłem spokojnie siedzieć ukryty w dżungli i gapić się na drzewa, wiedząc, że wy nadstawiacie karku.
— Kapitan się ucieszy, mój drogi. W takich chwilach każdy zuchwały pirat jest na wagę złota.

— Ruszajmy!

Niebo pojaśniało, a gwiazdy bledły w okamgnieniu. Na tych szerokościach geograficznych trudno mówić o świcie lub brzasku. Słońce zwykle wschodzi nagle i blaskiem promieni natychmiast rozprasza mroki nocy.

Mieszkańcy Maracaibo, nawykli do wczesnej pobudki, przecierali oczy ze snu. Okna otwierały się, tu i ówdzie na zewnątrz wychylała się czyjaś głowa, w domach rozbrzmiewających porannym gwarem słychać było kichnięcia i ziewania.

Komentowano głównie nocne wydarzenia, które wszystkim napędziły niemało strachu; piratów obawiano się we wszystkich hiszpańskich koloniach rozległej Zatoki Meksykańskiej.

Carmaux unikał spotkań z przypadkowymi przechodniami, obawiał się bowiem, że rozpozna go któryś z bywalców karczmy, dlatego też wciąż przyśpieszał, a dwaj przyjaciele dziarsko dotrzymywali mu kroku.

Dotarli do miejsca, gdzie pełnił wartę ten sam uzbrojony w arkebuz żołnierz, który chodził tam i z powrotem w poprzek ulicy.

— Już wracasz, mości panie notariuszu? — zapytał, gdy zobaczył Carmaux.

— A czego się spodziewałeś? — odparł pirat. — Mojemu klientowi śpieszyło się opuścić ten padół leż i nie marnował mego czasu.

— Czyżby zostawił wam w spadku tego okazałego Murzyna? — spytał, wskazując na zaklinacza węży. — *Caramba!*³⁸ Olbrzym wart miliony piastrów!

— Zgadłeś, to podarunek. Dobrego dnia, panie żołnierzu!

Szybko skręcili za róg i weszli do domu notariusza, ryglując za sobą drzwi.

Czarny Korsarz oczekiwał ich na korytarzu, nie kryjąc zniecierpliwienia.

— Co się stało, że Murzyn wrócił? — zapytał. — I gdzie jest ciało mojego brata? I co robisz tutaj ty, Van Stillerze?

Carmaux w kilku zdaniach poinformował go o przyczynie powrotu Moko do Maracaibo, o tym, że Van Stiller może się bardziej przydać na miejscu, a także o nowinach zasłyszanych od żołnierza pilnującego wylotu ulicy.

— Wieści, które przynosisz, nie są dobre — odparł kapitan i zwrócił się do Moko. — Jeśli Hiszpanie przeczesują okolice i wybrzeże, nie wiem, jak dotrzemy na „Błyskawicę”. Nie o siebie się obawiam, lecz o statek, który może paść łupem floty admirała Toledo.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Carmaux. — Jeszcze tego nam brakuje!

— Ta przygoda może się dla nas źle skończyć — wymamrotał Van Stiller. — Cóż, powinniśmy wisieć już od dwóch dni, cieszymy się zatem, że było nam dane pożyć o dwie doby dłużej.

Czarny Korsarz krążył po pomieszczeniu, obchodząc skrzynię, która służyła za komodę. Wydawał się nerwowy i zmartwiony. Od czasu do czasu zatrzymywał się przed swoimi ludźmi, po czym znów krążył po pomieszczeniu, potrząsając głową.

W pewnej chwili stanął przed notariuszem, który mocno związany leżał na łóżku. Wbił w niego groźne spojrzenie i rzekł:

— Znasz okolice Maracaibo?

— Tak, panie — odparł zapytany drżącym głosem.

— Mógłbyś pomóc nam się wydostać z miasta tak, aby Hiszpanie nas nie zaskoczyli, i zaprowadzić w bezpieczne miejsce?

— Jak miałbym to zrobić, panie? Jak tylko opuścimy dom, rozpoznają was i schwytają, a mnie razem z wami, po czym oskarżą mnie o pomaganie wam w ucieczce, a gubernator to nie jest człowiek, którego żarty się trzymają, każe mnie z pewnością powiesić.

— A więc boisz się Van Goulda... — wyszczał przez zaciśnięte zęby Czarny Korsarz, a jego oczy ciskały gromy. — Trudno ci się dziwić, to człowiek dumny i porywczy, który nie zna litości, wie, jak wzbudzić strach. Ale nie wszyscy się go boją! Pewnego dnia on będzie się bał! Gdy ten dzień nadejdzie, zapłaci życiem za śmierć moich braci!

— Chcesz zabić gubernatora, panie? — zapytał z niedowierzaniem notariusz.

— Cicho, staruchu, jeśli ci życie miłe — prychnął Carmaux.

Czarny Korsarz wydawał się nie słyszeć ani jednego, ani drugiego. Opuścił pokój, wyszedł na korytarz i podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na uliczkę.

— No to wpadliśmy po uszy — powiedział Van Stiller do Moka. — Czarny przyjacielu, nie przychodzi ci nic do głowy? Jakiś pomysł, który wydobyłby nas z tej niewesołej sytuacji? Nie czuję się zbyt pewnie w tym domu.

— Może i miałbym jakiś pomysł — odparł tamten.

— No to wyduś go z siebie, bracie! — powiedział Carmaux. — Jeśli okaże się wykonalny, uściskam cię, jak jeszcze nikogo w życiu nie wyściskałem.

— Tyle tylko że musimy zaczekać do wieczora.

— Nie śpieszy się nam, póki co.

— Przebierzcie się za Hiszpanów i spokojnie wyjdziecie z miasta.

— Przecież mam na sobie ubranie notariusza.

— To za mało.

— Co więc mam na siebie założyć?

— Musicie przebrać się za muszkieterów lub halabardników. Jeśli opuścicie miasto przebrani za mieszczan, oddziały, które przeszukują okolice, z pewnością was schwytają.

— Do stu tysięcy piorunów! Wspaniały pomysł! — wykrzyknął Carmaux. — Masz słuszość, czarny przyjacielu! Nikomu nie przyjdzie do głowy zatrzymywać żołnierzy i przepytывать ich, kim są i gdzie się udają, zwłaszcza nocą. Wezmą nas za patrol, a my będziemy mogli spokojnie się ulotnić i bez szwanku wrócić na statek.

³⁸ *Caramba!* (hiszp.) — Do licha! [przypis edytorski]

— A gdzie znajdziemy przebranie? — zapytał Van Stiller.

— Gdzie? Pójdziemy wypruć flaki z kilku żołnierzy i w krótkich abcugach się rozbiorą — powiedział rezolutnie Carmaux. — Wiesz dobrze, że do bitki zawsze jesteśmy chętni.

— Nie ma potrzeby narażać się na takie niebezpieczeństwo — rzekł Moko. — Znają mnie w mieście, nikt nie będzie mnie podejrzewać, mogę kupić ubrania i broń.

— Czarny przyjacielu, jesteś dobrym człowiekiem i pragnę uścisnąć cię jak brata.

Pirat rozłożył ramiona, chcąc słowa zamienić w czyn, ale nie zdążył. Od strony ulicy dobiegł donośny dźwięk, a echo poniosło go aż na schody.

— Do stu piorunów! — krzyknął Carmaux. — Ktoś puka do drzwi!

W tej chwili wszedł Czarny Korsarz i rzekł:

— Przyszedł człowiek, który pyta o ciebie, notariuszu.

— To z pewnością mój klient, panie — odparł ów, wzdychając. — Klient, który na pewno dałby mi zarobić, podczas gdy ja...

— Cicho, wystarczy! — uciszył go Carmaux. — Już dość wiemy, gaduło.

Wtem znów ktoś załomotał do drzwi. Z ulicy dobiegł ich głos:

— Otwórz, mości notariuszu! Nie ma czasu do stracenia!

— Carmaux — rzekł Czarny Korsarz, który natychmiast powziął decyzję — jeśli nie otworzymy, ten człowiek może zacząć coś podejrzewać. Może się obawiać, że staremu coś się stało i powiadomi rządzącego dzielnicą.

— Co mam zrobić, kapitanie?

— Otwórz mu, złap go, zwiąż dobrze i posadź razem z notariuszem.

Jeszcze nie skończył mówić, a Carmaux już był na schodach. Za nim pośpieszył po tężny Moko.

Słyszając trzecie uderzenie, od którego o mały włos drzwi nie rozpadły się na kawałki, Carmaux otworzył i rzekł:

— Cóż to za niecierpliwłość, mości panie!

Do środka szybkim krokiem wszedł młodzieniec, na oko w wieku osiemnastu, może dwudziestu lat, wytwornie ubrany, uzbrojony w wetknięty za pas elegancki sztylet.

— Tak długo każecie czekać, gdy mnie się śpieszy? Carr...

Na widok Carmaux i Moko przystanął, spoglądając na nich trochę ze zdziwieniem, a trochę z przestachem.

Próbował zawrócić, ale drzwi w jednej chwili zamknęły się za jego plecami.

— Kim jesteście? — zapytał.

— Sługami dobrodzieja notariusza — odparł Carmaux, zginając się w komicznym ukłonie.

— No proszę! — krzyknął młodzieniec. — Don Turillo nagle stał się tak bogaty, że pozwolił sobie na luksus najęcia dwóch sług?

— Zgadza się, a wszystko to dzięki spadkowi po zmarłym w Peru wuju — odparł pirat ze śmiechem.

— Prowadźcie mnie do niego natychmiast. Przecież został uprzedzony, że dziś miały się odbyć moje zaślubiny z panną Carmen di Vasconcellos. Do czego to doszło, że muszę osobiście przychodzić, żeby tego...

Urwał w pół słowa uderzony czarną pięścią między łopatki. Upadł na kolana, a Moko zacisnął mu przedramię na szyi i przydusił go. Nieszczęsny młokos ledwie łapał oddech, oczy prawie wylazły mu z orbit, a twarz przybrała kolor czerwony.

— Ej, powoli, bracie — rzekł Carmaux. — Jeśli przyciśniesz odrobinę mocniej, zadusisz mi go zupełnie. Trzeba być uprzejmym dla klientów notariusza!

— Bez obaw, przyjacielu — odparł zaklinacz węży.

Wystraszony młodzieniec nawet nie myślał stawiać oporu. Piraci zawlekli go do pokoju na piętrze, rozbili i związali, sadzając tuż obok notariusza.

— Gotowe, panie kapitanie — zameldował Carmaux.

Czarny Korsarz skinieniem głowy pochwalił sprawnie przeprowadzoną akcję, po czym zbliżył się do więźnia, który wpatrywał się w niego z wyraźnym przestachem, i zapytał:

— Kim jesteś?

— To jeden z moich najlepszych klientów, panie — odezwał się notariusz. — Ten zacy młodzieniec dałby mi dziś zarobić przynajmniej...

— Milcz! — rozkazał sucho Czarny Korsarz.

— A to ci papuga z tego notariusza — dodał Carmaux. — Jeśli dalej tak sobie będzie poczynął, trzeba będzie mu skrócić język.

Młody szlachcic przez chwilę uważnie przyglądał się Czarnemu Korsarzowi, a następnie odpowiedział, nie tracąc rezonu:

— Jestem synem sędziego z Maracaibo, don Alonza de Conxevio. Mam nadzieję, że teraz mi wyjaśnisz, jaki jest powód tej napaści.

— Nie musisz tego wiedzieć, mogę ci jednak obiecać, że jeśli będziesz się zachowywać spokojnie, nie stanie ci się krzywda. Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, jutro będziesz wolny.

— Jutro! — wykrzyknął zaskoczony. — Ależ, panie, dziś mam posłubić córkę kapitańską Vasconcellos.

— Ożenisz się jutro.

— Zważaj na słowa, mości panie! Mój ojciec przyjaźni się z gubernatorem. Możesz drogo zapłacić za to, jak mnie traktujesz. W Maracaibo broni i żołnierzy jest pod dostatkiem.

Czarny Korsarz posłał mu pogardliwy uśmiech, po czym odparł:

— Nie obawiam się ich. Zapewniam cię, że mam ludzi o wiele groźniejszych od tych, którzy strzegą Maracaibo, a także własne działa.

— Kim jesteś?

— Nie musisz tego wiedzieć.

Po tych słowach Korsarz odwrócił się i wyszedł z pokoju, by stanąć na straży przy oknie. Carmaux i Moko ponownie zaczęli płądrować dom, myszkując we wszystkich zakamarkach od piwnicy po strych w poszukiwaniu czegoś do jedzenia na śniadanie, Van Stiller z kolei rozsiadł się obok więźniów i pilnował, by nie próbowali ucieczki.

Po wywróceniu całego domu do góry nogami Carmaux i Moko przynieśli swoje zdobycze: wędzoną szynkę i pewien gatunek pikantnego sera, który — jeśli wierzyć zapewnieniom Carmaux — miał wszystkich wprawić w dobry nastrój i uczynić smaczniejszą degustację win z piwniczki notariusza.

Powiadomili Czarnego Korsarza, że śniadanie podano do stołu, a butelki z winem stały otwarte, kiedy ponownie rozległo się stukanie do drzwi.

— Kto to może być? — zdziwił się Carmaux. — Kolejny klient pragnący dotrzymać notariuszowi towarzystwa?

— Idź i zobacz! — zarządził Czarny Korsarz, który zdążył już zasiąść do stołu.

Nie trzeba mu było tego powtarzać dwa razy, Carmaux podszedł do okna, lekko się wychylił, nie otwierając okiennicy, i zobaczył stojącego przed drzwiami starszego człowieka, sługę lub woźnego sądowego.

— Do diabła! — mruknął. — Pewnie przyszedł zobaczyć, czy jest tu ten chłopak. Nagłe zniknięcie narzeczonego na pewno zaniepokoiło narzeczoną, świadków i gości. Z deszczu pod rynnę... Sprawy przybierają zły obrót.

Tymczasem sługa, któremu nikt nie raczył otworzyć, bez ustanku łomotał w drzwi, czyniąc raban, który wzbudził ciekawość wychylających się z okien okolicznych mieszkańców.

Nie było innej rady, jak wpuścić i zakneblować także tego nieproszonego gościa, zanim podejrzliwi sąsiedzi postanowią wyważyć drzwi lub powiadomić strażę.

Carmaux i Moko pośpiesznie zbiegli więc na dół i zaprosili sługę do środka. Gdy tylko jegomość przekroczył próg domu, Moko zacisnął mu dłoń na gardle, by nie mógł krzyczeć, związał go i zakneblował mu usta, po czym zawlókł do pomieszczenia, w którym siedzieli jego nieszczęsny pan i nie mniej nieszczęsny pan domu.

— Diabeł ich tu nadał! — warknął Carmaux. — Jeśli to się nie skończy, wkrótce uwięzimy wszystkich mieszkańców Maracaibo.

ROZDZIAŁ VII. POJEDYNEK SZLACHCICÓW

Przewidywania Carmaux nie sprawdziły się i śniadanie upłynęło w niewesołej atmosferze, mimo wybornej szynki, pikantnego sera i wyśmienitych butelek biednego notariusza.

Ze względu na niedoszedłego pana młodego i jego ślub sprawy zaczęły przybierać zły obrót, a do pirackich serc wkraść się niepokój. Tajemnicze zniknięcie młodzieńca i jego

sługi bez wątpienia zatroskało rodzinę. Dlatego też piraci spodziewali się prędko kolejnych odwiedzin służby i przyjaciół zaginionego, lub co gorsza, żołnierzy czy *aguazila*, czyli lokalnego szeryfa.

Ten stan rzeczy nie mógł trwać w nieskończoność. Piraci byliby zmuszeni więzić coraz to nowych przybyszów, aż w końcu musieliby stawić czoło żołnierzom, w dodatku całemu oddziałowi, a nie jak dotychczas pojedynczym nieproszonym gościom.

Czarny Korsarz i jego kamraci zaczęli się naradzać, wysuwając różne propozycje, jednak żadna nie wydawała się im dość dobra. Ucieczka była absolutnie niemożliwa: natychmiast by ich rozpoznano, pojmano i powieszono jak biednego Czerwonego Korsarza i jego nieszczęsnych kamratów. Należało poczekać do nadejścia nocy, choć było mało prawdopodobne, że rodzina niedoszłego pana młodego zaprzestanie poszukiwań.

Trzej piraci, zwykle pełni pomysłów i forteli, jak na piratów z Tortugi przystało, tym razem znaleźli się w kłopotliwej sytuacji.

Carmaux doradzał, by przebrać się za uwięzionych i śmiało opuścić kryjówkę, ale szybko doszedł do wniosku, że ten plan jest niewykonalny. Nikt z nich nie mógł ubrać się w szaty młodego szlachcica. Cały plan zresztą uznano za zbyt ryzykowny, zwłaszcza że okolice miasta wciąż przetrząsały liczne oddziały. Moko wrócił do swego wcześniejszego pomysłu. Chciał udać się na targ i zakupić dla wszystkich mundury, które noszą zwykle halabardnicy i muszkietery, lecz także ten plan chwilowo odrzucono, gdyż wymagał od nich czekania zmroku, który mógłby ułatwić jego realizację.

Głowili się bez końca, szukając rozwiązania, dzięki któremu mogliby wydostać się z matni. Cała przygoda z minuty na minutę stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Wtedy to po raz trzeci rozległo się głośnie pukanie do drzwi notariusza.

Tym razem nie był to sługa, lecz hiszpański szlachcic, uzbrojony w szpadę i sztylet, bez wątpienia krewny młodzieńca lub jeden ze świadków.

— Do stu piorunów! — zawołał Carmaux. — Cała procesja ludzi dobija się do drzwi tego domu! Najpierw pędrak, potem sługa, teraz szlachcic, następny będzie ojciec pana młodego, świadkowie, przyjaciele i tak dalej. Jeszcze trochę, a wyprawimy tu wesele!

Kastylijczyk, widząc, że nikt nie kwapi się otworzyć, zaczął łomotać jeszcze mocniej, potrząsając bez ustanku ciężką żelazną antabą³⁹. Musiał mieć o wiele mniej cierpliwości niż poprzednicy, ale też więcej niż oni determinacji.

— Idź, Carmaux! — powiedział Czarny Korsarz.

— Obawiam się kapitanie, że nie będzie nam wcale łatwo go schwytać i uwięzić. Jest silny, jestem przekonany, że stawi zacięty opór.

— Pójdę z tobą, moje mocne ramiona dadzą mu radę.

Czarny Korsarz spostrzegł w kącie opartą o ścianę szpadę, starą rodzinną broń przechowywaną przez notariusza jako pamiątka. Wziął ją do ręki i wypróbował giętkość ostrza, po czym przypiął ją sobie do pasa, mówiąc pod nosem:

— Ta tolekańska stal zaraz zabawi się z Hiszpanem.

Tymczasem zniecierpliwiony jegomość wściekle walił pięściami w drzwi. I prawie by je wyważył, gdyby nie zjawili się w końcu Carmaux i Moko. Szlachcic wszedł do środka, trzymając lewą rękę na rękojęści szpady i marszcząc czoło, jego twarz zaś zdradzała zaniepokojenie.

— Z armaty mam strzelać, żebyście mi otworzyli? — zapytał mocno zdenerwowany.

Przybysz był przystojnym mężczyzną około czterdziestki: wysoki, postawny, męski i dumny. Miał czarne oczy i nosił czarną, gęstą brodę, która nadawała jego twarzy wojowniczego wyrazu.

Ubrany był w eleganckie, hiszpańskie szaty z czarnego jedwabiu i wysokie buty z ostrogami, wykonane z żółtej skóry, z rozszerzającymi się ku górze cholewami o ząbkowaną krawędź.

— Wybacz zwłokę, panie — odparł Carmaux, zginając się w groteskowym ukłonie — lecz byliśmy zajęci.

— Czym? — zapytał Hiszpan.

— Opieką nad notariuszem.

³⁹*antaba* — metalowy uchwyt na kufrze, drzwiach, bramie, złożony z dwóch części, jednej stanowiącej umocowanie i drugiej (często ruchomej) służącej do chwytania; antaby na drzwiach stanowiły zarazem kołatkę. [przypis edytorski]

- Czyżby był chory?
- Zapadł na wysoką gorączkę, panie.
- Mów mi „hrabio”, łajdaku.
- Wybacz, wasza hrabiowska mość, nie miałem dotąd przyjemności pana poznać.
- Idź do diabła! Gdzie mój siostrzeniec? Powinien być tu od dwóch godzin.
- Nie widzieliśmy nikogo.
- Kpisz sobie ze mnie! Gdzie notariusz?
- W łóżku, panie.
- Prowadź mnie do niego.

Carmaux zamierzał najpierw zwabić przybysza w głąb korytarza. Następnie na dany znak Moko miał się na niego rzucić i przytrzymać go całą siłą swoich mięśni. Pirat wyprzedził przybysza, doszedł do schodów, po czym odwrócił się i krzyknął:

— Bierz go, brachu!

Przybysz jednak, zupełnie jakby przeczuwał zasadzkę, nie dał się zaskoczyć, bo gdy Murzyn wyskoczył na niego z ukrycia, ten błyskawicznie się uchylił, odepchnął Carmaux, po czym jednym susem pokonał trzy stopnie, dając popis zręczności, której mógłby mu pozazdrościć niejeden marynarz.

— Podstępne lotry! Co znaczy ta napaść? Zaraz obetnę wam uszy! — krzyknął, dobywając szpady.

— Jeśli chcesz znać przyczynę tej napaści, ja ci to wyjaśnię, panie — odezwał się Czarny Korsarz, który ze szpadą w dłoni pojawił się na półpiętrze przywołany szamotaniną na schodach.

Kastylijczyk odwrócił się, starając się jednocześnie nie tracić z oczu Carmaux i Moko, którzy cofnęli się w głąb korytarza, w kierunku drzwi do budynku. Pierwszy z nich dobył noża, drugi dzierżył drewnianą belkę, która w jego masywnych rękach stawała się groźną bronią.

— Kim jesteś, panie? — zapytał Hiszpan, nie tracąc rezonu. — Sądząc po ubiorze, można myśleć, że jesteś szlachcicem, lecz nie szata zdobi człowieka, równie dobrze pod tym przebraniem może kryć się zbój.

— Takie słowa mogą cię drogo kosztować, panie szlachcicu — odparł na to Czarny Korsarz.

— Phi! To się jeszcze okaże.

— Nie brak ci odwagi, to się chwali. Tym niemniej radzę ci odłożyć szpadę i poddać się.

— Komu?

— Mnie.

— Łotrzykowi, który zastawia na mnie zasadzkę i chce podstępem pozbawić życia?

— Nie, księciu Emilianowi z Roccanery, panu Ventimiglii.

— Aha! A więc masz szlacheckie pochodzenie! Chciałbym chociaż wiedzieć, dlaczego słudzy pana Ventimiglii próbują mnie zamordować.

— Tak ci się tylko wydaje, nikt nie miał zamiaru cię mordować, hrabio. Chcieliśmy cię tylko rozbroić i uwięzić na kilka dni, nic ponad to.

— Z jakiego powodu?

— Byś nie powiadomił władz Maracaibo o mojej obecności w mieście — wyznał Czarny Korsarz.

— Czyżby pan Ventimiglii miał porachunki z władzami Maracaibo?

— Nie darzą mnie tu miłością, a zwłaszcza nie darzy mnie nią Van Gould, który ucieszyłby się, mogąc dostać mnie w swoje ręce. A ja byłbym rad móc dostać go w swoje.

— Nie rozumiem — powiedział Kastylijczyk.

— To nie twoja sprawa, hrabio. A zatem poddasz się?

— Spodziewasz się, że usłucham? Że człowiek ze szpadą podda się bez walki?

— A zatem zmuszasz mnie, bym cię zabił. Nie mogę puścić cię wolno, inaczej przyniesiesz zgnębienie mnie i moim przyjacielom.

— Wyjawisz mi w końcu, kim jesteś?

— Powinieneś już to odgadnąć: jesteśmy piratami z Tortugi. Broń się albo zginiesz.

— O to nietrudno, gdy jest trzech na jednego.

— Nimi się nie martw, panie — rzekł na to Czarny Korsarz, wskazując na Carmaux i Moka. — Kiedy ich kapitan staje do walki, nie mają w zwyczaju się mieszać.

— W takim razie mam nadzieję, że szybko się ciebie pozbędę. Nie znasz jeszcze siły i szermierskiej wprawy hrabiego z Lermy.

— A ty, hrabio, ani się domyślasz siły i szermierskiej wprawy pana Ventimiglii. Broń się!

— Jeszcze jedno, jeśli pozwolisz. Co uczyniliście z moim siostrzeńcem i jego służą?

— Są naszymi więźniami, jak i notariusz. Ale nie bój się o nich. Jutro będą wolni i twój bratanek będzie mógł pojąć za żonę swą piękną oblubienicę.

— Dziękuję, panie.

Czarny Korsarz pochylił się lekko, szybko zbiegł ze schodów i zaatakował Hiszpana z całą furją, zmuszając przeciwnika do cofnięcia się.

Przez kilka chwil w ciemnym korytarzu nie było słycać nic prócz szczęk żelaza. Carmaux i Moko stali oparci o drzwi z założonymi rękami. Bez słowa obserwowali pojedynek, śledząc wzrokiem błysk ostrzy. Kastylijczyk walczył wspaniale, jak rasowy szermierz, parował ciosy z zimną krwią, wyprowadzał celne pchnięcia. Lecz prędko odkrył, że ma przed sobą bardzo groźnego przeciwnika o mięśniach ze stali.

Po pierwszej wymianie ciosów Czarny Korsarz odzyskał typowy dla siebie spokój. Atakował z rzadka, ograniczając się do obrony. Zupełnie jakby najpierw chciał zmęczyć przeciwnika i przejrzeć jego taktykę. Stał wyprostowany, lewą rękę wysunął poziomo przed siebie, oczy mu błyszczały. Wydawać się mogło, że się bawi i droczy, a nie walczy.

Na próżno Kastylijczyk próbował zepchnąć przeciwnika w kierunku schodów, licząc, że pośród ciemności rozpraszanych tylko przez pobłyskujące ostrza i pod wpływem nawalnicy ciosów ten w końcu potknie się i upadnie. Tymczasem Czarny Korsarz nie cofnął się ani o krok i skutecznie, nie zmieniając pozycji, odparł wściekłe ataki. Jednak po chwili rozpoczął natarcie. Cios w ostrze, zaraz po nim złożenie, i kolejny cios, tym razem wytrącający przeciwnikowi szpadę z ręki.

Bezbronny Kastylijczyk zbladł straszliwie i krzyknął. Czarny Korsarz przez chwilę trzymał lśniące ostrze szpady wymierzone w pierś swojego rywala.

— Jesteś odważny, hrabio — skomplementował przeciwnika Czarny Korsarz i opuścił szpadę. — Nie chciałeś dobrowolnie złożyć broni, więc teraz ci ją odbiorę, ale oszczędzę ci życie.

Kastylijczyk stał nieruchomo. Na jego twarzy wymalowało się głębokie zdumienie. Nie mógł uwierzyć, że wciąż żyje. W pewnej chwili zrobił dwa kroki do przodu i uściśnął prawicę Czarnego Korsarza, mówiąc:

— Moi rodacy mówią, że piraci to wiarołomcy, nie przestrzegający żadnych zasad, pochłonięci tylko rabowaniem statków, ale teraz widzę, że wśród nich żyją także ludzie honoru, którzy pod względem wielkoduszności i dobrych manier mogą prześcignąć najwaleczniejszych europejskich szlachciców.

Czarny Korsarz odwzajemnił serdeczny uścisk, po czym podniósł szpadę z ziemi, wręczył ją hrabiemu i rzekł:

— Zatrzymaj broń, mości hrabio, zadowolę się przyrzeczeniem, że nie użyjesz jej przeciw nam aż do jutra.

— Przysięgam na swój honor.

— A teraz pozwól, że cię skrupujemy. Nie stawiaj oporu. Przykro mi uciekać się do tej konieczności, ale nie mogę tego zaniechać.

— Rób, co uważasz za słuszne.

Na znak dany przez Czarnego Korsarza Carmaux podszedł do Hiszpana i związał mu ręce, po czym przekazał go Moko, który bezzwłocznie zaprowadził do pokoju na piętrze, gdzie znajdowali się pozostali jeńcy.

— Oby skończyło się to pielgrzymowanie — zwrócił się Carmaux do Czarnego Korsarza.

— A mnie się wydaje, że będzie zupełnie przeciwnie i wkrótce nowi ciekawscy przybędą zakłócać nasz spokój — odparł kapitan. — Te tajemnicze zniknięcia nie przejdą niezauważone i wzbudzą podejrzenia wśród krewnych hrabiego i niedosłego pana młodego, a władze Maracaibo zaczną węszyć. Lepiej będzie zabarykadować drzwi i przygotować się do obrony. Czy w tym domu jest jakaś broń palna?

Pojedynek

— W magazynie znalazłem arkebuz i trochę amunicji, a do tego starą, zardzewiałą halabardę i zbroję, kapitanie.

— Muszkiet nam się przyda.

— Jak mamy się bronić, kapitanie, jeśli żołnierze zaatakują dom?

— Okaze się w swoim czasie. Zapewniam cię, że Van Gould nie dostanie mnie żywego! No już, przygotujmy się do obrony. Później pomyślimy o śniadaniu.

Van Stiller został na górze pilnować więźniów. Moko zszedł na dół i na wieść o planie od razu zabrał się do roboty.

Razem z Carmaux zaczęli znosić z góry na dół wszystkie ciężkie meble okazałych gabarytów, czym narazili się nieszczęsnemu notariuszowi, który zajadle i usilnie, acz bezskutecznie protestował.

W celu zabarykadowania wejścia głównego zniesiono skrzynie, szafy i masywne stoły. Van Stiller, który przez cały ten czas stał przy oknie i obserwował ulicę, nagle zbiegł po schodach na łeb na szyję i zameldował Czarnemu Korsarzowi:

— Kapitanie, na ulicy zgromadziło się wielu mieszkańców, wszyscy patrzą w stronę tego domu. Już chyba wiedzą, że to właśnie tu mają miejsce tajemnicze zniknięcia.

— Ach! — krzyknął Czarny Korsarz, ale ani jeden mięsień na jego twarzy nie drgnął. Ze spokojem wszedł na górę i stanął przy oknie wychodzącym na ulicę, ukrywając się za okiennicą.

Van Stiller mówił prawdę. Na końcu ulicy stało w grupkach około pięćdziesięciu mieszczan. Rozmawiali z ożywieniem i wskazywali na dom notariusza, a w oknach sąsiednich budynków pojawiały się i znikwały twarze mieszkańców.

— Moje obawy się sprawdziły — wyszeptał Czarny Korsarz, pocierając czoło. — Widocznie los tak chciał, że mam zginąć w Maracaibo. Tak jest zapisane w księdze przeznaczenia. Biedni piraci! Nie tylko polegli, ale nawet nie zostaną pomszczeni. Ale nie ma co krakać! Jednak śmierć jeszcze nie nadeszła, a los sprzyja piratom z Tortugi. Carmaux, do mnie!

Carmaux pośpieszył na wezwanie:

— Na rozkaz.

— Mówiłeś, że znalazłeś amunicję.

— Tak, beczkę prochu, będzie jakieś osiem, dziesięć funtów⁴⁰.

— Przenieś ją do korytarza i ustaw pod drzwiami. I nie zapomnij o loncie.

— Do stu piorunów! Wyszadzimy dom w powietrze?

— Tak, jeśli będzie to konieczne.

— A jeńcy?

— Jeśli żołnierze będą próbować nas pojmać, tym gorzej dla nich. Mamy prawo się bronić i uczynimy to bez wahania.

— Nadchodzą! — wykrzyknął Carmaux, który uważnie obserwował uliczkę.

— Idź po beczkę, potem wróć tu z Van Stillere. Nie zapomnij o arkebuzie.

Jednocześnie Czarny Korsarz kazał zabarykadować także drzwi u góry do samego mieszkania, licząc po cichu, że w przypadku pokonania pierwszej przeszkody ta druga powstrzyma atak napastników. Zabrali się więc do roboty i zaczęli znosić kolejne meble.

Na końcu ulicy pojawił się właśnie oddział arkebuzerów na czele z porucznikiem, a za nimi włókl się ogon gapiów. Dwa tuziny żołnierzy maszerowało uzbrojonych jak na wojnę: w muszkiety, szpady i krótkie sztylety przypięte u pasa.

Czarny Korsarz zauważył, że obok porucznika dreptał mężczyzna w podeszłym wieku, o białej brodzie, uzbrojony w szpadę. Pomyślał, że to pewnie krewny hrabiego lub jego bratanka. Oddział utorował sobie drogę wśród tłoczącego się w zaułku tłumu i zatrzymał się w odległości dziesięciu kroków od domu notariusza. Żołnierze uformowali szyk, ustawiając się w trzech rzędach, po czym nabili muszkiety, jakby od razu zamierzali strzelać.

Porucznik przez chwilę obserwował okna, wymienił kilka słów ze starcem, który stał obok niego, po czym zdecydowanym krokiem zbliżył się do drzwi i załomotał, krzycząc:

— W imieniu gubernatora, otwierać!

— Gotowi, przyjaciele? — zapytał Czarny Korsarz.

⁴⁰funt — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

— Tak, kapitanie — potwierdzili piraci.

— Wy zostaniecie ze mną, a ty, mój dzielny Afrykańczyku, wejdź do góry i zobacz, czy nie ma tu czasem poddasza, przez które możemy uciec na dach.

Po tych słowach otworzył okiennice, wychylił się przez okno i uprzejmie zapytał:

— Czego sobie życzysz?

Porucznik stanął jak wryty. Zupełnie się nie spodziewał, że zamiast notariusza zobaczy mężczyznę o budzącym postrach wyglądzie i w kapeluszu z piórem na głowie.

— Kim jesteś? — zapytał po chwili. — Szukam notariusza.

— Ja odpowiadam w jego imieniu, gdyż on chwilowo nie może cię przyjąć.

— Na rozkaz gubernatora, otwórz!

— A co, jeśli nie otworzę?

— W takim wypadku nie odpowiadam za konsekwencje. Dziwne rzeczy dzieją się w tym domu, szlachetny panie, i mam rozkaz wybadać, co się stało z panem Pedrem Conxeviem, jego sługą, i wujem, hrabią z Lermy.

— Jeśli chcesz wiedzieć, powiem ci, że wszyscy oni znajdują się obecnie w tym domu, żywi, a nawet w dobrym nastroju.

— Sprowadź ich na dół.

— To niemożliwe — odparł Czarny Korsarz.

— Wykonaj rozkaz albo wyważę drzwi.

— Proszę bardzo, ale ostrzegam was, że za drzwiami kazałem umieścić beczkę pełną prochu, i przy pierwszej próbie ich forsowania podpalę lont i wysadzę w powietrze dom razem z notariuszem, panem Conviexem, jego sługą i hrabią z Lermy. Jeśli nie brak wam odwagi, to śmiało!

Na te słowa, wypowiedziane tak chłodnym i stanowczym tonem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości, że to nie przelewki, żołnierzom przeszły po plecach ciarki, a zgromadzona wokół ciekawska czereda rozpięzchła się w obawie, że groźbie stanie się zadość i zaraz wszystko wyleci w powietrze. Nawet porucznik cofnął się instynktownie.

Czarny Korsarz stał w oknie i się nie ruszał, zupełnie jakby cała sytuacja go nie dotyczyła. Nie spuszczał jednak z oczu żołnierzy, podczas gdy stojący za nim Carmaux i Van Stiller bacznie przyglądali się sąsiadom, którzy tłumnie wylegli na tarasy i balkony.

— Kim jesteś? — odezwał się w końcu porucznik.

— Człowiekiem, który nie lubi, gdy byle kto go niepokoji, nawet jeśli to oficer w służbie gubernatora — odparł na to Czarny Korsarz.

— Żądam, abyś wyjawiał swoje imię.

— Nie mam na to ochoty.

— Zmuszę cię do tego.

— Wtedy wysadzę dom.

— Postradałeś zmysły!

— Tak, jak i wy.

— Obrażasz mnie?

— Bynajmniej, panie, odpowiadam tylko.

— Dość tego! Zbyt długo trwają te żarty!

— Sami tego chcieliście! Hej, Carmaux, migiem podpał lont pod beczką!

ROZDZIAŁ VIII. CUDOWNA UCIECZKA

Rozkaz ten wywołał okrzyki trwogi i przerażenia zarówno wśród gapiów, jak i żołnierzy.

Wystraszeni byli głównie sąsiedzi, i słusznie, bowiem wysadzenie domu notariusza mogło zrujnować także ich posiadłości, darli się więc w niebogłosy, jakby niemalże słyszeli już huk walących się ścian i stropów.

Mieszkańcy i żołnierze w pośpiechu opuszczali uliczkę i gromadzili się u jej wylotu, a sąsiedzi na łeb na szyję gnali po schodach, próbując wynieść z zagrożonych miejsc co cenniejsze rzeczy.

Nikt już nie wątpił, że ten człowiek — zdaniem niektórych szaleniec — na pewno zrealizuje okropną groźbę.

Tylko porucznik wykazał się odwagą i niewzruszony stał w miejscu. Jednak w niepokojnych spojrzeniach rzucanych przezeń w kierunku domu można było wyraźnie wyczytać, że gdyby nie miał pod sobą oddziału żołnierzy i nie nosił munduru oficera, z pewnością wziąłby nogi za pas jak pozostali.

— Nie! Opanuj się! — krzyknął. — Czy ty już do końca oszalałeś?

— Życzysz sobie czegoś, poruczniku? — zapytał Czarny Korsarz spokojnym głosem.

— Nie rób tego!

— Bardzo chętnie, ale pod warunkiem, że zostawicie mnie w spokoju.

— Uwolnij hrabiego i pozostałych, a obiecuję, że tak będzie.

— Chętnie się na to zgodzę, jeśli jednak ty przystaniesz na moje warunki.

— Jakie?

— Wycofasz żołnierzy.

— A potem?

— Dostarczysz mnie i moim towarzyszom podpisaną przez gubernatora przepustkę, która pozwoli nam bez szwanku opuścić miasto i zagwarantuje, że nie będą nas ścigać patrolujące okolice oddziały.

— Kim jesteś, że potrzebujesz przepustki? — zapytał porucznik, którego zdumienie rosło proporcjonalnie do nabieranych podejrzeń.

— Szlachcicem zza oceanu — odparł na to Czarny Korsarz z właściwą dla szlachcica dumą.

— Jeśli to prawda, to nie potrzebujesz przepustki, aby opuścić miasto.

— Wprost przeciwnie.

— A więc masz na sumieniu jakąś zbrodnię. Wyjaw mi swoje imię, panie.

W tej chwili do porucznika zbliżył się mężczyzna. Głowę miał owiniętą zakrwawioną chustą, poruszał się z trudem i utykał na jedną nogę.

Carmaux, który zza pleców kapitana obserwował zachowanie żołnierzy, ujrzał go i krzyknął:

— Niech mnie kule biją!

— Co się dzieje? — zapytał żywo Czarny Korsarz, odwracając się ku niemu.

— To jeden z tych Basków, którzy nas napadli. Zdradzi nas.

— Tam do czorta! — krzyknął Czarny Korsarz.

Rzeczywiście był to jeden z Basków, którzy byli świadkami pojedynku w karczmie i którzy później zasadzili się na piratów. Zbliżył się do porucznika i rzekł:

— Poruczniku, czy dobrze mi się wydaje, że chcesz wiedzieć, kim jest człowiek w czarnej pelerynie?

— Zgadza się — odparł zapytany. — Znasz go?

— *Carrai!* To jeden z jego ludzi tak mnie urządził! Poruczniku, nie pozwól mu uciec! To jeden z piratów!

Słyszając te słowa, tłum dał upust swojej niepohamowanej złości. Chwilę później rozległ się huk wystrzału i rozdzierający okrzyk bólu. To Carmaux, na dany przez Czarnego Korsarza znak, pochwycił błyskawicznie muszkiet i wypalił z niego prosto w Baska.

Miarka się przebrała! Dwudziestu żołnierzy wycelowało arkebuzy w okno, w którym stał Czarny Korsarz, a tłum krzyczał na całe gardło:

— Zabijcie tych drani!

— Nie! Złapać ich i powiesić na placu!

— Usmażcie ich żywcem!

— Zabić ich! Zabić!

Porucznik zdecydowanym gestem nakazał opuścić broń i podszedł do okna, by przemówić do Czarnego Korsarza, który nie ruszył się z miejsca, jakby wszystkie te groźby w najmniejszym stopniu go nie dotyczyły.

— Panie szlachcicu, koniec tej farsy, poddaj się!

W odpowiedzi Czarny Korsarz wzruszył ramionami.

— Słyszysz, co mówię?! — krzyczał porucznik czerwony ze złości.

— Najzupełniej.

— Poddaj się lub rozkażę wyważyć drzwi.

— Proszę bardzo — odparł Czarny Korsarz — Ostrzegam tylko, że beczka prochu jest gotowa. Wyszadzę dom w powietrze razem z więźniami.

— Ty także zginiesz!

— Cóż począć! Śmierć pośród dymiących zgłiszczy jest mi miłsza od haniebnego losu, który mi zgotujecie, jeśli mnie schwytnacie.

— Wyjdiesz z tego żywy, daję słowo.

— Na nic się zdadzą twoje obietnice, poruczniku, wiem, ile są warte. Jest szósta po południu i zrobiłem się już głodny. Wy się tu naradzajcie, a ja tymczasem przekąszę coś razem z hrabią i jego bratankiem. Bądź pewny, że nie zapomnimy wychylić kielicha także za wasze zdrowie, o ile wcześniej wszystko nie wyleci w powietrze.

Po tych słowach Czarny Korsarz uchylił kapelusza, ukłonił się niezwykle uprzejmie i wrócił do środka, co mocno wprawiło w zakłopotanie porucznika, żołnierzy i tłum gapiów.

— Chodźcie, kamraci — rzekł do Van Stillera i Carmaux. — Myślę, że mamy chwilę na pogawędkę.

— A co z żołnierzami? — zdumiał się Carmaux, który podobnie jak Hiszpanie był pod wrażeniem odwagi swojego przywódcy oraz umiejętności zachowania przezeń zimnej krwi.

— Niech sobie krzyczą, jeśli mają ochotę.

— Coś mi się wydaje, że zatańczymy z nimi taniec śmierci, kapitanie.

— Doprawdy? Nasza ostatnia godzina jest dalej, niż ci się wydaje, Carmaux. Poczekaj do zmroku, a zobaczysz, jakie cuda może zdziałać beczka prochu — odrzekł Czarny Korsarz i bez słowa wyjaśnienia wszedł do środka.

Następnie przeciął sznury krępujące hrabiego i jego bratanka, po czym zaprosił ich do stołu na naprędce przyrządzonej kolacji i rzekł:

— Dotrzymajcie mi towarzystwa, panowie. Musicie mi jednak przyrzec, że nie podejmiecie żadnych podstępnych kroków przeciwko mnie.

— Byłoby to niewykonalne, szlachetny panie — odrzekł z uśmiechem hrabia. — Po pierwsze mój bratanek nie ma broni, a po drugie wiem już, jak dobrze władasz szpadą. Taka jest prawda. Słyszałem wrzawę na ulicy. Co tam się dzieje?

— Żołnierze Van Goulda szykują się do oblężenia.

— Przykro mi to mówić, ale wydaje mi się, że w końcu wyważą drzwi.

— Nie zgodzę się z tym twierdzeniem, hrabio.

— A więc będą was oblegać i prędzej czy później zmuszą do poddania się. Jak mi Bóg miły! Zapewniam was, że ze smutkiem będę patrzeć, jak gubernator dostaje w swoje ręce człowieka tak dzielnego i ujmującego jak ty. On nie przebacza piratom.

— Van Gould mnie nie dostanie. Moim przeznaczeniem jest żyć, żeby wyrównać z nim rachunki.

— A zatem znasz go?

— Poznałem go na własną zgubę — westchnął Czarny Korsarz. — Sprowadził niebezpieczeństwo na moją rodzinę. To jemu zawdzięczam mój piracki stan. Ale nie rozmawiajmy o tym. Zawsze, gdy poruszam ten temat, czuję, jak krzepnie mi krew w żyłach i dopada mnie grobowy nastrój. Napij się, hrabio. Carmaux, co robią Hiszpanie?

— Naradzają się, kapitanie — odparł pirat, który właśnie oddalił się od okna. — Najwyraźniej nie mogą się zdecydować, czy nas zaatakować.

— Zrobią to później, ale być może nas już tutaj nie będzie. Moko czuwa?

— Jest na strychu.

— Van Stillera, zanieś mu coś do picia.

Czarny Korsarz jadł i rozmyślał. Był smutniejszy niż kiedykolwiek, strapiiony do tego stopnia, że nie docierało do niego to, co mówił hrabia.

Kolacja upłynęła w niczym niezmałconej ciszy. Wszystko wskazywało na to, że choć żołnierze palali niepohamowaną chęcią powieszenia lub spalenia żywcem piratów, nie potrafili powziąć żadnej decyzji. Nie dlatego, że brakowało im odwagi, bo ta ich nie opuszczała. Nie obawiali się też wybuchu beczki z prochem ani tego, że dom wyleci w powietrze. Obawiali się wyłącznie o życie hrabiego z Lermy i jego bratanka, dwóch szanowanych obywateli miasta, których za wszelką cenę pragnęli ocalić.

Zapadły już ciemności, gdy Carmaux poinformował Czarnego Korsarza, że oddział arkebuzerów, wzmocniony tuzinem halabardników, przyczał się u wylotu ulicy.

— To oznacza, że coś knują — podsumował Czarny Korsarz. — Zawołaj Moka.

Afrykańczyk zjawiał się w mgnieniu oka.

— Rozejrzałeś się dokładnie po strychu? — spytał Czarny Korsarz.

— Tak, panie.

— Czy jest tam jakieś okno?

— Nie ma, ale wybiłem w stropie dziurę, przez którą możemy się wydostać.

— Nie ma tam nieprzyjaciół?

— Ani jednego.

— Sprawdziłeś, jak potem zejść?

— Tak. Musimy jednak przejść kawałek po dachu.

W tej chwili rozległ się ogłuszający huk, od którego zatrzęsły się szyby w oknach. Kilka kul przeleciało przez prześwity w okiennicach i wpadło do środka, dziurawiąc ściany i rozrywając tynk na suficie.

Czarny Korsarz skoczył na równe nogi, błyskawicznie dobywając szpady. Wystarczyło, że woń prochu połaskotała jego nozdrza, a uprzejmy i opanowany dżentelmen sprzed chwili przemienił się błyskawicznie w prawdziwą bestię o ognistym spojrzeniu, a jego twarz przypominała rozgrzane do czerwoności żelazo.

— Ha! Zaczyna się! — krzyknął drwiąco, po czym zwrócił się do hrabiego i jego bratanka: — Obiecałem, że włos wam z głowy nie spadnie, i dotrzymam słowa, cokolwiek się zdarzy. Musicie być mi jednak posłuszni, przysięgnijcie, że nie stawicie oporu.

— Wedle rozkazu, kapitanie — zgodził się hrabia. — Przykro mi, że to moi rodacy na ciebie napadli, w przeciwnym wypadku zapewniam cię, że walczylibym u twojego boku.

— Musicie iść ze mną, jeśli nie chcecie wylecieć w powietrze.

— Zamierzacie wysadzić dom?

— Za kilka chwil zostanie z niego kupa gruzów.

— Chcecie mnie zrujnować? — zapiszczał notariusz.

— Cicho bądź, sknero — huknął Carmaux, który właśnie uwalniał go z więzów. — Ratujemy ci życie, a ty się boczysz?

— Ale to mój dom, nie chcę go stracić.

— Gubernator na pewno zrekompensuje ci straty.

Od strony ulicy huknęło po raz drugi i kilka kul przeleciało przez pokój, roztrzaskując stojącą pośrodku lampę.

— Za mną, wilki morskie! — krzyknął Czarny Korsarz. — Carmaux, podpalaj lont!

— Już się robi, kapitanie.

— Uważaj, by beczka nie wybuchła, dopóki nie opuścimy domu.

— Lont jest długi, kapitanie — odparł Carmaux, pędząc po schodach na łeb na szyję.

Czarny Korsarz, więźniowie, Van Stiller i Moko wbiegli na strych, podczas gdy arkebuzerzy kontynuowali ostrzał, celując w okna i nawołując do poddania się.

Kule świstały wszędzie, odrywały wielkie kawały ścian i odbijały się od cegieł. Notariusz trząsł się jak w febrze, ale dla piratów i hrabiego, nawykłych do wojennego oręża, była to zaledwie igraszka i nic sobie z tego nie robili.

Na poddaszu Moko wskazał Czarnemu Korsarzowi wybitą przez siebie przy pomocy jednej z belek podpierających strop wyrwę, przez którą można było wydostać się na dach.

— Naprzód! — rozkazał Czarny Korsarz.

Schowal szpadę do pochwy, uchwycił się brzegów otworu i jednym zwinnym ruchem się podciągnął, szybkim spojrzeniem omiatając powierzchnię dachu.

Spostrzegł od razu, że nieopodal rosły wysokie palmy, z których jedna strzela pióropuszem olbrzymich liści ponad dachówkami, ocierając się o ogradzający posiadłość mur.

— Tamtędy zejdziemy? — zapytał Moko.

— Tak, panie.

— Uda nam się uciec z tamtego ogrodu?

— Mam taką nadzieję.

Silne ramiona Van Stillera wypchnęły na dach hrabiego, jego bratanka, ich służę i notariusza. W tej chwili pojawił się Carmaux i rzekł:

— Szybko, za dwie minuty dom zapadnie nam się pod nogami.

— Jestem zrujnowany! — załkał notariusz. — Kto mi odda za...

Van Stiller popchnął go, szorstko urywając potok słów.

Ucieczka

— Albo idziesz, albo wylecisz w powietrze — zagroził.

Czarny Korsarz rozejrzał się dookoła, czy nie są w opalach, po czym przeskoczył na sąsiedni dach, a zaraz za nim hrabia i jego bratanek.

W tej chwili rozpoczęła się prawdziwa kanonada, strzelano teraz bez przerwy, a kłęby dymu unosiły się nad ulicą i wolno pełzały po dachach. Żołnierze najwyraźniej liczyli, że piraci poddadzą się w wyniku intensywnego ostrzału i że tym samym obejdzie się bez szturmu.

Być może obawiali się wciąż, że Czarny Korsarz wysadzi wszystko w powietrze, woląc dać się pogrzebać pod gruzami razem z czwórką więźniów niż poddać. Dlatego też zwlekali z ostatecznym atakiem.

Piraci zmuszeni byli teraz wlec ze sobą notariusza, który ledwo trzymał się na nogach. W końcu dotarli na skraj dachu ostatniego domu, w pobliżu drzewa palmowego.

Poniżej rozpościerał się rozległy ogród okolony wysokim murem, który ciągnął się aż do granicy miejskich zabudowań.

— Znam ten ogród — powiedział hrabia. — Należy do mojego przyjaciela Moralesa.

— Mam nadzieję, że nas nie zdradzisz, hrabio — odparł Czarny Korsarz.

— Bez obaw, panie. Nie zapomniałem jeszcze, że zawdzięczam ci życie.

— Dalej, schodzimy — ponaglił Carmaux. — Eksplozja może nas stąd zrzucić.

Ledwie skończył mówić, gdy ujrzeli ogromny błysk, a zaraz potem usłyszeli straszny łomot. Dach zatrzęsął im się pod stopami. Upadli jeden na drugiego. Siła wybuchu wyrzuciła w powietrze fragmenty murów, strzaskane meble i płonące części garderoby. Dom notariusza obrócił się w perzynę. Chmura dymu opadła na dachy, na kilka chwil przesłaniając widoczność. Na ulicy, pośród przekleństw i okrzyków przerażenia, słychać było walenie się ścian i murów.

— Do pioruna! — krzyknął Carmaux, którego wybuch odrzucił aż do rynny. — Jeden krok dalej i spadłbym do ogrodu jak wór piasku.

Czarny Korsarz szybko wstał, zataczając się wśród kłębow dymu.

— Żyjecie? — zapytał.

— Tak myślę — odparł Van Stiller.

— Ale... tu się ktoś nie rusza — powiedział hrabia. — Czyżby dostał odłamkiem?

— To ten leń notariusz — odparł Van Stiller. — Upewnij się jednak, bo może tylko zemdlął ze strachu.

— Niech sobie leży — zaproponował Carmaux. — Wyjdzie z tego, o ile żał za utratą domu go nie dobije.

— Nie możemy go tu tak zostawić — zaproponował Czarny Korsarz. — Wybuch wzniecił ogień w pobliskich domach, usmaży się, jeśli go nie zabierzemy.

— To prawda — potwierdził hrabia. — Domy płoną.

— Skorzystajmy z zamieszania i dajmy nogę, przyjaciele — rozstrzygnął Czarny Korsarz. — Moko, zajmij się notariuszem.

Moko wziął notariusza na ręce, a Czarny Korsarz zsunął się na dół, po czym rzucił się biegiem ku ogrodzeniu. Wtem kilku uzbrojonych w arkebuzy mężczyzn wyłoniło się z zarośli, krzycząc:

— Stać albo będziemy strzelać!

Czarny Korsarz chwycił szpadę w prawą dłoń, a lewą sięgnął po pistolet. Był zdecydowany siłą utorować sobie drogę, lecz hrabia powstrzymał go gestem, mówiąc:

— Zostaw to mnie.

Wyszedł naprzeciw zbrojnym i odezwał się:

— Czy nie rozpoznajecie już przyjaciela waszego pana?

— Pan hrabia z Lermy! — wykrzyknęli zdziwieni przybysze.

— Opuście broń albo poskarzę się waszemu dobrodziejowi.

— Wybacz, panie hrabio — odezwał się jeden ze sług Moralesa. — Nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Usłyszeliśmy ogromny wybuch. Wiedzieliśmy, że w pobliżu oddział żołnierzy osaczył piratów, i pośpieszyliśmy tu, aby nie dać uciec tym zbójcom.

— Piraci już uciekli, możecie odejść.

— Dobrze, panie hrabio.

— Pozwólcie nam przejść i niczym się nie martwcie.

Sługa, który rozmawiał z hrabią, skinieniem odprawił swoich uzbrojonych towarzyszy, po czym skierował się w boczną aleję i otworzył żelazne drzwiczki w murze. Piraci postanowili zostawić notariusza w posiadłości Moralesa. Sługa wziął więc omdlałe ciało od Moka, po czym uklonił się na pożegnanie.

Trzej piraci i Moko opuścili teren posiadłości prowadzeni przez hrabiego. Szli prostą drogą przez około dwieście kroków, po czym skręcili w alejkę otoczoną z obu stron murem.

— Cieszę się, że mogłem się wam odplacić. Ludzie tak szlachetni jak wy nie powinni umierać na szubienicy, ale zapewniam was, że gubernator nie byłby dla was litościwy, gdyby was złapał. Idźcie dalej tą drogą, która prowadzi aż na pola poza miastem i wracajcie na pokład waszego statku — rzekł hrabia na pożegnanie.

— Dziękuję — odparł Czarny Korsarz.

Mężczyźni uścisnęli sobie serdecznie dłonie i rozstali się, uchylając kapelusza.

— Bardzo przywoity człowiek — podsumował Carmaux. — Jeśli wrócimy do Maracaibo, z pewnością go odwiedzimy.

Czarny Korsarz szybko ruszył naprzód. Prowadził Moko, który chyba lepiej od Hiszpanów znał okolice miasta.

Dziesięć minut później, nie niepokojeni przez nikogo, trzej piraci znaleźli się poza miastem, na skraju puszczy, w sercu której stał szalas zaklinacza węży.

Obejrzeni się za siebie. Nad miastem ujrzeni zwieńczoną pióropuszem płomieni chmurę, którą wiatr niósł nad Jezioro. Dom notariusza dopalał się, a wraz z nim i pozostałe zabudowania.

— Biedny diabeł — powiedział Carmaux. — Pewnie umrze ze zgryzoty: dom i jego piwniczka! To zbyt wielki cios dla takiego dusigrosza jak on!

Zatrzymali się na chwilę w cieniu drzewa simaruba, obawiając się, że w okolicy hiszpańskie oddziały wciąż przeczesują dżunglę. Upewniwszy się, że w puszczy panuje niczym niezmacona cisza, zagłębili się w zarośla i ruszyli przed siebie żwawym krokiem. W ciągu dwudziestu minut znaleźli się w szalasi. Kilka kroków od celu do ich uszu dobiegły jęki.

Czarny Korsarz zatrzymał się, usiłując dostrzec cokolwiek pośród ciemnej gęstwiny.

— Do czorta! — krzyknął Carmaux. — To nasz więzień, którego przywiązaliśmy do drzewa. Zupełnie o nim zapomniałem!

— Zgadza się — wyszeptał Czarny Korsarz.

Podszedł do chaty i ujrzał związanego Hiszpana.

— Chcecie mnie zgłodzić na śmierć? — zapytał nieszczęśnik. — Jeśli tak, to lepiej było od razu mnie powiesić.

— Czy ktoś węszył w tych okolicach? — zapytał go Czarny Korsarz.

— Nie widziałem nic prócz wampirów, panie.

— Idź po ciało mojego brata — zwrócił się Czarny Korsarz do Moka.

Zbliżył się do żołnierza, który przekonany, że wybiła jego ostatnia godzina, trząsł się jak osika. Ale Czarny Korsarz uwolnił go z więzów i powiedział oschłym głosem:

— Zemsta za śmierć tego, którego niedługo pochowam w oceanie, i za jego nieszczęsnych towarzyszy, którzy wciąż wiszą na placu przeklętego miasta, mogłyby osiągnąć również ciebie. Ale obiecałem, że daruję ci życie, a Czarny Korsarz zawsze dotrzymuje słowa. Jesteś wolny, lecz musisz mi przysiąc, że jak tylko dotrzesz do Maracaibo, udasz się do gubernatora i powiesz mu w moim imieniu, że dziś w nocy w obecności piratów zebranych na „Błyskawicy” i nad ciałem Czerwonego Korsarza wypowiem słowa przerażającej przysięgi. Ten lotr zamordował mi trzech braci, a ja zgładzę jego i wszystkich, którzy noszą jego imię. Powiesz mu, że zaprzysiągłem mu zemstę na morze, na Boga i na piekło, i że wkrótce się spotkamy.

Chwył oszołomionego jeńca i lekko pchnął go w plecy, mówiąc:

— Idź i nie oglądaj się za siebie, bo jeszcze się rozmyślisz.

— Dzięki, panie — odrzekł Hiszpan i uciekł w pośpiechu, bojąc się, że żywy nigdy nie opuści dżungli.

Czarny Korsarz spoglądał za nim, dopóki nie zniknął w gąszczu, po czym odwrócił się do swoich ludzi i powiedział:

— Ruszajmy! Czas ucieka.

ROZDZIAŁ IX. OKRUTNA PRZYSIĘGA

Niewielki oddział, któremu przewodził Moko — nikt bowiem tak jak on nie znał dżungli i jej zakamarków — rażno maszerował przed siebie. Wszyscy chcieli jak najszybciej dotrzeć do brzegów Zatoki i opuścić wyspę przed nastaniem świtu.

Piraci martwili się teraz o „Błyskawicę”, która krążyła w pobliżu przesmyku prowadzącego do jeziora. Wieści nie były ani trochę pomyslnie; wszystko wskazywało na to, że gubernator Maracaibo posłał gońców do Gibraltaru, by prosić admirała Toledo o posiłki.

Zachodziła obawa, że Hiszpanie pod jego dowództwem zdołali tymczasem zebrać doskonale uzbrojoną flotę z liczącą setki marynarzy załogą, która rekrutowała się głównie z Basków, i że lada chwila mogą przepłynąć Jezioro i napadnąć na „Błyskawicę”.

Czarny Korsarz milczał, choć widać było, że trawił go niepokój. Od czasu do czasu nakazywał towarzyszom wędrówki przystanąć, a sam nasłuchiwał, czy z oddali nie dochodzą go armatnie wystrzały, po czym znów ponaglał do szybszego marszu.

Niecierpliwiał się za każdym razem, gdy napotykali przeszkody: powalone starościami, spróchniałe do cna lub ścięte uderzeniem pioruna drzewa-olbrzymy oraz bagna ze stojącą wodą, której nie sposób było przebyć. Dżungla na każdym kroku zmuszała ich do obierania okrężnej drogi, przez co tracili tylko cenny czas.

Całe szczęście, że Moko dobrze znał te okolice. Wyszukiwał w gąszczy przejścia na skróty i dróżki, dzięki którym szybciej mogli posuwać się naprzód.

O drugiej nad ranem Carmaux, który tymczasem wysunął się na czoło pochodu, usłyszał bliski szum morza.

Jego bystre ucho złowiło huk fal rozbijających się o nadbrzeżne drzewa.

— Jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie, za godzinę znajdziemy się na statku, kapitanie — poinformował Czarnego Korsarza, zrównując się z nim w marszu.

Pirat twierdząco skinął głową, lecz nic nie powiedział.

Carmaux ani trochę się nie pomylił. Łoskot bałwanów morskich z każdą chwilą przybierał na sile. Bliskość morza zwiastowały też powtarzające się w regularnych odstępach czasu hałaśliwie krzyki bernikli, gatunku dzikich gęsi, zwykle brodzących przy brzegu, o główce pokrytej białymi piórami i grzbiecie upierzonym na czarno, które o tej porze rozpoczynały swój poranny rytuał.

Czarny Korsarz nie przestawał ponaglać swoich współtowarzyszy. Niedługo później dotarli na niewielką, porośniętą namorzynami plażę, która wila się zawijasami hen, daleko, zarówno w kierunku północnym, jak i południowym.

Unosząca się nad bagniskami otaczającymi jezioro mgła zasnuła mroczne niebo; zapanowały zupełne ciemności, choć tu i ówdzie powierzchnię wody przecinały krzyżujące się ze sobą we wszystkich kierunkach ogniste linie.

Grzbiety fal skrzyły się ogniście, a pianę, która rozlewała się po plaży wzburzoną grzywą, pokrywała fosforyzująca poświata.

Morze, czarne dotąd jak atrament, w wielu miejscach rozbłysnęło wewnętrznym światłem, jakby ktoś na dnie Zatoki zapalił lampę o niezwykłej mocy.

— Fosforescencja! — wykrzyknął Van Stiller.

— Diabli to nadali — mruknął Carmaux. — Chyba ryby zmówiły się z Hiszpanami, by uniemożliwić nam ucieczkę.

— Mylisz się, kamracie — odparł tajemniczo Van Stiller, wskazując na dźwigane przez Moko ciało. — To fale roziskrzyły się na przyjęcie Czerwonego Korsarza.

— Nie w ciemni bity jesteś — wyszeptał Carmaux.

Czarny Korsarz w skupieniu wpatrywał się w wody jeziora. Przed podjęciem dalszej podróży chciał się upewnić, że admirał Toledo nie szykuje zasadzki.

Nie zauważył jednak nic niepokojącego. Spojrzał więc ku północy, gdzie na świetlistym morzu dostrzegł wielką, czarną plamę, która wyraźnie odcinała się od migoczącej wody.

— To „Błyskawica” — powiedział. — Znajdźcie łódź i ruszamy.

Carmaux i Van Stiller usiłowali zorientować się w terenie, gdyż nie wiedzieli dokładnie, w którym miejscu wybrzeża wyszli z dżungli. Po chwili oddalili się pośpiesznie na północ, uważnie przepatrując namorzyny, których korzenie i pozółkłe liście nurzały swe końce w rozmigotanych falach.

Przeszli już dobrą milę, gdy w końcu udało im się odnaleźć łódź, którą odpływ wyrzucił na brzeg. Wsiedli do niej i popłynęli w stronę miejsca, gdzie czekali na nich Czarny Korsarz wraz z Moko.

Piraci zakryli zmarłemu twarz i ułożyli owinięte w czarną pelerynę zwłoki pomiędzy ławkami, po czym odbili od brzegu, wiosłując co sił.

Murzyn usadowił się na dziobie, trzymając w dłoniach muszkiet, który odebrał wcześniej Hiszpanowi, a Czarny Korsarz zajął miejsce na rufie, naprzeciw ciała swojego brata.

Pirat popadł w typową dla siebie posępną zadumę. Głowę ujął w dłonie, a łokcie oparł na kolanach; ani na chwilę nie odrywał wzroku od zmarłego, którego ciało rysowało się pod żalobnym całunem.

Siedział nieruchomo pogrążony w smutku. Wyglądał, jakby w ogóle nie oddychał. Zapomniał o całym otaczającym go świecie, o flocie admirała Toledo, o współtowarzyszach wyprawy i o swoim statku, który w lśniących wodach oceanu przypominał teraz olbrzymiego wieloryba unoszącego się na powierzchni płynnego złota.

Łódź mknęła po falach, coraz bardziej oddalając się od plaży. Woda wokół niej mieniła się, a wzbijane przez wiosła bryzgi błyszczącej piany przybierały kształt świetlistych strumieni. Pod powierzchnią falowały ogromne ilości osobliwych mięczaków, będących częścią tego widowiska. W morskiej toni pojawiły się *pelagie*, wielkie, podobne do lśniących kul meduzy, które, poruszane wieczorną bryzą, kołysały się w rytm fal. Nie brakowało też powabnych, bijących światłem koloru wrzącej lawy *melitee*, których dziwne ramiona układały się w kształt krzyża maltańskiego. Gdzie nie spojrzeć dryfowały *acalefe*, połyskujące blaskiem szlachetnych kamieni i urokliwe *vellele*, z których emanuje nieskończenie łagodny, błękitny blask. Z prądem unosiły się też okrągłe, zwykle żerujące w stadach żebroplawy z gatunku *beroe*, wyposażone w niezliczone parzydelka i promieniujące zielonkawym światłem.

Morze

Pod powierzchnią wody przemykały ryby różnych gatunków, pozostawiając za sobą błyszczące smugi; wielokształtne ośmiornice poruszały się we wszystkie strony, a ich różnokolorowe cielska zlewały się w jedną barwną plamę; w morzu nurkowały potężne, wciąż liczne w tamtych czasach manaty⁴¹, które płetwami wykształconymi w miejscu przednich kończyn i długimi ogonami wzbijały w górę fontanny mieniającej się wody.

Silne ramiona dwóch wiosłarzy napędzały łódź, która prędko pruła błyszczące fale, a uderzające o wodę raz za razem wiosła wzbijały w powietrze miriady⁴² lśniących kryształków.

Gdyby tylko admirał Toledo patrolował te wody, z pewnością wzięłby ich na cel: zarówno łódź jak i „Błyskawica” rzucały na wodę długi cień, wyraźnie odcinając się od błyszczącej wody.

Obaj piraci wiosłowali bez wytchnienia, rozglądając się z niepokojem na boki. Obawiali się, że w każdej chwili wróg pojawi się w zasięgu wzroku. Trudny do określenia niepokój i poczucie zagrożenia gnało ich naprzód. Rozświetlone morze, przewożone zwłoki, obecność posępnego i smutnego Czarnego Korsarza celebrowanego żałobę po zamordowanym bracie, to wszystko wzbudzało w nich bliżej nieokreślony strach. Wiosłowali więc co sił, by jak najszybciej znaleźć się na pokładzie „Błyskawicy”.

Byli już nie dalej niż milę od statku, który ruszył kursem na wiatr w ich kierunku, gdy wtem usłyszeli dziwny dźwięk przypominający ni to przenikliwy skowyt, ni to rozpaczliwe zawodzenie.

Piraci zerwali się na równe nogi, z niepokojem wpatrując się w otaczającą ich ciemność.

— Słyszałeś? — zapytał Van Stiller i poczuł, jak zimny pot oblewa mu czoło.

— Tak — potwierdził Carmaux niepewnym głosem.

— To była ryba?

— Nigdy nie słyszałem ryby wydającej takie dźwięki.

— Więc co to mogło być?

— Nie wiem, ale krew ścięła mi się w żyłach.

⁴¹*manat* — duży roślinożerny ssak wodny, żyjący w przybrzeżnych rejonach Atlantyku w strefie tropikalnej. [przypis edytorski]

⁴²*miriada* (z gr. *myrias*) — grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

— To Czerwony Korsarz?

— Cicho, przyjacielu.

Spojrzeni na Czarnego Korsarza, ale on zdawał się nic nie słyszeć. Siedział nieporuszony z głową schowaną w dłoniach i ze wzrokiem utkwionym w ciało.

— Wiosłujemy dalej i niech Bóg ma nas w swej opiece — wymamrotał Carmaux, gestem nakazując Van Stillerowi, by złapał za wiosła.

Nachylił się w stronę Moko i zapytał:

— Słyszałeś ten krzyk, bracie?

— Słyszałem — odpowiedział tamten.

— Co to było twoim zdaniem?

— Może manat.

— Czy ja wiem... — wyszeptał Carmaux. — Być może to manat, a może...

Urwał i zbladł.

Za rufą łodzi, już poza kręgiem świetlistej piany, wyłonił się z wody ciemny, trudny do określenia kształt, który prawie natychmiast pochłonęła morska głębia.

— Widziałeś? — zapytał Van Stillera zdławionym głosem.

— Tak — odpowiedział tamten, szcękając zębami.

— To była głowa.

— Tak, Carmaux, głowa umarlaka.

— Zielony Korsarz płynie za nami. Czeka na swego brata.

— Przeróżasz mnie, Carmaux.

— A Czarny Korsarz nic nie widział i nie słyszał?

— To brat zamordowanych!

— A ty, czarny przyjacielu, nic nie widziałeś?

— Widziałem głowę — odparł Moko.

— Głowę czego?

— Manata.

— Niech szlag trafi ciebie i twoje manaty — wymamrotał Carmaux. — To była głowa trupa, ślepoto.

Ktoś krzyknął ze statku:

— Hej tam, w łodzi! Kto płynie?

— Czarny Korsarz! — krzyknął Carmaux.

— Przybijaj!

„Błyskawica” mknęła z chyżością morskiej jaskółki, a jej ostry dziób ciął mieniące się wkoło fale. Jej wielki kształt czernił się w ciemnościach i przywodził na myśl Latającego Holendra, legendarny statek widmo ze swoją załogą upiorów na pokładzie. Uzbrojona w muszkiety załoga ustawiła się w szyku przy relingach⁴³ i nieruchomo oczekiwała powrotu kapitana. Puszkarze⁴⁴ z zapalonymi lontami w rękach uwijali się przy stojących na rufie działach, a na szczycie bezanmasztu⁴⁵ powiewała ogromnych rozmiarów bandera Czarnego Korsarza, z wyszytymi na niej dwiema połączanymi literami, połączonymi niezrozumiałym ornamentem.

W końcu dobili do lewej burty „Błyskawicy”, którą sternik ustawił dziobem do wiatru. Piraci złapali linę zrzuconą im z pokładu i przywiązali łądz.

— Windy w dół! — zarządził ktoś ochryplym głosem. Z rei⁴⁶ głównego masztu opuszczono dwa bloczki z przymocowanymi hakami. Carmaux i Van Stiller przymocowali je do burt łodzi, którą na gwizdek kwatermistrza wciągnięto do góry razem z pasażerami.

Dopiero kil⁴⁷ łodzi szorujący po pokładzie statku wyrwał Czarnego Korsarza z niewesołych rozmyślań.

⁴³*reling* — barierka ochronna biegnąca wokół pokładu statku, zabezpieczająca przed wypadnięciem za burtę ludzi i przedmiotów, zbudowana ze słupków połączonych prętami, rurkami lub linami. [przypis edytorski]

⁴⁴*puszkarz* — rzemieślnik wyrabiający broń palną, szczególnie armaty; także: obsługujący działa artylerzysty. [przypis edytorski]

⁴⁵*bezanmaszt* — tylny maszt żaglowca. [przypis edytorski]

⁴⁶*reja* — poziome drzewce przymocowane do masztu, służące do mocowania górnego brzegu żagla. [przypis edytorski]

⁴⁷*kil* — stępka, najniższa belka statku lub łodzi, ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]

Obejrzał się dookoła, jakby zdziwiony, że tak szybko znalazł się na pokładzie „Błyskawicy”, po czym pochylił się w stronę ciała, wziął je w ramiona i złożył pod grotmasztem⁴⁸. Na widok zmarłego załoga ustawiona przy relingach odkryła głowy.

Morgan, zastępca kapitana, zszedł z mostku i podszedł do Czarnego Korsarza.

— Jesteśmy na twoje rozkazy, kapitanie — zameldował.

— Czyń swą powinność — odrzekł pirat potrząsając głową ze smutkiem, po czym oddalił się wolnym krokiem, wszedł na mostek i znieruchomiał niczym posąg ze skrzyżowanymi rękoma.

Na wschodzie różowił się dzień. W oddali, tam, gdzie woda styka się z niebem, blade światło poranka zabarwiała stalowoszara toń jasnymi refleksami. Nie był to jednak typowy wschód słońca, który zwykle różowi świat swymi promieniami, lecz szare, ponure światło o metalicznej barwie.

Na znak żałoby opuszczono do połowy masztu potężną korsarską banderę, a górne reje fokmasztu⁴⁹, na których nie rozpięto dotychczas żagli, zostały ułożone w krzyż.

Marynarze z załogi ustawili się w szeregach przy obu burtach. Z ich ogorzałych morskimi wiatrami i osmalonych armatnim ogniem twarzy wyzierał smutek. Z zabobnym lękiem spoglądali na ciało Czerwonego Korsarza, które kwatermistrz zawinął w płótno, obciążając je uprzednio dwiema armatnimi kulami. Dniało, ale morze dookoła statku wciąż promieniowało własnym blaskiem. Fale głucho rozbijały się o ciemne burty statku i łamały o wysoki dziób.

Rozkołysane morze wydawało przedziwne odgłosy: przypominały one na zmianę jęki dusz zamieszkujących morskie otchłanie, ochryple westchnienia i stłumione skargi.

Na rufie rozległ się dźwięk dzwonu.

Cała załoga uklęknęła, a kwatermistrz z pomocą trzech marynarzy uniósł ciało Czerwonego Korsarza i ułożył na burcie.

Na mostku kapitańskim zapadło żałobne milczenie. Nawet statek znieruchomiał na mieniącej się wodzie, a morze przestało wydawać dziwne odgłosy.

Oczy wszystkich skupiły się na Czarnym Korsarzu, którego sylwetka odcinała się od szarawej linii horyzontu.

Wydawało się, że ten nieustraszony pirat jakby urósł. Stał na mostku wyprostowany jak struna, rękę wyciągnął w kierunku zmarłego w geście zapowiadanej groźby. Przypięte do kapelusza długie czarne pióro powiewało muskane porannym wiatrem.

Gruby, ochryply głos przerwał panującą na statku ciszę.

— Wilki morskie! — krzyknął. — Posłuchajcie! Przysięgam na Boga, na te fale, które wiernie nam towarzyszą podczas naszych wypraw, i na mą duszę! Nie zaznam w życiu radości dopóty, dopóki nie pomszczę śmierci moich zamordowanych przez Van Goulđa braci. Niech pioruny doszczętnie spalą mój statek, niech mnie razem z wami pochłoną fale, niech mnie przeklną spoczywający w głębinach bracia, niech moja dusza na wieczność będzie potępiona, jeśli nie zabiję Van Goulđa i nie wytępię całej jego rodziny tak, jak on uczynił z moją! Bracia piraci! Czy słyszeliście?

— Tak, kapitanie! — odkrzyknęli marynarze, których twarze wykrzywił grymas przerażenia.

Czarny Korsarz wychylił się poza trap⁵⁰ i spojrział na jasne fale.

— Ciało za burte! — rozkazał ponurym głosem.

Kwatermistrz wraz z trzema marynarzami uniósł zawinięte w płótno ciało i wrzucił do morza. Ciało z głośnym pluskiem wpadło do wody, która chlusnęła w górę podobnie jak odpalone fajerwerki.

W fosforyzujących wodach zatoki wyraźnie widać było opadający w głębinę kształt. Po chwili wszystko zniknęło.

Nad wodą rozległ się ten sam dźwięk, który wcześniej napędził strachu Carmaux i Van Stillerowi.

Stojący w pobliżu mostku przyjaciele zbledli jak płótno.

⁴⁸grotmaszt — główny maszt żaglowca. [przypis edytorski]

⁴⁹fokmaszt — przedni maszt żaglowca. [przypis edytorski]

⁵⁰trap — skośnie zawieszona, składana schody lub wąska kładka, służąca do wchodzenia na pokład z nabrzeża oraz schodzenia z pokładu na brzeg lub inną jednostkę pływającą; w czasie żeglugi trap leży złożony przy burcie. [przypis edytorski]

— To Zielony Korsarz nawołuje Czerwonego Korsarza... — wyszeptał Carmaux.
— Tak, to on — zgodził się Van Stiller przytłumionym głosem. — Bracia spotkali się na dnie morza.

Ich rozmowę przerwał przenikliwy gwizd, po którym padła komenda:

— Zwrot lewo na burt! Kursem na wiatr!

„Błyskawica” wykonała zwrot i manewrując wśród rozsianych wkoło wysepek, odplynęła w kierunku Zatoki. Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca zabarwiły na złoto wody jeziora, fosforyzujące w głębinach światło zgasło na dobre.

ROZDZIAŁ X. NA POKŁADZIE „BŁYSKAWICY”

„Błyskawica” minęła gąszcz wysepek, a za nimi długi przylądek uformowany z łańcuchów górskich Sierra de Santa Marta, po czym wypłynęła na wody Morza Karaibskiego, obierając kurs na północ, w kierunku Wielkich Antyli.

Morze było spokojne, poranna bryza wiejąca z południowego wschodu ledwie marszczyła jego tafle; gdzieniegdzie tylko powstawały niewielkie fale, które z głuchym pomrukiem rozbijały się o burty szybkiego żaglowca.

Na pełne morze od strony lądu licznie zapuszczało się nadbrzeżne ptactwo. Chmary morskich kruków, drapieżnych ptaszysk wielkości koguta, kręciły się w pobliżu plaż, gotowe rzucić się na najmniejszy nawet lup i rozerwać go na strzępy. Po czubkach fal ganiały stada czarno upierzonych na grzbiecie i śnieżnobiałych na podbrzuszu brzytwodziobów o rozwidlonych ogonkach. Ptaki te zapewne umarłyby z głodu, gdyby ryby same nie wskazywały im do gardeł, a to za sprawą specyficznego kształtu dziobu, którego spodnia część jest znacznie dłuższa niż górna, co utrudniało biednym ptaszyskom samodzielne chwytnie zdobyczy. Na otwartym morzu nie brakowało także licznych w Zatoce Meksykańskiej faetonów; szybowały one w długich rzędach, z ogonem skierowanym w dół, i zabawnie potrzasały czarnymi skrzydłami, ledwo muskając morskie grzywacze.

Ptak

Polowały na latające ryby, które raz za razem wzbijały się ponad fale, przecinając powietrze na pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt długości ramienia, po czym opadały do wody, by rozpocząć swoją grę od początku.

Piraci nie spotkali dotychczas żadnego okrętu. Marynarze pełniący wachtę⁵¹ w bocianym gnieździe⁵² mieli naprawdę wspaniały widok na wszystkie strony, ale morze dookoła było puste.

W obawie przed groźnymi piratami z Tortugi hiszpańskie statki stroniły od tych wód, trzymały się zwykle blisko portów w Carache, na Półwyspie Jukatan, Wenezueli i innych, założonych na większych Wyspach Antylskich; oczywiście rzecz inaczej się miała, gdy formowały zbrojną flotę.

Tylko dobrze uzbrojone żaglowce, z liczną załogą, ośmielały się wypływać na wody Maracaibo i Zatoki Meksykańskiej. Hiszpanie bowiem nie raz na własnej skórze przekonali się, do czego zdolni byli nieustraszeni korsarze, których siedzibą była osławiona Tortuga.

Pierwszego dnia po pogrzebie Czerwonego Korsarza na statku nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

Kapitan nie pokazał się więcej ani na pokładzie, ani na mostku. Ster i nawigowanie pozostawił w rękach swojego zastępcy, a sam zamknął się w kajucie, i nawet Carmaux i Van Stiller nie mieli do niego dostępu.

Przypuszczano jednakże, że Moko był razem z nim, gdyż i on zniknął i nie pojawił się więcej ani na pokładzie, ani w żadnym innym zakamarku statku, nawet w ładowni.

Nikt jednak nie mógł odgadnąć, czym byli zajęci. Prawdopodobnie nie wiedział tego nawet zastępca kapitana. Carmaux próbował coś z niego wydobyć, lecz Morgan w odpowiedzi poczęstował go tylko kuksańcem i pogroził kułakiem, jakby chciał powiedzieć:

— Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy, jeśli ci życie miłe.

⁵¹wachta — okres (zwykle 4 godz.), podczas którego pełni służbę jedna załoga statku; także: część załogi, która pełni służbę w określonym czasie. [przypis edytorski]

⁵²bocianie gniazdo (żegl.) — platforma obserwacyjna umieszczona wysoko na głównym maszcie statku. [przypis edytorski]

Zapadł wieczór. Marynarze zrefowali⁵³ część żagli na wypadek, gdyby wiatr się wzmógł, co na tych szerokościach geograficznych prawie zawsze zwiastowało kłopoty. Carmaux i Van Stiller kręcili się w pobliżu nadbudówki, gdy nagle ujrzeli wełnistą głowę Moko wyglądającą przez otwór ładowni.

— A oto i on! — ucieszył się Carmaux. — Ciekaw jestem, czy kapitan dalej płynie z nami tym samym statkiem, czy może knuje coś ze swoimi braćmi w morskiej otchłani. Biorąc pod uwagę jego melancholijne usposobienie, byłby do tego zdolny!

— Nie wątpię — odparł Van Stiller, który znał przesadną naturę przyjaciela. — Więcej w nim z morskiej istoty niż z człowieka takiego jak my: z krwi i kości.

— Hej, przyjacielu! — krzyknął Carmaux do Moko. — Najwyższy czas, żebyś przyszedł się z nami przywitać.

— Kapitan mnie zatrzymał — wyjaśnił Moko.

— Jakies nowiny? Co porabia?

— Zasepił się bardziej niż zwykle.

— Nigdy nie widziałem go wesołego, nawet na Tortudze. Ani cienia uśmiechu.

— Mówi wciąż o braciach i straszliwej zemście.

— Którą spełni, bracie. Czarny Korsarz to człowiek, który co do joty dotrzymuje złożonego słowa. Nie chciałbym znaleźć się w skórze gubernatora Maracaibo i jego krewnych.

— Van Gould żywi nieprzejednaną nienawiść do Czarnego Korsarza, ale to go wkrótce zgubi.

— A co jest przyczyną tej nienawiści, biały bracie?

— Słyszałem, że to zamierchła przeszłość. Van Gould zaprzysiągł trzem korsarzom zemstę, zanim jeszcze przybył do Ameryki i zaoferował swe usługi Hiszpanom.

— Kiedy był w Europie?

— Zgadza się.

— Znali się wcześniej?

— Tak przynajmniej mówią. Kiedy Van Goulda obierano gubernatorem Maracaibo, do Tortugi przybijały właśnie trzy wspaniałe statki dowodzone przez Czarnego, Czerwonego i Zielonego Korsarza. Byli to piękni mężczyźni, odważni niczym lwy, zuchwali i nieustraszeni marynarze. Najmłodszym z nich był Zielony, a Czarny najstarszym, lecz żaden nie był gorszy od drugiego, a we władaniu bronią nie mieli równych wśród pirackiej braci. W krótkim czasie ci trzej piraci stali się postrachem Hiszpanów w całej Zatoce Meksykańskiej. Trudno zliczyć, ile statków złupili, ile miast zdobyli, nikt nie mógł zwyciężyć ich trzech wspaniałych żaglowców, najpiękniejszych, najzwrotniejszych i najlepiej uzbrojonych w całej pirackiej flocie.

— Wierzę — odparł Afrykańczyk. — Wystarczy spojrzeć na „Błyskawicę”.

— Ale i dla nich nastaly ciężkie dni — kontynuował Carmaux. — Pewnego dnia Zielony Korsarz wraz ze swoją załogą wypłynął z Tortugi i pożeglował w nieznanym kierunku. Na nieszczęście natknął się na hiszpańską flotę. Po bohaterskiej walce został pojmany i przewieziony do Maracaibo, gdzie powiesił go właśnie Van Gould.

— Teraz sobie przypominam — potwierdził Moko. — Lecz jego ciało nie zostało rzucone na pożarcie dzikim bestiom.

— Nie, ponieważ Czarny Korsarz, w towarzystwie kilku zaufanych mu ludzi, podkrał się nocą do Maracaibo, porwał ciało i pochował je później w morzu.

— To prawda! Słyszałem, że Van Gould wściekł się, że nie udało mu się schwytać kolejnego brata, przez co kazał rozstrzelać czterech strażników pilnujących trupów na Plaza de Granada.

— Teraz wybiła godzina Czerwonego Korsarza. I jego zdążyliśmy już pochować w morskich głębinach, ale trzeci z braci jest najstraszniejszy i zetrze z powierzchni ziemi cały ród Van Gouldów.

— Ani się obejrzymy, jak wróci do Maracaibo, bracie. Szykuje atak na miasto. I dlatego wypytywał mnie szczegółowo o wyspę — potwierdził Moko.

⁵³refowal (żegl.) — zmniejszać powierzchnię ożaglowania podczas żeglugi w trudnych warunkach wiatrowych przez częściowe zwijanie lub składanie dolnej części żagla i umocowanie jej za pomocą linek. [przypis edytorski]

— Piotr Nau, przerażający l’Olonnais, przebywa na Tortudze, a to wielki przyjaciel Czarnego Korsarza. Któż śmiałyby się im obu przeciwstawić? A do tego...

Urwał i trącił łokciem stojących obok przyjaciół, którzy w milczeniu przysłuchiwali się jego wywodom.

— Patrzcie no! Prawdziwy postrach oceanów! Morskie bóstwo!

Piraci spojrzeli na mostek kapitański.

Czarny Korsarz, jak zwykle ubrany na czarno, z nieodłącznym kapeluszem na czole, na którym powiewało wspaniałe pióro, pojawił się właśnie na pokładzie. Z opuszczoną głową i skrzyżowanymi rękoma cicho niczym duch krążył po mostku.

Morgan czuł u jego boku, ale nie odważył się odezwać do niego ani słowem.

— Wygląda jak zjawa — wyszeptał półgłosem Van Stiller.

— Morgan wiele się od niego nie różni — ocenił Carmaux. — Jeden ponury jak noc, a drugi wcale nie weselszy. Dobrali się jak w korcu maku.

Nagle z grotmasztu, gdzieś od strony bocianiego gniazda, w którym majaczyła ludzka postać, ktoś krzyknął dwukrotnie:

— Statek na pełnym morzu, płynie kursem na wiatr!

Czarny Korsarz zatrzymał się raptownie. Chwilę stał nieruchomo, spojrzął na kierunek wiatru, ale znajdował się zbyt nisko, by móc dostrzec okręt płynący sześć czy siedem mil od nich.

Odwrócił się do Morgana, który także wyjrzał za burtę, i rozkazał:

— Wygasić światła.

Na rozkaz kapitana marynarze znajdujący się na dziobie rzucili się do gaszenia dwóch dużych świateł pozycyjnych, umieszczonych z obu stron statku, na lewej i na prawej burcie.

— Hej tam w gnieździe! — krzyknął Czarny Korsarz, kiedy na pokładzie zapadły już egipskie ciemności. — Dokąd płynie ten statek?

— Na południe, kapitanie.

— W kierunku Wenezueli?

— Tak sędzę.

— Jak daleko jest?

— Pięć lub sześć mil.

— Nie mylisz się?

— Nie, wyraźnie widzę jego latarnie.

Korsarz wychylił się przez burtę i krzyknął:

— Załoga na pokład!

W mniej niż pół minuty cała załoga „Błyskawicy” — stu dwudziestu marynarzy — zajęła stanowiska.

Odpowiedzialni za manewry złapali za brasy⁵⁴, obserwatorzy wspięli się wysoko na maszty, najlepsi strzelcy ulokowali się w bocianim gnieździe i na pokładzie dziobowym, pozostali zaś ustawili się przy relingach, a w drugim rzędzie za nimi stanęli puszkarze z lontami gotowymi do zapalenia.

Na korsarskich statkach panował taki porządek i dyscyplina, że o każdej porze dnia i nocy marynarze błyskawicznie zajmowali wyznaczone im stanowiska. Tak sprawnie nie reagowały nawet załogi okrętów wojennych, które zazwyczaj pochodziły z krajów o długich tradycjach żeglarskich.

Marynarze, którzy przybyli na Karaiby ze wszystkich stron Europy, zaciągali się na statki w cieszących się jak najgorszą sławą portach Francji, Włoch, Holandii, Świętego Cesarstwa Rzymskiego i Anglii. Byli to ludzie, którzy na co dzień korzystali z wszelakich uciech życia, niedbający o śmierć, zdolni do największych czynów, odważni aż do przesady; wszyscy oni na korsarskim statku stawali się karni jak rekruci, w walce zaś przeradzali się w prawdziwe tygrysy. Dobrze wiedzieli, że ich przywódcy ukarzą ich za każde zaniedbanie. Niepisane prawo stanowiło bowiem, że za najmniejsze nawet nieposłuszeństwo karano kulą w łeb lub w najlepszym wypadku porzuceniem na bezludnej wyspie.

⁵⁴brasy — liny służące do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej w celu ustawiania ożaglowania rejdowego w najkorzystniejszej pozycji względem wiatru. [przypis edytorski]

Gdy załoga stała na stanowiskach, Czarny Korsarz przyjrzał się każdemu z osobna, po czym zwrócił się do czekającego na dalsze rozkazy Morgana.

— Jak myślisz, co to za statek? — zapytał.

— Hiszpański, kapitanie — odparł zastępca.

— Hiszpanie! — wykrzyknął Czarny Korsarz ponurym głosem. — To będzie dla nich noc Sądu Ostatecznego. Wielu z nich nie ujrzy jutrzejszego poranka.

— Dziś w nocy napadniemy na statek, kapitanie?

— Tak, i pošlemy go na dno. Tam śpią moi bracia, ale nie będą sami.

— Zgodnie z twoją wolą, kapitanie.

Morgan wskoczył na burtę i przytrzymując się baksztagu⁵⁵, spojrzął w kierunku, z którego wiał wiatr.

W ciemnościach okalających mruczące morze na powierzchni wody migotały dwa światelka, w niczym nie podobne do blasku gwiazd.

— Znajdują się cztery mile od nas — powiedział.

— Czy wciąż kierują się na południe? — upewnił się Czarny Korsarz.

— W kierunku Maracaibo.

— Los im nie sprzyja. Wykonać zwrot, musimy przeciąć im drogę. Każ przynieść na pokład sto ręcznych granatów i dopilnuj, by zabezpieczono wszystko, co znajduje się w przejściach i kajutach.

— Staranujemy ich?

— Tak, jeśli tylko się da.

— Nie weźmiemy jeńców, kapitanie.

— Co mi po nich?

— Ten statek może wieźć jakieś skarby.

— Tam, skąd pochodzę, wciąż mam zamki i liczne ziemie.

— Chodziło mi o naszych ludzi, kapitanie.

— Dla nich mam złoto. Wykonać zwrot.

Zastępca kapitana zagwizdał, aż echo poniosło się po pokładzie. Marynarze odpowiedzialni za manewry w mgnieniu oka zbrasowali⁵⁶ żagle, a sternik ustawił statek do wiatru.

„Błyskawica” zawróciła w miejscu i pchnięta lekko południową bryzą, ruszyła śladem hiszpańskiego statku, pozostawiając za sobą długi, pieniący się ślad.

Zbliżała się pośród cieni, lekka jak ptak, bezszelestna niczym legendarny statek widmo.

Strzelcy stojący przy relingach, nieruchomi jak posągi, obserwowali nieprzyjacielski okręt, ściskając długie muszkiety o dużym kalibrze, które w ich rękach stawały się straszliwą bronią i prawie nigdy nie chybiały celu. Pochyleni nad działami artylerzyści dmuchali w lonty, w każdej chwili gotowi zasypać wroga gradem kartaczów.

Czarny Korsarz wraz z Morganem komenderowali z mostku. Oparci o reling, jeden obok drugiego, nie odrywali wzroku od dwóch jasnych latarni, które świeciły w ciemnościach nie dalej niż trzy mile od „Błyskawicy”.

Carmaux, Van Stiller i Moko zajęli pozycje na kasztelu dziobowym i rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, spoglądając to na ścigany statek, to na Czarnego Korsarza.

— To będzie pechowa noc dla tamtych — mówił Carmaux. — Obawiam się, że w sercu kapitana jest tyle złości, że nie oszczędzi żadnego Hiszpana.

— Wydaje mi się, że tamten statek ma wyższe burty — odparł Van Stiller, oceniając odległość dzielącą światła pozycyjne od powierzchni wody. — Mam nadzieję, że nie jest to okręt wojenny płynący do portu, by przyłączyć się do floty admirała Toledo.

— A co mu tam! Czarny Korsarz się go nie boi. Żaden statek nie może dorównać „Błyskawicy”, a poza tym słyszałem coś o taranowaniu.

— Do stu piorunów! Jeśli do tego dojdzie, to prędzej czy później połamię „Błyskawicy” dziób.

⁵⁵*baksztąg* — lina stabilizująca maszt, biegnąca od jego górnej części ku tyłowi, umocowana drugim końcem do burty; baksztagi są linami stosowanymi symetrycznie po obu burtach. [przypis edytorski]

⁵⁶*brasować* — obracać reje pod najkorzystniejszym kątem do wiatru za pomocą brasów (tj. olinowania ruchomego pozwalającego na obracanie rei w poziomie); brasowanie wymaga wykonania obrotu wszystkich rei danego masztu jednocześnie. [przypis edytorski]

— Jest twarda jak skała, mój drogi.

— Skały czasem też się kruszą.

— Cicho!

Głos Czarnego Korsarza przerwał panującą na pokładzie ciszę:

— Żaglowi, w górę lizele⁵⁷, wciągnąć sztaksle⁵⁸!

Na grotmaszt i fokmaszt sprawnie wciągnięto dodatkowe żagle, które obok tych rejowych stanowiły dodatkową część ożaglowania statków.

— Pościg! — krzyknął Carmaux. — Jeśli wciągamy lizele, znaczy się, że Hiszpanie zwawo płyną.

— Mówię ci, to statek wojenny — upierał się Van Stiller. — Zobacz, jakie ma wysokie maszty.

— Tym lepiej! Walka będzie wyrównana!

W tej chwili na ściganym okręcie rozległ się krzyk, a wiatr porwał go i uniósł na pokład „Błyskawicy”:

— Ahoj! Podejrzany statek za lewą burtą!

Stojący na mostku Czarny Korsarz pochylił się do Morgana i wyszeptał mu kilka słów do ucha, po czym zszedł na pokład i zawołał:

— Do mnie sterownica⁵⁹! Piraci, do ataku!

Choć tylko miła dzieliła obu wrogów, dystans nie malał; najwyraźniej oba statki mogły osiągać znaczne prędkości.

Po upływie pół godziny na pokładzie hiszpańskiego statku — a przynajmniej za taki go uważano — błysnął ogień, który oświetlił mostek i część omasztowania. Zaraz po nim rozległa się głośnie detonacja, której głuchy huk poniósł się po ciemnej wodzie i ucichł dopiero na dalekim horyzoncie.

Chwilę później piraci usłyszeli w powietrzu znajomy gwizd i za rufą zobaczyli fontannę wody strzelającą w górę na dwadzieścia stóp⁶⁰.

Nikt się nie odezwał. Tylko Czarny Korsarz pogardliwym uśmiechem skwitował to aroganckie powitanie pierwszego ze śmiertelnych posłańców.

Tym ostrzegawczym wystrzałem wróg miał zamiar skłonić piratów do zaprzestania pościgu. Ścigany statek zmienił teraz kurs i ustawił się dziobem na południe, co było wyraźnym sygnałem, że załoga zamierzała poszukać schronienia w zatoce Maracaibo.

Czarny Korsarz przejrzał ich manewr. Odwrócił się do opartego o burtę Morgana, który wcisnął się pomiędzy sztagi⁶¹, i rozkazał:

— Na dziób, panie Morgan.

— Mam otworzyć ogień?

— Jeszcze nie, jest za ciemno. Przygotuj wszystko do abordażu.

— Dokonamy abordażu?

— Okaże się!

Morgan opuścił górny pokład, zawołał kwatermistrza i udał się na dziób, gdzie na deskach leżało czterdziestu marynarzy z arkebuzami w dłoniach i muszkietami gotowymi do strzału.

— Wstawać! — zarządził. — Przygotujcie haki!

Po czym zwrócił się do marynarzy, którzy przycupnęli za relingami:

— Przygotujcie żelazne pokrywy!

Marynarze, pod czujnym okiem Morgana, w milczeniu zabrali się do roboty.

Piraci bali się zastępcy kapitana nie mniej niż Czarnego Korsarza. Był nieugięty, odważny niczym lew i zawsze zdecydowany, a śmiałością dorównywał samemu dowódcy.

Pochodził z Anglii i od niedawna przebywał w Ameryce. Od samego początku było widać, że wyróżnia się duchem inicjatywy oraz rzadko spotykaną energią i odwagą. Jako

⁵⁷lizele (żegl.) — dodatkowy żagiel, rozwijany na przedłużających reje drzewcach, obok żagli rejowych, dodający statkowi szybkości przy dobrej pogodzie. [przypis edytorski]

⁵⁸sztaksel — trójkątny żagiel rozpinany na sztagach (grubych linach stabilizujących maszt) żaglowca. [przypis edytorski]

⁵⁹sterownica (żegl.) — element składowy urządzenia sterowego, mający postać dźwigni zamocowanej prostopadle do osi steru. [przypis edytorski]

⁶⁰stopa — dawna jednostka długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

⁶¹sztag — lina usztywniająca maszt w płaszczyźnie pionowej wzdłuż osi statku, mocowana jednym końcem do górnej części masztu, a drugim do dziobu lub rufy. [przypis edytorski]

marynarz sprawdził się pod dowództwem innego znanego pirata, Mansfielda⁶², ale pod względem swoich późniejszych dokonań przerósł wszystkich piratów z Tortugi: wslawił się niebywałą odwagą podczas słynnej ekspedycji na Panamę, kiedy to podbito niemożliwe — jak sądzono — do zdobycia miasto, perłę wśród miast na Oceanie Spokojnym.

Był wyjątkowo wytrzymały i odznaczał się nieprzeciętną siłą. Miał szlachetne rysy twarzy i pokojowe usposobienie. Jego przenikliwe spojrzenie, w którym nie brak było zagadkowego wdzięku, upodabniało go do Czarnego Korsarza. Wiedział, jak dowodzić szorstkimi z natury piratami, a posłuch zdobywał najprostszym gestem.

Pod jego kierunkiem w mniej niż dwadzieścia minut marynarze przenieśli z lewej burt dwa duże pancerce; jeden umieszczono pod fokmasztem, a drugi przed grotmasztem. Zrobiono je z połączonych ze sobą belek i beczek napełnionych gwoździami i różnym żelastwem; miały one za zadanie ochronić pokład rufowy i dziobowy przed zniszczeniem, na wypadek silnego ostrzału ze strony nieprzyjaciela.

Pięćdziesiąt ręcznych granatów ułożono za belkami, a na burtach i zrolowanych hamakach, które służyły też za podporę strzelecką, zaczęto haki abordażowe.

Kiedy wszystko było przygotowane, Morgan ukrył ludzi na pokładzie, po czym sam ulokował się w pobliżu bukszprytu⁶³, z jedną ręką opartą na szabli i drugą zaciśniętą na kolbie zatkniętego za pas pistoletu.

Nieprzyjacielski statek znajdował się nie dalej niż trzy i pół kabla od „Błyskawicy”, która — trzeba jej to przyznać — w pełni zasługiwała na swoje imię, gdyż zmniejszyła właśnie dystans dzielący oba statki i szykowała się do staranowania wroga miażdżącym, niepowstrzymanym uderzeniem.

Mimo ciemnej, bezgwiezdnej nocy w końcu można było odróżnić szczegóły ściganego żaglowca.

Sprawdziły się przypuszczenia Van Stillera: był to imponujących rozmiarów okręt wojenny, o wysokich burtach, uniesionym pokładzie i trzech masztach obwieszonych żaglami aż po bombramreję⁶⁴. Prezentował się jak prawdziwa machina wojenna, doskonale uzbrojona i obsadzona liczną, zaprawioną w bojach załogą, która z pewnością stawi zacięty opór.

Każdy inny korsarz z Tortugi zastanowiłby się dwa razy, zanim przyspuściłby atak na tak imponujący statek. Okręty wojenne zwykle nie były dla piratów cennym łupem, między innymi dlatego, że w przypadku zwycięstwa niewiele zostałyby skarbów do podziału, gdyż statki te nie przewoziły kosztowności ani towarów. Morscy rozbójnicy chętniej napadali na statki kupieckie i galeony z ładowniami wypełnionymi szlachetnymi kruszcami, pochodzącymi z meksykańskich kopalń na Jukatanie i w Wenezueli.

Czarny Korsarz, który nie zabiegał o bogactwa, nie rozumował w ten sposób. Możliwe, że ten statek uosabiał dla niego jednego z największych sojuszników Van Goulda, był jego potencjalnym wrogiem, który w przyszłości mógłby zniweczyć jego plany. Dlatego też — w obawie, że wrogi statek wzmocni flotę admirała Toledo lub zasili hiszpańskie siły w Maracaibo — zdecydował się na atak.

Nieprzyjacielski okręt znajdował się teraz w odległości dwóch i pół kabla. Załoga, widząc, że piraci nie ustępują, nie miała już wątpliwości co do ich złych zamiarów. Hiszpanie ponownie załadowali największe działo na pokładzie i dali ognia.

Tym razem kula nie wpadła do morza. Przeleciała pomiędzy fokiem⁶⁵ a marsłem⁶⁶, ścinając wierzchołek bezanmasztu i zrzucając korsarską banderę. Puszkarze na stanowiskach rufowych zwrócili się do Czarnego Korsarza, który stał nieruchomo z tubą w rękę oparty o sterownicę:

— Mamy zaczynać, kapitanie?

⁶²Mansfield a. Mansvelt, Edward (XVII w.) — holenderski korsarz, aktywny w l. 1659–1666, uznawany za nieformalnego przywódcę Bractwa Wybrzeża; jako pierwszy zorganizował najazdy na dużą skalę przeciwko hiszpańskim osadom; po jego śmierci przywództwo przejął jego protegowany i zastępca, Henry Morgan. [przypis edytorski]

⁶³bukszpryt — rodzaj pochyłego masztu wystającego przed dziób statku. [przypis edytorski]

⁶⁴bombramreja — piąta, licząc od pokładu, reja masztu. [przypis edytorski]

⁶⁵fok — główny żagiel na przednim maszcie; na jednostkach jednomasztowych: trójkątny żagiel przedni. [przypis edytorski]

⁶⁶marsel — prostokątny żagiel zawieszany na drugiej (m. dolny) lub trzeciej (m. górny) rei licząc od pokładu. [przypis edytorski]

— Jeszcze nie — odparł pirat.

Huknął trzeci strzał, silniejszy niż dwa poprzednie. Trzecia z kolei kula przeleciała nad pokładem, wpadając między maszty i uszkadzając burtę na rufie, ledwie trzy kroki od steru.

Nieustraszony pirat uśmiechnął się tylko pogardliwie, lecz nie wydał żadnego rozkazu.

„Błyskawica” przyspieszyła jeszcze bardziej, prezentując nieprzyjaciółom — niczym straszliwe ptaszysko nacierające na swoją ofiarę — swój złowrogi dziób, nie mogąc się doczekać, aż będzie jej w końcu dane rozpruć wnętrze hiszpańskiego okrętu.

Ten zbliżający się w absolutnej ciszy statek, który pojawił się znikąd, z załogą, która nie dawała oznak życia i nie odpowiadała na zaczepki, musiał zrobić okropne wrażenie na przesądnych z natury hiszpańskich marynarzach.

Nagle wśród ciemności podniósł się rejwach. Z hiszpańskiego okrętu dobiegły piratów przerażone okrzyki i wydawane w pośpiechu rozkazy.

Władczy głos, należący ze wszelkim prawdopodobieństwem do kapitana, stłumił na chwilę ten rozgardiasz:

— Zwrot na lewą burtę! Pchać ster z całej siły!

— Ognia ze wszystkich dział!

Rozległ się ogłuszający huk, a armatni ogień rozjaśnił ciemności nocy. W stronę piratów wypalono z siedmiu karonad rozmieszczonych wzdłuż burty i z dwóch na pokładzie rufowym. Kule ze świstem przelatywały pomiędzy nimi, dziurawiły żagle, przecinały cumy, kruszyły burty, ale nie wstrzymały szarży „Błyskawicy”, która dowodzona silną ręką Czarnego Korsarza z całym impetem natarła na nieprzyjaciela. Jakimś tylko cudem hiszpański sternik w ostatniej chwili pchnął ster, co uratowało okręt przed niechybną katastrofą. Brutalnie wytrącony z kursu statek pochylił się na lewą burtę, o włos unikając uderzenia bukszprytu, na który bez wątpienia by się nadział.

„Błyskawica” przepląnęła w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się rufa nieprzyjaciela. Otarła się o niego bokiem, z głuchym łoskotem szorując burtę o burtę, aż echo poniosło się po ładowni. Oprócz tego złamała mu bom⁶⁷ bezanżagla i pogruchotała stewę⁶⁸, ale nic poza tym.

„Błyskawica” chybiła swego celu, lecz nie zwolniła rozpędu i zniknęła w mroku, nie ujawniwszy liczebności załogi ani uzbrojenia.

— Do stu piorunów! — krzyknął Van Stiller, który wstrzymał oddech w oczekiwaniu na straszne uderzenie. — To się nazywa mieć szczęście!

— Chwilę temu nie dałbym nawet złamanego grosza za marynarzy z tamtego statku — przytaknął Carmaux.

— Byłem gotów się założyć, że będą przysmakiem dla rekinów.

— Myślisz, że kapitan uderzy ponownie?

— Hiszpanie mają się teraz na baczności i z pewnością pokażą nam się od dziobu.

— I zasypią nas kulami. Gdyby to był dzień, to natarcie mogłoby wyjść nam na złe.

— Ale nie odnieśliśmy prawie żadnych strat.

— Milcz, Carmaux!

— Co się stało?

Czarny Korsarz przyłożył tubę do ust i krzyknął:

— Przygotować się do zwrotu!

— Wracamy? — zainteresował się Van Stiller.

— A niech to! Ani chybi nie odpuści Hiszpanom — zaklął Carmaux.

— Coś mi się widzi, że nasz wróg myśli podobnie.

Tak rzeczywiście było. Hiszpanie zeszli z obranego wcześniej kursu. Ich okręt dryfował, ustawiony skosem do wiatru, czekając, aż nieprzyjaciel podejmie rękawicę. Załoga co chwilę wykonywała zwrot, ustawiając statek dziobem do przeciwnika, by uniknąć staranowania.

⁶⁷bom — pozioma belka zamocowana jednym końcem do maszty, służąca do przymocowywania dolnej krawędzi żagla. [przypis edytorski]

⁶⁸stewa — wygięta w górę belka stanowiąca przedłużenie stępki (kilu) statku w kierunku dziobu (s. dziobowa) albo rufy (s. rufowa), łącząca poszycie burt. [przypis edytorski]

Po przepłynięciu dwóch mil także i „Błyskawica” dokonała zwrotu, lecz zaniechała kolejnej próby szarżowania na nieprzyjaciela. Trzymając się poza zasięgiem kul armatnich, zataczała teraz wokół niego wielkie kręgi.

— Już rozumiem — odezwał się Carmaux. — Kapitan czeka świtu, by rozpocząć atak i rzucić wszystkie siły do abordażu.

— Dzięki temu Hiszpanie nie wymkną się w kierunku Maracaibo — dodał Van Stiller.

— Zgoda. Mój drogi, przygotujmy się na desperacką walkę. Zgodnie z pirackim obyczajem, jeśli przepołowi mnie kula armatnia lub przyjdzie mi wyzionąć ducha na wrogim statku, ustanawiam cię spadkobiercą mojej skromnej fortuny.

— Którą stanowią? — roześmiał się Van Stiller.

— Dwa szmaragdy, a każdy wart jest co najmniej pięćset piasstrów. Znajdziesz je zaszyte w podszewce mojego kaftana.

— Za to można ucztować dwa tygodnie na Tortudze. Ja zaś mianuję ciebie, drogi Carmaux, moim spadkobiercą, ale uprzedzam cię jednak, że nie mam nic prócz trzech dublonów zaszytych w pasie.

— Wystarczająco, by kupić sześć butelek hiszpańskiego wina, którymi nie omieszkać wznieść toastu na twoją cześć, przyjacielu.

— Dziękuję, Carmaux. Od razu mi ulżyło i teraz mogę ze spokojem czekać na śmierć.

Tymczasem „Błyskawica” wciąż zataczała kręgi wokół nieprzyjacielskiego statku, który z kolei obracał się wokół swojej osi, ustawiając się dziobem w jej kierunku. Szykowała się do ataku, jak łowca czający się na swoją ofiarę, lecz nie otwierała ognia.

Czarny Korsarz nie wypuszczał steru z rąk. Oczy błyszczały mu jak nocnemu drapieżnikowi, ani na chwilę nie spuszczał z nich hiszpańskiego żaglowca. Wydawało się, że próbuje odgadnąć, co się dzieje na jego pokładzie i przewidzieć najdrobniejszy fałszywy ruch, który pozwoliłby na wyprowadzenie śmiertelnego ciosu.

Załoga patrzyła na niego z zabobonnym lękiem. Ten człowiek, który nawigował statkiem, jakby przelał weń własną duszę, okrążał swój łup, prawie nie manewrując żaglami. Jego ponury wygląd i niezłomna postawa wzbudzały przerażenie nawet wśród nieznanających lęku pogromców mórz. Przez całą noc „Błyskawica” krążyła wokół nieprzyjaciela, nie odpowiadając na mało skuteczne strzały armatnie, które od czasu do czasu posyłała w jej kierunku. Gdy gwiazdy przybledły i pierwsze promienie świtu zabarwiły wody Zatoki, Czarny Korsarz poderwał się na nogi i krzyknął:

— Kamraci! Wszyscy na stanowiska! Bandera w górę!

„Błyskawica” zmieniła kurs i popłynęła prosto na wroga, gotując się do abordażu.

Na bezanmaszt wciągnięto potężną banderę Czarnego Korsarza, którą dodatkowo przybito do drzewca, by zbyt łatwo nie padła łupem wroga. Jej utrata była równoznaczna ze śmiercią, utrzymanie jej oznaczało zwycięstwo; dobrowolne poddanie się wrogom w ogóle nie wchodziło w rachubę. Artylerzyści na rufie przygotowali działa, a piraci ustawieni przy relingach wystawili muszkiety przez otwory strzelnicze, gotowi w każdej chwili zasypać wroga gradem kul.

Czarny Korsarz upewnił się, czy wszyscy znajdowali się na stanowiskach bojowych, spojrzął, czy marynarze zajęli miejsce w bocianim gnieździe, na salingach⁶⁹ i rejach, po czym krzyknął:

— Moi morscy bracia! Nie powstrzymuję was dłużej! Niech żyją piraci!

Na pokładzie trzykrotnie rozbrzmiało głośnie „hurra!” i huknęło z armat.

Hiszpański okręt ustawił się pod wiatr i podpływał coraz bliżej. Zaiste jego załoga musiała być wyjątkowo bitna i odważna, gdyż zazwyczaj hiszpańskie okręty, znając z doświadczenia odwagę straszliwych przeciwników, unikały bezpośrednich starć z piratami z Tortugi. Gdy podpłynęli na tysiąc kroków, rozpoczęli wściekłą kanonadę. Halsujący wprost na „Błyskawicę” statek, spowity chmurami prochowego ognia, raził piratów ogniem z dział na sterburcie.

⁶⁹saling — połączenie kolumny masztu wieloczołowego ze stengą (przedłużeniem kolumny) lub platforma znajdująca się w miejscu tego połączenia; także: sztywna rozpórka pomiędzy olinowaniem stałym a masztem. [przypis edytorski]

Był to ogromny, wysoki trzypokładowiec, który posiadał czternaście otworów artyleryjskich; bez dwóch zdań prawdziwa wojenna fregata, która z jakiegoś powodu odłączyła się od floty admirała Toledo.

Na mostku kapitańskim z szablą w ręku stał kapitan ubrany we wspaniałą mundur oficerski. Dookoła niego zgromadzili się oficerowie, a na pokładzie uwijało się wielu marynarzy.

Przy akompaniamencie huków i wybuchów okręt odważnie sunął na spotkanie „Błyskawicy”, a na jego grotmaszcie dumnie powiewała wielka, hiszpańska flaga.

Korsarski żaglowiec, mimo skromnych rozmiarów, nie uląkł się gradu kul. Pruł coraz szybciej prosto na wroga, odpowiadając ogniem z dział rufowych. Czarny Korsarz oczekiwał na dogodny moment, by móc ustawić statek bokiem i wypalić z dwunastu furt działowych.

Nieprzyjaciel zasypał piratów deszczem kartaczy. Pociski uszkadzały burty, łomotały w ładowni, niszczyły nadburcia, utrudniając przy tym sterowanie, i siały spustoszenie wśród marynarzy, którzy zajęli pozycje na dziobie. Mimo tego wściekłego ataku statek nie schodził z kursu i z wielką śmiałością parł do abordażu.

Gdy „Błyskawica” podpłynęła do wroga na dwa kable, wtedy dopiero strzelcy wypalili z muszkietów; zasypali żelastwem pokład nieprzyjacielskiego statku, czym znacznie wzmocnili siłę armatniego ognia.

Ta huraganowa salwa okazała się dla Hiszpanów tragiczna w skutkach. Piraci prowadzili ogień z niezwykłą celnością, rzadko chybiając celu. Zdobyta w dawnych czasach wprawa, kiedy to jeszcze jako myśliwi polowali na dziko żyjące bydło, była tu na wagę złota.

Rzeczywiście okazały się większe spustoszenie niż ładowane w armaty kartacze. Hiszpanie rażeni kulami padali pokotem wzdłuż relingów. Pociski sięgały też puszkarzy na kasztelu i oficerów na mostku.

Po dziesięciu minutach nie został już nikt. Trafiony kulą padł też dowódca wśród swoich oficerów, zanim jeszcze oba statki szczepiły się ze sobą.

Pozostała jeszcze obsługa dział w lukach, liczniejsza niż marynarze na pokładzie. Zwycięstwo wisiało więc na włosku.

Gdy statki zbliżyły się na odległość dwudziestu jardów⁷⁰, wykonały nagły zwrot. Wśród huku dział padały komendy Czarnego Korsarza:

— Zrefować grotżagiel i marsel, brasować reje na fokmaszcie, naciągnąć bezanmaszt, ile się da!

Gwałtowne pchnięcie steru skręciło nagle „Błyskawicę”, która siłą rozpędu wbiła się bukszprytem we wroga, dziurawiąc mu ożaglowanie bezanmasztu.

Czarny Korsarz, trzymając szablę w prawej dłoni i pistolet w lewej, zbiegł z górnego pokładu.

— Kamraci! — huknął. — Do abordażu!

ROZDZIAŁ XI. FLAMANDZKA KSIĘŻNICZKA

Na widok Czarnego Korsarza i Morgana gotujących się do abordażu na zdobycz, która już nie mogła im się wymknąć, załoga rzuciła się za nimi jak jeden mąż.

Piraci zostawili bezużyteczne w bezpośredniej walce muszkiety. Z kordelasami i pistoletami w dłoniach przypuścili atak. Napierali na wroga niczym rwący potok, krzycząc przy tym na całe gardło i próbując w ten sposób jeszcze bardziej przerazić Hiszpanów.

Rzucono haki, by szepić oba statki, ale kilku niecierpliwych śmiałków wspięło się po drzewcach bukszprytu i czepiając się salingów i sztagów oraz opuszczając w dół po delfiniaku⁷¹, przeskoczyło na pokład wroga.

Tam piraci napotkali na silny opór przeciwnika. Z luków z bronią w ręku wyskakiwali gotowi na wszystko marynarze z obsługi dział.

Była ich przynajmniej setka, a przewodziło im kilku oficerów i artylerzystów. W mgnieniu oka rozproszyli się po mostku, wbiegli na kasztel i rzucili się na piratów, którzy jako

⁷⁰jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

⁷¹delfiniak (żegl.) — rozpórka zamocowana prostopadle do bukszprytu (drzewca na dziobie statku), biegnąca w dół i służąca do mocowania lin stabilizujących bukszpryt. [przypis edytorski]

pierwsi przeskoczyli na hiszpański okręt. Pozostali wbiegli na rufówkę⁷² i z dwóch stojących tam dział z bliskiej odległości razili pokład „Błyskawicy” huraganowym bezlitosnym ostrzałem.

Czarny Korsarz nie zwlekał dłużej. Oba statki, szczipione hakami, znajdowały się już burta przy burcie.

Przeskoczył reling i zwinnie wylądował na pokładzie, krzyżąc:

— Do mnie, piraci!

Za nim skoczył Morgan, a następnie strzelcy. Równocześnie marynarze w bocianim gnieździe, na rejach i na drablinach⁷³ zarzucali hiszpańską załogę granatami i dziesiątkowali piekielnym ogniem z muszkietów i pistoletów.

Walka stawała się coraz bardziej zażarta.

Czarny Korsarz ze swymi ludźmi trzy razy szturmował kasztel, gdzie skupiło się około siedemdziesięciu Hiszpanów, którzy z tej dogodnej pozycji mogli razić pokład armatnim ogniem, i trzykrotnie został odepchnięty. Morgan natomiast nie potrafił złamać oporu, który napotkał na dziobie.

Obie strony walczyły z dużą determinacją. Zdziękowani przez arkebuzerów Hiszpanie mężnie stawiali opór, woląc drogo sprzedać życie, niż poddać się.

Piraci zasypywali ich siejącymi spustoszenie granatami, lecz Hiszpanie nie cofnęli się ani o krok. Wokół garstki obrońców rósł z każdą chwilą stos rannych i zabitych, ale hiszpańska flaga wciąż żywo powiewała na bezanmaszcie, a wyszyty na niej krzyż mienił się w promieniach wschodzącego słońca. Opór nie mógł trwać już długo. Desperacka obrona tylko wyzwoliła w piratach złość. Pod wodzą walczącego w pierwszym szeregu kapitana raz jeszcze natarli na kasztel.

Marynarze przypuścili atak na ostatnich obrońców nieszczęsnego statku ze wszystkich stron: wspinali się po drablinach, skakali ze sztagów bezanmasztu i z want⁷⁴ rufowych, wdrapywali się na ławki i burty.

Czarny Korsarz przebił się przez mur ludzkich ciał i ruszył przed siebie w sam środek walki. Odrzucił kordelas i dobył szabli, która ze świstem cięła powietrze, zadawała ciosy, cięła żelazo, bez ustanku siekła na prawo i na lewo. Nikt nie potrafił parować uderzeń zadanych z taką siłą. Wokół niego otworzyła się przestrzeń. Wtem znalazł się sam pośród stosu trupów, a nogi miał unurzane w spływającej po pokładzie krwi.

W tej chwili nadbiegł z posiłkami Morgan. Udało mu się w końcu zdobyć pokład dziobowy i gotował się do wyrżnięcia niedobitków, którzy z desperacką odwagą bronili sztandaru zawieszzonego na głównym maszcie.

— Na nich! — rozkazał Morgan.

Czarny Korsarz powstrzymał go okrzykiem:

— Kamraci! Czarny Korsarz zwycięża, ale nie morduje!

Piraci powstrzymali się od ataku, a gotująca się do ciosu broń opadła.

— Poddajcie się! — krzyknął Czarny Korsarz, zbliżając się do Hiszpanów skupionych wokół sterownicy. — Darujemy wam życie w nagrodę za odwagę.

Jedyny ocalały z podoficerów wystąpił naprzód, rzucając na pokład poplamiony krwią topór.

— Pokonaliście nas — powiedział ochrypłym głosem. — Zróbcie z nami, co chcecie.

— Podnieś swój topór, panie — odparł szlachetnie Czarny Korsarz. — Marynarze tak dzielnie broniący swego statku, choć daleko pływa on od macierzystego portu, zasługują na szacunek.

Przyjrzał się ocalałym, nie poświęcając więcej uwagi osłupiałemu oficerowi, który stał jak wryty, albowiem w tego typu bitwach piraci bardzo rzadko akceptowali dobrowolne poddanie się i prawie nigdy nie darowali wolności bez zażądania okupu.

Bitwę przeżyło tylko osiemnastu obrońców, z których prawie wszyscy byli ranni. Złożyli już broń i z ponurą rezygnacją czekali na swój los.

⁷²rufówka — nadbudowa na rufie statku, sięgająca od burty do burty. [przypis edytorski]

⁷³drabliny, drablinki a. wyblinkki — krótkie, poziome linki łączące dwie sąsiednie wanty (liny stabilizujące maszt), tworzące w ten sposób szczeble drabiny linowej przeznaczonej do wspinania się na maszt. [przypis edytorski]

⁷⁴wanta — lina bocznie usztywniająca maszt, w płaszczyźnie pionowej prostopadłej do osi statku; wanty występują symetrycznie na obu burtach. [przypis edytorski]

— Morgan — odezwał się Czarny Korsarz — każ opuścić na wodę dużą szalupę z zapasami na siedem dni.

— Puszczasz ich wolno? — z pewnym żalem zapytał zastępcę.

— Tak, panie Morgan — doceniam i nagradzam śmiałość i odwagę.

Na te słowa oficer wystąpił i powiedział:

— Dziękuję, kapitanie. Na zawsze zapamiętam wspaniałomyślność tego, którego zważam Czarnym Korsarzem.

— Zamilcz. Odpowiedz lepiej na moje pytania.

— Słucham, kapitanie.

— Skąd płyniecie?

— Z Vera Cruz⁷⁵.

— Gdzie zamierzaliście rzucić kotwicę?

— W Maracaibo.

— Gubernator was oczekuje? — spytał Czarny Korsarz, marszcząc czoło.

— Nic mi o tym nie wiadomo, kapitanie. Tylko nasz dowódca mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

— Masz rację. Do czyjej floty należał ten statek?

— Do floty admirała Toledo.

— Macie jakiś ładunek?

— Kule i proch.

— Możesz odejść.

Oficer spojrział na niego z pewnym zakłopotaniem, które nie umknęło uwadze pirata.

— Chcesz coś dodać? — zapytał.

— Są jeszcze inne osoby na pokładzie, kapitanie.

— Jeńcy?

— Nie, kobiety i służby.

— Gdzie się znajdują?

— W nadbudówce na rufie.

— Kim są te kobiety?

— Kapitan nie wyjawiał nam tego, ale myślę, że jedna z kobiet pochodzi ze szlacheckiego rodu.

— Kto to może być?

— Myślę, że jedna z nich to księżniczka.

— Na wojennej fregacie? — zdziwił się Czarny Korsarz. — Gdzie wsiadła na pokład?

— W Vera Cruz.

— Dobrze. Uda się z nami na Tortugę, a jeśli będzie chciała odzyskać wolność, musi zapłacić okup, który wyznaczy moja załoga. Pomyślnych wiatrów! Obyście szczęśliwie dopłynęli do brzegu.

— Dziękuję, panie.

Piraci opuścili na wodę dużą szalupę, którą zaopatrzone w żywność i zapasy wody na osiem dni, a także w kilka muszkietów i zapas prochu.

Oficer wraz z pozostałą przy życiu załogą opuścił statek i wsiadł do łodzi. Z grotmasztu ściągnięto majestatyczną, hiszpańską flagę. Ten sam los spotkał flagę powiewającą na bezanmaszcie. W ich miejsce wciągnięto czarne, korsarskie bandery, co powitano dwukrotnym wystrzałem armatnim.

Czarny Korsarz usiadł na dziobie i obserwował szalupę, która szybko oddalała się na południe, tam, gdzie szeroko rozlewała się zatoka Maracaibo.

Kiedy oddaliła się wystarczająco, zszedł na pokład i mruknął do siebie:

— I to są ludzie tego zdrajcy!

Spojrzał na swoją załogę. Wszyscy byli zajęci przenoszeniem rannych do zaimprovizowanego na pokładzie punktu opatrunkowego i owijaniem ciał poległych w płótna, w których zostaną później pochowani w morzu. Czarny Korsarz gestem przywołał Morgana.

⁷⁵Vera Cruz — ob. Veracruz, miasto portowe w Meksyku, nad Zat. Meksykańską; zał. w 1519 przez Cortezę, było pierwszą hiszpańską osadą na terenie ob. Meksyku, w XVI–XVII w. stanowiło najważniejszy port hiszpańskiej Ameryki. [przypis edytorski]

— Powiedz moim ludziom — oznajmił — że rezygnuję na ich korzyść z części udziałów przypadających mi ze sprzedaży tego statku.

— Kapitanie! — zawołał zaskoczony Morgan. — Przecież dobrze wiesz, że ten statek wart jest tysiące piastrow!

— A co mnie mogą obchodzić pieniądze? — ze wzgardą odparł Czarny Korsarz. — Nie dla nich prowadzę tę wojnę. Nie robię tego z chciwości lub dla bogactw. Poza tym otrzymałem już swoją część.

— To nieprawda, panie.

— Moją częścią jest dziewiętnastu więźniów, którzy musieliby zapłacić okup, by wykupić się z niewoli na Tortudze.

— Nie byli wiele warci. Wszyscy razem wzięci nie zapłaciliby więcej niż tysiąc piastrow.

— Mnie to wystarczy. Powiedz moim ludziom, że mają wyznaczyć okup za księżniczkę, która znajduje się na pokładzie tego statku. Gubernatorzy Vera Cruz i Maracaibo zapłacą, jeśli będą chcieli ujrzeć ją na wolności.

— Nasi piraci kochają pieniądze, ale jeszcze bardziej kochają swego kapitana i oddadzą ci także więźniów z nadbudówki.

— Pomyślimy o tym później — odparł Czarny Korsarz, wzruszając ramionami.

Po tych słowach odwrócił się w kierunku rufy, gdy wtem drzwi od nadbudówki otworzyły się gwałtownie i ukazała się w nich dziewczęca postać, a za nią dwie służki i dwóch służących w eleganckich liberiach.

Dama

Była to niezwykle urody młoda, wysoka i smukła dama o delikatnie zarumienionej twarzy. Tak potrafią pąsowieć tylko kobiety pochodzące z krajów północy, zwłaszcza Angielki i Dunki.

Miała jasnozłociste włosy, w których przeplatały się srebrne refleksy; błękitna opaska zdobiona perłami podtrzymywała jej złote pukle, które zebrane w długi warkocz spływały jej falami na plecy. Jej pięknie wykrojone oczy o trudnym do określenia kolorze lśniły stalowoszarą blaskiem. Oprawę oczu zamykały kształtne brwi, które o dziwo nie były jasne jak jej włosy, lecz czarne.

Dziewczę to — a bez wątpienia było to dziewczę, gdyż nie miała jeszcze należycie rozwiniętych kobiecych kształtów — odziane było w elegancką suknię z błękitnego jedwabiu, ozdobioną bardzo modnym w owym czasie prostym, koronkowym kołnierzykiem, pozbawionym złotych i srebrnych haftów. Kilka sznurów pereł, wartych z całą pewnością kilka tysięcy piastrow, oplatało jej szyję, a w jej uszach mieniły się pysznie dwa szmaragdy, kamienie niezwykle rzadkie i cenione w tamtych czasach. Zza jej pleców wyłoniły się — jedna piękniejsza od drugiej — dwie urodziwe Mulatki⁷⁶ o skórze połyskującej miedzią, najprawdopodobniej służące, oraz dwóch służących, podobnie jak i one Mulatów.

Na widok pokładu zasłanego trupami, rannymi, bronią i połamanym takielunkiem, zasypanym kulami armatnimi i zbryzganym krwią, na twarzy dziewczęcia pojawił się niesmak. Cofnęła się odrobinę, jakby chciała zamknąć się na powrót w nadbudówce, by oszczędzić sobie tego okropnego widoku. Spozrzęła jednak Czarnego Korsarza, który zatrzymał się cztery kroki od niej i marszcząc brwi, przemówiła do niego:

— Co tu się wydarzyło?

— Możesz się domyślić, pani — odparł Czarny Korsarz, kłaniając się. — Miała tu miejsce straszna bitwa, która zakończyła się klęską Hiszpanów.

— A ty kim jesteś?

Czarny Korsarz odrzucił zakrwawioną szablę, którą wciąż trzymał w dłoni, i z gracją uchylił pierzastego kapelusza, uprzejmie mówiąc:

— Pani, jestem szlachcicem przybyłym tu zza oceanu.

— Ale to mi niewiele mówi o tym, kim jesteś — odparła odrobinę udobruchana grzecznością pirata.

— Jestem Emilio z Roccanery, pan na Valpencie i Ventimiglii, choć na tych wodach znany jestem pod innym imieniem.

— Jakim?

— Czarny Korsarz.

⁷⁶Mulat — potomek białego mężczyzny i Murzynki lub białej kobiety i Murzyna. [przypis edytorski]

Na dźwięk tego imienia przez piękną twarz panny przemknął cień strachu. Jej różowa skóra stała się biała niczym alabaster.

— Czarny Korsarz... — wyszeptła, patrząc na niego zagubionym wzrokiem. — Bezlitosny korsarz z Tortugi, nieprzejednany wróg Hiszpanów.

— Chyba jesteś w błędzie, pani. Mogę walczyć z Hiszpanami, ale nie mam powodów, by ich nienawidzić. Dowodem na moje słowa niech będzie to, co uczyniłem z ocalałymi z rzezi marynarzami. Czy widzisz w oddali, na horyzoncie, czarny punkt, jakby zawieszony w przestrzeni? To łódź z dziewiętnastoma hiszpańskimi marynarzami na pokładzie, których puściłem wolno, choć zgodnie z prawem wojennym mogłem ich zabić albo uwięzić.

— Czyżby zatem mylili się ci, którzy przedstawiają cię jako najstraszliwszego pirata z Tortugi?

— Być może — potwierdził pirat.

— A co uczynisz ze mną?

— Jedno pytanie, pani.

— Słucham.

— Skąd jesteś?

— Jestem Flamandką⁷⁷.

— Księżniczką, jak słyszałem.

— Zgadza się — z niezadowoleniem odparła dama, jakby uraziła ją wiedza pirata na temat jej wysokiej pozycji społecznej.

— Jak masz na imię?

— To konieczne?

— Jeśli pragniesz odzyskać wolność, tak, to ważne, bym wiedział, kim jesteś.

— Wolność? Ach! Tak, to prawda, zapomniałam, że jestem twoim więźniem.

— Nie moim, lecz piratów. Jeśli chodzi o mnie, oddałbym ci moją najlepszą łódź i moich najbardziej zaufanych marynarzy i kazałbym im odwieźć cię do najbliższego portu, ale nie mogę łamać praw ustanowionych przez Bractwo Wybrzeża.

— Dziękuję — odpowiedziała, uśmiechając się ujmująco. — Byłoby to doprawdy zaskakujące, gdyby mężczyzna pochodzący z rycerskiego rodu książąt sabaudzkich był nikim innym jak pospolitym, morskim złodziejaszkiem.

— Harde to słowa dla pirackiej braci! — odparł Czarny Korsarz, marszcząc czoło. — Morski złodziejaszek! Nie wiesz, pani, ilu z nich mści się w słusznej sprawie! Czy Montbars „Tępicieł” nie prowadził wojny po to, by pomścić biednych Indian, wyniszczonych przez niezaspokojoną chciwość hiszpańskich poszukiwaczy przygód? Kto wie, może pewnego dnia będzie ci dane dowiedzieć się, z jakiego powodu szlachcic z rodu książąt sabaudzkich żegluje po wodach wielkiej Zatoki. Twoje imię?

— Honorata Willerman, księżniczka Weltrendrem.

— Bywaj zdrowa, pani. Tymczasem pozostań w saloniku na rufie. My zaś musimy spełnić smutny obowiązek pochowania ciał przyjaciół poległych w walce, lecz wieczorem będę cię oczekiwał na kolacji na pokładzie mojego statku.

— Dziękuję, panie — odparła, podając mu swoją białą, dziewczęcą dłoń o smukłych palcach.

Skłoniła lekko głowę i wycofała się wolno, lecz przed zamknięciem drzwi odwróciła się jeszcze. Widząc, że Czarny Korsarz stoi wciąż w tym samym miejscu z kapeluszem w ręku, posłała w jego stronę ostatni uśmiech.

Pirat nie poruszył się. Nachmurzony, uparcie świdrował wzrokiem drzwi kajuty.

Stał tam przez chwilę, jakby jakaś uporczywa myśl przykuła go do miejsca, a przed oczami zmaterializowała się ulotna wizja, po czym potrząsnął głową i powiedział pod nosem:

— Głupstwa!

⁷⁷Flamandowie — ludność zamieszkująca głównie belgijską część szeroko rozumianej Flandrii, mówiąca językiem niderlandzkim oraz jego odmianą określaną jako język flamandzki. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XII. PIERWSZE UNIESIENIE

Zażarta bitwa pomiędzy dwoma statkami była oplakana w skutkach dla obu stron. Ponad dwieście trupów zaścielało pokład, dziób i rufę hiszpańskiego żaglowca. Część Hiszpanów poległa od wybuchu granatów rzucanych przez korsarskich obserwatorów z bocianiego gniazda i z rei, inni zginęli w ogniu muszkietowych salw i od pistoletowych kul, a jeszcze inni od ran klutych zadanych białą bronią.

Hiszpańska załoga uszczupliła się o stu sześćdziesięciu marynarzy, zaś piraci stracili czterdziestu ośmiu ludzi, nie licząc dwudziestu sześciu rannych, którzy zostali opatrzeni w wyznaczonym miejscu na pokładzie „Błyskawicy”.

Nie tylko załogi poniosły straty, także same statki ucierpiały niemało w czasie kano-nady. Dzięki szybkiemu atakowi i zwrotności „Błyskawica” straciła tylko kilka łatwych do naprawy rei, do których nie brakowało części wymiennych. Do tego w kilku miejscach miała uszkodzone burty i przyrządy sterownicze. Okazało się to naprawdę drobnostką w porównaniu do fregaty, która była teraz podziurawioną krypą i nie nadawała się do dalszej żeglugi.

Kule armatnie zgruchotały jej ster; grotmaszt, u stóp którego wybuchł pocisk, chwiaił się, jakby miał za chwilę runąć, zaś bezanmaszt stracił wiele want i część sztagów, a burty były poważnie uszkodzone.

Mimo tych wszystkich strat był to wciąż piękny żaglowiec, który po odpowiedniej naprawie można by sprzedać na Tortudze ze znacznym zyskiem, zwłaszcza że wyposażony był w liczne otwory strzelnicze i dobre uzbrojenie, co było bardzo pożądane przez karaibskich piratów, którym zwykle brakowało jednego albo drugiego.

Czarny Korsarz obejrzał szkody wyrządzone podczas walki. Rozkazał oczyścić pokład z trupów i wykonać najpilniejsze naprawy. Śpieszno mu było opuścić te okolice; obawiał się bowiem, że z pobliskiego wciąż Maracaibo admirał Toledo mógłby go niespodziewanie zaskoczyć na pełnym morzu.

Smutny obowiązek usuwania ciał marynarzy z pokładu został spełniony. Poległych owinięto parami w płótno, które obciążono kulą armatnią przywiązaną do ich nóg. Ciała wrzucono do morza, lecz wcześniej odebrano im wszelkie wartościowe przedmioty; Carmaux i Van Stiller, którzy tylko zrzędzeniem losu uniknęli śmierci, śmiali się, że morskie stworzenia i tak nie miałyby z nich żadnego pożytku.

Po tej żałobnej ceremonii załoga pod kierunkiem bosmanów i kwatermistrza uprzątnęła pokład z odłamków, zmyła wodą krew z desek i wymieniła uszkodzone części i strzaskane przez kule przyrządy sterownicze.

Na zdobyczym okręcie ścięto grotmaszt, a bezanmaszt wzmocniono dodatkowymi belkami, zaś w miejsce sterownicy zamontowano olbrzymich rozmiarów wiosło, gdyż w składziku cieśli okrętowego nie znaleziono niczego innego, co mogłoby ją zastąpić.

Mimo tych wszystkich napraw żaglowiec wciąż nie nadawał się do żeglugi. Postanowiono więc, że „Błyskawica” weźmie go na hol, co było na rękę Czarnemu Korsarzowi, który nie chciał rozdzielać i tak mocno już uszczuplonej załogi. Z rufy „Błyskawicy” zrzucono więc pokazałą cumę, którą przymocowano do dziobu fregaty.

O zachodzie słońca piraci podnieśli żagle i wolno pożeglowali na północ, pragnąc jak najszybciej dobić do bezpiecznego portu wyspy o straszliwej sławie.

Przed zapadnięciem nocy Czarny Korsarz wydał ostatnie zarządzenia i nakazał podwoić wachty. Po porannej potyczce nie czuł się w pełni bezpieczny tak blisko wenezuelskich wybrzeży. Poleciał też Carmaux i Mokowi popłynąć na fregatę po flamandzką księżniczkę.

Gdy dwaj piraci odpływali szalupą w stronę holowanego przez „Błyskawicę” statku, Czarny Korsarz krążył po pokładzie, podrygując nerwowo, co było u niego oznaką wielkiego ożywienia i głębokiego podenerwowania.

Targały nim emocje — rozdrażnienie i niepokój — którym zwykle nie pozwalał sobą zawładnąć. Co rusz zatrzymywał się, jakby gnębiła go jakaś natrętna myśl. Krążył wokół Morgana, który trzymał wachtę na dziobie, sprawiając wrażenie, jakby chciał z nim o czymś porozmawiać, ale ostatecznie odwracał się do niego plecami i wracał na rufę.

Nachmurzył się jak zwykle, a może nawet bardziej. Trzykrotnie wchodził na kasztel i spoglądał na hiszpański żaglowiec, ze zniecierpliwieniem machając ręką, i trzykrotnie zeń zbiegał, zatrzymując się dopiero na dziobie, z oczyma utkwionymi w tarczę księżycą,

który powoli wschodził nad horyzontem, rozlewając na powierzchni morza srebrzystą poświatę.

Gdy do jego uszu dobiegł dźwięk szalupy ocierającej się o burtę, pośpieszył do drabinki zawieszanej na bakburcie.

Honorata wspinała się lekko jak ptak, prawie nie przytrzymując się szczebelków. Miała na sobie poranne szaty, lecz głowę osłoniła obszernym szalem z barwnego jedwabiu, przetykanym złotą nicią i obszytym frędzlami.

Czarny Korsarz czekał na nią z kapeluszem w ręku, z lewą dłonią opartą na szpadzie.

— Dziękuję, pani, że zechciałaś zaszczyścić mój statek swoją obecnością — powitał ją.

— To ja powinnam ci podziękować za to, że zechciałeś mnie tu zaprosić — odparło dziewczę, pochylając lekko głowę. — Nie zapomniałam, że jestem twoim więźniem.

— Nawet morski rozbójnik wie, co to dobre maniery — odparł z lekką ironią Czarny Korsarz.

— Masz do mnie żal za nieopatrnie wypowiedziane rano słowa?

Czarny Korsarz nie odpowiedział. Skinieniem ręki zachęcił ją, aby poszła za nim.

— Chciałabym zadać ci pytanie — powstrzymała go.

— Mów.

— Nie masz nic przeciw temu, że zabrałam ze sobą jedną z moich służ?

— Nie, pani. Myślałem, że zabierzesz je obie.

Rycersko zaoferował jej swoje ramię i zaprowadził do kajuty w nadbudówce.

Ta niewielka przestrzeń pod górnym pokładem była umeblowana z elegancją i z przepychem, który zadziwił nawet młodą księżniczkę, przyzwyczajoną przecież do największych luksusów.

Najwyraźniej Czarny Korsarz, mimo pirackiego trybu życia, nie zrezygnował całkiem z wygod, do jakich przywykł w swoich zamorskich włościach.

Na ścianach obitych niebieskim jedwabiem przesywanym złotą nicią wisiały wielkie lustra weneckie, a podłoga niknęła pod miękkim, wschodnim dywanem. W oknach, które wychodziły na morze, wisiały muślinowe zasłony.

W narożnikach stały kredensy ze srebrną zastawą, zaś pośrodku salonu pysznił się bogato zastawiony stół, nakryty śnieżnobiałym, flandryjskim⁷⁸ obrusem. Wokół niego ustawiono wygodne fotele z metalowymi ćwiekami, obite błękitnym aksamitem.

Pomieszczenie oświetlały dwa srebrne kandelabry misternej roboty, które rzucały światło na lustra i na wiszące nad drzwiami skrzyżowane szable.

Czarny Korsarz zaprosił młodą damę i jej służącą, by usiadły i się rozgościły, po czym zajął miejsce naprzeciw. Do stołu podawał silny jak Herkules Moko, serwując potrawy prosto na srebrne talerze, na których wyryty był nikomu nieznany herb, prawdopodobnie należący do samego kapitana. Przedstawiał skałę z czterema orłami na szczycie i z trudnym do odgadnięcia rysunkiem.

Posiłek składał się głównie ze świeżych ryb, które kucharz przyrządził po mistrzowsku na różne sposoby. Oprócz tego na stole znalazły się solone mięso, słodczyce i tropikalne owoce, a także wybór hiszpańskich i włoskich win. Czas kolacji upłynął w milczeniu. Czarny Korsarz nie kwapił się do rozmowy, a i Flamandka nie śmiała wrywać go z zadumy.

Gdy zaserwowano czekoladę — wedle hiszpańskiego zwyczaju — w niewielkich, porcelanowych filiżankach, Czarny Korsarz zdecydował się w końcu przerwać niezręczną ciszę.

— Wybacz mi, pani — zwrócił się do swego gościa — że podczas posiłku się zasępiłem i nie byłem dla ciebie najweselszym towarzyszem. Ale kiedy zapada zmrok, noc spowija też moją duszę, a myśli moje biegną do przepastnych otchłani Wielkiej Zatoki i ulatują ku okrytym mgłom krainom, których brzegi obmywa Północne Morze. Wiele ponurych wspomnień dręczy mój umysł i serce!

— Ciebie, panie? Najdzielniejszego z piratów? — zdziwiła się dziewczyna. — Przemierzasz morza na swoim statku, który zwycięża w walce inne okręty, masz przy sobie odważnych ludzi, którzy zawsze pójdą za ciebie na śmierć, nie brak ci skarbów i bogactw, jesteś jednym z najzuchwalszych pirackich przywódców! I ty się smuczysz?

⁷⁸flandryjski — pochodzący z Flandrii, krainy hist. w ob. pln. Belgii. [przypis edytorski]

— Popatrz na moje ubranie i pomyśl o moim imieniu. Czy to wszystko samo w sobie nie jest żalobne?

— To prawda — przyznała dziewczyna, uderzona słuszością tych słów. — Nosisz szaty ciemne niczym noc, a piraci nadali ci imię, przed którym wszyscy drżą. Jakiś czas temu przebywałam w Vera Cruz, w gościnie u markiza d'Hereditas; snuto tam na twój temat opowieści, które każdego przyprawiają o ciarki.

— Jakie, pani? — zapytał pirat z szyderczym uśmiechem. W jego oczach zapłonął mroczny ogień. Patrzył na dziewczynę długo i tak przenikliwie, jakby próbował wyczytać coś w jej duszy.

— Słyszałam, że Czarny Korsarz, gnany żądzą straszliwej zemsty, przepłynął Atlantycką Oceanem z dwoma braćmi; jeden z nich ubierał się w czerwień, drugi w zieleń.

— Ach, tak! — pirat nachmurzył się.

— Mówili mi, że jesteś człowiekiem ponurym i milczącym. Kiedy huragany gniewnym szaleem ogarniały Antyle, ty na przekór wiatrom i falom, gardząc śmiercią i niebezpieczeństwem, wychodziłeś w morze i żeglowałeś po wodach Zatoki i chroniony przez piekielne moce nieustraszenie wyzywałeś na pojedynek siły natury.

— Co jeszcze mówiono? — powiedział Czarny Korsarz, podnosząc głos.

— Mówiono, że korsarzy ubranych w zieleń i czerwień powieszono, a stało się to za sprawą człowieka, który jest twoim śmiertelnym wrogiem, i że...

— Tak? — zachęcał Czarny Korsarz ponurym tonem swoją rozmówczynię.

Lecz młoda dama nie dokończyła. Wbiła w pirata spojrzenie, w którym niepokój mieszał się ze strachem.

— Czemu przerwałaś swą opowieść? — zapytał.

— Brak mi odwagi — odparła z wahaniem.

— Boisz się mnie, pani?

— Nie, ale...

Po czym wstała i szorstko zapytała:

— To prawda, że przywołujesz zmarłych?

Naraz, nieoczekiwanie, ogromna fala rozbija się o burtę, aż echo poniosło się po ładowni. Wodna grzywa zbryzgała pianą okna saloniku, mocząc zasłony.

Pirat zerwał się na nogi blady jak ściana i spojrzał na dziewczynę. W jego czarnych jak smoła oczach widać było ogromne poruszenie. Podeszedł do okna, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.

Morze było spokojne, jego powierzchnia lśniła w bladym świetle księżyca. Lekka bryza, która napinała żagle „Błyskawicy”, delikatnie marszczyła taflę wody.

Jednak o lewą burtę wciąż biła spieniona woda, jakby kotłowały się tam ogromne bałwany morskie, powstałe za przyczyną jakiejś tajemniczej siły lub niewytłumaczalnego zjawiska.

Czarny Korsarz znieruchomiał. Skrzyżował ręce na piersi i w ciszy obserwował morze, próbując płonącym spojrzeniem przeniknąć jego czeluści.

Księżniczka na palcach zbliżyła się do niego. Ona też była blada, podszyta irracjonalnym lękiem.

— Czemu tak się przyglądasz, panie? — zapytała słodkim głosem.

Czarny Korsarz nie poruszył się, jakby w ogóle jej nie słyszał.

— O czym myślisz? — ponowiła pytanie.

— Zastanawiałem się — odpowiedział smutno — czy pochowani w głębinach morza zmarli mogą opuścić mogiłę morskiej otchłani jako upiory?

Dziewczynę przeszedł dreszcz.

— O których zmarłych mówisz? — zapytała po chwili milczenia.

— O tych, którzy umarli i nie zostali pomszczeni.

— O twoich braciach?

— Być może — wyszeptał Czarny Korsarz.

Szybkim krokiem podeszedł do stołu i napełnił białym winem dwa puchary. Po chwili odezwał się do niej z wymuszonym uśmiechem, który zupełnie nie pasował do jego bladej twarzy.

— Twoje zdrowie, pani! Noc upływa, a ty musisz wrócić na swój statek.

— Noc jest spokojna, panie. Nic nie grozi łodzi, która ma mnie odwiedzić z powrotem.

Ponure spojrzenie Czarnego Korsarza rozjaśniło się odrobinę.

— Chcesz dotrzymać mi towarzystwa? — zapytał.

— Jeśli ci się nie naprzykrzam.

— Wręcz przeciwnie. Życie na morzu jest ciężkie; chwile wytchnienia takie jak ta zdarzają się rzadko. Lecz jeśli mnie wzrok nie myli, coś każe ci tu zostać.

— Być może.

— Mów! Mój smutek już przeminął.

— Powiedz mi, panie, to prawda, że opuściłeś swoją ojczyznę i przybyłeś tu, by dokonać strasznej zemsty?

— Zgadza się, i nie zaznam spokoju ani na morzu, ani na ziemi, dopóki jej nie stanie się zadość.

— Tak bardzo nienawidzisz tego człowieka?

— Tak bardzo, że wylałbym ostatnią kroplę krwi, byle tylko go zabić.

— Co takiego ci zrobił?

— Zniszczył moją rodzinę, pani, ale dwie noce temu złożyłem straszną przysięgę i dotrzymam jej, choćbym miał cały świat przemierzyć i otworzyć trzewia ziemi, by osiągnąć mego śmiertelnego wroga i wszystkich, którym przyszło nosić jego nazwisko.

— Ten człowiek żyje tutaj w Ameryce?

— W jednym z miast Zatoki.

— A jego imię? — spytała dziewczyna z wielkim niepokojem. — Czy mogę je poznać?

Czarny Korsarz nie odpowiedział, zamiast tego zająknął jej w oczy.

— Chcesz je poznać? — powiedział po kilku chwilach. — Nie należysz do pirackiego bractwa, zdradzenie ci go mogłoby być poważnym błędem.

— Panie! — krzyknęła, blednąc.

Czarny Korsarz potrząsnął głową, odpędzając od siebie natrętną myśl, po czym, wyraźnie wzburzony, podniósł się gwałtownie i zaczął nerwowo spacerować.

— Już późno. Musisz wracać na statek.

Odwrócił się w stronę Moka, który stał pod drzwiami nieruchomy niczym bazaltowy posąg:

— Szalupa gotowa?

— Tak, kapitanie.

— Kto nią dowodzi?

— Biały przyjaciel i jego kompan.

— Chodź, pani.

Młoda niewiasta narzuciła sobie na głowę szal i wstała.

Czarny Korsarz bez słowa podał jej ramię i zaprowadził na pokład. Odprowadzając ją do szalupy, dwukrotnie zatrzymał się, by spojrzeć jej w twarz. Stłumił westchnienie.

— Żegnaj — powiedział, gdy dotarli do drabinki.

Dziewczyna podała mu swą drobną dłoń i dreszcz ją przeniknął, gdy poczuła, że cały drży.

— Dziękuję za gościnę, panie — wyszeptła.

Czarny Korsarz skinął głową w milczeniu i wskazał jej Carmaux i Van Stillera czekających u stóp drabinki.

Młoda dama zeszła do szalupy, a za nią jej służąca. Gdy znalazła się na dole, uniosła głowę i zobaczyła, jak Czarny Korsarz wychylony za burtę odprowadza ją wzrokiem.

Księżniczka wraz ze służącą zajęła miejsce z tyłu łodzi, podczas gdy Carmaux i Van Stiller zabrali się do wiosłowania.

W ciągu kilku chwil szalupa znalazła się przy burcie hiszpańskiej fregaty, która wzięta na hol leniwie płynęła śladem „Błyskawicy”.

Księżniczka weszła na pokład, lecz nie udała się od razu do swej kajuty. Wspięła się na dziób i spojrzała w stronę korsarskiego żaglowca. Na rufie, w świetle księżyca, rysowała się wyraźnie ciemna sylwetka Czarnego Korsarza, a długie pióro u kapelusza powiewało na wietrze.

Stał tam nieruchomy, z nogą opartą o burtę, prawą ręką podpierał się pod bokiem, a lewą zaciskał na groźnej szabli. Nieruchome spojrzenie utkwilił nie gdzie indziej, tylko w dziobie hiszpańskiego okrętu.

— Zobacz, to on! — rzekła dziewczyna do służącej. — Smutny szlachcic zza morza. Co za przedziwny człowiek!

ROZDZIAŁ XIII. Tajemniczy urok

„Błyskawica” wolno płynęła ku północy; zmierzała w kierunku San Domingo i wybrzeży Kuby, by przepłynąć przesmyk, który te dwie wyspy tworzą między sobą.

Nie rozwijała znacznych prędkości, a to z tego względu, że stale była spychana przez prąd morski zwany Gólfstromem, który transportuje przez Atlantyk ogromne masy wody, by potem z wielką siłą wepchnąć je do Morza Karaibskiego. Prąd ten płynie następnie aż do wybrzeży Ameryki Środkowej i zatacza olbrzymie koło, omywając brzegi Zatoki Meksykańskiej, Bahamów i wreszcie południowego wybrzeża Florydy. Oprócz tych przeszkód, które marynarzom zgotowała natura, żeglugę statku opóźniała też wzięta na hol fregata, a wiatry nie były pomyślne.

Na szczęście niebo było pogodne, co stanowiło okoliczność wielce sprzyjającą: szalejące sztormy mogłyby znacznie utrudnić holowanie z takim trudem zdobytego łupu i zmusić piratów do jego porzucenia. Nawałnice nawiedzające antylskie wyspy są do tego stopnia przerażające, że trudno sobie wyobrazić podobny żywioł.

Karaibskie wysepki, które sama natura pobłogosławiła wszelkim urodzajem, żyzną głębą, nieporównywalnym do żadnego innego na świecie klimatem, a także niespotykanym nigdzie indziej najczystszy błękitem nieba, na którym nie ma ani jednej chmurki, głównie za sprawą wschodniego wiatru i Prądu Zatokowego, zbyt często nawiedzają przerażające kataklizmy, których gniew rozpętuje się w jednej chwili.

Ze wszystkich stron atakują je wtedy gwałtowne nawałnice, które niszczą bujne, dorodne sady, wyrywają z korzeniami całe połacie lasów, burzą miasta i osady; tragiczne w skutkach podwodne wstrząsy burzą się w głębinach i wywołują wielkie fale, które rozbijają się o wybrzeża, zmiatając wszystko, co napotkają na swej drodze, urywając statki z kotwic i rzucając wraki na zniszczone wsie. Potworne trzęsienia ziemi, które nawiedzają świat, grzebią pod gruzami tysiące istnień.

Piratom jednakże przyświecała pomyślna gwiazda i sprzyjające żegludze warunki utrzymywały się, co pozwalało im spokojnie płynąć w stronę Tortugi.

„Błyskawica” łagodnie sunęła po przejrzystym niczym kryształ szmaragdowym morzu, a na głębokości stu ramion przeblyskiwało bielusieńkie dno Zatoki, całe wysyćlane koralowymi rafami.

Światło, które załamywało się na piaszczystych łachach, czyniło wodę jeszcze jaśniejszą i bardziej przejrzystą. Temu, kto po raz pierwszy spogląda w tę toń, może od tego widoku zakręcić się w głowie.

W morskich głębinach ryby różnych gatunków pływały we wszystkich kierunkach, baraszkowały ze sobą, ścigały się i pożerały nawzajem. Od czasu do czasu pojawiały się długie na dwadzieścia stóp przerażające rekiny, które mocnymi uderzeniami ogona wybijały się z morskiej toni. Te drapieżniki, zwane rybami młotami, mają charakterystyczny pysk w kształcie młota, z którego sterczą długie, trójkątne zęby, oraz duże, pozbawione wyrazu oczy osadzone na zewnętrznych krawędziach głowy; należą one do rodziny rekinów i są bardzo podobne do swych krwiożerczych pobratymców.

Dwa dni po bitwie powiał silniejszy wiatr i „Błyskawica” szybciej pomknęła w kierunku południowych wybrzeży Kuby, pokonując bez najmniejszego trudu przesmyk oddzielający Jamajkę od zachodniego wybrzeża Haiti.

Czarny Korsarz nie opuszczał kajuty. Dopiero gdy obserwator zgłosił, że na horyzoncie majaczą łańcuchy górskie Jamajki, wyszedł na mostek.

W jego duszy zrodził się niewytłumaczalny niepokój, który dręczył go od chwili, gdy gościł na statku flamandzką księżniczkę.

Nie odzywał się do nikogo, nawet do Morgana. Nerwowym krokiem chodził tam i z powrotem, ani na chwilę nie przystając.

Posiedział pół godziny na mostku, spoglądając roztargnionym wzrokiem w kierunku rysującego się wyraźnie na tle jasnego horyzontu pasma górskiego, które niemalże pionowo wyrastało z wody. Po chwili jednak zszedł na pokład i zasłaniając twarz szerokim

Morze

rondem kapelusza, krążył nerwowo między masztami. Naraz jakby uderzyła go jakaś myśl, której rozkazu musiał usłuchać: wrócił na mostek, wszedł na rufę i stanął przy burcie.

Jego wzrok powędrował w stronę fregaty płynącej w odległości około sześćdziesięciu kroków.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Drgnął i cofnął się; jego ponura, blada twarz rozjaśniła się na ułamek sekundy, a nawet lekko zarumieniła.

Na dziobie dojrzał białą postać opartą o kołowrót. Była to młoda Flamandka, owinięta w długi płaszcz. Jasne, rozpuszczone włosy w malowniczym nieładzie opadały jej na ramiona, a bryza morska igrała z nimi, splątując je ze sobą.

Postać spoglądała w stronę „Błyskawicy”, prosto w miejsce, gdzie znajdował się Czarny Korsarz. Podbródek wsparła na dłoniach i zastygła nieruchomo w zamyślonej pozie.

Czarny Korsarz nie uczynił żadnego gestu, nawet jej nie pozdrowił. Złapał się obiema rękami burty, jakby bał się, że coś może go od niej oderwać, i wpatrywał się w oczy dziewczyny. Fascynowało go to stalowoszare spojrzenie, zapierało mu dech w piersiach.

Czar, który go ogarnął, obcy człowiekowi o takim harcie ducha, ulotnił się po kilku chwilach.

Czarny Korsarz niemal natychmiast pożałował, że dał się zahipnotyzować spojrzeniu dziewczyny. Zdecydowanym ruchem oderwał ręce od burty i cofnął się.

Spojrzał na sternika, który stał dwa kroki od niego, potem przeniósł wzrok na morze, rzucił okiem na żagle. Przez cały czas się cofał, nie mogąc się zdecydować, czy zerwać to wzrokowe połączenie. Ponownie spojrzał w jej kierunku.

Dziewczyna nie poruszyła się. Oparta o kołowrót, podpierając podbródek dłońmi, pochyliła do przodu jasnowłosą główkę i wpatrywała się swoimi wielkimi oczami w pirata. Z jej nieruchomych źrenic bił intensywny, niepowstrzymany blask.

Kapitan „Błyskawicy” cofał się powoli, nie mogąc odwrócić wzroku od tego stworzenia o zjawiskowej urodzie. Był blady jak nigdy i drżał na ciele.

Aż w końcu wszedł na mostek, przystanął na chwilę, po czym zrobił kolejny krok w tył i wpadł na Morgana, który właśnie w tej chwili schodził z wachty.

— Ach! Wybacz — usprawiedliwił się zawstydzony, a jego twarz spąsowiała.

— Przyglądałeś się barwie słońca, kapitanie? — zapytał zastępca.

— Dlaczego słońca?

— Spójrz sam.

Czarny Korsarz spojrzał na dotychczas jasno świecące słońce i zauważył, że jego tarcza przybrała czerwony kolor i jarzyła się teraz niczym rozżarzone żelazo.

Spojrzał na łańcuch górski na wyspie i zobaczył, że szczyty, rozświetlone żywym płomieniem, jeszcze wyraźniej odcinają się od szafirowego nieboskłonu.

Na jego twarzy pojawił się niepokój, a wzrok znów powędrował w stronę fregaty i stojącej na dziobie dziewczyny.

— Nadciąga huragan — powiedział głucho.

— Wszystko na to wskazuje, kapitanie — zgodził się Morgan. — Nie czujesz tego mdłego zapachu, który unosi się nad wodą?

— Czuję, Morgan. Widzę też, że powietrze zaczyna się kotłować. Chyba szykuje się nam jedna z tych okropnych nawałnic, które bezlitośnie atakują antylskie wysepki.

— Racja, kapitanie.

— Będziemy zmuszeni porzucić łup?

— Chcesz rady, kapitanie?

— Tak, Morgan.

— Przenieś połowę załogi na hiszpański statek.

— Słusznie mówisz. Zwłaszcza ze względu na załogę byłoby mi przykro, gdyby taka zdobycz skończyła na dnie morza.

— Księżniczka pozostanie u siebie?

— Księżniczka... — zamyślił się Czarny Korsarz, marszcząc czoło.

— Lepiej jej będzie u nas.

— Byłoby ci przykro, gdyby poszła na dno razem ze statkiem? — rzucił Czarny Korsarz i uważnie spojrzał na Morgana.

— Myślę, że może być warta tysiące piastrow.

— No tak, zgadza się. Musi zapłacić okup.

— Chcesz kapitanie, bym ją przewiózł, zanim fale będą zbyt wysokie?
Pirat nie odpowiedział. Uporczywe myśli nie dawały mu spokoju.
Trwało to kilka chwil. W końcu zatrzymał się przed Morganem i zapytał nagle:

— Myślisz, że kobiety przynoszą pecha?
— Co masz na myśli, kapitanie? — zapytał zdziwiony zastępca.
— Potrafiłbyś bez obaw pokochać kobietę?
— Dlaczego nie?
— Nie uważasz, że stanowią one większe niebezpieczeństwo niż krwawa walka?
— Czasami tak. Czy wiesz, kapitanie, co zwykli mówić piraci i bukanierzy z Tortugi, zanim znajdą towarzyszkę życia wśród kobiet, które królestwa Francji i Anglii wysyłają tu, by znaleźć im męża?
— Nigdy nie zwracałem sobie głowy swataniem moich marynarzy.
— Mówią tak: „Niewiasto, nie pytam cię o to, co do tej pory robiłaś w miejscach, które odwiedziłaś, i rozgrzeszam cię ze wszystkiego, ale od dziś będziesz mi zdawać sprawozdanie z tego, co zrobisz”, po czym uderzają w kolbę muszkietu i ślubują: „Mój muszkiet nie zawiedzie i pomści mnie, jeśli mnie oszukasz”.

Czarny Korsarz wzruszył ramionami i powiedział:
— Miałem na myśli inne kobiety niż te, które przysyłają nam tu zamorskie królestwa.
Zatrzymał się na chwilę, spostrzegł, że dziewczyna się nie poruszyła, po czym kontynuował:

— Co powiesz o tej młodej damie, Morgan?
— Że to jedna z najpiękniejszych istot, jakie widziano na tych wodach.
— Nie obawiałbyś się jej?
— Jej? Z pewnością nie.
— A ja się jej boję, Morgan.
— Ty się jej boisz? Czarny Korsarz? Chyba żartujesz?!
— Nie — zaprzeczył pirat. — Czasem czytam w księdze mego przeznaczenia. Pewna Cyganka z mojej ojczyzny przepowiedziała mi, że pierwsza kobieta, którą pokocham, sprowadzi na mnie zgubę i nieszczęście.
— Gusła i zabobony, kapitanie.
— A co powiesz na to, że ta sama Cyganka przewidziała, że jeden z moich braci zginie zabity przez zdradę, a dwóch pozostałych powieszają? To wszystko się spełniło.
— I co dalej?
— Wróżyła mi też śmierć na morzu, daleko od ojczyzny. Wedle tej przepowiedni przyczyni się do niej kobieta, którą pokocham.
— Niech mnie piorun trzaśnie! — wzdrygnął się Morgan. — Cyganka mogła się pomylić co do czwartego brata.
— Nie sądzę — odparł Czarny Korsarz z grobową miną.
Potrząsnął głową, chwilę pomyślał i powiedział:
— Los rozstrzygnie!

Zszedł z mostku i udał się na dziób, gdzie pogrążeni w rozmowie stali Moko, Carmaux i Van Stiller. Krzyknął do nich:
— Spuście szalupę na wodę! Przywieźcie na „Błyskawicę” księżniczkę Weltendrem i jej służbę.

Piraci pośpieszyli spełnić rozkaz. Morgan tymczasem wybrał trzydziestu marynarzy, którzy mieli wzmocnić nieliczną załogę holowanej fregaty. Słusznie przewidywał bowiem, że wkrótce trzeba będzie odciąć cumę.

Kwadrans później wrócił Carmaux i pozostali piraci. Flamandka i jej służący wspięli się na pokład „Błyskawicy”, gdzie oczekiwali ich Czarny Korsarz.

— Masz mi coś pilnego do powiedzenia, panie? — zapytała patrząc mu prosto w oczy.
— Tak, pani — odparł pirat, składając ukłon.
— Co takiego?
— Musimy pozostawić okręt na łaskę losu.
— Z jakiego powodu? Ktoś nas śledzi?
— Nie, ale zagraża nam huragan. Dlatego trzeba odciąć holujące go cumy. Nie miałas jeszcze okazji poznać siły żywiołu.

— I nie chcesz, aby twojemu więźniowi coś się stało, czy tak, panie? — zapytała ze śmiechem.

— „Błyskawica” jest pewniejsza.

— Dziękuję za twą troskę.

— Nie dziękuj, pani — odpowiedział Czarny Korsarz zamyślony. — Może się okazać, że huragan komuś z nas przyniesie zgubę.

— Zgubę! — wykrzyknęła. — Komu?

— Czas pokaże.

— Ale dlaczego?

— Wszystko w rękach losu.

— Boisz się o swój statek?

Uśmiech rozjaśnił oblicze Czarnego Korsarza.

— „Błyskawica” śmiało rzuca wyzwanie nawałnicom i szkwałom, a ja jestem kapitanem, który prowadzi ją poprzez fale i wiatry.

— Wiem, ale...

— Niepotrzebnie nalegasz, pani, nic więcej nie powiem. Reszty dopełni przeznaczenie.

Wskazał jej nadbudówkę i chyląc kapelusza, rzekł:

— Przyjmij gościń, pani, ja zaś idę rzucić wyzwanie śmierci i własnemu losowi.

Włożył kapelusz i wbiegł na mostek. Tymczasem od strony Małych Antyli zwały wiatru pędziły burzę, przerywając królującą do tej pory na morzu ciszę.

Trzydziestu marynarzy przeprowiło się na hiszpański okręt. Szalupy wróciły już i załoga przy pomocy wind wciągała je właśnie na pokład.

Czarny Korsarz z mostku obserwował horyzont na zachodzie.

Ogromna, czarna chmura, o brzegach obwiedzionych ognistą czerwienią, pędziła po niebie, gnana huraganowym wiatrem. Mgła przesłoniła ostatnie promienie słońca.

— Huragan szaleje na Haiti — powiedział Czarny Korsarz do Morgana.

— Pewnie spustoszył już Małe Antyle — dodał Morgan. — Za godzinę i tu rozpęta się piekło!

— Co byś zrobił na moim miejscu?

— Szukałbym schronienia na Jamajce.

— „Błyskawica” uciekająca przed huraganem? — dumnie powiedział Czarny Korsarz. — Nigdy!

— Sam dobrze wiesz, kapitanie, jak przerażające są orkany na tych szerokościach.

— Zgadza się, i rzucam im wyzwanie. Fregata schroni się na wybrzeżu, ale nie „Błyskawica”. Kto dowodzi marynarzami na tamtym statku?

— Bosman Van Horn.

— Dzielny z niego marynarz. Pewnego dnia stanie się sławnym piratem. Nie wypuści łupy z ręki i będzie stronił od problemów.

Z tubą w rękę wspiął się na burtę na rufie i krzyknął dźwięcznym głosem:

— Thijcie cumę! Bosmanie Van Horn, kieruj się na Jamajkę. Poczekamy na was na Tortudze.

— Tak jest, kapitanie! — bosman, który czekał tylko na rozkaz kapitana, odpowiedział bez wahania. Teraz wziął do ręki siekiere i jednym ruchem przeciął linę. Odwrócił się do swojej załogi i krzyknął:

— Na chwałę Boga!

Okręt rozwinął żagle na fokmaszcie i bezanmaszcie. Główny żagiel był już całkowicie bezużyteczny. Statek wykonał zwrot i oddalił się ku widocznym na horyzoncie wybrzeżom, tymczasem „Błyskawica” zbliżyła się do zachodnich granic Haiti i południowych brzegów Kuby, po czym wpłynęła do tak zwanej Cieśniny Wiatrów⁷⁹.

Sztorm zbliżał się szybko. Gniewne podmuchy wiatru gnane od strony Małych Antyli przerwały panującą dotychczas ciszę. Fale piętrzyły się coraz wyżej.

⁷⁹ *Cieśnina Wiatrów* — cieśnina oddzielająca wyspy Kuba i Haiti, łącząca Morze Karaibskie z Oceanem Atlantyckim. [przypis edytorski]

Woda w morzu wzburzyła się. Na jej powierzchni tworzyły się spienione wiry, a masy wodne formowały się w wielkie, spiętrzone góry, które z głośnym łoskotem waliły się w otchłań.

Czarne, skłębione chmury tłoczyły się po niebie, zaciemniając nieboskłon i zachodzące słońce. Nad wzburzonym morzem zapadła ciemność, a woda wydawała się tak czarna, jakby dolano do niej smoły.

Czarny Korsarz nie przejmował się żywiołem. Wzrokiem wciąż odprowadzał hiszpański okręt, który halsując pośród fal, zniknął już za mglistym horyzontem, nieopodal brzegów wyspy.

Trochę niepokoił się o fregatę, zdawał sobie bowiem sprawę, że ich łup był przecież w złym stanie i że nie może stawić czoła wściekłym uderzeniom huraganowego wiatru. Lecz o „Błyskawicę” był całkowicie spokojny.

Kiedy w końcu stracił z oczu hiszpański okręt, wszedł na kasztel i kazał odejść sternikowi.

— Ster do mnie! „Błyskawica” jest moja!

ROZDZIAŁ XIV. HURAGANY NA ANTYLACH

Ze względu na swoje położenie w bezpośrednim sąsiedztwie Atlantyku Małe Antyle są szczególnie narażone na działanie wiejących ze wschodu porywistych wiatrów, które zwykle z dzikim impetem atakują amerykańskie wybrzeża, a zwłaszcza Portoryko i Haiti. Huragan, który napierał teraz w kierunku „Błyskawicy”, spustoszył je już bezlitośnie i całą swą niszczycielską siłą, dobrze znaną wszystkim żeglarzom, nadszedł właśnie nad Cieśninę Wiatrów.

Była to jedna z tych nocy, które przejmują grozą nawet najodważniejszych marynarzy. Po jasnym, słonecznym dniu momentalnie zapadła noc ciemna, że oko wykol. Tylko grzywy morskich bałwanów lekko mieniły się w ciemnościach.

Dwa potężne żywioły — wody i wiatru — brały się za łby; natarczywe porywy huraganu uderzały raz za razem, gwizdząc i świszcząc przeraźliwie, rwały żagle i wyginały maszty.

Przestrzeń wypełniał potężniejący z każdą chwilą łoskot. Huk był taki, jakby tysiące wozów wypełnionych żelastwem gnało po niebie w karkołomnym pędzie lub jakby obciążone ładunkiem konwoje szorowały brzuchami po metalowych mostach.

Na morzu rozpętał się żywioł. Wielkie niczym góry fale skłębioną masą biegly ze wschodu na zachód, z ponurym rykiem zwały się jedne na drugie, wyrzucając w górę fontanny fosforyzującej piany. Łamały się i stawały dęba w potwornych bryzgach, jakby jakaś niewidzialna siła, czająca się u dna, pchała je do góry, po czym opadały w najgłębszą otchłań.

„Błyskawica” odważnie stawiała czoło nawałnicy. Większość żagli zwinięto, rozpinając tylko fok i po dwa żagle na bezanmaszcie i grotmaszcie, refując je uprzednio do pożądanej wysokości. Mknęła teraz niczym ptak, lekko muskając czubki fal. Czasem wspinała się na wierzchołki wodnych bałwanów i cięła dziobem bulgoczącą kipieli, celując bukszprytem w ciemne chmury skłębione na nieboskłonie, by po chwili znów pędzić w dół wśród zwałów wodnych w samo serce oceanu. Miotana sztormem, raz po raz nurzała noki⁸⁰ w spienionych falach, ale mocne nadburcia wytrwale opierały się ogromnym grzywaczom.

Na morzu i po pokładzie wały się gałęzie, różne owoce, trzcina cukrowa, sterty liści siłą wyrwane z dżungli na pobliskim Haiti i przygnane na skrzydłach nawałnicy tańczyły jak im zagrał wiatr. Deszcz lał strumieniami, zalewając pokład potokami wody, które z łoskotem wylewały się przez szpigaty⁸¹. Nagle czarną jak smoła noc przecięły błyskawice, oświetlając statek i rozszalałe morze, a niebo grzmiało jak tysiące armat.

Powietrze było tak naładowane elektrycznością, że cumy „Błyskawicy” rozbłysły tysiącami iskier, a na masztach i wiatrowskazach pojawiły się ognie świętego Elma⁸².

⁸⁰nok (żegl.) — wolny koniec poziomego drzewca w omasztowaniu statku (bukszprytu, rei, bomu itp.). [przypis edytorski]

⁸¹szpigat (żegl.) — odpływnik, otwór w nadburciu, umożliwiający sphywanie wody z pokładu za burtę statku. [przypis edytorski]

⁸²ognie świętego Elma — małe, słabe wyładowania elektryczne w pobliżu narożników i krawędzi przedmiotów (np. na końcach masztów na statkach), pojawiające się w czasie pogody zapowiadającej burzę. [przypis edytorski]

Orkan przybierał na sile, był przeraźliwie, osiągając w porywach prędkość nawet osiemdziesięciu węzłów⁸³. Na oceanie wirowały rozpędzone trąby morskie, spienione fale wznosiły swe zadzierzyste grzywy i opadały z hukiem, rozbijając się na miliony drobnych kropel.

Wichura zerwała i porwała ze sobą fok oraz bezlitośnie chłostała rozpięte na bezanmaszcie żagle, ale nie zagroziła poważnie głównemu ożaglowaniu.

Smagana wiatrem i zalewana kaskadami wody „Błyskawica” pędziła teraz z zawrotną prędkością, w sam środek burzy i groźnych wirów. Wydawało się, że w końcu przechylą się zbyt mocno i zniknie we wzburzonej kipieli, lecz za każdym razem zwycięsko wychodziła z opresji.

Czarny Korsarz stał wyprostowany na rufie i przemoczony do suchej nitki pewną ręką dzierżył ster. Szaleństwo żywiołu wcale go nie przerażało, z uśmiechem na ustach i płonącymi oczami nieustraszenie mierzył się z gniewem natury.

W świetle błyskawic jego postać przybierała najfantastyczniejsze kształty. Choć dookoła niego rysowały się na niebie świetlne zygzyki piorunów i ogłuszały potężne grzmoty, choć wiatr niemiłosiernie targał ledwo już trzymającym się zszarganego kapelusza piórem, choć bałwany morskie obryzgiwały go wodą, która napierała z impetem, próbując powalić go na pokład, on zupełnie niewzruszony stał przy sterze, prowadząc swój statek wśród fal i porywów wichury.

Przypominał zrodzone z głębin oceanu bóstwo, które rzucało całą swą potęgę przeciw siłom natury.

Tak samo, jak tamtej nocy, gdy prowadził „Błyskawicę” do szturmu na nieprzyjacielski statek, marynarze spoglądali na niego z zabobonnym strachem; widzieli w nim istotę nie z tego świata, której nie imaly się kule ani orkany, zachodzili w głowę, czy aby na pewno ten człowiek jest tak samo śmiertelny jak oni.

Wtem, gdy napór fal przybrał na sile, na twarzy Czarnego Korsarza odmalowało się przerażenie; zaskoczony niespodziewanym widokiem wypuścił ster z rąk i uczynił gest, jakby chciał pobiec w kierunku schodów prowadzących na kasztel.

Z nadbudówki wyszła kobieta. Ratując się przed upadkiem, uchwyciła kurczowo drabinki, albowiem statek kołysał się szaleńczo pod naporem wiatru, po czym wspięła się na górę.

Była owinięta w grubą, kataloński płaszcz, lecz nie zakryła głowy i wiatr rozwiewał jej piękne, jasne włosy.

— Pani! — krzyknął Czarny Korsarz, który od razu rozpoznał księżniczkę. — Szukasz tu śmierci?

Dziewczyna nie odpowiedziała, machnęła tylko ręką, mówiąc:

— Nie boję się.

— Wracaj do kajuty — rozkazał błąd jak płótno Czarny Korsarz.

Flamandka nie posłuchała. Zamiast tego wspięła się jeszcze wyżej i przytrzymując się sterownicy, przeszła po mostku, po czym schowała się między nadburciem a wielką szalupą, ściągniętą przed burzą z wysięgników, z których łatwo mógł porwać ją wiatr.

Czarny Korsarz gestem nakazał jej wrócić, ale ona stanowczo zaprzeczyła.

— Tutaj jest niebezpiecznie! — powtórzył. — Wróć do kajuty, pani!

— Nie wrócę — odpowiedziała.

— Po co tu przyszłaś?

— Podziwiać Czarnego Korsarza.

— Porwą cię fale!

— Co cię to obchodzi?

— Nie chcę twojej śmierci, rozumiesz? — krzyknął Czarny Korsarz głosem, w którym po raz pierwszy wybrzmiała gwałtowna namiętność.

Młoda dama uśmiechnęła się, ale nie odeszła. Skuliła się w kącie, szczelnie owinięta płaszczem i nie bacząc na wiatr rozwiewający jej włosy i na przemoczone ubranie, uważnie obserwowała Czarnego Korsarza.

Ten zrozumiał, że wszelkie namowy są bezcelowe. Wydawał się wręcz zadowolony z bliskości tej odważnej istoty, która przyszła tu, nie zważając na sztorm, by podziwiać

⁸³węzeł — jednostka prędkości morskiej, wynosząca milę morską (ok. 1,8 km) na godzinę. [przypis edytorski]

jego męstwo. Nie ponowił więc swej prośby. Chwycił za ster i zajął się nawigowaniem. W krótkich chwilach wytchnienia, gdy huragan na chwilę słabł, spoglądał na nią i bezwiednie się uśmiechał. Z pewnością oboje podziwiali się nawzajem.

Za każdym razem, gdy kierował wzrok w jej stronę, ich spojrzenia się krzyżowały. Księżniczka przyglądała mu się z tym samym zaciekawieniem, z jakim rankiem obserwowała go z fregaty.

Tajemniczy blask bijący z jej oczu rozpełtał w jego duszy prawdziwą burzę, wobec której był zupełnie bezbronny. Przez cały czas czuł jej wzrok na plecach. W pewnej chwili ogarnęło go przemożne pragnienie, by odwrócić głowę w jej stronę.

Nagle, gdy fale z niezwykłą siłą przetoczyły się przez pokład, wystraszył się tego spojrzenia i krzyknął:

— Nie patrz tak na mnie, pani! Ryzykujemy życiem!

Kategoryczny ton Czarnego Korsarza sprawił, że magia chwili uleciała. Dziewczyna zamknęła oczy i pochyliła głowę, zakrywając twarz rękami.

„Błyskawica” zbliżyła się do brzegów Haiti. Przybrzeżne rafy, o które rozbił się niejeden statek, jeżyły się złowieszczą w świetle piorunów. Czarny Korsarz, przekrzykując ryk wiatru i łoskot fal, zdecydowanym głosem wykrzykiwał komendy:

— Wymienić żagiel na fokmaszcie! Zrefować fok! Załoga do zwrotu!

Wiatr gnał skłębione masy wody dalej, w kierunku południowych wybrzeży Kuby, ale na haitańskich wodach wciąż nie było spokojnie. Wysokie na ponad pięćdziesiąt stóp fale nadal kłębiły się wokół przybrzeżnych skał i uderzały o nie z głuchym łoskotem.

„Błyskawica” nie dawała za wygraną. Na rei fokmasztu zatrzepotał zapasowy żagiel, zrefowano fok i przymocowano go do bukszprytu. Żaglowiec płynął teraz z maksymalną prędkością.

Fale uparcie tłukły o nadburcia statku, przechylając go na boki, ale Czarny Korsarz za każdym razem zdecydowanym ruchem steru podrywał go i naprowadzał na właściwy kurs.

Na szczęście orkan zaczynał już nieco cichnąć. Na tych szerokościach geograficznych wściekle huragany nie trwają dłużej niż kilka godzin. Tu i ówdzie wśród chmur ukazywały się gwiazdy, a siła żywiołu wyraźnie słabła. Pomimo tego morze wciąż się srożyło. Wiele czasu musiało upłynąć, zanim przygnane porywistym wiatrem atlantyckie fale wygładzą się na wodach Zatoki.

„Błyskawica” jeszcze przez całą noc walczyła z nawałą wściekłych bałwanów, które były w statek ze wszystkich stron. Mimo tych trudności szczęśliwie przepłynęła przez Cieśninę Wiatrów i wypłynęła na wody rozlewające się pomiędzy Wielkimi Antylami a Wyspami Bahamów.

Gdy nad ranem powiał północny wiatr, „Błyskawica” była już naprzeciw przylądka Haiti.

Zmęczony długą walką z żywiołem i przemoknięty do suchej nitki Czarny Korsarz, gdy tylko dostrzegł światło latarni w osadzie na przylądku, oddał ster Morganowi. Podszedł do skulonej za szalupą dziewczyny i rzekł:

— Chodź, pani, podziwiam twoją odwagę. Żadna kobieta nie powinna igrać z losiem tak jak ty, tylko po to, by zobaczyć „Błyskawicę” walczącą z żywiołem.

Młoda dama podniosła się i otrząsnęła z wody, która zmoczyła jej szaty i włosy. Spojrzała Czarnemu Korsarzowi w oczy i uśmiechnęła się:

— Być może żadna kobieta nie ośmieliłaby się przebywać na pokładzie podczas takiego żywiołu. A ja miałam okazję widzieć Czarnego Korsarza przy sterze, walczącego z gniewem natury. Było mi dane podziwiać jego siłę i odwagę.

Pirat nic na to nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią płomiennym wzrokiem, a jego czoło nachmurzyło się.

— Odważna jesteś, pani — wyszeptał, tak cicho, że tylko ona usłyszała, po czym z westchnieniem dodał: — Szkoda, że smutna przepowiednia Cyganki czyni z ciebie kobietę fatalną.

— Jaka przepowiednia? — zapytała zdziwiona.

Czarny Korsarz potrząsnął tylko głową.

— To szaleństwo!

— Jesteś przesądny, panie?

- Być może.
- Ty?
- Przepowiednie czasami się spełniają.

Spojrzał na fale, które mrucząc głucho, rozbijały się o nadburcia. Następnie wskazał na nie, mówiąc:

— Ich zapytaj, może ci powiedzą. Moi bracia byli piękni, młodzi i odważni. Teraz śpią spowici całunem morza. W ich przypadku ponura przepowiednia się sprawdziła i być może sprawdzi się też w moim. Nic nie może już ugasić płomienia, który zapłonął w moim sercu. A niech tam! Niech się spełni straszny los, jeśli tak jest zapisane w księdze przeznaczenia. Morza się nie boję, tam, gdzie spoczywają moi bracia, mogę spocząć i ja, lecz jeszcze nie teraz, dopiero wtedy, gdy zdrajca zginie.

Wzruszył ramionami, pogroził pięścią niewidzialnemu wrogowi i opuścił kasztel, a wypowiedziane przezeń tajemnicze słowa — zupełnie dla księżniczki niezrozumiałe — wprawiły ją w szczerze zdumienie.

Trzy dni później, gdy morze było już całkiem spokojne, „Błyskawica” na skrzydłach pomyślnych wiatrów wpływała do portu na Tortudze — osławionej kryjówki karaibskich korsarzy.

ROZDZIAŁ XV. PIRACKA BRAC

W 1625 roku, w czasie gdy Francja i Anglia prowadziły wojnę z Hiszpanią, chcąc złamać jej dominację w regionie, dwa żaglowce — francuski i angielski — rzuciły kotwicę przy zamieszkiwanej tylko przez karaibskie plemiona wysepce San Cristoforo. Ich załogę stanowiło wielu nieustraszonych marynarzy, którzy wspierani przez swych możnowładców przybyli w te strony, by położyć kres kwitnącemu w hiszpańskich koloniach handlowi.

Kapitanem Francuzów był normański szlachcic zwany d’Enanbue, a Anglikami dowodził Tomasz Warner.

Odkryta przez nich wyspa była żyzna, a tubylcy pokojowo usposobieni, toteż marynarze osiedlili się na niej, zakładając dwie małe kolonie i po bratersku dzieląc się ziemią. Przez pięć lat ta garstka ludzi w spokoju gospodarowała na roli, rezygnując z pirackiego stylu życia, aż do dnia, w którym hiszpańska flota przybiła do brzegów wyspy i zniszczyła kolonie osadników, a ich domy i obejścia puściła z dymem. Cudzoziemcy nie mieli prawa do osiedlania się na karaibskich wyspach, bowiem w tamtym czasie wszystkie ziemie w obrębie Zatoki Meksykańskiej należały do Królestwa Hiszpanii.

Zbiegłym z hiszpańskiej rzezi osadnikom udało się ukryć na sąsiedniej wyspie, którą ze względu na duże podobieństwo do wielkiego żółwia morskiego zwano Tortugą. Wyspa ta — położona na północ od San Domingo, naprzeciwko półwyspu Samana — posiadała dogodny do obrony port. To właśnie tam europejscy uciekinierzy dali początek Pirackiej Braci, która w krótkim czasie miała zadziwić świat niezwykleymi dokonaniem.

Niektórzy z nich wiedli życie osadników i uprawiali tytoń bujnie rosnący na dziewiczej ziemi. Ci z kolei, którzy nie zapomnieli o losie, jaki spotkał nieszczęsne kolonie, łaknęli zemsty. Wiedli więc piracki żywot i często w małych łodziach napadali na hiszpańskie statki, działając tym samym na szkodę królewskich interesów.

Do portu na Tortudze, która w krótkim czasie stała się najważniejszą piracką twierdzą, zawijali tłumnie angielscy i francuscy śmiałkowie. Przybywali albo z samej Europy, w ramach ekspedycji organizowanych przez normańskich armatorów, albo z sąsiedniej San Domingo.

Niestety nowi przybysze — a byli to najczęściej żołnierze i marynarze — ślepo pożądamy łupów, gnani żądzą zbita łatwej fortuny na wydobywanych w kopalniach kruszczach, z których Hiszpania pozyskiwała tony złota, nie znaleźli dla siebie na wyspie wystarczająco dużo bogactwa. Wkroczyli więc na zbójczą ścieżkę i podejmowali wyprawy przeciwko statkom Królestwa Hiszpanii, co było na rękę Francji i Anglii, które niezmiernie wojowały z hiszpańskim hegemonem.

Miarka się jednak przebrała i osadnicy z San Domingo, których statki najczęściej padały łupem morskich rozbójników, postanowili w końcu wziąć na nich odwet, wysyłając na Tortugę swoje oddziały i wykorzystując nieobecność na wyspie sporej części załogi.

Zdobycz okazała się bardzo łatwa. Tamtej pamiętnej nocy powieszono i wyrżnięto w pień wielu piratów.

Na wieść o masakrze ta część osadników, która podczas napaści znajdowała się na morzu, poprzysięgła Hiszpanom straszną zemstę. Pod dowództwem kapitana Willisa piraci przypuścili szturm na hiszpańskie stanowiska, odbili wyspę z rąk wroga i wymordowali starszyznę. Jednak i piraci pewnego dnia skłócili się między sobą, bowiem przeważająca liczebnie frakcja francuska próbowała zdominować mniej licznych angielskich osadników. Wykorzystali to Hiszpanie, ponownie napadając na Tortugę. Wyspa została zdobyta, a wygnańcy musieli schronić się w lasach San Domingo.

Tak jak pierwszych osadników na San Cristoforo można uznać za twórców Pirackiej Braci na Karaibach, tak uciekinierzy z Tortugi zapoczątkowali erę bukanierów. Ich nazwa wywodzi się od słowa *boucan*, oznaczającego rodzaj grilla, przy pomocy którego suszono i wędzono skóry upolowanych zwierząt, co było zwykłym, codziennym zajęciem mieszkańców karaibskich wysepek.

Bukanierzy, którzy z czasem stali się najważniejszymi sprzymierzeńcami piratów, początkowo wiodli mizerny żywot dzikusów i mieszkali w lichych, splecionych z kilku gałęzi szałasach, natomiast za całe ubranie musiała im wystarczyć umazana krwią lniana koszula, proste spodnie, szeroki pas z zatkniętymi za niego szablą i dwoma ostrymi nożami, kapelusz i buty ze świńskiej skóry. Ich największym pragnieniem było wejść któregoś dnia w posiadanie dobrej broni i sfory olbrzymich brytanów.

Nie zakładali rodzin, zamieszkiwali parami, wszak tak raźniej i bezpieczniej. Na polowanie wychodzili zwykle o świcie, mężnie stawiali czoła dzikim bykom żyjącym w licznych stadach w lasach San Domingo. Wieczorem, objuczeni skórami i kawałami mięsa na kolację, wracali do swych szałasów. Śniadania spożywali skromne, wysysając na ogół szpik z jednej z większych kości, które zostawały im z wieczornego posiłku.

W końcu zjednoczyli się w konfederację i zaczęli gnębić wroga, który poprzysięgł ścigać ich jak dzikie zwierzęta. Gdy jednak okazało się, że nie można ich pokonać w żaden sposób, Hiszpanie obmyśliли nową strategię — rozpoczęli wielkie oblawy na dziko żyjące byki, które wkrótce wybili co do jednego, w konsekwencji czego bukanierom rychło zajął głód w oczy.

Wtedy to obie pirackie frakcje zjednoczyły siły, powołując do życia Bractwo Wybrzeża, po czym powróciły wspólnie na Tortugę, już nie jako pokojowi osadnicy, lecz spragnieni zemsty korsarze.

Bukanierzy mieli wyjątkowo celne oko i niezawodną rękę, w związku z czym prawie nigdy nie chybiali celu. Dzięki tej zalecie znacznie wzmocnili siły bojowe swoich sprzymierzeńców. Od tej pory Tortuga rozkwitła i stała się najważniejszą siedzibą piratów, kryjówką awanturników wszelkiej maści i różnej proveniencji. Byli wśród nich między innymi Francuzi, Holendrzy, Anglicy i wielu innych. Lata swej świetności wyspa przeżywała pod rządami wysłanego na Karaiby przez Francuzów Beltranda z Oregonu.

Gdy Anglia i Francja wypowiedziały Hiszpanii kolejną wojnę, piraci ze zdwojoną siłą rozpoczęli zbójczą działalność; z desperacką odwagą atakowali i łupili każdy hiszpański okręt, który napotykali na swej drodze.

Początkowo używali do tego małych łodzi, w których ledwo się mieścili, ale z czasem ich flota znacznie się powiększyła o zrabowane Hiszpanom wspaniałe żaglowce.

Siła ognia artyleryjskiego była ich najsłabszym punktem, posiadali bowiem niewiele dział. Na tym polu jednak wielce przysłużyli im się bukanierzy, którzy niwelując braki w uzbrojeniu strzeleckimi umiejętnościami, zaledwie kilkoma salwami potrafili wybić do nogi niejedną hiszpańską załogę. W ich odwadze była nuta szaleństwa — z furią parli do abordażu, porywali się nawet na największe galeony. Nic nie mogło ich powstrzymać: ani kule, ani salwy muszkietowe, ani nawet najbardziej zacięty opór. Bili się zaciekle, gardząc niebezpieczeństwem i drwiąc sobie ze śmierci. Były z nich diabły wcielone. Za takie właśnie potwory rodem z piekła uważali ich też sami Hiszpanie.

Piraci nie znali litości i rzadko kiedy ustępowali pola wrogom. Brali tylko jeńców dobrego pochodzenia, za których mogli spodziewać się pokaźnego okupu, pozostałych wyrzucali do morza. Nie oszczędzali nikogo, wyrzynając całe załogi do ostatniego marynarza, czym odpłacali Hiszpanom pięknym za nadobne.

Piracka Bracia miała swój kodeks honorowy i rządziła się prawami, których przestrzegano surowiej niż tych stanowionych w niejednym europejskim królestwie. Wszyscy byli wobec siebie równi, lecz przy podziale łupów tylko dowódcy przysługiwała większa część skarbów. Po ich sprzedaży wyznaczali premie dla najdzielniejszych piratów, nie zapominali też o rannych. Nagradzali między innymi tych, którzy jako pierwsi przeskakiwali na pokład nieprzyjaciela, lub tych, którym udało się zerwać nieprzyjacielską flagę. Dodatkowo opłacani byli także wywiadowcy, których zadaniem było obserwowanie posunięć wroga i dostarczanie informacji o liczebności jego floty.

Pirat, który w walce stracił prawe ramię, otrzymywał rekompensatę w wysokości sześciuset piasstrów; lewe ramię warte było pięćset piasstrów, utrata nogi — czterysta, a rannym wypłacano jednego piasstra na dzień przez dwa miesiące.

Na pokładzie korsarskiego statku piraci musieli przestrzegać twardych zasad: kto uciekł z miejsca walki, karany był śmiercią, po ósmej wieczorem piratom nie wolno było pić wina ani gorzałki, ponadto zabronione były pojedynki, bijatyki, wszelkiego rodzaju gry; jeśli pirat przyprowadził na statek kobietę — nawet własną żonę — karany był śmiercią. Na bezludnych wyspach porzucano zdrajców i tych, którzy przywłaszczyli sobie nienależne im łupy, lecz rzadkie to były przypadki, bowiem piraci byli wyjątkowo honorowi.

Dopiero po zdobyciu kilku większych żaglowców Bracia Wybrzeża nabrali pewności siebie. Hiszpanie jednak ograniczyli interesy między własnymi wyspami, piraci więc zmuszeni byli wypłynąć na szerokie wody Zatoki, gdzie bogatych osad było pod dostatkiem, i tam szukać łupu.

Pierwszym z przywódców, który zapisał się na kartach pirackich kronik, był Daniel Montbars, urodzony w Langwedocji, w bogatej, szlacheckiej rodzinie. Przybył na Tortugę, by mścić się za krzywdy doznane przez Indian z rąk hiszpańskich konkwistadorów. Żył do Hiszpanów głęboką nienawiść ze względu na zbrodnie, których na rdzennej ludności dopuścił się Cortez w Meksyku oraz Pizarro wraz z Almagro w Peru. Ze względu na okrucieństwa, których się dopuszczał, przyłgnął doń przydomek „Tępicieł”. Wielokrotnie dowodził oddziałami piratów i bukanierów, które napadały na San Domingo i Kuba, mordując bez litości hiszpańskich kolonistów.

Po nim było jeszcze wielu innych sławnych piratów, jak choćby Pierre le Grand, Francuz urodzony w Dieppe. Ten odważny marynarz stał się pierwszoplanowym bohaterem pewnego niezwykle wydarzenia: otóż żeglując po morzu wraz ze swoją dwudziestoosobową załogą, natknął się przypadkiem na hiszpański okręt wojenny, płynący w stronę przylądka Tiburon. Nie namyślając się długo, zdecydował o ataku pomimo wielokrotnej przewagi przeciwnika. W obawie jednak, że załoga zdradzi go w obliczu tak nierozsądnej decyzji — a trzeba przyznać, że było to szaleństwo — podziurawił kulami własną łódź, aby zapobiec ewentualnemu buntowi.

Na widok piratów wskakujących na ich pokład prosto z wodnej toni niczym morskie duchy Hiszpanie osłupieli i prawie nie stawiali oporu.

Inny bukanier, Lewis Scott, Anglik z pochodzenia, zasłynął śmiałym atakiem na Campeche — miasto bardzo dobrze zaopatrzone w broń i różne dobra. Mając pod swą komendą skromną, piracką załogę, zdołał je zdobyć i złupić bez strat własnych; Robert Searl alias John Davis z załogą liczącą dziewięćdziesięciu marynarzy napadł i zdobył Nikaragwę, a kilka lat później powtórzył wyczyn, szturmując Santo Agostino na Florydzie.

Z kolei pewien Norman, znany pod przydomkiem Żelazne Ramię, tuż przy ujściu rzeki Orinoko stracił statek, gdy w wyniku uderzenia pioruna eksplodowała okrętowa prochownia. Cudem udało mu się dopłynąć na ląd, gdzie odważnie odparł ataki tubylców. Pewnego dnia z garstką podobnych mu szaleńców napadł na hiszpański okręt i odniósł miażdżące zwycięstwo. Po nich pojawiło się jeszcze wielu innych, zuchwałych piratów, którzy swymi niezwykłymi czynami zdobyli rozgłos po obu stronach oceanu.

Przybyły na wody rozległej Zatoki z dalekiej Francji Piotr Nau, zwany też Franciszkiem l'Olonnais, był jednym z najsłynniejszych piratów, Hiszpanie bali się go jak ognia, bowiem odniósł nad nimi przynajmniej setkę zwycięstw. Skończył jednak tragicznie, kiedy to pewnego razu jego łódź zdrzyfowała do Zatoki Darien, a on sam wpadł w ręce kanibali, którzy zabili załogę i upiekli wszystkich na ruszcie.

Francuski szlachcic Michał de Grammont stał się niemalże tak sławny, jak jego poprzednik. Pewnego razu, na czele nielicznej załogi, napadł na Maracaibo i Porto Cavallo, gdzie na czele czterdziestoosobowego oddziału stoczył walkę z wielokrotnie liczniejszą załogą hiszpańskiego fortu. Kilka lat później zawarł przymierze z dwójgim słynnych korsarskich przywódców — Nikolasem Van Hoornem i Laurenssem de Graafem, z którymi dokonał napadu na Vera Cruz.

Dopiero Morgan, zastępca Czarnego Korsarza, miał wybić się ponad nich wszystkich. Swoją błyskotliwą karierę pirata rozpoczął od objęcia dowództwa nad znacznymi siłami angielskich marynarzy i od zdobycia Puerto del Prince na Kubie. Przewodząc flotylli złożonej z dziewięciu statków, przyspuścił atak na Portobello i mimo zacieklej obrony fortu i silnego ostrzału doszczętnie je ograbił. Kilka lat później uderzył na Maracaibo, po czym przepłynął przesmyk i napadł także Panamę, którą ostatecznie, po licznych perypetiach i stoczeniu wielu krwawych bojów, udało mu się zdobyć. Znacznie się wtedy obłowił, zdobywając czterysta czterdzieści cztery tysiące funtów srebra najlepszej próby.

Sprzymierzeni ze sobą trzej odważni piraci, Bartolomeusz Sharb, Piotr Harris i Ryszard Sawkins zasłynęli atakiem na miasto Santa Maria. Biorąc sobie za wzór zuchwałą eskapadę Morgana, przepłynęli przesmyk i mimo liczebnej przewagi wroga atakowali każdy napotkany na drodze hiszpański galeon, dokonując przy tym wielu legendarnych wyczynów. Gdy zgromadzili już kilka zdobycznych statków, wypłynęli na szerokie wody Pacyfiku, gdzie ponownie stanęli do walki z hiszpańskim kolonizatorem, którego floty udało im się w końcu zniszczyć po dziewięciu godzinach zacieklej walk. Kolejno napadali na Panamę, wybrzeża Meksyku i Peru, a także chilijskie miasta Ylo i Serena; w końcu, obłowieni, opłynęli półwysep i przez cieśninę Magellana powrócili na Antyle.

Kolejni przybyli na wyspy piraci mieli mniej szczęścia od poprzedników; wielu z nich, jak Montabon, Michał Bask, Jonqué, Cichel, Brouage, Grogner, Howell Davis, Tusley Wilmet, kontynuowało korsarską tradycję zapoczątkowaną przez pierwszych bukanierów, łupiąc statki pływające po Morzu Karaibskim. Aż w końcu Tortuga podupadła, a wraz z nią cała Piracka Brać.

Niektórzy pożeglowali dalej na Bermudy, gdzie założyli kolonie, siejąc przez kilka kolejnych lat postrach na Wielkich i Małych Antylach. Niebawem jednak nadszedł kres ich panowania i zuchwała korsarska brać raz na zawsze odeszła w zapomnienie.

ROZDZIAŁ XVI. NA TORTUDZE

Gdy „Błyskawica” rzuciła kotwicę w bezpiecznej zatoczce, którą od pełnego morza odcinał wąski kanał osłaniający port przed niespodziewanym atakiem Hiszpanów, piraci na Tortudze uctowali w najlepsze. Ostatnimi czasy, podczas wypraw na San Domingo i Kubę, liczna ta gromada, pod dowództwem Franciszka l’Olonnais i Michała Baska, obłowiła się co niemiara.

Groźni na co dzień zbójcy bawili się teraz wesoło w namiotach rozstawionych w cieniu palmowych drzew i tańcowali na grobli i na plaży, marnotrawiąc przypadłe im w udziale łupy z rozrzutnością godną największych krezusów⁸⁴.

Na czas morskich wypraw przeistaczali się w najdziksze bestie, ale na lądzie byli najweselszymi kompanami na Karaibach i — o dziwo! — także najlepiej wychowanymi dżentelmenami, albowiem piraci nie odmawiali zaproszenia na korsarskie uczty nawet jeńcom. Łudzili się przy tym, że dobrze traktowani więźniowie wpłyną na swoje rodziny, by te zapłaciły za nich sowity okup. Na biesiadach nie brakowało też jeńców płci żeńskiej, w stosunku do których piraci odnosili się zawsze z największą uprzejmością; dwoili się i troili, siłąc się na grzeczności, by damy zapomniały o przykrej doli, jaka za ich sprawą przypadła im w udziale. W istocie przykry był los więźnia, zwłaszcza gdy nikt nie kwapił się do wpłacenia wykupnego, które wyznaczali za niego piraci; w takich przypadkach uciekali się oni do okrutnych metod i czasem wysyłali hiszpańskim namiestnikom głowę jakiegoś nieboraka, by ponaglić ich do pokrycia żądanej sumy.

⁸⁴Krezus (595–546 p.n.e) — król Lidii słynący ze swojego wielkiego bogactwa. Jego imię jest obecnie synonimem bogacza. [przypis edytorski]

„Błyskawica” rzuciła kotwicę. Zebrani na plaży piraci przerwali na chwilę tańce i gry, by gromkim „niech żyje!” powitać powrót Czarnego Korsarza, który wśród nich był popularny niemal tak samo jak Franciszek l’Olonnais.

Dotychczas nie dotarła tu wieść o śmiałej wyprawie do Maracaibo i wyrwaniu ciała Czerwonego Korsarza z łap gubernatora. Być może ten i ów, znając odwagę kapitana „Błyskawicy”, łudził się jeszcze, że obaj wrócą na Tortugę cali i zdrowi.

Tymczasem opuszczona do połowy masztu piracka bandera nie pozostawiała złudzeń — na statku panowała żałoba. Wszelkie śpiewy, rozmowy i śmiech ucichły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaniepokojeni piraci w milczeniu zebrali się na grobli, by usłyszeć wieści o wyprawie dwóch korsarzy. Czarny Korsarz obserwował z mostku piracką biesiadę. Przywołał Morgana, który opuszczał właśnie łódzie na wodę. Wskazał na piratów zebranych na brzegu i rzekł:

— Idź i powiedz im, że Czerwony Korsarz miał godny pochówek w wodach Wielkiej Zatoki i że jego brat powrócił, by obmyślić zemstę, która....

Przerwał na kilka chwil, po czym, zmieniając ton, dodał:

— Uprzedź Franciszka L’Olonnais, że dzisiejszego wieczoru złożę mu wizytę. Następnie udaj się do gubernatora i przekaz mu moje pozdrowienia. Jego także zamierzam odwiedzić.

Stał na pomoście, dopóki żagle nie zostały opuszczone, a lin nie przywiązano do postumtu. Po pół godziny, gdy wszystko było już gotowe, zszedł do kajuty, gdzie w oczekiwaniu na zejście na ląd siedziała flamandzka księżniczka.

— Pani — rzekł Czarny Korsarz. — Przygotowałem łódź, która zabierze cię na brzeg.

— Jestem gotowa — odparła. — Jestem twoim więźniem i muszę słuchać rozkazów.

— Nie, pani, nie jesteś niczym więźniem, już nie.

— Jak to? Nie zapłaciłam okupu.

— Odpowiednia suma została już zdeponowana w pirackiej skrzyni.

— Za czym sprawą? — zapytała zdumiona. — Nie powiadomiłam jeszcze markiza di Heredias ani gubernatora Maracaibo o mojej niewoli.

— To prawda, ale ktoś już się tym zajął — roześmiał się Czarny Korsarz.

— Ty?

— A gdybym to był ja? — zapytał Czarny Korsarz, zaglądając jej w oczy.

Młoda dama przez chwilę milczała, po czym odpowiedziała wzruszona:

— Zaskakuje mnie ta szlachetność i wielkoduszność, o którą nigdy bym nie podejrzewała piratów z Tortugi, lecz nie dziwię się już więcej, jeśli stało się to za sprawą tego, który nazywa się Czarnym Korsarzem.

— Dlaczego, pani?

— Różnisz się od pozostałych. Przez te kilka dni na statku dostrzegłam i doceniłam odpowiednio uprzejmość, szlachetność i odwagę pana z Roccanery, na Ventimiglia i Valpencie. Powiedz mi, proszę, jaka kwota została wyznaczona za mój okup.

— Tak cię niepokoi teraz twój okup? Czyżbyś chciała jak najszybciej opuścić Tortugę?

— Wręcz przeciwnie. Możliwe, że kiedy przyjdzie mi stąd odpłynąć, będzie mi żal bardziej, niż ci się wydaje. I wierz mi, że zachowam w sercu wdzięczność dla Czarnego Korsarza, a nawet może nigdy o nim nie zapomnę.

— Pani! — krzyknął Czarny Korsarz, a oczy mu rozbłyły.

Uczynił krok w jej kierunku, ale zatrzymał się od razu i powiedział smutno:

— Dowiemy się w swoim czasie! A gdy ten dzień nadejdzie, może w twoich oczach będę najokrutniejszym z piratów i żywić będziesz do mnie tylko głęboką odrazę.

Nerwowym krokiem przeszedł się po kajucie, po czym zatrzymał się przed nią i zapytał:

— Znasz gubernatora Maracaibo?

Na te słowa dziewczyna drgnęła i spojrzała na niego niespokojnie:

— Znam — potwierdziła drżącym głosem. — Dlaczego mnie o to pytasz?

— Myślisz pewnie, że kieruje mną ciekawość.

— O mój Boże!

— Co się stało, pani? — zdziwił się Czarny Korsarz. — Jesteś blada i wzburzona.

Zamiast odpowiedzieć, młoda dama zapytała go podniesionym tonem:

— Skąd to pytanie?

Czarny Korsarz już miał zamiar odpowiedzieć, gdy nagle przerwał mu odgłos kroków na zewnątrz. To Morgan, który zdołał już spełnić kapitańskie rozkazy, schodził na pokład.

— Kapitanie — zameldował, wchodząc do środka. — Piotr Nau czeka na ciebie w swoim domu, pragnie powiadomić cię o sprawach niecierpiących zwłoki. Myślę, że podczas naszej nieobecności przemyślał twój plan i że wyprawa jest już przygotowana.

— A jednak! — wykrzyknął Czarny Korsarz, a jego oczy rozjaśnił ponury blask. — Nie sądziłem, że godzina zemsty wybije tak prędko.

Odwrócił się w stronę młodej damy, wciąż wyraźnie wzburzonej, i powiedział:

— Pani, pozwól, że zaoferuję ci gościnę w moim domu, będzie on do twojej całkowitej dyspozycji. Zaprowadzą cię tam Moko, Carmaux i Van Stiller i będą na twoje rozkazy.

— Ależ panie... Chwileczkę... — wyjąkała.

— Rozumiem twoje wątpliwości, ale do sprawy okupu wrócimy później.

Po tych słowach wyszedł z kajuty szybkim krokiem, a za nim Morgan. Przeszedł przez pokład i wszedł do przycumowanej do lewej burty szalupy, w której czekało sześciu marynarzy.

Usiadł na rufie, wziął ster w ręce, ale nie pokierował łodzi w kierunku grobli, skąd piraci odeszli już z powrotem do swoich rozrywek, lecz skierował się w stronę małego, rozciągającego się na wschód od portu cypla, który porastał palmowy gaj pełen wielkościastych drzew o smukłych, eleganckich pniach.

Gdy łódź dobiła do brzegu, Czarny Korsarz zeskoczył na plażę, dając znak swoim ludziom, by wrócili na pokład, po czym zniknął pod zielonym baldachimem, obierając ledwo widoczną w gąszczu ścieżkę.

Zamyślił się głęboko, jak miał to w zwyczaju czynić, gdy był sam. Tyle że tym razem nie popadł wcale w zwyczajną zadumę, ale gnębiły go niespokojne myśli, gdyż co chwila się zatrzymywał, mówił sam do siebie, potrząsał ze zniecierpliwieniem rękami i wygrażał pięścią jakiemuś niewidzialnemu wrogowi. Zagłębił się już dość daleko w dżungłę, gdy nagle radosny głos o śmiesznym akcencie wyrwał go z rozmyślań.

— Niech mnie zjedzą tubylcy, jeśli nie mam racji! Byłem pewien, że cię tu znaję, przyjacielu. Radosne życie pirata na Tortudze tak cię przeraża, że przychodzisz do mnie okrężną drogą przez dżungłę? Ale z ciebie dzikus! Jesteś ponury jak listopadowa noc!

Czarny Korsarz gwałtownie uniósł głowę, a jego ręka odruchowo powędrowała w stronę szabli.

Z gęstwiny drzew *bananeire* wyłonił się człowiek w marynarskim ubraniu, uzbrojony w parę pistoletów i kordelas. Był to mężczyzna raczej niskiego wzrostu, o szorstkich rysach twarzy i przenikliwym spojrzeniu.

— Ach! To ty, Piotrze? — odetchnął z ulgą Czarny Korsarz.

— Z krwi i kości, przyjacielu.

W rzeczy samej był to słynny pirat, najgroźniejszy z morskich rozbójników, najbardziej bezlitosny wśród wszystkich wróg Hiszpanów.

Piotr Nau w tamtym czasie miał zaledwie trzydzieści pięć lat, a już zyskał sobie sławę, o której marzą wszyscy piraci. Wiele jeszcze miał przelać hiszpańskiej krwi, zanim jego pełne przygód życie zakończy się tragicznie w brzuchach kanibali z Darien.

Urodził się we francuskim mieście Olonne. Pierwotnie zajmował się przerzutem kontrabandy⁸⁵ na hiszpańskie wybrzeże, lecz pewnej nocy, przyłapany przez celników, stracił łódź i brata, którego dosięgła kula z pistoletu. On sam został ciężko ranny w potyczce i przez długi czas balansował na granicy życia i śmierci.

Wyzdrowiał, lecz znalazł się w tak nędznym położeniu, że za czterdzieści skudów⁸⁶ sprzedał się jako niewolnik Montbarsowi, by chociaż taką kwotą wesprzeć nieszczęsną matkę. Początkowo służył jako podrzędny majtek; dopiero gdy dał dowody niezwykłej odwagi i hartu ducha, mógł stać się pełnoprawnym piratem i zarazem kapitanem niewielkiej łodzi w służbie gubernatora Tortugi. Dzięki niej dokonał legendarnych czynów; nieustannie wspierany przez trzech braci Czarnego, Czerwonego i Zielonego Korsarza, zadawał bolesne straty hiszpańskim koloniom.

⁸⁵kontrabanda — przemyt. [przypis edytorski]

⁸⁶skud — dawna złota lub srebrna moneta używana we Włoszech. [przypis edytorski]

Pewnego pechowego dnia huraganowy wiatr zepchnął go na wybrzeże w pobliżu Campeche, gdzie na oczach Hiszpanów zatonął mu statek. Całą jego załogę wyrznięto, a on jeden ocalał, ukryty po szyję w błocie na sawannie, wysmarowany czarną mazią po czubki włosów.

Gdy w końcu udało mu się wydostać z bagniska, nie uciekł, lecz w przebraniu hiszpańskiego żołnierza poszedł prosto do Campeche z zamiarem rozpoznania terenu, na targu kupił kilku niewolników, po czym w ukradzonej łodzi odpłynął na Tortugę, gdzie uznano go wcześniej za martwego.

Niejeden zastanowiłby się trzy razy, zanim ponownie skusiłby los, ale nie on. Franciszek l'Olonnais zaraz po tej przygodzie przygotował kolejną wyprawę w morze; zebrał załogę złożoną z dwudziestu ośmiu marynarzy i na dwóch stateczkach popłynął ku kubańskiemu Los Cayos, osadzie słynącej z handlu. Gdy był już blisko swego celu, jego małą flotę spostrzegli hiszpańscy rybacy i pośpieszyli ostrzec gubernatora. Ten wysłał im na powitanie wielką fregatę obsadzoną dziewięćdziesięcioma marynarzami, na której znajdował się też przeznaczony do wieszania piratów Murzyn, i cztery mniejsze żaglowce ze swoimi nieustraszonymi załogami.

Franciszek l'Olonnais, mając przeciw sobie tak liczne siły, nie uląkł się. O świcie kazał dwóm statkom podpłynąć z obu stron do burt fregaty i mimo przewagi nieprzyjaciela dokonał abordażu, wyrzynając wszystkich znajdujących się na pokładzie, łącznie z Murzynem. Następnie popłynął prosto na pozostałe żaglowce, zmusił je do poddania się i wyrzucił ich załogi do morza.

I oto Czarny Korsarz spotyka tego niezwyklego człowieka, którego sława miała dopiero rozkwitnąć.

— Zapraszam cię do siebie — zaproponował Franciszek, ściskając prawicę przyjaciela.

— Czekałem twojego powrotu z niecierpliwością.

— Ja także chciałem się z tobą spotkać — powiedział Czarny Korsarz. — Wiesz, że byłem w Maracaibo?

— Byłeś tam? — zdziwił się Franciszek l'Olonnais.

— A jak inaczej miałem porwać ciało brata?

— Myślałem, że wysłałeś ludzi.

— Znasz mnie. Wolę działać sam.

— Włazisz w paszczę samemu lwu! Uważaj, żebyś swej odwagi pewnego dnia nie przypłacił życiem. Widzisz, jak skończyli twoi bracia.

— Zamilcz, Piotrze.

— Nie martw się, pomścimy ich, i to wkrótce.

— Podjąłeś decyzję? — ożywił się Czarny Korsarz.

— Zrobiłem nawet więcej! Przygotowałem wyprawę!

— To prawda?

— Na mój honor rozbójnika i złodzieja, jak nazywają mnie Hiszpanie — roześmiał się Franciszek.

— Ile masz statków?

— Osiem, łącznie z „Błyskawicą”, i sześciuset ludzi rekrutujących się z piratów i bukanierów. My będziemy dowodzić tymi pierwszymi, a Michał Bask drugimi.

— On też do nas dołączy?

— Wyraził chęć udziału w wyprawie, a ja wyraziłem zgodę. Wiesz, że to doświadczony najemnik, wiele stoczył wojen jeszcze w Europie, może oddać nam znaczne usługi. I do tego jest bogaty.

— Potrzebujesz pieniędzy?

— Wydałem już wszystko, co wyciągnąłem ze statku złupionego niedaleko Maracaibo, w drodze powrotnej z Los Cayos.

— Z mojej strony możesz liczyć na dziesięć tysięcy piastrów.

— Na mą głowę! Masz nieskończone żyły złota w swoich zamorskich kopalniach?

— Dałbym ci więcej, gdybym rano nie zapłacił dużego okupu.

— Okupu! Ty? Za kogo?

— Za szlachetną damę, która trafiła w moje ręce. Okup należał się mojej załodze, więc go pokryłem.

— Kim ona jest? To Hiszpanka?

— Nie, to flamandzka księżniczka, która z pewnością jest krewną gubernatora z Vera Cruz.

— Flamandka! — wykrzyknął Franciszek i zamyślił się. — A to ci zbieg okoliczności! Twój śmiertelny wróg także pochodzi z Flandrii⁸⁷.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Czarny Korsarz, a krew odpłynęła mu z twarzy.

— Przyszło mi do głowy, że może być spokrewniona z Van Gouldem.

— Nie daj Boże! — powiedział ledwie słyszalnym szeptem Czarny Korsarz. — To niemożliwe.

Franciszek l'Olonnais zatrzymał się pod gąszczem *maot*, wielkolistnych drzew przypominających bawełniane krzewy, i uważnie przyjrzał się przyjacielowi.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytał Czarny Korsarz.

— Pomyślałem o twojej flamandzkiej księżniczce i zastanawia mnie twoje nagłe wzburzenie. Jesteś błąd jak śmierć!

— Po twoich słowach krew zmroziła mi się w żyłach.

— Po których słowach?

— Że mogłaby być spokrewniona z Van Gouldem...

— A ciebie co to obchodzi, nawet gdyby była?

— Przysięgam zamordować wszystkich Van Gouldów chodzących po tej ziemi i wszystkich jego krewniaków.

— I dobrze, wtedy zabiłoby się ją i po kłopotcie.

— Zabić ją? Nie! — ze zgrozą zawołał Czarny Korsarz.

— Więc chcesz mi powiedzieć... — z wahaniem zaczął Franciszek.

— Co takiego?

— Do stu tysięcy piorunów! Kochasz swego więźnia.

— Zamilcz, Piotrze!

— Dlaczego mam milczeć? Kochanie kobiety to wstyd dla pirata?

— Nie, przyjacielu, lecz instynktownie wyczuwam, że ona będzie moją zgubą.

— Coś mi się zdaje, że już za późno...

— Więc zdecyduje los.

— Mocno ją kochasz?

— Do szaleństwa.

— A ona też cię kocha?

— Tak sądzę.

— Na mą brode! Piękna z was para! Pan z Roccanery nie mógł sobie znaleźć innej wybranki niż ta piękna panna z książęcego rodu. To rzadkie szczęście w takich miejscach jak to, a zwłaszcza dla pirata. Dalej! Chodź, przyjacielu, opróżnijmy po szklaneczce wina na cześć twojej księżniczki.

ROZDZIAŁ XVII. WILLA CZARNEGO KORSARZA

Franciszek l'Olonnais na główną kwaterę obrał sobie skromny, drewniany dom, o mocnej konstrukcji, którego dach, na modłę karaibskich Indian, pokryto zeschniętymi liśćmi. Była to kryjówka wystarczająco wygodna dla pirata, a nawet nie można jej było odmówić pewnego luksusu, którego przecież pożądały dumne i szorstkie zarazem pirackie serca.

Położony na skraju dżungli, ledwie pół mili od cytadeli, został wybudowany w urokliwym i spokojnym zakątku wyspy, wśród szpaleru palm, których cień przyjemnie chłodził w skwarze dnia.

Pirat wprowadził Czarnego Korsarza do pomieszczenia na parterze, którego okna osłonięte były matami wplecionymi z nipy⁸⁸ i wskazał mu bambusowy fotel. Jednemu ze swych sług kazał przynieść kilka butelek hiszpańskiego wina, pochodzących z pewnością z któregoś ze zrabowanych statków, po czym odkorkował jedną z nich i napełnił dwa kielichy.

⁸⁷*Flandria* — kraina historyczna rozciągająca się wzdłuż wybrzeży Morza Północnego na terenie ob. Belgii, Francji i Holandii. [przypis edytorski]

⁸⁸*nipa krzewinkowa* a. *palma krzaczasta* — gatunek palmy pochodzący z wybrzeży Oceanu Indyjskiego i Spokojnego, uprawiany w krajach o klimacie tropikalnym i subtropikalnym. [przypis edytorski]

— Kapitanie, zdrowie twoje i twej damy — wznosił toast.

— Lepiej wypijmy za powodzenie naszej wyprawy, przyjacielu — odparł na to Czarny Korsarz.

— Na pewno się powiedzie. Zobaczysz, przyprowadzę do ciebie zabójcę obu twoich braci.

— Trzech, Piotrze.

— Jak to? — zdumiał się pirat. — Wiem tyle, co i inni, czyli tyle, że Van Gould zabił Czerwonego i Zielonego Korsarza. Nic mi nie wiadomo o trzecim.

— Zgadza się, trzech — powiedział martwym głosem.

— Niech mnie piorun trzaśnie! I ta gadzina wciąż żyje?

— Już niedługo.

— Mam nadzieję, masz moje wsparcie, przyjacielu. Wpierw wołałbym się jednak dowiedzieć, jak dobrze znasz tego Van Goulda?

— Znam go lepiej niż Hiszpanie, którym teraz służy.

— Co to za człowiek?

— To stary żołnierz, który walczył we Flandrii i brał udział w wielu bitwach. Nosi jedno z najbardziej znanych nazwisk wśród flamandzkiej szlachty. Niegdyś był odważnym kondotierem⁸⁹, dowódcą licznych oddziałów i nie jest wykluczone, że wciąż mnożyłby zaszczytne tytuły, gdyby hiszpańskie złoto nie uczyniło zeń zdrajcy.

— Jest stary?

— Ma około pięćdziesięciu lat.

— Mówi się, że krzepy mu nie brak i że jest jednym z najzuchwalszych gubernatorów, jakich mają Hiszpanie w tych koloniach.

— Zgadza się, jest przebiegły niczym lis, energiczny jak Montbars i niezwykle odważny.

— Maracaibo stawia nam zaciekle opór.

— Zgadzam się, Piotrze, ale kto może się oprzeć atakowi sześciuset piratów? Wiesz, ile warcą nasi ludzie.

— Na mą brodę! — powiedział pirat. — Sam się o tym przekonałem, gdy ujrzałem jak moja nieliczna załoga podczas walki z hiszpańską flotą pod Los Cayos jak lwy rzuca się do walki. Dzięki tobie znamy już słabe strony Maracaibo.

— Poprowadzę cię.

— Coś cię tu zatrzymuje?

— Nic.

— Nawet Flamandka?

— Poczekaj na mnie, jestem pewien — uśmiechnął się Czarny Korsarz.

— Gdzie ją umieściłeś?

— W mojej willi.

— A ty gdzie się podziejesz, skoro twój dom jest zajęty?

— Zostanę u ciebie.

— No, no, nie spodziewałem się takiego obrotu spraw. Wspaniale! W ten sposób razem ułożymy plan, później dołączy do nas Bask, którego zaprosiłem na obiad.

— Dziękuję, przyjacielu. Kiedy wyruszamy?

— Jutro o świcie. Twoja załoga jest w komplecie?

— Brakuje mi sześćdziesięciu ludzi. Trzydziestu straciłem w walce, a trzydziestu posłałem na statek zdobyty w Maracaibo.

— Świetnie! Nie będzie problemu ze znalezieniem chętnych. Każdy pirat dałby się pokroić, byle tylko pływać pod twoją banderą.

— Tak, tylko że z jednej strony się do mnie garną, a z drugiej widzą we mnie groźnego upiora.

— Do stu piorunów! Rzeczywiście pogodny jesteś jak słońeczko na niebie. Na pewno twoja księżniczka cię trochę rozrusza.

— Kto wie — odparł Czarny Korsarz.

Wstał i skierował się do drzwi.

— Już wychodzisz? — zapytał Francuz.

⁸⁹kondotier — dowódca oddziałów wojsk najemnych we Włoszech w XIV–XVI w. [przypis edytorski]

— Tak, mam pewną sprawę do załatwienia, ale późnym wieczorem wrócę. Do zobaczenia, Piotrze.

— Do zobaczenia i uważaj, by nie zaczarowały cię czyjeś niewieście oczy.

Czarny Korsarz nie słyszał już tych słów. Wyszedł z domu i ruszył drogą przez dżunglę, która prowadziła w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszedł. Las rozciągający się za cytadelą porastał znaczną powierzchnię wyspy; pyszne palmy z gatunku *massimiliane* i okazałe prześcigle o wachlarzowatych, postrzępionych na końcach liściach splatały swe gałęzie z palmami *jupati* i *bossù*, o twardych niczym metal liściach, a pod palmowym baldachimem rosły dziko wielkimi kępami cenne agawy, z których pozyskuje się słodki i zarazem pikantny sok, znany na wybrzeżach Zatoki pod nazwą *aguamiele*, w swojej sfermentowanej wersji zwany *mezcalem*. Nie brakowało tam też krzaków dzikiej wanilii, długiego pieprzu i papryczki *pimiento*.

Las

Pogrążony we własnych myślach Czarny Korsarz nie podziwiał otaczającej go przyrody. Ciągle przyspieszał kroku, jak człowiek, który niecierpliwie pragnie znaleźć się już u celu.

Pół godziny później pirat stanął na skraju plantacji trzciny cukrowej, która rosła tu wyjątkowo bujnie. W promieniach zachodzącego słońca jej źdźbła mieniły się purpurowymi refleksami. Rośliny były już dojrzałe, gotowe do zbiorów; ich czerwono-żółte łodygi, delikatne i wysmukłe, okalały rzędy długich liści, które koniuszkami dotykały ziemi, u góry wieńczyły je białe wiechy kwiatów, w których odbijała się cała gama kolorów, od złocistego po niebieskawy.

Czarny Korsarz przez chwilę napawał się tym widokiem, po czym zanurzył się w morze trzciny i wyłonił po drugiej jego stronie, naprzeciw pięknego domu, ocienionego otaczającym go palmowym gajem.

Był to dwupiętrowy budynek, podobny do tych, które budują zwykle Meksykanie; jego ściany pomalowano na czerwono i ozdobiono ceramicznymi płytkami, układającymi się w wielobarwne mozaiki, a na dachu urządzono taras pełen kwiatów zasadzonych w wielkich donicach.

Dom

Olbrzymich rozmiarów tykwa, tropikalna krewniaczka dyni, o okrągłych, bladezielonych owocach przypominających melony, z których Indianie wyrabiają naczynia, szerokimi liśćmi szczerlnie oplatała budynek, przysłaniając okna i taras.

Przed drzwiami siedział niezwyklej rozmiarów Afrykańczyk, kurzący starą fajkę, którą, jak domyślał się Czarny Korsarz, dostał w prezencie od swych dwóch przyjaciół.

Pirat w ciszy przyglądał się przez chwilę domostwu, po czym potrząsnął ze zniecierpliwieniem głową i podszedł do Moko, który zerwał się na nogi.

— Gdzie Carmaux i Van Stiller? — zapytał.

— Poszli do portu, żeby dowiedzieć się, czy są jakieś rozkazy od ciebie, panie — odparł Moko.

— Co robi księżniczka?

— Jest w ogrodzie.

— Sama?

— Ze swoją służbą.

— Co robi?

— Przygotowuje stół dla ciebie.

— Dla mnie? — nachmurzone oblicze pirata rozjaśniło się jak niebo po burzy.

— Była przekonana, że zjecie razem kolację.

— Wprawdzie oczekują mnie w domu Franciszka, ale towarzystwo tego dziewczęcia jest mi miłsze od pirackiej biesiady — wyszeptał.

Wszedł do domu i skręcił w korytarzyk, wzdłuż którego ustawiono wazony pełne kwiatów wydzielających odurzające wonie, przeszedł przez pomieszczenia i znalazł się w przestronnym ogrodzie, okolonym murem tak wysokim i solidnym, że nikt niepowołany nie zdołałby się na niego wspiąć.

Ogród

Dom był piękny, ale ogród urodą przerastał wszelkie wyobrażenia. Rosnące w rzędach szerokolistne, ciemnozielone bananowce wyznaczały urocze, parkowe alejki, rzucając na nie cień, który zapewniał ożywczy chłód. W ich koronach w wielkich kiściach pyszniły się dorodne banany. Pomiędzy alejkami kusily zielenią trawniki porośnięte najpiękniejszymi tropikalnymi kwiatami.

W narożnikach ogrodu rosły wiecznie zielone drzewa rodzące awokado, które zmieszane z odrobiną sherry jest wybornym smakołykiem; tu i ówdzie kwitły męczennice, których nie większe od gęsich jaj owoce zawierały delikatny miąższ o przyjemnym zapachu; w niezliczonych zakątkach ogrodu różowe kwiaty tonkowców odurzały wonną słodyczą, a wszędzie wkoło krzewiła się bujnie kapusta palmowa, której liście wystrzelały w górę na ponad dwadzieścia, a czasem nawet trzydzieści cali⁹⁰.

Czarny Korsarz skręcił w jedną z alejek i bezgłośnie zbliżył się do altanki uplecionej z liści tykwy, podobnej do tej, która otulała dom. Miejsce to ocieniała palma *jupati*, której liście osiągają długość nawet pięćdziesięciu stóp. Promienie słońca migotały w zielonych koronach, a po ogrodzie rozbrzmiewał perlisty śmiech.

Czarny Korsarz podszedł bliżej i spojrział poprzez gęstą roślinność.

Na środku baśniowego ogrodu stał przygotowany do posiłku stół, przykryty śnieżnobiałą, flandryjską serwetą. Dwa piękne świeczniki ginęły w bukietach kwiatów o słodkich zapachach, a na stole pomiędzy nimi piętrzyły się piramidy tropikalnych owoców, ananasów, bananów, zielonych orzechów kokosowych oraz półmiski pełne *pupubna*, dużych brzoskwiń gotowanych w osłodzonej wodzie.

Księżniczka z pomocą dwóch Metysek⁹¹ nakrywała do stołu. Ubrana była w suknię w kolorze morskiego błękitu, o brzegach wyszywanych brukselską koronką. Barwa ta jeszcze bardziej podkreślała błądź jej skóry i złote refleksy we włosach, które długim warkoczem opadały jej na plecy.

Nie założyła tego wieczoru klejnotów, choć żyjąc już tak długi czas wśród hiszpańskich i amerykańskich kobiet, mogła przyzwyczać się do noszenia licznych błyskotek; jedyną jej ozdobą był podwójny sznur dużych, spiętych pięknym szmaragdem pereł, które zawiesiła sobie na śnieżnobiałej szyi.

Czarny Korsarz chciwie chłonał to zjawiskowe stworzenie; płonącym wzrokiem wpatrywał się w nie, śledząc najdrobniejszy ruch. Wydawał się być oślepiiony tym surowym, północnym pięknem. Prawie nie oddychał — tak bardzo obawiał się je spłoszyć. W pewnej chwili nieświadomie ręką poruszył liście rosnącej nieopodal niewielkiej palmy.

Dziewczyna, słysząc szelest liści, obejrzała się. Na jego widok lekki rumieniec okraślił jej policzki, a usta rozchyliły się w uśmiechu, ukazując małe zęby, błyszczące jak perły, które nosiła na szyi.

— To ty, panie! — powitała go z radością.

Czarny Korsarz zdjął kapelusz i uklonił się. Dziewczyna powiedziała do niego:

— Oczekiwałam cię, zobacz, stół już prawie gotowy do kolacji.

— Czekalaś na mnie, Honorato? — zapytał, całując dłoń, którą mu podała.

— Zobacz sam. Na kolację przygotowano kotlety z manata, szaszłyki z mięsa dzikich ptaków, morskie ryby, które tylko czekają, by je zjeść. Osobiście dopilnowałam przygotowania potraw, wiesz?

— Ty, pani?

— Dziwi cię to? Flamandzkie kobiety zazwyczaj same przygotowują potrawy dla swych mężów i gości.

— I naprawdę na mnie czekałaś?

— Tak, panie.

— Przecież nie obiecywałam, że zjawię się na kolację.

— To prawda, ale serce kobiety czasami odgaduje intencje mężczyzny, a moje mówiło mi, że wrócisz tu dziś wieczorem — odparła, rumieniąc się.

— Pani — odezwał się Czarny Korsarz — zostałem zaproszony na kolację przez jednego z moich przyjaciół, ale — do czorta! — niech czeka na mnie, ile zechce. Nie mógłbym zrezygnować z przyjemności spędzenia tego wieczoru z tobą. Być może to nasze ostatnie wspólne spotkanie i już się więcej nie zobaczymy.

— Dlaczego? — drgnęła niemile zaskoczona. — Czyżby Czarnemu Korsarzowi śpieszyło się z powrotem na morze? Dopiero co wrócił z jednej wyprawy i już pragnie kolejnej? Nie wiesz, że na morzu może cię spotkać śmierć?

— Wiem, pani, ale los pcha mnie znów daleko, a ja zamierzam usłuchać jego głosu.

⁹⁰*cal* — jednostka miary długości równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

⁹¹*Metys* — potomek białego mężczyzny i Indianki lub białej kobiety i Indianina. [przypis edytorski]

— I nic cię nie powstrzyma? — zapytała łamiącym się głosem.

— Nic — ciężko westchnął Czarny Korsarz.

— Żadne uczucie?

— Żadne.

— Nawet przyjaźń? — zapytała z rosnącym niepokojem.

Czarny Korsarz nachmurzył się; chciał jeszcze raz zaprzeczyć, ale zamilkł i wskazał dziewczynie krzesło:

— Usiądź, pani, kolacja stygnie. Szkoda by było nie zjeść tak wspaniale przygotowanych potraw.

Usiedli naprzeciw siebie. Do posiłku usługiwały im Metyski. Czarny Korsarz stał się nagle wylewny i czuły i mimo jedzenia chętnie rozmawiał, przejawiając poczucie humoru i okazując dużo grzeczności, jak przystało na szlachcica. Opowiadał jej o zwyczajach piratów i bukanierów, o ich wspaniałych czynach, niezwykłych przygodach, relacjonował przebieg najstraszliwszych bitew i najkrwawszych abordaży, opisywał tonące statki i zwyczajnie kanibali. Nie wspomniał jednak ani słowem o wyprawie, na którą o świcie wyruszał z Franciszkiem l'Olonnais i Michałem Baskiem.

Flamandka słuchała go z uśmiechem, podziwiając w milczeniu jego poczucie humoru, wdzięk i niecodzienną gadatliwość; ani na chwilę nie odrywała od niego wzroku, raz po raz wracała też do tematu planowanej wyprawy, ciekawa i zmartwiona zarazem.

Słońce zaszło dwie godziny temu. Dopiero gdy księżyc wystawił swe oblicze znad krawędzi lasu, Czarny Korsarz wstał. Przypomnił sobie raptownie, że Francuz czeka na niego wraz z Baskiem i że do świtu powinien skompletować załogę „Błyskawicy”.

— Przy tobie czas upływa zbyt szybko! — powiedział. — Nie wiem, jaki tajemniczy wdzięk posiadasz, że zapomniałem o obowiązkach! Myślałem, że to ósma, a minęła już dziesiąta.

— Myślę, że po wielu morskich wyprawach najprzyjemniejszym odpoczynkiem jest posiłek we własnym domu — odparła.

— A ja myślę, że to jednak towarzystwo twoich pięknych oczu.

— Tym razem, panie, to ty uprzyjemniłeś mi dzisiejszy wieczór, nie wiadomo, czy znów będziemy mieli ku temu okazję, by spędzić wspólnie czas w tym baśniowym ogrodzie, z dala od morza i ludzi — dodała z nutą gorczy.

— Na wojnie można zginąć, ale czasem los jest łaskawy.

— Wojna! A nie bierzesz pod uwagę morską żywiołu? Zdarzy się, że i „Błyskawica” ulegnie wielkim falom kotłującym się na wodach Zatoki.

— Gdy ja jestem u steru, mojemu statkowi nic nie zagraża.

— Kiedy wracasz na morze?

— Jutro o świcie, pani.

— Dopiero co przybiłeś do brzegu, a już myślisz uciekać. Gotowam pomyśleć, że ląd napawa cię zabobonnym strachem.

— Kocham morze, poza tym, siedząc tu beczynn timer, nie dorwę nigdy mojego śmiertelnego wroga.

— Myślisz tylko o nim!

— Zawsze i wszędzie, i nie przestanę, póki żyję.

— Wyruszasz, by z nim walczyć?

— Być może.

— Gdzie się udasz? — głos dziewczyny zdradzał niepokój, który nie uszedł uwagi Czarnego Korsarza.

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Sekrety piratów to rzecz święta. Jeszcze kilka dni temu byłeś gościem na hiszpańskim statku płynącym z Vera Cruz i być może masz powiązania z Maracaibo.

Młoda dama zmarszczyła czoło i spojrzała na pirata czarnymi oczami.

— Nie ufasz mi? — zapytała z lekką naganą w głosie.

— Nie, pani. Niech mnie Bóg ma w swej opiece, jeśli w ciebie zwątpię, ale muszę przestrzegać korsarskich zasad.

— Byłoby mi przykro, gdyby Czarny Korsarz we mnie wątpił. Zwłaszcza że wiem, jak bardzo jest lojalny i jakie wyznaje zasady.

— Dziękuję za dobre słowo, pani.

Włożył kapelusz na głowę, na ramię zarzucił pelerynę, ale wciąż coś trzymało go w miejscu. Stał przed księżniczką i wpatrywał się w jej zamyśloną twarzyczkę.

— Chcesz mi coś powiedzieć, prawda? — rzekła.

— Tak.

— To aż tak ważne, że cię zawstydzą?

— Być może.

— Powiedz.

— Chciałbym się ciebie zapytać, pani, czy podczas mojej nieobecności opuścisz wyspę.

— A gdybym stąd odpłynęła? — zapytała.

— Byłoby mi przykro, gdybym cię nie zastał po moim powrocie.

— Dlaczego, panie? — zapytała, śmiejąc się i rumieniąc jednocześnie.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale czuję, że gdybym mógł spędzić jeszcze jeden wieczór z tobą, byłbym o wiele szczęśliwszy. Przebywanie w twoim towarzystwie łagodzi moje cierpienia, które ciągną się za mną aż z zamorskiej ojczyzny.

— Dobrze więc, powiem ci, że także i mnie byłoby przykro, gdybym miała już nie ujrzeć Czarnego Korsarza — wyznała i opuściła głowę na piersi.

— Więc poczekaś na mnie? — gwałtownie powiedział Czarny Korsarz.

— Zrobiłabym nawet więcej, gdybyś mi pozwolił.

— Mów.

— Poprosiłabym cię o udzielenie mi gościny na „Błyskawicy” na czas wyprawy. — Czarny Korsarz ucieszył się, lecz uśmiech szybko zgasł na jego ustach.

— To... niemożliwe.

— Byłabym dla ciebie przeszkodą?

— Nie, ale piratom nie wolno zabierać kobiety na pokład, zwłaszcza podczas wyprawy wojennej. To prawda, że „Błyskawica” należy do mnie, że jestem jej niekwestionowanym dowódcą i nie podlegam nikomu...

— Ale? — smutno zapytała.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć, pani, ale bałbym się, widząc cię na pokładzie „Błyskawicy”. To przecucie wiszącego nade mną nieszczęścia, którego nie potrafię nazwać, bez końca mnie dręczy. Zadałaś mi pytanie, a ja zamiast się ucieszyć, poczułem ukłucie w sercu. Spójrz na mnie! Czy nie zbladłem bardziej niż zazwyczaj?

— To prawda! — potwierdziła. — Mój Boże! Czy ta wyprawa może okazać się dla ciebie zgubna?

— Tęgo nie wie nikt. Pani, pozwól mi płynąć. Cierpię teraz, choć nie znam przyczyny. Do widzenia. Jeśli zatoną wraz z moim statkiem w głębinach Zatoki lub zginę zastrzelony w walce, nie zapomnij o Czarnym Korsarzu!

Po tych słowach odszedł szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie, jakby bał się, że coś go od tego powstrzyma. Przeszedł przez ogród i na powrót zanurzył się w dżunglę, kierując się w stronę domu Franciszka l’Olonnais.

ROZDZIAŁ XVIII. NIENAWIŚĆ W SERCU CZARNEGO KORSARZA

Nazajutrz o świcie, po porannym przyplywie, wśród grania bębnow i fujarek, flota pod dowództwem trzech groźnych piratów, Franciszka l’Olonnais, Czarnego Korsarza i Michała Baska, wypływała z portu. Pozostający na wyspie bukanierzy żegnali kamratów strzałami z muszkietów, a piraci ze statków zacumowanych w porcie wykrzykiwali na ich cześć głośnie „hurra!”.

Flotyła składała się z ośmiu mniejszych i większych statków, uzbrojonych w sumie w osiemdziesiąt sześć armat, z których szesnaście ulokowano na statku Franciszka l’Olonnais, a na „Błyskawicy” dwanaście. W całej wyprawie brało udział sześciuset pięćdziesięciu piratów i bukanierów.

„Błyskawica” — bez wątpienia najszybszych żaglowiec, jaki pływał po tych wodach — wysunęła się na czoło. Na najwyższej rei grotmasztu wciągnięto obszytą złotą nicią, czarną banderę kapitana, a nad nią powiewała czerwona wstęga, typowa dla okrętów wojennych.

Za nią w dwurzędowym szyku płynęły pozostałe statki, zachowując między sobą bezpieczną odległość, by nikogo przy tym nie staranować i nie wpłynąć sąsiadowi pod bukszpryt.

Flota wyszła na pełne morze i skierowała się w stronę Cieśniny Wiatrów, która łączy Atlantyk z Morzem Karaibskim.

Pogoda była piękna, morze spokojne, a wiatry sprzyjające. Lekka bryza wiejąca od północnego-wschodu dawała nadzieję na szybką i spokojną żeglugę pod same mury Maracaibo. Los sprzyjał im też w innych kwestiach; piracy zwiadowcy donosili, że flota admirała Toledo zacumowała w pobliżu Jukatana, sprawując pieczę nad szlakami handlowymi wiodącymi do meksykańskich portów, więc nie stanowiła dla nich chwilowo większego zagrożenia.

Po dwóch dniach żeglugi flotylla nie napotkała na swej drodze żywej duszy. Statki opływały właśnie przylądek Engaño, gdy z pokładu płynącej przodem „Błyskawicy” dostrzeżono nieprzyjacielski okręt płynący w stronę Santo Domingo.

Obrany głównym dowódcą wyprawy Franciszek l’Olonnais natychmiast rozkazał wszystkim załogom rozpuścić żagle, a sam podpłynął do „Błyskawicy”, na której czyniono już przygotowania do ataku.

Zza przylądka wynurzył się właśnie żaglowiec z zawieszoną na grotmaszcie hiszpańską flagą i wstęgą — oznaką wojennych fregat. Statek ten trzymał się jednakże blisko brzegu; wydawało się, że załoga spostrzegła potężną piracką flotę i zmieniła kurs, by w razie czego móc schronić się na lądzie.

Był to potencjalnie prosty łup: statki pod wodzą Franciszka l’Olonnais mogły z łatwością okrążyć hiszpański okręt i jedną salwą posłać go na dno, lecz nie godziło się, by piraci uciekali się do nikczemnych posunięć niegodnych ich pochodzenia. Ci dumni marynarze nade wszystko cenili sobie równą i uczciwą walkę, a napaść na nieprzyjaciela siłami znacznie go przewyższającymi uważali za tchórzostwo.

Franciszek l’Olonnais nakazał Czarnemu Korsarzowi ustawić statek w dryf, po czym energicznie pożeglował na spotkanie nieprzyjaciela, wzywając go do walki lub poddania. Poleciał też marynarzom na dziobie, by poinformowali resztę floty, że niezależnie od wyniku potyczki żaden statek nie pośpieszy mu z pomocą.

Nieszczęśni Hiszpanie w obliczu takiego zagrożenia nie mogli mieć najmniejszej nadziei na zwycięstwo; zaatakowana załoga nie kazała sobie dwa razy powtarzać wezwania, kapitan przybił wielki sztandar do masztu i w odpowiedzi wystrzelił w kierunku piratów z ośmiu dział umieszczonych na lewej burcie, dając atakującym do zrozumienia, że podda się bez walki.

Obie strony przystąpiły do bitwy z dużym zaangażowaniem. Hiszpański statek miał na pokładzie szesnaście dział, lecz tylko sześćdziesięciu ludzi. Franciszek l’Olonnais posiadał taką samą liczbę armat, ale jego załoga liczyła sobie dwa razy więcej marynarzy, a wśród nich nie brakowało pierwszorzędnych strzelców, których niezawodne oko zazwyczaj decydowało o losach potyczki.

Flota tymczasem stanęła w dryfie, posłuszna rozkazom swego dowódcy. Załogi zebrane na pokładach z daleka obserwowały starcie; nierówny rozkład sił nie dawał jednak Hiszpanom żadnych szans na zwycięstwo, stąd też rozstrzygnięcie mogło być tylko jedno.

Zaatakowani marynarze, choć nieliczni, bronili się zaciekłe. Ich armaty groźnie grzmiały, wypluwając w stronę przeciwnika niezliczoną ilość kul, którymi starali się strzaskać maszty przeciwnika i roznieść w pył korsarski statek, który szykował się do abordażu. Odpowiadali salwą na salwę, wykonywali ciągłe zwroty, pokazując się od dziobu, unikając w ten sposób staranowania i podziurawienia burt bukszprytem. Zresztą gdy tylko spostrzegli liczącą przewagę przeciwnika, za wszelką cenę starali się opóźnić bezpośredni kontakt obu żaglowców.

Ten zaciekły opór rozsierdził tylko Franciszka l’Olonnais; zniecierpliwiony czekaniem pirat próbował wszystkiego, byle tylko zbliżyć się do wroga i spróbować abordażu, ale wciąż coś stawało mu na przeszkodzie. Raz za razem musiał odpływać na bezpieczną odległość, by nieustannie prowadzony ostrzał nie wybił doszczętnie jego własnej załogi.

Walka trwała trzy długie godziny. Mimo że maszty i ożaglowanie obu statków zostało już poważnie uszkodzone, piraci nie zdołali wdrzeć się na pokład przeciwnika i strącić hiszpańskiego sztandaru. Ilekroć szykowali się do abordażu — a tych podejść było aż sześć

— tylekroć sześćdziesięciu śmiałków odpierało ich ataki. Dopiero za siódmym razem z impetem wezbranej fali przedostali się na wrogi statek i ściągnęli jego flagę.

Piraci wzniesli gromkie „hurra!”, wiwatując na cześć zwycięstwa l’Olonnais, które dobrze wróżyło powodzeniu wyprawy. Radość piratów wzrosła jeszcze bardziej, gdy okazało się, że „Błyskawica”, zniesiona morskim prądem aż do przybrzeżnej zatoczki, natknęła się tam na uzbrojony w osiem dział, nieco mniejszy hiszpański statek, i pokonała go w krótkim starciu.

Oba statki zostały przeszukane; na większym odnaleziono cenny ładunek w postaci różnych kosztowności i odlanych ze srebra płyt, natomiast na drugim przewożono tylko proch i muszkiety przeznaczone dla załogi fortu w Santo Domingo.

Hiszpanów wziętych do niewoli wysadzono na ląd; nikt nie chciał mieć na pokładzie jeńców podczas wojennej wyprawy. Sprawnie naprawiono uszkodzone maszty i o zachodzie słońca flota pod pełnymi żaglami skierowała się ku Jamajce.

„Błyskawica” znów płynęła na przedzie, utrzymując dystans czterech do pięciu mil morskich.

Czarny Korsarz trzymał się blisko floty; w obawie przed napotkaniem hiszpańskich okrętów, które mogły patrolować okolicę, nie chciał by ktokolwiek mógł przed czasem zorientować się co do obranego przez nich celu ani ostrzec gubernatora Maracaibo lub admirała Toledo o planowanej napaści. Pewny własnej strategii, nie schodził z mostku i każdą noc spędzał na pokładzie, gdzie szczelnie owinięty w płaszcz związał się w kłębek na bambusowym fotelu i układał się do snu.

Trzy dni po potyczce z pokładu „Błyskawicy” dostrzeżono wybrzeża Jamajki, wtedy też piraci spotkali się ze swymi kamratami, żeglującymi na uprzednio zdobytej hiszpańskiej fregacie, która w czasie huraganu schroniła się u tych wybrzeży. Statek wciąż nie miał grotmasztu, lecz załoga wzmocnieniami usztywniła pozostałe maszty i rozwinęła wszystkie zapasowe żagle, jakie tylko znalazły się w lukach. Śpieszyli ile sił w stronę Tortugi, obawiając się niechcianych spotkań z hiszpańskimi okrętami.

Gdy oba statki zbliżyły się do siebie, Czarny Korsarz wypytał o zdrowie rannych, a następnie popłynął dalej na południe, chcąc jak najszybciej dotrzeć do przesmyku prowadzącego na jezioro Maracaibo.

Flota przepłynęła przez zadziwiająco spokojne Morze Karaibskie bez przygód. Nocą, czternastego dnia od wypłynięcia z Tortugi, Czarny Korsarz dostrzegł w oddali niewielką latarnię morską na przylądku Paraguana, która strzegła żeglugi u ujścia małej zatoki.

— Nareszcie! — wykrzyknął pirat, a oczy mu rozbłysły. — Może jutro nadejdzie w końcu ten dzień, kiedy morderca moich braci pożegna się ze światem żywych.

Czarny Korsarz przywołał Morgana, który właśnie obejmował wachtę na pokładzie, i rzekł:

— Tej nocy na statku wszystkie światła mają być wygaszone. To rozkaz Franciszka l’Olonnais. Hiszpanie nie mogą nas dostrzec, inaczej mieszkańcy uciekną z miasta wraz ze wszystkimi kosztownościami.

— Zatrzymamy się tutaj, u wejścia do zatoki?

— Nie, flota popłynie aż do przesmyku i jutro o świcie napadniemy na miasto.

— Zaatakujemy od strony lądu?

— Tak, razem z bukanierami Franciszka l’Olonnais. Podczas gdy flota będzie ostrzeliwała fort z morza, my napadniemy na Maracaibo, by odciąć gubernatorowi odwrót do Gibraltaru. O świcie szalupy mają być gotowe do opuszczenia na morze i wyposażone w spingardy⁹².

— Rozkaz, kapitanie.

— Zresztą — dodał Czarny Korsarz — będę przez cały czas na mostku. Zejdę tylko do kajuty po kirys⁹³.

Zostawił Morgana samego i szedł do nadbudówki. Gdy otwierał drzwi do swojej kajuty, poczuł dobrze mu znany delikatny zapach perfum.

— Dziwne! — zdumiał się. — Gdybym nie był pewny, że dziewczyna została na Tortudze, mógłbym przysiąc, że tu była.

⁹²spingarda — rodzaj niewielkiego, przenośnego działa. [przypis edytorski]

⁹³kirys — pancerz chroniący tułów. [przypis edytorski]

Obejrzał się wkoło, ale po wygaszeniu świateł zapanowały zupełne ciemności. Jednak wydawało mu się, że w kącie kajuty dostrzegł białą postać, opartą o jedno z okien wychodzących na morze.

Czarny Korsarz był odważnym człowiekiem, niemniej był także przesądny. Widząc biały cień nieruchomy w ciemnościach, poczuł, jak zimny pot zrosił mu czoło.

— Czyżby to był duch Czerwonego Korsarza? — wyszeptał, cofając się pod przeciwległą ścianę. — Zjawia się, by przypomnieć mi o przyrzeczeniu, które złożyłem tamtej nocy? To możliwe, że jego dusza opuściła miejsce wiecznego spoczynku?

Prawie natychmiast zawstydził się swojego strachu i zabobonnego lęku. Wyjął mizerykordię z pochwy uczynił krok naprzód i powiedział:

— Kim jesteś? Mów albo zabiję.

— To ja, kapitanie — na dźwięk tego słodkiego głosu Czarnemu Korsarzowi drgnęło serce.

— Ty! — wzruszenie odebrało mu głos. — Ty, pani, na „Błyskawicy”? Myślałem, że zostałaś na Tortudze. Powiedz mi, oszalałem?

— Nie, panie — zaprzeczyła dziewczyna.

Czarny Korsarz rzucił się do przodu, mizerykordia z brzękiem upadła na podłogę. Wyciągnął ręce w stronę dziewczyny, chwycił ją w ramiona, całując koronki wysokiego kołnierzyka zdobiącego jej suknię.

— Ty tutaj? — wyszeptał drżącym głosem. — Skąd się tu wzięłaś? Jak weszłaś na pokład?

— Nie wiem czy mogę... — odpowiedziała zakłopotana.

— Mów, pani.

— Dobrze... Chciałam płynąć z tobą.

— A więc mnie kochasz! Powiedz mi: to prawda?

— Tak — szepnęła cichutko.

— Dziękuję ci... teraz bez strachu mogę pójść na spotkanie śmierci.

Wypuścił ją z ramion, wyciągnął krzesiwo i zapalił świece, które postawił w rogu kajuty, by światło nie odbijało się od powierzchni morza.

Honorata stanęła przy oknie. Owinięta w biały, koronkowy płaszcz, z kapeluszem na głowie, rękami kurczowo ścisnęła bijące serce. Jej błyszczące oczy spoglądały na Czarnego Korsarza, który stał przed nią wyprostowany jak struna, już nie blady, smutny i zadumany, lecz z uśmiechem na ustach, który zdradzał nieskończone szczęście.

Patrzyli tak na siebie bez słów, zadziwieni tym wzajemnym wyznaniem, być może długo skrywanym i żywionym, ale nieoczekiwanym. Czarny Korsarz chwycił dziewczynę za rękę, posadził na krześle i powiedział:

— Powiedz mi, pani, jakim cudem się tutaj znalazłaś? Przecież powiedziałem ci „żegnaj” w moim własnym domu. Nie mogę ciągle uwierzyć, że tu jesteś.

— Powiem ci, panie, jeśli dasz mi słowo, że wybaczysz moim współnikom.

— Współnikom?

— Zrozum, że sama nie zdołałabym po kryjomu dostać się na „Błyskawicę” i do tego spędzić czternastu dni w kabinie zamkniętej na klucz.

— Niczego nie potrafię ci odmówić. Wybaczam więc tym, którzy złamali moje rozkazy, ponieważ zrobili mi niezwykłą niespodziankę. Ich imiona, pani.

— Van Stiller, Carmaux i Moko.

— A to hultaje! — wykrzyknął Czarny Korsarz. — Powinienem był się domyślić. Ale jak udało ci się namówić ich do pomocy? Piraci, którzy złamią rozkaz kapitana, muszą odebrać sobie życie.

— Byli przekonani, że nie sprawią ci przykrości, panie. Odkryli, że skrycie się we mnie kochasz.

— A jak wprowadzili cię na statek?

— Zrobili to w nocy, przebrali mnie za marynarza, by nikt nie zorientował się, że tu jestem.

— I ukryli cię w jednej z kajut? — roześmiał się pirat.

— W tej, która przylega do twojej.

— A ci nicponie, gdzie się pochowali?

Miłość, Strach

— W ładowni, ale odwiedzali mnie często i przynosili jedzenie, które kradli ze spiżarni kucharza.

— Szczwane lisy! Surowi są jak morze, a wiedzą, co to uczucie. Igrają ze śmiercią, ale pragną szczęścia swojego kapitana. Kto wie, ile ono jeszcze potrwa! — dodał po chwili prawie ze smutkiem.

— Dlaczego? — zaniepokoiła się Honorata.

— Za dwie godziny wszędzie świt i będę musiał cię opuścić.

— Tak prędko? Dopiero się spotkaliśmy, a już myślisz o odejściu! — z bólem powiedziała dziewczyna.

— Jak tylko słońce wszędzie nad horyzontem, piraci z Tortugi stoczą jedną z najstraszliwszych bitew, w jakich kiedykolwiek przyszło im brać udział. Fort, który skrywa za swymi murami mojego śmiertelnego wroga, zostanie ostrzelany z osiemdziesięciu dział, a sześciuset marynarzy gotowych na śmierć rzuci się do ataku. Ja będę im przewodził.

— Naprzeciw śmierci! — przeraziła się. — A co, jeśli dosięgnie cię kula?

— Życie ludzkie jest w rękach Boga, pani.

— Przysięgnij mi, że będziesz ostrożny.

— To niemożliwe. Dwa lata już czekam, by go dorwać i ukarać.

— Za co tak bardzo go nienawidzisz?

— Zabił mi trzech braci i dopuścił się strasznej zdrady.

— Jakiej?

Czarny Korsarz nie odpowiedział. Zrobił się ponury jak chmura gradowa i zaczął krążyć po kajucie. Honorata obserwowała go z żywym niepokojem na twarzy. W końcu usiadł obok niej i powiedział:

— Posłuchaj mnie i sama oceń, czy moja nienawiść jest uzasadniona.

Dziesięć lat już minęło od tamtych czasów, lecz pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. W 1686 pomiędzy Francją i Hiszpanią wybuchła wojna o Flandrię⁹⁴. Ludwik XIV, będąc u szczytu swojej potęgi, jak żaden władca pożądał sławy. Jego największym pragnieniem było zdeptanie Hiszpanów, którzy pod wodzą księcia Alby bezkarnie najeżdżali francuskie wsie i miasteczka, biorąc je w jarzmo ogniem i żelazem, i którzy odnosili wszędzie zwycięstwa, mając nad francuskim wojskiem przewagę w polu. W tamtym czasie Ludwik XIV miał silne wpływy w Sabaudii⁹⁵ i zażądał zbrojnego wsparcia od księcia Wiktora Amadeusza II. Władca Sabaudii władał małym państwem, nie mógł więc odmówić i wysłał królowi trzy najlepiej uzbrojone regimenty⁹⁶: z Aosty, z Nicei i z Mariny. W tym ostatnim ja i moi trzej bracia służyliśmy jako oficerowie; najstarszy z nas miał trzydzieści lat, najmłodszy, ten, który później stał się Zielonym Korsarzem, zaledwie dwadzieścia. Wraz z naszym regimentem udaliśmy się na flandryjską granicę, gdzie okrywając się chwałą, odnieśliśmy wiele zwycięstw w potyczkach nad brzegami Skaldy, w Gand i w Torunay. Wojska sprzymierzone zwyciężały na wszystkich frontach, sukcesywnie spychając Hiszpanów w stronę Antwerpii. Pewnego dnia, który był dla nas wyjątkowo pechowy, część naszego regimentu zapuściła się aż do ujścia Skaldy i zajęła opuszczoną przez nieprzyjaciela twierdzę zbudowaną na skale. Tam zaskoczył nas wróg, który przewyższał nas liczebnie, a atak był tak nagły, że ledwo udało nam się uciec za mury, zabierając ze sobą artylerię. Znaleźliśmy się w oblężeniu; dookoła nas nieprzyjacielskie wojska, które przewyższały nas dziesięciokrotnie, zacieśniały krąg, na domiar złego byliśmy całkowicie odcięci od sprzymierzonych z nami Francuzów. Hiszpanie za wszelką cenę chcieli odbić twierdzę, która była dla nich jednym z ważniejszych punktów strategicznych strzegących brodów na Skaldzie. Nie mieliśmy innego wyjścia jak poddać się albo zginąć w obronie warowni. Układanie się z Hiszpanami nie wchodziło w grę. Złożyliśmy przysięgę, że będziemy bronić proporca książąt sabaudzkich, choćby miało nas to kosztować życie pod gruzami szanca.

Ludwik XIV na dowódcę naszego regimentu wyznaczył — do dziś nie wiem, z jakiego powodu — podeszłego już wiekiem flamandzkiego księcia. Był to doświadczony

⁹⁴W 1686 pomiędzy Francją i Hiszpanią wybuchła wojna o Flandrię — częścią posiadłości królów Hiszpanii były wówczas Niderlandy Południowe, tereny obecnej Belgii. [przypis edytorski]

⁹⁵Sabaudia — kraina historyczna we francuskich Alpach, granicząca ze Szwajcarią i Włochami. [przypis edytorski]

⁹⁶regiment — oddział wojskowy. [przypis edytorski]

żołnierz, zasłużony na polu walki i to on dowodził obroną podczas oblężenia. Wrogowie nacierali nieustannie, a my z jednakową siłą odpieraliśmy ich ataki. Każdego dnia artyleryjski ogień wroga niszczył nasze bastiony i stanowiska, a my za każdym razem trwaliliśmy w gotowości, nocą naprawiając zniszczone szańce. Oblężenie trwało piętnaście długich dni i nocy i obu stronom przyniosło wiele strat. Gdy tylko Hiszpanie wzywali nas do poddania się, w odpowiedzi na ich haniebną propozycję natychmiast słailiśmy im za mury porcję żelaza.

Mój najstarszy brat był sercem całej obrony; odważny, silny, doskonale władał bronią, śmiało dowodził artylerią i piechotą, zawsze pierwszy w ataku, ostatni w odwrocie. Jego nieugięta postawa zrodziła w sercu Flamandczyka ślełą zazdrość, co — jak się okazało — miało dla nas straszne konsekwencje. Niepomny na przysięgę złożoną sabaudzkim książętom i nie bacząc na to, że splamił imię jednego z najświetniejszych rodów, Flamandczyk poszedł na układy z Hiszpanami i zdradził im wejście do twierdzy. Ceną za ten nikczemny układ było stanowisko gubernatora w południowoamerykańskich posiadłościach i pokaźna suma pieniędzy. Pewnej nocy z pomocą swoich flamandzkich krewniaków otworzył tajemne przejście, przez które podkradli się hiszpańscy żołnierze, czekający na znak w pobliżu twierdzy. Mój starszy brat wraz z kilkoma wojakami stał na straży nieopodal wyjścia z tunelu. Od razu zorientował się, że Hiszpanie weszli do środka, i wszczął alarm. Niestety! Zdrajca z pistoletami gotowymi do strzału zaczął się na niego za rogim bastionu. Gdy nadbiegł mój brat, wystrzelił prosto w niego, śmiertelnie go raniąc. Wrogowie wdarli się do środka, atakując nas z dziką furją. Walczyliśmy o każdy fragment muru, o każdy szaniec, lecz na próżno, twierdza upadła. Ja i moi pozostali przy życiu bracia wraz z grupą zaufanych osób salwowaliśmy się ucieczką do Coutray. Powiedz mi zatem pani, przebaczyłabyś takiemu człowiekowi?

— Nie, panie — odparła księżniczka.

— I tak też było. Przysięgaliśmy, że zabijemy zdracę i pomścimy śmierć naszego brata. Po zakończeniu wojny szukaliśmy go długo, najpierw we Flandrii, potem w Hiszpanii. Kilka lat później dowiedziałem się, że został mianowany gubernatorem jednej z największych amerykańskich kolonii. Nie namyślając się długo, razem z braćmi wyruszyliśmy za ocean, a pragnienie zemsty i ukarania zdraycy trawiło nas jak gorączka. By go dosięgnąć, staliśmy się korsarzami. Zielony Korsarz, który miał z nas najmniej doświadczenia, krewki był bardzo i niecierpliw, pewnego dnia odплыł spróbować szczęścia. Nie udało mu się; los go nie oszczędził, wpadł w ręce naszego wroga i został powieszony jak pospolity rzezimieszek. Nie lepszy los czekał Czerwonego Korsarza. Obu obojgu zdjąłem z szubienicy. Spoczywają teraz na dnie morza, gdzie czekają na zemstę, i jeśli mi Bóg dopomóż, za dwie godziny dopełnię złożonej przysięgi.

— Co z nim zamierzasz uczynić?

— Powieszę go, pani — odparł zimno Czarny Korsarz. — A potem wyrnę wszystkich, którzy noszą jego nazwisko. Zniszczył moją rodzinę, więc ja zniszczę jego. Przysięgłem to w noc, gdy Czerwony Korsarz spoczął na dnie morza, i dotrzymam słowa.

— A gdzie właściwie jesteś? Jakim miastem rządzi ten człowiek?

— Wkrótce się dowiesz.

— A jego imię? — zapytała zaniepokojona dziewczyna.

— Tak bardzo pragniesz je poznać?

Jedwabna chusteczka, która okrywała czoło księżniczki, była zroszona potem.

— Nie wiem — jej głos łamał się. — W latach mojej młodości słyszałam historię podobną do twojej, panie, a opowiadali mi ją żołnierze w służbie mego ojca.

— To niemożliwe — zaprzeczył Czarny Korsarz. — Nigdy nie byłeś w Piemontie⁹⁷.

— Zgadza się, ale proszę, wyjaw mi, kim jest ten człowiek.

— Jeśli tak bardzo nalegasz, dobrze, powiem ci! To książę Van Gould.

W tej chwili rozległ się wystrzał armatni. Czarny Korsarz wyskoczył z kajuty krzyżąc:

— Świta!

Honorata nie powstrzymała go. W rozpaczliwym geście uniosła ręce nad głowę i jak rażona piorunem bezgłośnie padła na dywan.

⁹⁷*Piemont* — region w pln.-zach. Włoszech, graniczący z Francją i ze Szwajcarią; od XV w. do zjednoczenia Włoch w XIX w. tworzył z Sabaudią samodzielne Księstwo Sabaudii-Piemontu. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XIX. SZTURM NA MARACAIBO

Wystrzał, który wywabiał Czarnego Korsarza z kajuty, padł z pokładu statku dowodzonego przez Franciszka l'Olonnais. Krótko przedtem jego okręt wysunął się na czoło floty i stanął w odległości dwóch mil morskich od Maracaibo, naprzeciwko położonej na wzgórzu twierdzy, która wraz z dwiema pobliskimi wyspami miała za zadanie bronić dostępu do miasta.

Piraci, którzy byli już wcześniej w Zatoce Wenezuelskiej w towarzystwie Zielonego Korsarza i Czerwonego Korsarza, doradzili Franciszkowi l'Olonnais, by właśnie tam — dwie mile od miasta — szalupy wysadziły na ląd oddziały bukanierów, co pozwoliłoby wziąć w dwa ognie wznoszącą się przy prowadzącym do jeziora przesmyku twierdzę. Ten skorzystał z ich rady i wystrzałem dał sygnał do rozpoczęcia działań wojennych. W mgnieniu oka opuszczono na wodę wszystkie łodzie z wszystkich ośmiu statków. Zrobiło się na nich tłoczno od bukanierów i korsarzy, którzy uzbrojeni w muszkiety i kordelasy od strony lądu mieli przypuścić atak na twierdzę.

Na rozkaz Morgana jako pierwsi do szalup wsiedli najsprawniejsi i najlepiej zbudowani. Po chwili na mostku kapitańskim pojawił się Czarny Korsarz.

— Panie Kapitanie — zwrócił się do niego zastępca — nie mamy ani chwili do stracenia. Lada chwila zacznie się szturm twierdzy, ale to nasi korsarze muszą odegrać pierwszoplanową rolę w tym ataku.

— Czy Franciszek l'Olonnais wydał jakiś rozkaz?

— Tak, kapitanie. Flota ma zachować ostrożność i nie narażać się na ogień armatni z twierdzy.

— Słusznie. Powierzam ci dowództwo nad moją „Błyskawicą” — odparł.

Następnie w okamgnieniu założył na siebie przyniesiony mu właśnie przez kwatermistrza kirys, po czym zszedł do czekającej nań pod drabiną od strony bakburty wielkiej szalupy z trebuszem⁹⁸ i trzydziestoma ludźmi na pokładzie.

Powoli świtało, trzeba było zatem niezwłocznie zejść na ląd, a następnie znieacka przypuścić atak, zanim broniący twierdzy Hiszpanie zdążą wezwać posiłki.

Wszystkie szalupy, wypełnione po brzegi uzbrojonymi piratami, mknęły chyżo po falach w kierunku plaży porośniętej lasem pnącym się stromym zboczem ku wzgórzu, na którego szczycie wznosiła się niedostępna twierdza wyposażona w szesnaście dział dużego kalibru i najprawdopodobniej pełna nieugiętych obrońców. Wystrzał z dowodzonego przez Franciszka l'Olonnais statku postawił Hiszpanów na równe nogi. Skierowali na nieprzyjaciela zmasowany ogień, a kilka oddziałów żołnierzy pobiegło w dół po zboczu wzgórza, żeby zastąpić drogę nacierającym korsarzom.

Nieliczone pociski wybuchały dookoła szalup, wzbijając fontanny wody.

Dzięki błyskawicznym unikom i zręcznym wirazom nieprzyjacielowi nie udało się jednak zatopić korsarskich łódek.

Trzy szalupy — pierwsza pod dowództwem Franciszka l'Olonnais, druga Czarnego Korsarza, trzecia zaś Michała Baska — wysunęły się na czoło i dzięki najtęższym w pirackich szeregach wioślarzom pruły morskie fale z zawrotną prędkością, chcąc dobić do brzegu, zanim hiszpańscy żołnierze biegnący w dół przez zalesione zbocze zajmą pozycje wzdłuż plaży.

Korsarskie okręty z kolei zostały w tyle, trzymając się w bezpiecznej odległości od pola rażenia szesnastu nieprzyjacielskich armat broniących dostępu do górującej nad miastem twierdzy. Dowodzona przez Morgana „Błyskawica” natomiast podpłynęła na odległość tysiąca stóp, by ogniem swoich dwóch dział rufowych osłaniać schodzących na ląd piratów.

W ciągu piętnastu minut, pomimo bezlitosnego ostrzału, pierwsze szalupy dobiły do brzegu. Korsarze i bukanierzy błyskawicznie zeszli na ląd i nie czekając na pozostałych kamratów, rzucili się przed siebie w kierunku Hiszpanów, którzy nie zdążyli dobiec do samego brzegu i zasadzili się w gąszczu porastającym górskie zbocze.

— Do ataku, moi dzielni piraci! — krzyknął Franciszek l'Olonnais.

⁹⁸trebusz — dawna machina miotająca, wykorzystująca zasadę dźwigni. [przypis edytorski]

— Naprzód, wilki morskie! — zagrział głos Czarnego Korsarza, który ruszył do przodu, trzymając w prawej ręce szpadę, w lewej zaś pistolet.

Zaatakowani z zaskoczenia Hiszpanie zaczęli zapalczywie miotać gradem pocisków. Te jednak nie trafiały nieprzyjaciela, który nacierał pod osłoną porastających górskie zbocze drzew i zarośli. Silny ostrzał z twierdzy rozrywał na strzępy porastające wzgórze drzewa, które z łoskotem padały na ziemię. Połamane gałęzie rozpryskiwały się na prawo i lewo, a rozprute pociskami strzępy liści i owoców spadały lawiną na głowy nacierających marynarzy. Nic jednak nie było w stanie powstrzymać szturm nieustraszonych korsarzy i bukanierów z Tortugi. Z siłą rozpędu niszczącej wszystko na swej drodze trąby powietrznej uderzyli w oddziały hiszpańskie, które pomimo zaciekle stawianego oporu padały jak muchy sieczone ostrzem kordelasów. Nieliczni salwowali⁹⁹ się ucieczką, chcąc ująć z życiem. Większość jednak wołała polec z bronią w ręku, niż się poddać.

— Na twierdżę! — krzyknął Franciszek l’Olonnais.

Ośmieleni pierwszym zwycięstwem korsarze wbiegli na wzgórze pod osłoną gęstej roślinności.

Teraz było ich ponad pięciuset, bo tymczasem dołączyli do nich kolejni kamraci. A wejście na szczyt wcale nie należało do najłatwiejszych, zważywszy, że nie mieli na wyposażeniu drabin. W dodatku hiszpański garnizon, złożony z dwustu pięćdziesięciu dzielnych, dobrze wyszkolonych żołnierzy, stawiał zaciekły opór i nie dawał za wygraną. I nic nie wskazywało, że w ogóle da.

Położenie twierdzy na znacznej wysokości pozwalało prowadzić nieprzerwany ostrzał. Nawalnica pocisków siarczystym ogniem spadała na las, przez który posuwali się naprzód, narażając się na straszliwą śmierć w ogniu. Franciszek l’Olonnais i Czarny Korsarz, widząc, jakże zajadły jest opór wroga, postanowili się naradzić.

— Stracimy zbyt wielu ludzi — powiedział Franciszek l’Olonnais. — Trzeba znaleźć sposób, który pozwoli nam zrobić breszę¹⁰⁰, w przeciwnym razie damy się powybić jak kaczki.

— Sposób jest tylko jeden — odrzekł na to Czarny Korsarz.

— Zamieniam się w słuch!

— Musimy spróbować wysadzić w powietrze fragment muru.

— To istotnie najlepszy sposób, ale ktoś się podejmie takiego wyzwania?!

— Ja to zrobię — usłyszeli głos za swoimi plecami.

Odwrócili się i ujrzeli Carmaux, któremu towarzyszył jego nieodłączny kompan Van Stiller i ich kamrat Moko.

— Ach, to ty, huncwocie! — rzekł Czarny Korsarz. — Co tu robisz?

— Podążałem twoim śladem, kapitanie. Wybaczylesz mi, więc nie obawiałem się, że każesz mnie rozstrzelać.

— I słusznie, że się nie obawiałeś. Ale za to pójdziesz podłożyć bombę.

— Tak jest, panie kapitanie. Potrzebuję mniej więcej kwadransa — odparł Carmaux, po czym zwrócił się do swoich dwóch kompanów:

— Van Stiller, podejdź no tu! A Ty, Moko, przynieś mi trzydzieści funtów prochu i dobry lont.

— Mam nadzieję, że zobaczę cię jeszcze żywego — odparł Czarny Korsarz ze wzruszeniem w głosie.

— Dziękuję za dobre słowo, kapitanie — odpowiedział Carmaux, po czym oddalił się pośpiesznie.

Tymczasem korsarze i bukanierzy przedzierali się dalej przez leśną gęstwinę. Starali się celować tak, żeby odepchnąć Hiszpanów od blanki¹⁰¹ i zastrzelić artylerzystów.

Twierdza jednak broniła się zawzięcie, rażąc przeciwnika piekielnym ogniem. Przypominała plujący lawą wulkan. Na wysokości murów unosiły się kłęby dymu dziurawionego co chwila ogniem wystrzałów przez szesnaście dział armatnich. Pociski i odłamki pręły poszycie leśne, rozszarpując na strzępy rośliny i krzaki, pośród których chowali się korsarze w oczekiwaniu na odpowiedni moment do podjęcia szturm.

⁹⁹salwować się (daw.) — ratować się. [przypis edytorski]

¹⁰⁰bresza — wylom w murze twierdzy. [przypis edytorski]

¹⁰¹blanki — osłony na szczycie muru obronnego. [przypis edytorski]

Wtem na szczycie wzgórza rozległ się donośny wybuch, który poniósł się szerokim echem przez lasy ku morzu. Słup ognia wbił się ku niebu nad jednym z boków twierdzy, a następnie deszcz odłamków runął na drzewa, łamiąc gałęzie oraz kalecząc i zabijając wcale niemało napastników.

Pośród armatniego huku, wystrzałów muszkietów i krzyków hiszpańskich żołnierzy zabrzmiał donośny głos Czarnego Korsarza:

— Do ataku, wilki morskie!

Na widok ruszającego pędem w kierunku breszy dowódcy korsarze i bukanierzy wraz z Franciszkiem l'Olonnais rzucili się biegiem w ślad za nim, pokonując kolejne wzniesienia i roztaczając się przed twierdzą polaną. Podłożony przez Carmaux i jego kamratów ładunek zrobił wyłom w jednym z głównych bastionów.

Czarny Korsarz przedostał się do środka przez rozerwany wybuchem mur, mijając gruzy i przewrócone działa armatnie, a jego wspaniała szpada dzielnie odpierała ciosy pierwszych nieprzyjaciół, którzy nadbiegli, by bronić dostępu do wnętrza twierdzy. Zaraz za nim, krzycząc dla postrachu na całe gardło, nadbiegli korsarze i niczym rwący potok wdarli się do środka, tratując i siekąc kordelasami żołnierzy, którzy próbowali ich powstrzymać u wyłomu muru.

Dwustu pięćdziesięciu obrońców fortu ustąpiło pod naporem wroga. Niektórzy wycofali się i próbowali bronić się jeszcze na blankach, ale zostali rozgromieni, następnie zgromadzili się na dziedzińcu, broniąc dostępu do flagi Hiszpanii, jednak zajadłe napierający wróg przerwał utworzony wokół masztu pierścień. Hiszpanie rozpierzchli się na wszystkie strony, kontynuując walkę, woleli bowiem zginąć zamiast złożyć broń i się poddać.

Po zdobyciu flagi Czarny Korsarz skierował swoją uwagę na pozbawione obrony miasto. Wraz z oddziałem stu zbrojnych zbiegł z boczem ku wyludnionemu już Maracaibo.

Mieszkańcy miasta zdążyli tymczasem uciec do lasu, w którym ukryli wszelkie kosztowności. Tyle że kosztowności nie obchodziły Czarnego Korsarza nic a nic.

Celem zorganizowanej przezeń zbrojnej wyprawy nie było złupić miasto, ale dopaść znienawidzonego zdrajcę.

Wiedziony pragnieniem zemsty Czarny Korsarz czym prędzej skierował się do pałacu gubernatora na Plaza de Granada, a wraz z nim towarzyszący mu oddział stu zbrojnych, którzy ledwo co za nim nadążali.

Tymczasem okazało się, że także pałac był opustoszały, a jego wrota stały otworem, bez straży na warcie.

„Czyżby wywinął mi się z rąk?” — rozmyślał w duchu Czarny Korsarz, zaciskając zęby ze złości. „Choćbym miał go ścigać na sam kraniec kontynentu, za żadne skarby nie odpuszczę”.

Na widok otwartej bramy towarzyszący mu piraci zatrzymali się w obawie przed zasadzką. On też obawiał się jakiejś niespodzianki, tym niemniej odważnie, ale i ostrożnie podążał naprzód.

Już miał przekroczyć próg i wejść na dziedziniec, gdy nagle poczuł na swoim ramieniu potężną dłoń, która powstrzymała jego śmiały zamiar. Niespodziewanie usłyszał głos:

— Panie kapitanie, proszę pozwolić, że ja wejdę pierwszy.

Zatrzymał się, marszcząc czoło. Przed nim stał Carmaux, cały umorusany prochem, w postrzępionych łachach, z twarzą broczącą krwią. Mimo to sprawiał wrażenie bardziej żywiołowego niż zazwyczaj.

— Znowu ty! — wykrzyknął. — Sądziłem, że wybuch cię nie oszczędzi.

— Złego licha nie bierze, kapitanie. Żli więc muszą być i moi towarzysze niedoli, hamburczyk i Afrykańczyk, którzy też uszli z życiem.

— To wspaniała nowina! Ruszajmy więc!

Carmaux i jego kamraci, którzy właśnie w tej chwili nadeszli, podobnie jak i on czarni od prochu i pyłu i wcale w nie mniej oplakany stan, ruszyli przed siebie w kierunku dziedzińca, trzymając w dłoniach kordelasy i pistolety. Czarny Korsarz i wszyscy pozostali piraci podążyli w ślad za nimi. W środku jednak nie było żywej duszy.

Walka

Żołnierze, służący, koniuszy, niewolnicy — wszyscy jak jeden mąż uciekli, szukając schronienia w gęstej puszczy porastającej całe wybrzeże. Na miejscu ostał się zaledwie jeden koń, który ze złamaną nogą leżał na ziemi.

— I tyle ich widziano... — skomentował Carmaux. — Trzeba umieścić na drzwiach kartkę z napisem: „Pałac do wynajęcia”.

— Chodźmy na górę! — rozkazał Czarny Korsarz.

Piraci wbiegli schodami na wyższe piętra, ale i tam wszystkie drzwi były pootwierane na oścież, w salach i komnatach nie było żywego ducha, meble leżały powywracane do góry nogami, wieka drewnianych kufków były odchyłone, a kufry w środku puściusienkie. Wszystko wskazywało na rejteradę¹⁰² w popłochu. Wtem w jednej z komnat dało się słyszeć odgłosy szamotaniny. Czarny Korsarz pędem ruszył przed siebie, zaglądając po drodze do wszystkich sąsiednich pomieszczeń. Z jednej z nich Carmaux i Van Stiller wyprowadzali właśnie obezwładnionego żołnierza hiszpańskiego. Był to mężczyzna wysoki, szczudłowaty, chudy jak patyk.

— Poznajesz go, kapitanie? — krzyknął Carmaux, popychając gwałtownie nieszczęśnika.

Doprowadzony przed oblicze Czarnego Korsarza żołnierz zdjął stalowy hełm, z którego wystawało wyliniałe i wyswiechtane pióro. Następnie pochylił swoje wychudłe plecy i spokojnym tonem rzekł:

— Czekałem na ciebie, panie, rad jestem cię widzieć.

— A niech mnie! — krzyknął Czarny Korsarz. — To znowu ty?!

— Tak, to ja, Hiszpan z lasu we własnej osobie — odparł z uśmiechem tyczkowaty mężczyzna. — Nie chciałeś mnie powiesić, a więc żyję.

— Jeszcze się doigrasz, szelmo!

— Czyżbym zatem źle zrobił, że na ciebie zaczekałem? Jeśli tak, to powinienem był się ulotnić razem z pozostałymi.

— Ty na mnie czekałeś?

— A czy ktoś mnie powstrzymywał przed ucieczką?

— To prawda. Zatem dlaczego zostałeś?

— Bo chciałem raz jeszcze zobaczyć tego, który okazał mi łaskę i darował życie, gdy tamtej pamiętnej nocy wpadłem w jego ręce.

— Dlaczego jeszcze?

— Bo mam zamiar oddać drobną przysługę Czarnemu Korsarzowi.

— Ty mnie?

— No tak — odparł Hiszpan z uśmiechem. — A co, dziwi cię to?

— Nie ukrywam, że tak.

— Panie, musisz zatem wiedzieć, że gdy gubernator dowiedział się, że nie zawisłem na gałęzi, bo łaskawie darowałeś mi życie, w ramach rewanżu kazał mnie stłuc na kwaśne jabłko — dwadzieścia pięć soczystych razów! Mnie? Okładać kijem mnie?! Nazywam się don Bartolomeo z rodu Barbozów i Camarguów, jestem potomkiem najstarszych rodów szlacheckich Katalonii! *Carramba!*

— Odsuść sobie!

— Poprzysiągłem sobie zemstę na tym Flamandczyku, który hiszpańskich żołnierzy traktuje jak psy, a szlachciców jak indiańskich niewolników. I postanowiłem na ciebie poczekać. Przecież przybyłeś tu po to, żeby go zabić. Tyle że on uciekł, kiedy zorientował się, że zdobędziesz twierdzę.

— Uciekł?

— Tak, ale wiem, gdzie. Pomogę ci go dopaść.

— Nie oszukujesz mnie czasem? Jeśli okaże się, że kłamiesz, obedrę cię żywcem ze skóry.

— Przecież masz nie w garści — odrzekł żołnierz.

— To prawda.

— Możesz mnie więc obedrzeć ze skóry, kiedy zechcesz.

— Mów więc, gdzie się podziewa Van Gould?

— W lesie.

¹⁰²rejterada — ucieczka. [przypis edytorski]

- I dokąd się kieruje?
- Do Gibraltaru.
- Droga prowadzącą wzdłuż brzegu?
- Tak, kapitanie.
- Znasz tę drogę?
- Lepiej niż ci, którzy mu towarzyszą.
- Ilu ich jest?
- Jeden oficer i siedmiu zaufanych żołnierzy. Tylko mała grupa jest w stanie przedrzeć się przez gęstą dżunglę porastającą wybrzeże.
- A gdzie się podziali pozostali żołnierze?
- Pouciekali każdy w inną stronę.
- Dobrze wiedzieć — odparł Czarny Korsarz. — Ruszajmy w pościg, ten niegodziwiec Van Gould nie zazna spokoju ani za dnia, ani w nocy. Czy ma ze sobą konie?
- Owszem, ale wkrótce je porzuci, bo nic mu tam po nich.
- Zaczekaj tu na mnie.

Czarny Korsarz wszedł do jednej z komnat i usiadł przy biurku, na którym leżał papier, kilka piór i kosztowny kałamarz z brązu.

Na kartce papieru skrobął kilka następujących linijek:

„Mój drogi Piotrze, podążam przez lasy tropem Van Goulde w towarzystwie Carmaux, Van Stillera i mojego Afrykańczyka. Miej pieczę nad moim statkiem i nad moimi ludźmi. Gdy już złupicie miasto, dołącz do mnie w Gibraltarze. Są tam skarby o wiele droższe niż te, które znajdziesz w Maracaibo.

Czarny Korsarz”

Złożył list i przekazał go kwatermistrzowi, po czym przemówił do piratów, którzy wiernie służyli u jego boku:

— Do zobaczenia w Gibraltarze, najdzielniejsi z dzielnych.

Następnie zwrócił się do Carmaux, Van Stillera, Afrykańczyka i hiszpańskiego więźnia:

— W drogę! Nasz śmiertelny wróg nam ucieka.

— Mam ze sobą nowiutki sznur, nie mogę się doczekać, kiedy zaciśniemy mu go na szyi, panie kapitanie — odparł Carmaux. — Wczoraj wieczorem sprawdzałem jego wytrzymałość, zapewniam cię, że doskonale spełni swoje zadanie i że się nie urwie.

ROZDZIAŁ XX. POŚCIG ZA VAN GOULDEM

Podczas gdy piraci i bukanierzy ze statków Baska i Franciszka l'Olonnais bez najmniejszego oporu wkroczyli do Maracaibo i zaczęli plądrować miasto, odkładając na później przeczesanie okolicznych lasów z zamiarem odszukania zbiegłych mieszkańców i pozbawienia ich wszystkiego tego, co ze sobą zabrali i co starali się ukryć, Czarny Korsarz i jego czterej kompani, uzbrojeni po zęby i zaopatrzeni w prowiant, ruszyli przed siebie tropem gubernatora.

Zaraz po opuszczeniu miasta zanurzyli się w gęstej roślinności rosnącej wzdłuż brzegów szerokiego jeziora Maracaibo, podążając wąską, ledwie przetartą ścieżką, która — jeśli wierzyć pałającemu żądzą zemsty Katalończykowi — nie miała ich zawieść zbyt daleko.

Od razu zauważyli pierwsze odcisnięte na wilgotnym leśnym podszyciu ślady — ośmiu koni i dwa ludzkie; oznaczało to, że oddział tworzyło ośmiu jeźdźców i jeden podróżujący pieszo żołnierz, co w pełni zgadzało się z liczbą wskazaną przez Hiszpana.

— Sami widzicie! — wykrzyknął triumfalnie Katalończyk. — Podążał tą drogą gubernator wraz ze swoim kapitanem i siedmioma żołnierzami, z których jeden poruszał się pieszo, gdyż jego koń w chwili ucieczki upadł i złamał nogę.

— To ten, którego widzieliśmy — odparł Czarny Korsarz. — Myślisz, że mają nad nami dużą przewagę?

- Jakieś pięć godzin.
- To całkiem sporo, ale przecież jesteśmy wszyscy wytrawnymi piechurami.
- Nie wątpię, niech wam się jednak nie wydaje, że dogonimy ich dzisiaj czy jutro.

Śmiem twierdzić, że nie znacie wenezuelskiej dżungli i nie macie pojęcia, ile niespodzianek może nam szykować.

- A któż niby miałby nam te niespodzianki szykować?
- Zwierzęta i dzikusy.
- Nie straszni nam są ani jedni, ani drudzy.
- Karaibowie są groźni.
- Nie będą mniej groźni dla samego gubernatora.
- Tyle że to jego, a nie nasi sprzymierzeńcy.
- Czyżby był z nimi w zмовie i ich na nas napuścił?
- Bardzo możliwe, panie kapitanie.
- Nie dbam o to. Dzikusy nigdy nie napawały mnie strachem.
- Chodźmy więc, *caballeros*. Przed nami wielka puszcza.

Ścieżka kończyła się tam, gdzie zaczynał się nieprzebyty gąszcz, niebotyczny mur tworzony przez bujną roślinność i kolosalne pnie drzew. Zdawał się nie mieć w sobie żadnej szczeliny, przez którą jeźdźcy mogliby się przecisnąć.

Trudno sobie w ogóle wyobrazić bogactwo flory porastającej wilgotne i ciepłe połacie Ameryki Południowej, zwłaszcza wzdłuż ogromnych rzek.

Na tym dziewiczym terenie, na bieżąco użyźnianym liśćmi i owocami, które gromadzą się tam przez długie lata, zadomowiły się gatunki najprawdopodobniej niespotykane na innych obszarach kuli ziemskiej. Nawet najmniejsze i najbardziej niepozorne spośród rosnących tam roślin osiągają gigantyczne rozmiary.

Czarny Korsarz i Hiszpan stali przed niebotycznym zielonym murem, wyżej słuch, a dwaj piraci i Murzyn uważnie wodzili wzrokiem po okolicznych krzakach w obawie przed jakąś zasadzką.

— Którędy mogli przejść? — zapytał Czarny Korsarz Hiszpana. — Nie widzę żadnych prześwitów w tej gęstwinie.

— Hmm... — zamruczał w zamyśleniu Katalończyk. — Przecież nie mogli się rozplątać w powietrzu! Przynajmniej taką mam nadzieję. Nie mógłbym się wówczas odwdzięczyć za tych dwadzieścia pięć razy, od których jeszcze teraz pieką mnie plecy.

— No chyba że ich konie mają skrzydła — odparł Czarny Korsarz.

— Gubernator to szczwany lis i na pewno zaciera za sobą ślady. Nie słyhać tam żadnych głosów pośród krzaków?

— Mam wrażenie, że to szum rwącego potoku — odrzekł Carmaux.

— W takim razie wszystko jasne — powiedział Katalończyk.

— Co takiego? — zapytał Czarny Korsarz.

— Za mną, *caballeros*.

Żołnierz cofnął się, rozglądając się uważnie po ziemi, aż w końcu odnalazł ślady pozostawione przez konie. Następnie wszedł pomiędzy drzewa zwane *cari*, które wyglądem przypominają palmy, mają kolczaste pnie i wydają rosnące w kiściach owoce podobne do kasztanów.

Bacząc, by ostre i długie kolce nie poszarpały mu ubrania, dotarł do miejsca, z którego według Carmaux dochodził szum wody.

Rozejrzał się jeszcze raz dookoła, szukając pośród liści śladów końskich kopyt, po czym przyspieszył kroku. Zatrzymał się dopiero na brzegu szerokiej na siedem, może dziesięć stóp czarniawej rzeczki.

— No tak! — wykrzyknął wesół.¹⁰³ — Mówiłem, że to szczwany lis.

— Mów, o co chodzi! — ponaglał go zniecierpliwiony już Czarny Korsarz.

— O to, że aby ukryć się w puszczy i zatrzeć za sobą ślady, wszedł do tej rzeczki.

— Woda jest głęboka?

Katalończyk zanurzył w niej swoją szpadę w poszukiwaniu dna.

— Na nie więcej niż piętnaście cali.

— Są tam węże?

¹⁰³wesół — dawna, krótka forma przymiotnika w r.m.: wesoly. [przypis edytorski]

— Nie, tego akurat jestem pewien.

— Przejdźmy zatem na drugą stronę i przyspieszmy kroku. Zobaczmy, jak daleko jechali konno.

Hiszpan szedł jako pierwszy, a Murzyn jako ostatni, bowiem jego rolą było pełnić straż na tyłach. Przeprawę przez rzekę utrudniały zalegające w mulistej wodzie liście i rośliny. Unosiła się nad nią smrodliwa i trująca woń wyziewów powstałych w wyniku ich butwienia.

Niedawną obecność intruzów zdradzały podeptane i poszarpane tu i ówdzie rośliny. Choć w rzeczce rosła ich cała obfitość, wymieńmy choć kilka gatunków: *mucumucú*, czyli *Montrichardia arborescens* z rodziny obrazkowatych, której gąbczasty rdzeń podatny jest na uszkodzenia; kępki smukłych trzcin o gładkich łodygach i srebrzystym połysku, wykorzystywanych do budowy lekkich tratw; obrośnięte młodymi pędami łodygi robinii akacjowej, czyli rodzaj lian zawierających zaskakującą pod względem posiadanych właściwości mleczną substancję, która — gdy przeniknie do wody — dosłownie upija ryby. To oczywiście nie wszystkie rosnące tam rośliny, które utrudniały przeprawę. Pod rozpościerającym się szeroko sklepieniem pnączy i gałęzi panowała prawie zupełna cisza. Jedynie co jakiś czas, w odstępach bardzo regularnych, zakłócał ją jakby dźwięk dzwoneczka, brzmiały tak naturalnie, że Carmaux i Van Stiller żywiłowo podnosili głowy do góry. Tego srebrzystego dźwięku, który rozchodził się szerokim echem po dziewiczym lesie, nie wydawał żaden dzwoneczek, lecz ukryty w zaroślach dzwonnik nagoszyi, biało upierzony ptak wielkości małego gołębia, którego śpiew słychać z odległości aż trzech mil.

Korsarska drużyna coraz bardziej przyspieszała kroku, szła w ciszy, niecierpliwie wypatrując miejsca, w którym Van Gould i jego oddział mogli porzucić konie, by dalej pieszo przedzierać się przez gęste, dziewicze knieje. Wtem z lewej strony dobiegł ich odgłos silnego wybuchu, a zaraz po nim na ich głowy spadł deszcz małych pocisków, wydając odgłos podobny do bijącego z nieba gradu.

— Do stu tysięcy bomb i kartaczy! — wykrzyknął Van Stiller, który odruchowo zgął się w pałąk. — Kto do nas strzela?

Schylił się również Czarny Korsarz, w mgnieniu oka nabił muszkiet, jego piraci zaś cofnęli się gwałtownie. Jako jedyny nie poruszył się ani o krok Katalończyk, który wpatrywał się niewzruszony w porastające oba brzegi rzeki szuwały.

— Napadną na nas? — zapytał Czarny Korsarz.

— Nikogo nie widzę — odpowiedział z uśmiechem Katalończyk.

— A ten wybuch? Czyżbyś go nie słyszał?

— Owszem, słyszałem.

— I co, nie zaniepokoiło cię to?

— Mnie to nawet bawi.

Wtem rozległ się drugi wybuch, silniejszy od poprzedniego. I znów grad pocisków spadł na rzekę.

— To bomba? — krzyknął Carmaux, cofając się.

— Tak, tyle że roślinna — odpowiedział Katalończyk. — Dla mnie to nie nowość.

Skierował się na lewo, wskazując członkom wyprawy drzewo, którego wygląd wskazywał na przynależność do rodziny wilczomleczowatych, wysokie na około osiemdziesiąt, sto stóp, o szerokich na osiem, dwadzieścia cali liściach oraz pokrytych kolcami pniu i gałęziach, z których zwisały pękate owoce, otulone przypominającą korę powłoką.

— Uważajcie — powiedział — bo owoce nie nadają się do jedzenia.

Wtem jedna z tych roślinnych bomb wybuchła z ogłuszającym hukiem, rozrzucając na wszystkie strony drobne ziarenka.

— Nie macie się czego obawiać, nic wam nie grozi — odrzekł Katalończyk na widok odskakujących do tyłu Van Stillera i Carmaux. — To zwykłe nasiona. Gdy owoc więdnie, jego skóra grubieje i twardnieje, by po jakimś czasie na skutek fermentacji wybuchnąć, rozrzucając na znaczną odległość zgromadzone wewnątrz w szesnastu komorach nasiona.

— Czy te owoce są chociaż smaczne?

— Zawierają mleczną substancję, którą pożywiają się wyłącznie małpy — odparł Katalończyk.

— Do diabła z drzewami-bombami! — wykrzyknął Carmaux. — Byłem przekonany, że to Hiszpanie od gubernatora wzięli nas na cel.

— Nie traćmy czasu i ruszajmy w drogę — powiedział Czarny Korsarz. — Nie zominajcie, że to jest pościg.

Kontynuowali marsz, brodząc w rzece. Po przejściu niespełna trzystu jardów ujrzeli przed sobą taki oto widok: coś dużego, obłego, czarnego wystawało ponad powierzchnię wody i hamowało jej nurt.

— Czyżby znów jakieś „bombowe” drzewo? — zapytał Carmaux.

— Coś o wiele bardziej „bombowego”. Jeśli mnie wzrok nie myli, są to konie gubernatora i jego oddziału.

— Zachowajcie ostrożność — rzekł Czarny Korsarz. — Mogą się czaić w okolicy.

— Szczerze w to wątpię — odparł Katalończyk. — Gubernator zdaje sobie sprawę, z kim ma do czynienia, dobrze wiedział, że rzucisz się za nim w pogoń.

— Być może, tym niemniej bądźmy ostrożni.

Trzymali broń w gotowości, ustawili się gęsiego, żeby na wypadek nagłego ostrzału nie dać się pozabijać wszyscy naraz. Ruszyli przed siebie w milczeniu, kryjąc się pod gałęziami drzew, które splatały się ze sobą nad rzeczką, tworząc osobliwy tunel. Katalończyk zatrzymywał się co dziesięć, dwanaście kroków, nadstawiał ucha i rozglądał się, czy pośród lian i gałęzi nie czai się przypadkiem jakieś zagrożenie.

Stąpali niezwykle ostrożnie, aż w końcu zbliżyli się do dostrzeżonych z odległości czarnych, obłych plam... Wcale im się to nie przywidziało. Zatopione do połowy w mulistej wodzie leżały pokotem, jedno obok drugiego, truchła ośmiu koni.

Gdy Katalończyk i Afrykańczyk wyciągnęli na brzeg jedno zwierzę, zauważyli, że podcięto mu gardziel *navaja*.

— Zgadza się, to są konie gubernatora.

— A gdzie uciekli jeźdźcy? — zapytał Czarny Korsarz.

— Pewnie ukryli się w głębi puszczy.

— Nie wiesz, którędy mogli się przedostać przez ten gąszcz?

— Niestety, ale... Szczwane lisy z nich! — Co takiego?

— Widzicie tę złamaną gałąź, z której sączy się jeszcze sok?

— Widzimy, no i co?

— Spójrzcie tylko do góry! Kolejne złamane gałęzie.

— Widzimy.

— Te szczwane lisy wspięły się na te drzewa, a następnie zeskoczyły z nich wprost w zarośla, zacierając za sobą w ten sposób ślady. Nie pozostaje nam nic innego, jak zrobić to samo.

— Dla nas marynarzy to przecież pestka — powiedział Carmaux. — No już, raz-dwa, raz-dwa!

Katalończyk uniósł do góry swoje nieskończenie długie, pajęczne ramiona i wspiął się na grube drzewo, a w ślad za nim poszli pozostali, powtarzając tę czynność z godną podziwu zręcznością. Wojak z pierwszej gałęzi przestąpił na kolejną, z niej zaś na jeszcze następną, która należała już do innego drzewa. Kontynuował tę nadrzewną wędrówkę przez jakieś prawie sto trzydzieści stóp, nie przestając jednocześnie bacznie obserwować gałęzi i liści otaczających go drzew. Kiedy znalazł się pośród skupiska lian, uchwycił się jednej z nich, po czym z tryumfalnym okrzykiem zeskoczył na ziemię.

— Hejże, Katalończyku, czyżbyś znalazł jakiś złoty kamyk? — krzyknął Carmaux. — Podobno jest ich w tych stronach zatrzęsienie.

— To mizerykordia. Jej wartość może być większa niż złoto. Zwłaszcza w sercu Van Goulda.

Czarny Korsarz też zeskoczył na ziemię, po czym podniósł leżący na niej zdobiony metodą damaskinażu¹⁰⁴ nóż o smukłym i ostrym ostrzu.

— Pewnie zgubił go oficer, który towarzyszy gubernatorowi — orzekł Katalończyk. — Widziałem, że nosił go wcześniej u pasa.

— A więc tędy szli... — rzekł Czarny Korsarz.

¹⁰⁴*damaskinaż* — technika zdobienia metalowych przedmiotów, zwykle zbroi i broni, przez wypełnianie naciętych rowków złotem lub srebrem. [przypis edytorski]

— Patrzcie tam! W zaroślach wydrążyli siekierami tunel. Pamiętam, że każdy z nich miał u siodła swoją.

— Świetnie — odparł Carmaux. — Oszczędzili nam fatygi, dzięki temu będziemy mogli się szybciej poruszać.

— Cisz! — wykrzyknął Czarny Korsarz. — Nic nie słychać?

Katalończyk wytężył słuch, po czym odparł:

— Nic a nic.

— Znakiem tego są daleko od nas. Gdyby byli w pobliżu, byłoby słychać odgłosy ich siekier.

— Mają nad nami prawie pięciogodzinną przewagę.

— To sporo, miejmy nadzieję, że uda nam się to nadrobić.

Szli przed siebie ścieżką-tunelem, którą uciekinierzy wyrąbali w dziewiczym lesie. Nie sposób było pomylić drogę, albowiem wykarczowane gałęzie, które leżały na ziemi, nie zdążyły jeszcze uschnąć.

Chcąc zyskać przewagę, Katalończyk i piraci zaczęli bieć. Jednakże wkrótce musieli zwolnić, albowiem na ich drodze wyrosła przeszkoda, którą zarówno Murzyn, który nie był wcale obuty, jak i Carmaux i Van Stiller, którzy wprawdzie mieli na sobie buty, ale niewystarczająco wysokie, mogli pokonać jedynie przy zachowaniu dużej ostrożności.

Przeszkodę tę stanowiła gęsto porastająca okolicę kolczasta *ansara*, która występuje w dużych skupiskach w dziewiczych lasach Wenezueli i Gujany, uniemożliwiając przemarsz każdemu, kto nie ma na sobie solidnych, wysokich butów z grubej skóry.

— Do stu tysięcy bomb i kartaczy! — wykrzyknął Van Stiller, który jako pierwszy postanowił przeprowadzić się przez kolczastą zasadzkę. — Co to ma być? Droga do piekła? Będziemy potem wyglądać jak święty Bartłomiej¹⁰⁵ po torturach.

— Na flaki rekina! — krzyknął Carmaux, który jak porażony odskoczył do tyłu. — Będziemy kuśtykać po przejściu przez ten oset! Leśni czarodzieje powinni byli umieścić przy wejściu do lasu tabliczkę z napisem: „Przejścia nie ma!”.

— Nic to. Będzie trzeba znaleźć inną drogę — powiedział Katalończyk. — Niestety zrobiło się bardzo późno.

— Czeka nas postój? — zapytał Czarny Korsarz.

— Spójrzcie!

Dzienne światło zaczęło błyskawicznie gasnąć, w mgnieniu oka las utonął w ciemnościach, które wpełzły we wszystkie jego zakamarki.

— Czy oni też zrobią postój? — zapytał Czarny Korsarz, marszcząc czoło.

— Tak, i nie ruszą się z miejsca, dopóki nie wszędzie księżyc.

— A kiedy wszędzie?

— O północy.

— Rozbijmy zatem obóz.

ROZDZIAŁ XXI. W DZIEWICZYM LESIE

Na czas postoju znużona wędrowką drużyna postanowiła schronić się między korzeniami *summameiry*, tropikalnej palmy, która pod względem wielkości najprawdopodobniej cieszy się — nomen omen¹⁰⁶ — palmą pierwszeństwa w całym lokalnym drzewostanie. Podporą tych osiągniętych wysokość dwustu, a nawet dwustu trzydziestu stóp drzew są tak zwane korzenie przybyszowe — rozłożyste, masywne, symetrycznie odchodzące od pnia ponad gruntem, tworzące tym samym fantazyjne arkady, pod którymi może znaleźć schronienie dwadzieścia, a może i więcej osób.

Było to coś w rodzaju ufortyfikowanej kryjówki, która w obliczu niebezpieczeństwa — ataku ze strony tak ludzi, jak i zwierząt — mogłaby okazać się zbawienna. Piraci umościли sobie miejsce w korzeniach leśnego kolosa, po czym posilili się suchym prowiantem i szynką. Uznali jednogłośnie, że w samym sercu dziewiczej puszczy nie byłoby

¹⁰⁵święty Bartłomiej — jeden z apostołów Jezusa; zgodnie z legendą został przed zamęceniem żywcem obdarty ze skóry, toteż w ikonografii przedstawiany jest jako mężczyzna z widoczną tkanką mięśniową, w jednej ręce trzymający nóż, a w drugiej skórę. [przypis edytorski]

¹⁰⁶nomen omen (łac.: imię [jest] znakiem) — wyrażenie zwracające uwagę, że użyta nazwa lub nazwisko jednocześnie charakteryzuje daną rzecz lub osobę. [przypis edytorski]

rozsądnym udać się gromadnie w ramiona Morfeusza¹⁰⁷, uzgodnili więc między sobą, że przez najbliższe cztery godziny — tyle bowiem brakowało do wzejścia księżyca i do podjęcia marszu — będą czuwać dwójkami na warcie. W obawie przed niebezpiecznymi węzami, których w wenezuelskich lasach nie brakuje, skrupulatnie przeczesali podłóżę, po czym ułożyli się wygodnie na opadłym z drzewa-olbrzyma listowiu. Jako pierwsi straż nad bezpieczeństwem swoich kompanów objęli Afrykańczyk i Carmaux.

Trwający na tych równinowych terenach zaledwie kilka minut zmierzch ustąpił już miejsca ciemnościom, które spowiły leśne królestwo, uciszając ptasi świergot i małpi zgiewk. Na kilka chwil zagościła budząca grozę cisza, zupełnie jakby wszyscy leśni mieszkańcy — zarówno ci, co noszą pióra, jak i ci odziani w sierść — nagle zniknęli lub wymarli. Ni stąd ni zowąd przerwał ją dziwny koncert, istnie diabelskie dźwięki, wywołując dreszcz trwogi u Carmaux, który na co dzień nie miał w zwyczaju biwakować w samym sercu dziewiczego lasu.

Brzmiało to jakby sfora wściekłych psów rozsiadła się na gałęziach drzewnego olbrzyma i zaczęła w najlepsze ujadać. Bo to właśnie z góry dobiegały te wszystkie, przeplatające się ze sobą odgłosy: skowyt, przeciągły pomruk, zgrzyt i skrzypienie.

— Na flaki rekina! — wykrzyknął Carmaux, kierując wzrok do góry. — Co tam się wyprawia? Czyżby tubylcze psy miały skrzydła i kocie pazury? Jak one powłaziły na te drzewa? Jesteś w stanie mi to wyjaśnić, Moko?

Jednak Moko, zamiast odpowiedzieć na pytanie, tłumił pod nosem śmiech.

— Co to za jedni? — nie mógł się nadziwić Carmaux. — Jakby stu marynarzy zaczęło nagle wciągać wszystkie żagle, skrzypiąc linami.

— To małpy?

— Nie, mój biały towarzyszu — odparł Moko. — To żaby, tylko żaby.

— I to mają być niby ich odgłosy?

— Tak, kamracie.

— A te odgłosy teraz to co? Słyszysz? Jakby armia kowali tłukła miedzianymi garnkami na cześć Belzebuba.

— To są ropuchy.

— Na flaki rekina! Gdybyś nie powiedział mi tego ty, a ktoś inny, to bym pomyślał, że albo sobie ze mnie stroi żarty, albo że zwariował. To jakiś mało znany gatunek ropuchy?

W tej właśnie chwili przeciągły, donośny pisk, przeradzający się po chwili w skowyt poniósł się hen, daleko po rozległej puszczy, uciszając ropuszy koncert.

Moko uniósł wzrok do góry i chwycił trzymany u swego boku muszkiet. Gwałtowność tego gestu zdradzała dość silny niepokój.

— Coś mi się zdaje, że tym razem to wcale nie są odgłosy żaby, prawda, drogi Moko?

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknął Afrykańczyk drżącym głosem.

— A więc co to takiego?

— Jaguar.

— Do stu biskajskich piorunów! Ten straszliwy drapieżnik?

— Tak, kamracie.

— Wolałbym dać sobie wypruć flaki trzem porywczym mężczyznom, niż mieć do czynienia z tym groźnym mięsożercą. Mówi się, że jeden jaguar wart jest tyle, co trzy tygrysy bengalskie.

— I afrykańskie lwy, kamracie.

— Do stu tysięcy rekinów!

— Co ci jest?

— Jeśli nas zaatakuje, nie będziemy mogli użyć naszych muszkietów.

— Dlaczego?

— Strzały usłyszałby gubernator i jego ludzie. Od razu dowiedzieliby się, że ktoś za nimi podąża i szybko przyspieszyliby kroku.

— W takim razie zamierzasz walczyć z jaguarem za pomocą noża?

— Użyjemy szabli.

— Chciałbym to zobaczyć.

— Nie życz mi tego, drogi Moko.

¹⁰⁷Morfeusz (mit. gr.) — bóg snu. [przypis edytorski]

Zwierzę zamiauczało po raz drugi; tym razem dźwięk, bliższy i głośniejszy niż poprzedni, rozbrzmiał w leśnych ciemnościach i przeszył strachem Afrykańczyka.

— Do diabła! — burknął pod nosem Carmaux, który zdradzał coraz większy niepokój.

— Robi się nieciekawie.

I w tej właśnie chwili ujrzał, jak Czarny Korsarz zrzuca z siebie pelerynę, która służyła mu podczas snu za okrycie, i zrywa się na równe nogi.

— Jaguar? — zapytał spokojnym tonem.

— Tak, panie kapitanie.

— Daleko stąd?

— Nie, i co gorsza wszystko wskazuje na to, że kieruje się w naszą stronę.

— Cokolwiek się stanie, nie używajcie muszkietów.

— Ten drapieżnik nas wszystkich pożre.

— Tak sądzisz, Carmaux? To się jeszcze okaże.

Złożył pieczołowicie pelerynę, owinął nią lewe ramię, dobył szabli i szybko wstał.

— Z której strony słyszałeś odgłosy?

— Stamtąd, kapitanie.

— Zaczekamy tu na niego.

— Mam obudzić Katalończyka i Van Stillera?

— Nie ma takiej potrzeby, sami sobie poradzimy. Bądźcie cicho i dorzucicie do ognia.

Wytężając słuch, można było usłyszeć pośród drzew kocie mruczenie przeplatane szelestem listowia. Drapieżnik z pewnością wyczuł obecność intruzów, poruszał się więc bardzo ostrożnie, licząc, że lada chwila uda mu się kogoś dopaść. Czarny Korsarz, nie chcąc dać się zaskoczyć przeciwnikowi, stał nieruchomo przy palenisku z szablą w dłoni, wodząc bacznie wzrokiem po otaczających go zewsząd zaroślach i nasłuchując, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo. Za jego plecami ustawili się Carmaux i Moko. Pierwszy dzierżył w dłoni kordelas, drugi natomiast muszkiet, który jednak trzymał za lufę, by na wypadek zagrożenia użyć go w charakterze maczugi.

Szelest dobiegał od strony gęstszej połaci lasu i stawał się coraz głośniejszy. Zbliżało się też — tyle że powoli — kocie mruczenie. Jaguar stąpał bardzo ostrożnie. W pewnej chwili ucichły wszelkie odgłosy. Czarny Korsarz pochylił się do przodu, nadstawiając ucha. Wyprostowując się, zauważył w bliskiej od siebie odległości dwa przezierające przez zarośla błyszczące zielone punkciki, które nieruchomo się weń wpatrywały.

— Tam jest, panie kapitanie — powiedział szeptem Carmaux.

— Widzę go — odpowiedział Czarny Korsarz, nie tracąc rezonu.

— Zaraz się na nas rzuci.

— Tylko na to czekam.

— Diabło odważny mężczyzna z kapitana — wymamrotał pirat. — Nie przestraszyłby się samego Belzebuba i jego ogoniastej hałastry.

Jaguar zatrzymał się trzydzieści kroków od obozowiska, co dla takich drapieżników jak on — zdolnych skoczyć nawet dalej niż tygrysy — stanowiło odległość w sumie niewielką. Jednakże zwierzę wcale nie zamierzało atakować. Czyżby niepokoił je tłący się przy drzewie ogień, czy może raczej śmiała i niewzruszona postawa Czarnego Korsarza? Zwierzę odczekało chwilę przyczajone za zaroślami, nie przestając bacznie przyglądać się swojemu przeciwnikowi w pozycji gotowej do skoku. Po chwili błyszczące punkciki zniknęły.

Słychać było tylko chrzęst gałęzi i szelest liści, które wkrótce ucichły.

— Rozmyślił się — odetchnął z ulgą Carmaux. — Niech go kajmany¹⁰⁸ pożrą w kilku kęsach!

— Raczej to on pożre kajmany, kamracie — odrzekł Moko.

Czarny Korsarz przez kilka minut nie ruszał się z miejsca, trzymając szablę w pogotowiu. Następnie, nie słysząc już żadnych niepokojących odgłosów, schował broń do pochwy, rozłożył pelerynę, zarzucił ją na siebie i ułożył się wygodnie pod drzewem, mówiąc:

— Gdyby postanowił wrócić, dajcie mi znać.

¹⁰⁸kajman — gad z rodziny aligatorów, występujący w Ameryce Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

Carmaux i Afrykańczyk stanęli po drugiej stronie paleniska i rozpoczęli wartę, nadstawiając uszu i czujnie się rozglądając, nie bardzo bowiem chcieli im się wierzyć, że drapieżnik spasował i odpuścił polowanie.

O godzinie dziesiątej nastąpiła zmiana warty. Carmaux i Afrykańczyk obudzili Van Stillera i Katalończyka, ostrzegli ich, że w pobliżu czai się drapieżnik, po czym pośpieszenie udali się na spoczynek, kładąc się tuż obok Czarnego Korsarza, który smacznie sobie spał, zupełnie jakby leżał w swojej kajucie na „Błyskawicy”.

Druga wachta upłynęła w większym spokoju od pierwszej, choć Van Stiller i jego kompan po kilkakroć słyszeli w leśnych ostępach miauczenie jaguara.

O północy, kiedy księżyc zagościł na niebie, rozpraszając mroki nocy, Czarny Korsarz dał sygnał do wymarszu. Wciąż żywił nadzieję, że nazajutrz uda mu się dogonić swojego śmiertelnego wroga.

Księżyc szczerze rozświetlał bezchmurne nocne niebo, rzucając swoją bladą, srebrzystą poświatę na rozległą puszcę, choć zaledwie pojedyncze smugi światła przenikały przez gęste sklepienie utworzone przez olbrzymie liście.

Widoczność jednak nie była wcale zła, co pozwoliło piratom poruszać się całkiem szybko przed siebie i w porę dostrzegać napotymane po drodze przeszkody.

Nagle jednak zgubili trop; ścieżka przetarta przez gubernatora i jego ludzi urwała się. Wcale ich to nie zmartwiło, wiedzieli bowiem, że wróg podążał na południe, w kierunku Gibraltaru, gdzie zamierzał się ukryć. Szli więc dalej zgodnie ze wskazówkami busoli¹⁰⁹, ufając, że prędzej czy później go dogonią. Śmiało parli naprzód, torując sobie z mozołem drogę i pokonując opór stawiany przez gałęzie, liany i wyboiste korzenie, aż po około piętnastu minutach idący na przedzie pochodu Katalończyk nagle przystanął.

— Co się dzieje? — zapytał stąpający tuż zanim Czarny Korsarz.

— Po raz trzeci już w trakcie naszej wyprawy słyszę podejrzaną odgłosy.

— Co to tym razem za odgłosy?

— Mam wrażenie, jakby ktoś szedł równoległe do nas, po drugiej stronie tej gęstwiny.

— Co za dźwięki słyszałeś?

— Trzask łamanych gałęzi i szelest deptanych liści.

— Czyżby ktoś nas śledził? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tylko kto? Nikt nie ośmieliłby się zapaść nocą w te dziewicze lasy — odpowiedział Katalończyk.

— Może to ktoś z oddziału gubernatora?

— Hmm... Raczej nie, bo oni są daleko przed nami.

— A zatem jakiś Indianin.

— Być może, choć ja osobiście wątpię, żeby to był Indianin. Ooo! Słyszeliście?

— Tak — przytaknęli piraci i Afrykańczyk.

— Ktoś oddalony o kilka kroków od nas złamał gałąź — odparł Katalończyk.

— Gdyby nie ta gęstwina, można by było iść zobaczyć, kto się tam czai — rzekł Czarny Korsarz, dobywając jednocześnie szabli.

— Sprawdźmy?

— Postrzępilibyśmy sobie tylko ubrania w tych ciernistych zaroślach, ale twoja odwaga jest godna podziwu.

— Dziękuję — odpowiedział Hiszpan. — Takie słowa w twoich ustach wiele dla mnie znaczą. Co zatem zamierzasz?

— Iść naprzód. Szable w dłoń. Pod żadnym pozorem nie używajcie muszkietów.

— Naprzód zatem.

Drużyna szła więc dalej, ostrożnie i bez pośpiechu.

Dotarli do wąskiego prześwitu otwierającego się pośród wysokich palm oplecionych gęstą siecią lian, gdy nagle jakaś ciężka masa powaliła na ziemię idącego na czele pochodu Hiszpana.

W pierwszej chwili piraci myśleli, że na nieszczęśnika spadła jakaś wielka gałąź. Jednak ochrypli ryk, który po chwili usłyszeli, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

¹⁰⁹busola — przyrząd do wyznaczania kursu; podobnie jak kompas jest pudełkiem z igłą magnetyczną i podziałką, ale dodatkowo posiada przyrząd celowniczy pomagający w wyznaczeniu azymutu, czyli kąta pomiędzy wybranym kierunkiem (np. marszu) a północą. [przypis edytorski]

Z piersi upadającego na ziemię Katalończyka dobył się przeraźliwy krzyk. Szybko się odwrócił na plecy, próbując uwolnić się od miażdżącego uścisku drapieżnika.

— Ratunku! — krzyknął. — Zaraz rozszarpie na strzępy!

Czarny Korsarz, gdy tylko otrząsnął się z zaskoczenia, rzucił się na odsiecz. Z szybkością błyskawicy dopadł do zwierzęcia i ugodził je szablą. Ranione ostrzem zwierzę porzuciło niedoszły łup i skierowało swą złość na nowego przeciwnika, gotowe wpić mu kły w gardło.

Czarny Korsarz cofnął się o kilka kroków. Wymierzając lśniące ostrze szabli w drapieżnika, szybkim gestem owinął pelerynę wokół lewego ramienia. Po chwili wahania zwierzę skoczyło przed siebie z desperacką odwagą. Powaliło na ziemię Van Stillera, po czym wymierzyło potężny cios łapą w stojącego tuż obok Carmaux.

Czarny Korsarz nie zamierzał stać bezczynnie. Na widok swoich kompanów w opresji znów rzucił się na jaguara i zaczął siec go szablą, jednocześnie uważając, by z nadto się do niego nie zbliżyć, w przeciwnym razie rozsierdzone zwierzę z łatwością rozerwałoby go na strzępy swoimi szponami.

Jaguar wycofywał się z rykiem, szukając przestrzeni, która pozwoliłaby mu wziąć rozbieg i przypuścić atak, lecz Czarny Korsarz nie odpuszczał i odważnie na niego nacierał.

Wystraszone, prawdopodobnie poważnie zranione, zwierzę odwróciło się nagle i wskoczyło między zarośla. Słychać było tylko przeciągłe, pełne cierpienia zawodzenie: „auu”, „auu”.

— Cofnijcie się wszyscy! — krzyknął Czarny Korsarz w obawie, że zwierzę zaraz wróci i się na nich rzuci.

— Do stu hamburskich piorunów! — krzyknął Van Stiller, który na szczęście w starciu z drapieżnikiem nie odniósł żadnych obrażeń. — Trzeba go zastrzelić, żeby uśmierzyć jego głód!

— Żadnego strzelania, powiedziałem! — odparł Czarny Korsarz.

— Już miałem mu rozwalić łeb — odezwał się głos za plecami.

— Wciąż żyjesz! — wykrzyknął Czarny Korsarz.

— A zawdzięczam to kirysowi z bawolej skóry, który noszę pod kaftanem, panie — powiedział Katalończyk. — Gdyby nie on, zwierzę rozharatałoby mi klatkę piersiową swoimi pazurami.

— Uwaga! — krzyknął w tej chwili Carmaux. — Ten przekłety kocur znów pręży się do skoku!

Ledwo skończył zdanie, a zwierzę wykonało dwudziestostopowy skok zakończony na kilka kroków przed Czarny Korsarzem, nie zdążyło jednak skoczyć po raz kolejny, bo szabla nieustraszonego wilka morskiego przeszła pierś zwierzęcia, które śmiertelnie ugodzone padło na ziemię. Wtedy Afrykańczyk kolbą swojego ciężkiego muszkietu roztrzaskał mu czaszkę.

— Idź do diabła! — krzyknął Carmaux i wymierzył drapieżnikowi siarczystego kopniaka, chcąc się upewnić, czy rzeczywiście padł trupem. — Co to za zwierzę?

— Zaraz się dowiemy — powiedział Katalończyk, chwytając zwierzę za ogon i wlokąc je na niewielką, oświetloną księżycową poświatą polanę.

— Nie jest zbyt ciężkie, a mimo to jaka odwaga i jakie pazury! Kiedy już będziemy w Gibraltarze, pójdę zapalić świeczkę dziękczynną Matce Boskiej z Gwadelupy za to, że mnie uchroniła przed niechybną śmiercią.

ROZDZIAŁ XXII. GRZĘZAWISKA

Zwierzę, które z taką zuchwałością na nich napadło, kształtem przypominało afrykańskie lwice. Było jednak postury drobniejszej niż jego dalekie kuzynki, jego długość nie przekraczała czterdziestu pięciu, pięćdziesięciu cali, wysokość w kłębie natomiast wynosiła mniej niż trzydzieści.

Zwierzę miało okrągłą głowę, ciało smukłe, ale silnej budowy, dwudziestocalowy ogon, długie i ostre pazury, gęstą, szpeciniastą, jasnożółto-rudawą sierść, która nabierała ciemniejszej barwy na grzbiecie, w okolicach podbrzusza białała, a w części okołoczaszkowej wpadała w szarość.

Katalończyk i Czarny Korsarz nie mieli żadnych wątpliwości: już na pierwszy rzut oka było wiadomo, że była to puma, zwana lwem południowoamerykańskim, którego z kolei tubylcy w swoim narzeczu określają mianem *mizgli*.

Populacja tego gatunku dość licznie zamieszkuje tereny Ameryki Północnej i Południowej. Koty te, choć niewielkich rozmiarów, są jednak groźne i drapieżne.

Najlepiej czują się w lasach, gdzie zawzięcie polują na małpy; ich naturalna zwinność pozwala im z łatwością wspinać się na najwyższe drzewa. Czasami podchodzą do ludzkich osad i wyrządzają ogromne szkody, zagryzając owce, cielęta, woły, a nawet konie.

W ciągu jednej nocy potrafią uśmiercić pięćdziesiąt sztuk bydła; zatapiają kły w szyi ofiary i z rozkoszą chlepcą jej ciepłą krew. Zwykle schodzą ludziom z drogi, z doświadczenia bowiem wiedzą, że starcie z nimi może zakończyć się dla nich porażką, lecz przyparte głodem i zmuszone koniecznością rzucają się do ataku. Zawsze walczą do samego końca i nawet ranione nie odstępują zdobyczy.

Czasami polują w stadach, dzięki czemu łatwiej zdobywają pożywienie, jednak na ogół prowadzą samotniczy tryb życia, zwłaszcza samice, które bojąc się, że ich młode mogłyby paść ofiarą samców, trzymają się od nich z daleka. Im wprawdzie też zdarza się pożreć swoje pierwsze młode, jednak z czasem budzi się w nich macierzyńska czułość i zajadłe bronią swoich kociąt.

— Na flaki żarłacza, pogromcy mórz! — krzyknął Carmaux. — Takie to małe, a groźniejsze od lwa.

— To cud, że nie rozszarpał mi gardła — rzekł Katalończyk. — Podobno z wielką wprawą przegryzają tętnicę, żeby wysysać krew swoich ofiar.

— Z wprawą czy bez niej, nieważne. W drogę! — powiedział Czarny Korsarz. — Przez tego kuguara¹¹⁰ zmitrężyliśmy mnóstwo cennego czasu.

— Nasze nogi są bardzo szybkie, panie kapitanie.

— Wiem, Carmaux. Nie zapominajmy jednak, że Van Gould ma znaczną przewagę nad nami. Komu w drogę, temu czas, przyjaciele.

Zostawili truchło kuguara i zagłębili się w niezmierzone leśne połaci, znów karczując napotykaną na swej drodze liany i korzenie. Znaleźli się teraz na terenach podmokłych, gdzie nawet najmniejsze drzewa, zwykle przegrywające walkę o promienie słoneczne, rozrosły się bujnie. Stąpali po mchach tak nasiąkniętych wilgocią, że każdy krok wyciskał z nich wielkie kałuże wody, która wylewała się przez niezliczone pory.

Las skrywał w swym wnętrzu zdradzieckie grzędzawiska i piaszczyste pułapki, których ofiarą padał każdy, kto tylko postawił na nich stopę.

Świetnie rozeznanym w terenie Katalończyk zachowywał niemalże przesadną ostrożność. W obawie przed piaszczystymi zapadliskami sprawdzał kijem grunt pod nogami i trącał nim wszystkie rosnące wkoło zarośla, w których mogły zaiść się węże, licznie żyjące na tych wilgotnych terenach. Idąc tak ostrożnie naprzód, wypatrywał stale, dokąd prowadzi ich ścieżka i czy widać już skraj lasu.

Ostrożność była wskazana, nietrudno bowiem w tych ciemnościach nadepnąć na żararakę urutu, białopregiego węża z krzyżem na głowie, sączącego jad wywołujący paraliż całej ukąszonej kończyny, czy na biczowęża długonosego, zwanego także potocznie „wężem-biczem”, którego bardzo łatwo pomylić z cienkimi, przypominającymi bicz właśnie zielonymi lianami, albo też na koralówkę arlekina, węża dysponującego trucizną, na którą nie ma żadnego ratunku.

W pewnym momencie Katalończyk zamarł w bezruchu.

— Co? Znowu kuguar? — zapytał Carmaux, który szedł tuż za nim.

— Boję się iść dalej, zanim nie wzejdzie słońce — odpowiedział.

— Czego się boisz? — zapytał Czarny Korsarz.

— Grunt zaczyna mi się osuwać pod nogami, a to oznacza, że jesteśmy w pobliżu tropikalnej sawanny.

— Czyżby grzędzawiska?

— Tego się właśnie obawiam.

— Stracimy za dużo cennego czasu.

¹¹⁰kuguar — puma, drapieżny ssak z rodziny kotowatych zamieszkujący obie Ameryki. [przypis edytorski]

— Za godzinę nastanie świt. Nie sądzicie chyba, że ścigani przez nas Hiszpanie, przeprawiając się przez mokradła, nie napotkali przeszkód?

— Trudno się nie zgodzić. Zaczekamy na wschód słońca.

Legli u stóp drzewa i niecierpliwie czekali, aż światło poranka rozrzedzi gęste nocne ciemności. W zatopionej jeszcze przed chwilą w ciszy niezmierzonej puszczy rozległ się koncert na tysiąc tajemniczych dźwięków. Wszelkiej maści żaby, ropuchy, grzbietorody amerykańskie i *parraneca* rechotały naraz na całego, tworząc nieznośny dla ucha zgiełk. Mieszały się ze sobą przeróżne odgłosy: skowyt, wycie, skrzek, jęki, bulgot tak głośny, jakby tysiące chorych jednocześnie płukało gardła, do tego zgrzyt i stukot tak hałaśliwy, jakby cała armia stolarzy cięła drewno i zbijała deski. Spomiędzy gałęzi natomiast dobiegał od czasu do czasu przenikliwy wizg, na którego odgłos piraci podnosili głowy do góry.

Sprawczyniami tych odgłosów były lilipucie jaszczurki, wyposażone w tak silne płuca, że siłą głosu mogłyby zagłuszyć gwizd lokomotywy.

Gwiazdy powoli gasły na niebie, a świt rozrzedzał ciemności, kiedy z daleka dobiegł ich odgłos wystrzału, którego nie można było pomylić z tropikalnym koncertem.

Czarny Korsarz zerwał się na równe nogi.

— Wystrzał z muszkietu? — zapytał, spoglądając na Katalończyka, który też właśnie poderwał się z ziemi.

— Wszystko na to wskazuje — odpowiedział Katalończyk.

— Czyżby ludzie, za którymi podążamy?

— Tak mi się wydaje.

— A zatem nie są daleko.

— To może być złudne. Pod tym zielonym sklepieniem echo jest w stanie przemierzać niewiarygodne odległości.

— Już dnieje. Możemy więc wyruszać, jeśli nie jesteście zmęczeni.

— Na odpoczynek przyjdzie czas później — odpowiedział Carmaux.

Poranne światło przebierało przez olbrzymie liście, szybko rozprasząc czeluści i budząc ze snu leśnych mieszkańców.

Tukany przysiadły na najwyższych gałęziach drzew i trzepotały skrzydłami, wydając nieprzyjemny dla uszu pisk przypominający dźwięk źle naoliwionego koła. Dzioby tych ptaków są prawie tak duże, jak reszta ich ciała, a jednocześnie tak delikatne, że muszą one rzucać pokarm do góry, by następnie pochwytać go w locie i połknąć. Ukryte w leśnej gęstwinie ptaki *onorati* na całe gardło wyśpiewywały barytonem do mi sol do. *Cassichi* świślały rozkołysane na swoich dziwnych torbiastych gniazdach, uwitych w giętych gałęziach korzeniary czerwonej lub na czubkach olbrzymich liści *maot*, podczas gdy czarowne kolibry, niczym skrzydlate klejnoty, przelatowały z kwiatka na kwiatek, a ich pióra — zielone, turkusowe oraz czarne o złotym i miedzianym połysku — iskrzyły się w pierwszych promieniach słońca. Powoli wychodziły ze swoich kryjówek małpy, rozprostowywały kości i ziewały, wystawiając zaspane pyszczki w kierunku słońca.

Były to głównie wełniaki brunatne, mierzące od dwudziestu do nawet trzydziestu cali wzrostu, zaopatrzone w ogony przekraczające długość ich ciała, o puszystej sierści, brunatnej na grzbiecie i szarej na podbrzuszu, i z czymś w rodzaju grzywy na ramionach.

Niektóre huśtały się na ogonach, skrzekliwie hałasując, inne natomiast na widok przybyszów stroiły głupie miny i rzucały w ich stronę owoce, wszak z natury są to istoty złośliwe i dokuczliwe.

Wśród palmowych liści można było dostrzec także liczne grono mniejszych czlekokształtnych z gatunku *uistiti* srebrzystej, które pod względem urody nie miały w małpim świecie sobie równych i których lilipuci rozmiar pozwalał je sobie schować do kieszeni kaftana. Z dużą zwinnością przeskakiwały z gałęzi na gałąź w poszukiwaniu owadów stanowiących podstawę ich jadłospisu. Jednakże spłoszone obecnością nieproszonych gości dawały chyżo drapaka na ukryte wysoko w koronach drzew gałęzie, skąd wpatrywały się w nich swoimi inteligentnymi i pełnymi wyrazu oczami.

W miarę jak zagłębiali się w leśne ostępy, puszcza przerzedzała się; podmokłe, muliste podłoże nie zachęcało do zapuszczania korzeni.

Piękne palmy zostały w tyle, teraz teren porastały tak zwane *imbauda*, rodzaj małych wierzb, które gniją w trakcie pory deszczowej i zieleńią w czasie pory suchej. Dookoła

Noc, Las

Ptak

Zwierzęta

Las

rosły palmy *kamona*¹¹¹, które mają bardzo grube, pękate pień podtrzymywany przez pałkowate korzenie sięgające wysokości od sześciu do dziewięciu stóp, a które z kolei na wysokości ponad osiemdziesięciu stóp tworzą parasol ząbkowanych liści.

Dość szybko jednak drzewa ustąpiły miejsca zwalistym *calupo*, roślinom, z których owoców pokrojonych na kawałki i poddanych fermentacji uzyskuje się orzeźwiający napój, a także gęsto rosnącym bambusom wysokim na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć stóp.

Katalończyk już miał zanurzyć się w tej gęstwinie, kiedy nagle zmienił zdanie i odwrócił się w stronę piratów, mówiąc:

— Zanim opuścimy na dobre las, mam nadzieję, że nie pogardzicie filiżanką mleka.

— A to ci dopiero! — wykrzyknął Carmaux wesół jak szczygieł. — Czyżbyś wypatrzył jakieś stado krów? Jeśli tak, to przeróbmy je na steki.

— Nie ma mowy o żadnych stekach, bo póki co nie ma żadnych krów.

— To w takim razie skąd to mleko?

— Z darzymleczni.

— Będziemy doić drzewo?

Katalończyk poprosił Carmaux o manierkę i podszedł do drzewa o rozłożystych liściach i o szerokim pniu, gładkim i wysokim na jakieś sześćdziesiąt pięć stóp, wspartym na grubych korzeniach, które nie miały wystarczająco dużo miejsca, żeby wrosnąć w ziemię, po czym zamachnął się kordelasem i zrobił w korze głębokie nacięcie. Po chwili z rany popłynęła strużka białego, gęstego płynu, wyglądem i smakiem przypominającego mleko.

Wszyscy ugasiли pragnienie pożywnym napojem, po czym kontynuowali swoją wędrówkę pośród bambusów, ogłuszeni przenikliwym wizgiem jaszczurek.

Teren robił się coraz bardziej grząski. Woda rozlewała się pod stopami, tworząc powiększające się w gnieniu oka kałuże.

Chmury ptactwa wodnego wskazywały na bliską obecność mokradeł i grzęzawisk. Widać było stada bekasów, kszyków, węzówek amerykańskich, które swą nazwę zawdzięczają długiej, cienkiej, węzowatej szyi zakończonej małą głową; poza tym gatunek ten charakteryzuje się długim, sztyletowatym dziobem i szorstkimi, srebrzyście połyskującymi piórami. Wszędzie roiło się od kleszczojadów gładkodziobych, ptaków nieco mniejszych od sroki, o ciemnozielonych piórach, których brzegi połyskiwały fioletową barwą.

Hiszpan zwolnił nieco kroku w obawie, że zaraz straci grunt pod nogami, gdy nagle od przodu dobiegł ich przeciągły pomruk, a zaraz za nim odgłos czegoś spadającego na ziemię i chlupot mokradeł.

— Woda! — wykrzyknął.

— Wydaje mi się, że oprócz wody napotkaliśmy też jakieś zwierzę. Nie słyszałeś, że coś zeskoczyło na ziemię?

— Tak, jaguar poluje.

— Takie sobie spotkanie... — wymamrotał pod nosem Carmaux.

Zatrzymali się na powalonych na ziemię drzewach bambusowych, obawiając się ugrzęźnięcia w mokradłach, po czym dobyli szpad i kordelasów.

Echo nie przyniosło już odgłosów drapieżnika. Do uszu piratów dochodziło tylko jakby stłumione mruczenie, którym zwierzę dawało przybyszom do zrozumienia, że ich obecność nie była mile widziana.

— Być może próbuje coś złowić w bajorze — rzekł Katalończyk.

— Ryby? — zapytał tonem pełnym niedowierzania Carmaux.

— A co cię tak dziwi?

— Z tego co mi wiadomo, jaguary nie używają wędki i haczyka.

— Za to mają pazury i ogon.

— Ogon? A na co mu ogon?

— Posługuje się nim jak przynętą.

— Ta! Ciekaw jestem, w jaki sposób je nęci. Czyby przyczepiał sobie do niego robaki?

— Nic z tych rzeczy. Opuszcza go nad powierzchnią wody i sierścią delikatnie ociera się o wodną toń.

— I co dalej?

¹¹¹*kamona* — *Iriarteia deltoidea*, gatunek palmy z Ameryki Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

— Dalej wiadomo: od razu nadpływają zwabione łupem raje, piranie i strętwy, a jaguar zagarnia je szybkim ruchem szponiastej łapy. Rzadko chybia celu, zazwyczaj udaje mu się upolować wszystkie naiwne ryby, które kotłują się pod powierzchnią.

— Widzę go — powiedział w tym momencie Afrykańczyk, który przewyższając wzrostem pozostałych członków wyprawy, widział trochę dalej w głąb.

— Kogo? — zapytał Czarny Korsarz.

— Jaguara — odpowiedział Moko.

— Gdzie?

— Na obrzeżach mokradeł, jakieś dwieście stóp od nas.

— Jest sam?

— Chyba coś tropi.

— Chodźmy go zobaczyć — powiedział stanowczym tonem Czarny Korsarz.

— Kapitanie, ostrożnie — poradził mu Katalończyk.

— Jeśli nie stanie nam na drodze, to nie będziemy go niepokoić. Zachowajmy spokój i ciszę.

Zeszli z bambusowych wiehcy i chowając się za lodygami trzciny, szli przed siebie w ciszy i w bojowej gotowości z szablą w dłoni.

Po przejściu dwudziestu jardów dotarli na brzeg rozległych mokradeł, które pokrywały znaczne obszary dziewiczego lasu.

To była tropikalna sawanna, czyli bagienny teren, do którego spływały wszystkie leśne ciekły wodne. Zalegająca w nim woda, w której rozkładały się tysiące różnych roślin, wydzielała szkodliwe dla człowieka wyziewy, mogące wywołać wysoką gorączkę.

Cały obszar gęsto porastały skupiska rośliny *arum*, zwieńczonej u nasady strzelistej łodygi sercowatymi liśćmi, jak również krzaki *Astrocaryum murumuru*, zwanej w tubylczym narzeczu *mucumucú*, o rozłożystych liściach unoszących się na powierzchni grzęzawiska. Krajobrazu dopełniały *byrsonima crassifolia* oraz wspaniałe wiktorie królewskie, największe spośród wodnych roślin, których liczące niemalże sześćdziesiąt cali obwodu liście przypominały monstrialne okręgi albo ogromne talerze o zagiętych i uniesionych brzegach zakończonych długimi kolcami.

Na powierzchni unosiły się wspaniałe kwiaty poprzecinane to różowymi, to purpurowymi żyłkami. Wyglądały jakby były wykonane z białego weluru.

Piraci nie zdążyli jeszcze dobrze przyjrzeć się okolicy, gdy w niewielkiej odległości od nich rozległ się głuchy pomruk.

— To jaguar! — wykrzyknął Katalończyk.

— Gdzie? — zapytali pozostali.

— Tam, na brzegu! Czai się do skoku!

ROZDZIAŁ XXIII. ATAK JAGUARA

Pięćdziesiąt kroków przed nimi, na wysokości trzcinowych zarośli, tuż na skraju sawanny, czaiło się do skoku dorodne zwierzę przypominające kształtem tygrysa, choć nieco mniejszych od niego rozmiarów. Leśny drapieżnik mierzył prawie osiemdziesiąt cali długości, był więc roslym przedstawicielem swojego gatunku. Miał trzydziestocalowy ogon, krótką i masywną szyję oraz potężne łapy wyposażone we wspaniałe pazury.

Jego gęste, przepiękne, żółto-miedziane futro pokryte było charakterystycznymi cętkami obwiedzionymi rudą obwódka, które po bokach były mniejsze, na grzbiecie zaś zlewały się w regularne linie. Piraci nie mieli żadnych wątpliwości, że był to jaguar, najwspanialszy drapieżnik obu Ameryk, groźniejszy od kuguarów i być może groźniejszy nawet od żyjących w Górach Skalistych niedźwiedzi.

Te dzikie zwierzęta zamieszkują tereny od Patagonii po Stany Zjednoczone, dumnie reprezentując na tych szerokościach geograficznych tygrysi ród. I są tak samo jak wszyscy jego przedstawiciele groźne, zwinne i silne.

Ich domem są zwłaszcza lasy deszczowe, brzegi sawann i dorzecza wielkich rzek, takich jak: La Plata, Amazonka, Orinoko. Kochają bowiem — rzecz w przypadku kotów zupełnie niesłychana — wodę.

Jaguary cieszą się sławą bezlitosnych zabójców. Mają wiecznie niezaspokojony apetyt, w związku z czym ich łupem pada każde napotkane na drodze stworzenie. Nie uciekną im

Rośliny

nawet małpy, albowiem jaguary — jak na koty przystało — z łatwością wskakują na każde drzewo. Bydło hodowlane i konie mogą próbować bronić się za pomocą rogów i kopyt, ale na niewiele się to zdaje — krwiożercze drapieżniki skaczą na nie z rozpędu i silnym uderzeniem łapy przetrącają im kręgosłupy. W starciu z nimi nie mają szans nawet żółwie, choć chronią je przecież bardzo wytrzymałe pancerze. Dzięki swoim ostrym pazurom jaguary z łatwością przebijają skorupy żółwi *arrau*, a następnie wysysają ich smaczkowe mięso.

Do psów pałają tak żarliwą nienawiścią, że choć wcale nie przepadają za ich mięsem, wchodzą nieskrępowanie w biały dzień do indiańskich wiosek tylko po to, by te wierne ludziom czworonogi rozszarpać na strzępy.

Nie przepuszczają także ludziom — na skutek ataku jaguara śmierć zbiera corocznie obfite żniwo wśród Indian. Szpony drapieżnika rozszarpują ciało i zadają głębokie rany, które nie są w stanie się już zagoić, w związku z czym ranny w starciu ze zwierzęciem nieszczęśnik ostatecznie umiera.

Teraz przyczajony na skraju sawanny jaguar jakby w ogóle nie zauważył zbliżających się piratów, nie zdradzał bowiem żadnych oznak rozdrażnienia. Jego oczy nieruchomo wpatrywały się w czarniawe wody mokradel. Najwyraźniej czaił się na zdobycz, która ukrywała się pod liśćmi wiktorii królewskiej. Zasył się wśród trzciny, czekał z uniesionym lekko podbrzuszem, w pozycji gotowej do skoku. Poruszał lekko sztywnymi wąsami, a jego ogon bezszelestnie ocierał się o zarośla. Widać było, że powoli ogarnia go zniecierpliwienie.

— Na co on czeka? — zapytał Czarny Korsarz, który jakby zupełnie zapomniał o istnieniu Van Goulde i jego ludzi.

— Czai się na zdobycz — odparł Katalończyk.

— Czyżby na jakiegoś żółwia?

— Nie — odpowiedział Afrykańczyk. — Szykuje się do starcia z godnym mu przeciwnikiem. Spójrzcie tam, widzicie ten pysk pośród liści?

— Rzeczywiście, nasz czarny przyjaciel ma rację, tam się coś rusza — powiedział Carmaux.

— To czubek pyska kajmana *zakare* — odpowiedział Murzyn.

— Kajmana? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tak, mój panie.

— Czyżby jaguary napadały nawet na te imponujące gady?

— Tak, panie kapitanie — powiedział Katalończyk. — Jeśli zachowamy ciszę, będziemy świadkami zażartej walki.

— Miejmy nadzieję, że to długo nie potrwa.

— Trafiło na siebie dwóch dość walecznych przeciwników. Gdy dochodzi między nimi do pojedynku, walka jest naprawdę zacięta. O, jest!

Liście wiktorii królewskiej nagle się rozstały i ogromny pysk, wyposażony w długie trójkątne kły, wychynął ponad powierzchnię wody i zaczął podpływać do brzegu.

Na widok zbliżającego się kajmana jaguar wstał i zrobił krok do tyłu. Nie, żeby się przestraszył. Jego zamiarem było wywabienie przeciwnika na ląd. Chciał w ten sposób odciągnąć go od wody, w której kajmany poruszają się niezwykle szybko i zwinnie, zaś poza nią są wyjątkowo niezdarne.

Kajman nabrał się na podstęp jaguara. Uwierzył, że wielki kot wycofuje się ze strachu. Z rozpędem wślizgnął się na ląd, uderzeniem ogona odcinając kwiaty wiktorii królewskich od ich kolczastych łodyg, po czym zatrzymał się i rozdziawił swoją groźną paszczę.

Był ogromny, mierzył prawie siedemnaście stóp, z jego grzbietu wyrastały wodne rośliny, które zapuściły korzenie w błocie nagromadzonym między szczelinami łusek.

Otrząsnął się, rozpryskując na boki krople wody. Potem przysiadł na tylnych łapach i wydał z siebie odgłos przypominający kwilenie dziecka, a będący najprawdopodobniej wyzwaniem na pojedynek.

Jaguar wciąż nie atakował; cofnął się jeszcze bardziej i naprężył mięśnie, gotując się do skoku.

Obaj przeciwnicy — król lasów i król mokradel — przez chwilę łypali na siebie w milczeniu swoimi żółtawymi ślepiami, z których biła prawdziwa dzikość. Jaguar zamruczał zniecierpliwiony, skulił się w sobie, prychając jak rozwścieczony kot.

Pojedynek

Kajman z kolei, zupełnie niefrasobliwy, świadom swojej niezwyklej siły i potęgi swoich zębów, coraz bardziej oddalał się od wody, kołysząc ogonem na boki.

Przebiegły kot tylko na to czekał. Widząc, że kajman wyszedł już w całości na ląd i znacznie oddalił się od brzegu, rzucił się na niego jednym susem. Niestety! Mocne jak stal pazury jaguara ześlizgnęły się po kościstych łuskach gada, zdolnych zatrzymać nawet pocisk wystrzelony z muszkietu.

Rozwścieczony niepowodzeniem, okręcił się w miejscu i łapą uderzył kajmana w głowę, rozorując mu oko, po czym odskoczył od ofiary na odległość dziesięciu kroków.

Gad zawył z bólu i ze złości. Instynktownie czuł, że bez oka nie może stanąć do równej walki z niebezpiecznym przeciwnikiem. Zaczął się wycofywać w stronę mokradeł, uderzając wściekle ogonem i rozchlapując błoto na wszystkie strony.

Jaguar, który wciąż zachowywał należyłą ostrożność, skoczył po raz drugi, tym razem jednak nie marnował sił na twardy pancerz przeciwnika. Nastroszył się, po czym rozpruł mu pazurami prawy bok i zaczął wyrywać ze środka wnętrzności.

Było jasne, że kajman już się z tego nie wyliże, tym niemniej rozjuszony walką i kipiący złością nie zamierzał dawać za wygraną. Znalazł w sobie wystarczająco dużo siły, żeby strząsnąć z grzbietu napastnika, który wpadł między trzciny. Otworzył szeroko swoją groźną, krokodylą paszczę i szykował się do zmiżdżenia wielkiego kota w potężnych szczękach.

Na swoje nieszczęście — ze względu na brak jednego oka — nie oszacował prawidłowo dzielącej go od jaguara odległości; zamiast zatopić kły w jego ciele, w rozpędzie ugryzł go w ogon. Rozdzierający ryk drapieżnika mógł jednak świadczyć tylko o jednym — kajman nie tylko ugryzł go w puszystą kite, ale całkowicie mu ją odgryzł!

— Biedne stworzenie! — wykrzyknął Carmaux. — Bez ogona będzie mu nie do twarzy!

— No to teraz mu się odwdzięczy — odparł Katalończyk.

Rozjuszony drapieżnik w mgnieniu oka doskoczył do gada.

Wbił mu pazury w pysk i zaczął go rozszarpywać, choć przecież wiedział, że kajman może odgryźć mu łapy.

Broczący krwią, oślepiiony i silnie okaleczony krokodyl, zaczął się wycofywać w kierunku mokradeł. Plaskał ogonem o ziemię i kłapał paszczą, nie mogąc zrzucić z siebie swego oprawcy, który systematycznie rozrywał mu pazurami wnętrzności.

W pewnym momencie drapieżniki wpadły do wody. Przez kilka chwil widać było szamotaninę, woda zakotłowała się i spieniła, a po chwili zabarwiła na czerwono. W końcu zwycięskie zwierzę wynurzyło się na powierzchnię.

Był to jaguar, choć w oplakany stan. Jego sierść ociekała krwią i wodą. Ogon został w paszczy kajmana, wyglądało na to, że ma złamaną nogę, a jego grzbiet był odarty ze skóry.

Z trudem wy dostał się na brzeg. Przystanął na chwilę i odwrócił się, spoglądając na mokradła. Oczy lśniły mu wściekłością. Doczłapał się z trudem do trzciny, po czym zniknął z pola widzenia piratów, odgrazając się jeszcze ostatnim złowrogim mruknięciem.

— Mocno mu się oberwało. Dostał za swoje — powiedział Carmaux.

— No tak, ale kajman padł trupem i kiedy jutro wypłynie na powierzchnię, jaguar będzie miał bardzo pożywne śniadanie — skwitował Katalończyk.

— Pożywne, ale nader kosztowne.

— Nic mu nie będzie, to bardzo silne zwierzęta, więc wyzdrowieje.

— Ale drugi ogon mu na pewno nie wyrośnie.

— Wystarczą mu kły i pazury.

Czarny Korsarz ruszył przed siebie, obchodząc mokradła. W pobliżu miejsca, w którym rozegrała się krwawa walka pomiędzy królem południowoamerykańskich lasów z władcą rzek i mokradeł, Carmaux zauważył leżące na ziemi oko kajmana.

— Faj! Ohyda! — wykrzyknął zniesmaczony. — Mimo że zgasło, zachowało nienawistny błysk i dziki zew.

Piraci szli przed siebie dziarskim krokiem. Jako że na obrzeżach mokradeł rosły tylko tyczkowate trzciny i krzaki *mucumucú* — rośliny, pośród których łatwo było torować

sobie przejście — wędrówka okazała się o wiele przyjemniejsza niż wcześniejsza przeprawa przez leśne knieje i gęstwiny. Teraz musieli głównie uważać na różne jadowite gady, w obrębie mokradła było ich bowiem bez liku. Za szczególnie niebezpieczne uchodzą węże żararaki, na których ukąszenia nie ma ratunku. Ich skóra ma barwę suchych liści, potrafią więc skutecznie oszukać ludzkie oko.

Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że na drodze swojej wędrówki nie napotkali żadnego z tych niebezpiecznych stworzeń.

Tereny te obfitowały w rozmaite gatunki ptaków, które krążyły całymi stadami ponad porastającą mokradła roślinnością i wokół trzcinowych zarośli. Poza ptactwem brodzącym można było zobaczyć długoogoniaste i kolorowo upierzone *ciganas*, czyli kośniki czubate, całe stada skrzeczących papug — zielonych, żółtych, czerwonych i innych, majestatyczne ary o turkusowych skrzydłach i żółtym brzuchu, a także rozliczne pasówki obrożne — ptaki, które na pierwszy rzut oka przypominają wróble.

Nieopodal mokradła pojawiła się też grupa małp, które przywędrowały z głębi lasu. Były to makaki *iwi* o miękkiej jak jedwab sierści o czarno-szarej barwie i długiej białej brodzie, która je postarzała i przydawała dostojeństwa.

Małpie matki szły za samcami, niosąc na ramionach swoje młode, jednak na widok piratów nagle przyspieszyły kroku i czmychnęły przed siebie, pozostawiając samcom obowiązek obrony małpiej rodziny.

W samo południe, na widok zmęczenia malującego się na twarzach piratów po nieprzerwanej, wielogodzinnej wędrówce, Czarny Korsarz zarządził postój, zezwalając wszystkim na zasłużony odpoczynek.

Chcąc zachować na czarną godzinę skromny prowiant, który ze sobą zabrali i który mógł w sercu wielkiego lasu okazać się niezwykle cenny czy wręcz zbawienny, postanowili wybrać się na łowy i poszukać jakichś owoców.

Hamburczyk i Murzyn rozejrzeli się po okolicznych drzewach. Szczęście im sprzyjało, bowiem niemal od razu natrafili na rosnącą na brzegu mokradła przepiękną palmę *bacaba*, która wydaje kwiaty kremowego koloru i która, gdy ją lekko naciąć, wydzielają jakby winny nektar. Poza nią natrafili także na *jadibicabeira*, wysokie na dwadzieścia, dwadzieścia dwie stopy drzewo o ciemnozielonym ulistnieniu, rodzące owoce w kształcie i wielkości pomarańczy, ale koloru jaskrawożółtego, o bardzo delikatnym i smakowitym miąższu.

Carmaux i Katalończyk natomiast podjęli się upolowania zwierzyny, ponieważ ich zadaniem było zadbać także o wieczorny posiłek.

Widząc, że obrzeża grzęzawisk zamieszkiwało jedynie trudne do upolowania ptactwo, i nie chcąc tracić cennego czasu, postanowili zapuścić się w głąb puszczy; mieli bowiem nadzieję, że uda im się upolować mulaka białoogonowego czy podobnego do dzika perkariowca obrożnego.

Polecili swoim kamratom, by tymczasem rozpalili ognisko, po czym bezzwłocznie oddalili się szybkim krokiem w stronę puszczy, zdawali sobie bowiem sprawę, jak bardzo Czarnemu Korsarzowi zależało na czasie i na pochwytceniu tego łotra Van Goullda.

W ciągu piętnastu minut przedarli się przez trzciniaście zarośla i *mucumucú*, aż w końcu znaleźli się na skraju dziewiczego lasu, na rozległej polanie, którą szczerze porastały olbrzymie cedry, rozmaite palmy, kolczaste kaktusy, wielkie słoneczniki i wspaniała szkarłatna szalwia meksykańska.

Katalończyk zatrzymał się na chwilę, nasłuchując, czy nie ma w pobliżu jakiejś zwierzyny łownej, lecz pod baldachimem bujnej roślinności panowała absolutna cisza.

— Obawiam się, że będziemy musieli skorzystać z naszego prowiantu — powiedział, potrząsając niepocieszony głową. — Być może znajdujemy się na terenie, na którym niepodzielnie rządzi jaguar, w związku z czym zwierzyna łowna już od dawna trzyma się od tego miejsca z daleka.

— Wprost nie do wiary, że pośrodku wielkich lasów nie można upolować nawet kota!

— Wprost przeciwnie: kotów tu nie brakuje, w dodatku jakich!

— Jeśli spotkamy jaguara, to go zabijemy.

— Wcale nieźle jest mięso tych drapieżników, zwłaszcza podawane razem z modrą kapustą.

— A zatem go upolujemy.

Rośliny

— Ojjoj, coś mi się zdaje, że zabijemy coś o wiele lepszego — wykrzyknął Katalończyk, podnosząc żywo głowę do góry.

— Czyżbyś zobaczył kozicę, mój kataloński przyjacielu?

— Widzisz tego dużego ptaka?

Carmaux podniósł wzrok i zobaczył duże czarne ptaszysko, które przelatywało właśnie nad koronami drzew.

— Czy to jest ta obiecana kozica?

— To jest *gule-gule*. Spójrz tylko, jeszcze jeden. I jeszcze, jest ich tu całe stado.

— Ustrzel go! Założę się, że jeden pocisk ci nie wystarczy — powiedział ironicznie Carmaux. — A poza tym jakoś nie ufam twoim *gule-gule*.

— Nie mam zamiaru do niego strzelać, mam inny pomysł, ale i tak nie zgadniesz jaki. Powiem ci: one nam wskażą siedliska zwierzyny łownej.

— To znaczy?

— Dziki.

— Na flaki ryby młota! Na samą myśl o szyneczce i żeberkach aż mi ślinka cienkie. Czy mógłbyś mnie jednak oświecić, co mają wspólnego twoje *gule-gule* z dzikami?

— Otóż te ptaki, które wyróżniają się doskonałym wzrokiem, są w stanie z daleka dostrzec dziką, a kiedy go dostrzegą, lecą czym prędzej w jego stronę, żeby zaspokoić głód.

— Czyżby żywiły się dziczyzną?

— Ależ skąd! Żywią się robactwem, skorpionami, skolopendrami¹¹², które wychodzą z ziemi, w której ryją dziki w poszukiwaniu pożywienia — korzeni i cebulek roślin.

— Pożerają też skolopendry?

— Oczywiście.

— I nie umierają od tego?

— Powszechnie wiadomo, że *gule-gule* są odporne na jad tych robaków.

— A to sprytnie ptaki! Patrzmy zatem uważnie, dokąd lecą *gule-gule*, zanim znikną nam z oczu, i nabijmy broń! Ot co! I nie usłyszą nas Hiszpanie?

— W takim razie Czarny Korsarz musi wybrać: albo broń, albo post.

— Fascynujące to, co mówisz, drogi kataloński przyjacielu, ale słowem się nie pożywimy. Lepiej, żebyśmy napełnili żołądki, nawet jeśli wrogowie usłyszą nasze małe polowanie, niż żeby zabrakło nam sił do dalszej wędrówki.

— Cicho!

— Dziki?

— Nie mam pojęcia. Jakieś zwierzę idzie w naszym kierunku. Słyszysz szelest liści przed nami?

— Tak.

— W razie czego strzelamy!

ROZDZIAŁ XXIV. PECHOWIEC CARMAUX

W odległości około stu trzydziestu stóp od piratów, którzy ukryli się za szerokim konarem olbrzymiej *simarouby*, zaszeleściły cicho zarośla. Gałęzie poruszały się na boki, jakby jakieś zwierzę szukało właściwej drogi, niepewne dokąd iść. Bez wątpienia jednak wciąż zbliżało się ku piratom.

W pewnym momencie Carmaux ujrzał wyskakujące zza krzaka na małą polaną czterdziestocalowe zwierzę, o rudej i czarnej sierści, o krótkich nogach i niezwykle puszystym ogonie. Nie miał bladego pojęcia, co to za gatunek, nie wiedział też, czy jest w ogóle jadalny. Jako że futrzak przystanął w odległości zaledwie trzydziestu kroków, pirat wycelował muszkiet i oddał strzał.

Zwierzę padło jak kłoda, po chwili wstało i, zupełnie jakby nie było wcale ranne, dało drapaką w zarośla.

¹¹²*skolopendra* — drapieżny, jadowity stawonóg o długim ciele, złożonym z ok. 20 segmentów, z których każdy jest zaopatrzony w parę odnóży zakończonych pazurkami; skolopendry żyją w strefie śródziemnomorskiej oraz w tropikach. [przypis edytorski]

— Na flaki wszystkich rekinów w oceanie! — wykrzyknął pirat. — Spudłowałem! Nie łudź się jednak, drogi zwierzaku: długo sobie już nie pohaszasz — dodał z przekonaniem w głosie.

Nawet nie nabił ponownie broni, rzucił się w pogoń w ślad za niedoszłym łupem, nie słuchając Katalończyka, który krzyczał za nim:

— Bądź ostrożny!

Zwierzę gnało przed siebie co sił w nogach, zapewne chciało jak najszybciej schronić się w swojej norze. Jednak szybko nogi Carmaux deptały mu po piętach ze wzniesionym wysoko do góry kordelasem, gotów jednym ciosem je rozpołować, gdyby tylko udało mu się je dopaść.

— Ty huncwocie! — krzyczał. — Możesz sobie uciekać gdzie chcesz, a i tak cię dopadnę!

Biedne zwierzę pędziło jak oszalone, choć powoli traciło już siły. Ślady krwi widoczne na porastającej ścieżkę trawie i na liściach drzew wskazywały, że Carmaux jednak nie spudłował. W pewnym momencie wycieńczone ucieczką i osłabłe na skutek utraty krwi zwierzątko przystało przy konarze drzewa. Carmaux był już pewien zdobyczy; zbliżył się jeszcze bardziej, gdy nagle odurzył go smród tak niewiarygodny, że jak oparzony odskoczył do tyłu.

— Na truchła wszystkich rekinów w oceanie! — dał upust swojej złości. — Do piekła z tym ścierwem! Niech spłonie!

Nie zdążył jednak wyrzucić z siebie całej złości, a inwektywy uwięzły mu w gardle, bo nagle zaczął niemilosiernie psikać i kichać.

Katalończyk pośpieszył mu z pomocą. Jednakże zatrzymał się nagle na kilkanaście kroków przed nim, zasłaniając oburącz nos.

— *Carramba!* — wykrzyknął. — Mówiłem ci, *caballero*, żebyś się zatrzymał. Skropiono cię takimi perfumami, że będziesz je teraz czuć przez tydzień. Pozwól, że nie będę się do ciebie zbliżał.

— Przyjacielu — krzyknął Carmaux — czyżbym był zadumiony? Zbiera mi się na wymioty, zupełnie jakbym cierpiał na chorobę morską.

— Natychmiast stąd uciekaj i wywietrzaj!

— Mam wrażenie, że umieram. Co się stało?

— Ruszaj się, no już! Uciekaj od tego smrodu, którym przesiąkły nawet krzaki.

Carmaux z trudem wstał i skierował się w stronę Katalończyka, który z kolei, gdy tylko zobaczył, że ten zmierza ku niemu, szybko odskoczył i odsunął się na bezpieczną odległość.

— Na tysiąc rekinów! Boisz się mnie czy co? — zapytał Carmaux. — Zachowujesz się, jakbym miał co najmniej cholere.

— *Caballero*, nie ciebie się boję, tylko że sam przesiąknę tymi perfumami.

— Jak ja mam teraz wrócić do obozowiska? Wszystkich spłoszę, z kapitanem na czele.

— Musisz się trochę okadzić dymem i uwędzić — powiedział Katalończyk, który z trudem powstrzymywał śmiech.

— Jak śledzie?

— Ni mniej, ni więcej, *caballero*.

— Czy możesz mi powiedzieć, przyjacielu, co się właściwie stało? Czyżby to podłe zwierzę, które tak zawzięcie goniłem, uwolniło ten paskudny, podobny do zgniętego czosnku smród, za sprawą którego teraz treść żołądka podchodzi mi do gardła. Jeszcze chwila i eksploduje mi mózg.

— Wierzę.

— To ten zwierzak, co?

— Tak, *caballero*. To tak zwany *surrillo*, czyli skunksowiec andyjski, oczywiście najsmrodliwszy z całej skunksowej rodziny. Nikt nie jest w stanie znieść wydzielanego przez niego odoru, nawet psy.

— A skąd on wypuszcza ten diabelski smród?

— Z gruczołów ukrytych pod ogonem. Oblał cię tą cieczą?

— Nie, bo był za daleko.

— Miałeś zatem ogromne szczęście. Gdyby ta wydzielina choćby zrosiła twój ubiór, to byś kontynuował dalszą podróż nagusieńki jak Adam w raju.

— I tak śmierdzą gorzej niż gnojownik.

— Będziemy cię wędzić, już mówiłem.

— Do diabła z wszystkimi skunksowatymi, które chodzą po tej ziemi. Co jeszcze gorszego mogło mnie spotkać? Będzie się czym chwalić po powrocie! Nasi kamraci czekają, aż im przyniesiemy dziczyznę, a zamiast tego przyniosę ze sobą smród nie do zniesienia.

Hiszpan nie odpowiedział, śmiał się za to do rozpuku, słuchając utyskiwań swojego kompana, bacząc jednocześnie, żeby tamten trzymał się odeń na bezpieczną odległość, dopóki choć trochę nie owieje go świeże powietrze.

W obozie zastali Van Stillera, który — przekonany, że wloką ze sobą zbyt ciężką dla nich sztukę upolowanego mięsa — wyszedł im naprzeciw. Gdy tylko uderzył w niego smrodliwy powiew, zatkał sobie nos i czmychnął.

— Wszyscy ode mnie uciekają, jakbym był co najmniej trędowaty — powiedział Carmaux. — Moja noga nie postanie więcej na tej przeklętej sawannie.

— Nie sposób tego uniknąć, mokradła rozlewają się szeroko — odparł Katalończyk. — Zaczekaj tu, aż wrócę, w przeciwnym razie zasmrodzisz całe obozowisko i nas wszystkich zaczadzisz.

Carmaux machnął ręką w geście rezygnacji, po czym usiadł niepokieszony, opierając się plecami o konar drzewa, i wydał z siebie głębokie westchnienie.

Katalończyk wrócił do obozowiska, opowiedział Czarnemu Korsarzowi o zabawnej przygodzie, po czym w towarzystwie Afrykańczyka udał się do lasu po roślinę, która swym wyglądem przypominała pieprz. Następnie skierował się w stronę Carmaux, zatrzymał się dwadzieścia pięć kroków przed nim, położył na ziemi całe naręczce roślin i je podpalił.

— Porządnie się owędz tym dymem. Czekam na ciebie ze śniadaniem — powiedział, po czym oddalił się szybkim krokiem, zanosząc się śmiechem.

Zrezygowany Carmaux wstał i podszedł bliżej, ustawiając się tak, żeby ze wszystkich stron otoczył go gęsty dym. Za nic w świecie nie zamierzał ruszać się z miejsca, zanim okropny smród, którym przesiąkł, nie wywietrzeje.

Płonąca roślina wyzwałała tak ostry zapach, że z oczu nieszczęśnika lały się wodospady łez, zupełnie jakby Katalończyk dorzucił do pędów także same owoce pieprzu. Jednakże ze spokojem znosił tę dymną udrękę, pozwalając się owędzić jak śledź.

Po upływie pół godziny, kiedy już ledwo ledwo wyczuwał skunksowy odór, uznał, że to wystarczy i udał się do obozowiska, gdzie towarzysze wyprawy właśnie dzielili między siebie olbrzymiego zółwia, którego udało im się upolować na brzegu grzęzawiska.

— Czy można? — zapytał. — Mam nadzieję, że dym już mnie należycie oczyścił.

— Podejdz tu! — odparł na to Czarny Korsarz. — Przyzwyczajeni jesteście do cierpkiego zapachu smoły, możemy wytrzymać twoje oryginalne perfumy. Mamy jednak nadzieję, że na przyszłość będziesz się trzymał z daleka od tych podstępnych zwierząt.

— Do stu tysięcy rekinów! Jeśli zobaczę choć jednego na swojej drodze, to ucieknę trzy mile dalej, obiecuję ci to, kapitanie. Wolę już mieć do czynienia z kugarami i jaguarami.

— Byliście przynajmniej w głębi lasu, kiedy otworzyliście ogień? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tak mi się wydaje, nie sądzę, żeby strzał poniósł się dalekim echem — odpowiedział Katalończyk.

— Lepiej, żeby nie wiedzieli, że za nimi podążamy.

— A mnie się z kolei wydaje, że oni są już tego pewni.

— Po czym wnosisz?

— Świadczy o tym ich tempo. O tej porze powinniśmy ich już dogonić.

— Być może jest jakiś inny powód, który wymusza na Van Gouldzie pośpiech.

— Niby jaki?

— Obawa, że Franciszek l'Olonnais zaatakuje Gibraltar.

— A miał w planach zaatakować miasto? — zapytał z niepokojem Katalończyk.

— Być może, zobaczymy — odpowiedział wymijająco Czarny Korsarz.

— Chcę powiedzieć, że jeśli miałoby do tego dojść, nigdy nie będę walczył przeciwko moim rodakom, panie — powiedział ze wzruszeniem w głosie Katalończyk. — Żołnierz nie może podnieść ręki na miasto, na którego murach łopocze flaga jego kraju. Dopóty, dopóki chodzi o Flamandczyka Van Goulda, jestem gotów wciąż cię wspierać, ale na nic więcej się nie zgodzę. Już wolałbym zawisnąć na szubienicy.

— Doceniam przywiązanie do ojczyzny — odparł Czarny Korsarz. — Gdy tylko złapiemy Van Goulda, będziesz mógł odejść i bronić Gibraltaru.

— Dziękuję, *caballero*, do tej chwili jestem do usług.

— A zatem w drogę, bo inaczej...

Zebraли broń, resztkę prowiantu i ruszyli w drogę, kierując się ścieżką prowadzącą wzdłuż mokradeł, które na tym odcinku nie były porośnięte roślinami o długich łodygach.

Było upalnie, żar lał się z nieba, a w dodatku szli drogą nieocienioną. Jednakże piratom, przyzwyczajonym do wysokich temperatur panujących na Morzu Karaibskim i w Zatoce Meksykańskiej, gorejący upał nieszczególnie dokuczał. Tym niemniej lało się z nich strumieniami, a ich koszule można było wyżywać z potu.

Martwe, stęchłe wody mokradeł oświeślało oślepiające słońce, którego promienie odbite od powierzchni boleśnie raziły oczy wędrowców. Ponad nią natomiast unosiła się jakby mgła; był to niebezpieczny zaduch, mogący wywołać śmiertelną w skutkach tropikalną gorączkę.

Na szczęście około czwartej po południu w oddali ukazał się już przeciwległy brzeg grzęzawiska, które zwężało się powoli, wcinając się w głąb ogromnej dżungli.

Choć żmudna wędrówka nadwątlila już siły pirackiej braci i Katalończyka, gnali co sił w nogach. Już mieli zagłębić się w leśne czeluści, kiedy zamykający pochód Moko skierował uwagę wszystkich na obły czerwony kształt, który odcinał się na brudnozielonej powierzchni moczaru.

— Jakiś ptak? — zapytał Carmaux.

— To mi raczej wygląda na hiszpański beret — powiedział Katalończyk. — Widzicie tę wiązkę wystających z niego piór?

— Kto też mógł go wrzucić do tego bagniska? — zapytał Czarny Korsarz.

— Sądzę, że tu chodzi o coś o wiele groźniejszego, panie — odparł Katalończyk. — Jeśli się nie mylę, to jedno z tych bagnisk, w które wystarczy raz nastąpić, żeby już nigdy z nich nie wyjść.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że być może pod tą czapką jest jakiś nieszczęśnik, którego błoto wchłonęło żywcem.

— Chodźmy i sprawdźmy!

Zboczyli z obranej drogi i skierowali się w stronę tych długich na około czterysta jardów mokradeł i na tyleż samo szerokich. Znajdowali się teraz w na wpół wyschniętej, bagiennej niecce. Kiedy podszli bliżej, zauważyli, że istotnie był to jeden z tych dwukolorowych — czerwono-żółtych — beretów, zdobnych w pióra, bardzo często noszonych przez Hiszpanów. Leżał na powierzchni bagniska, w samym środku lejowatego wgłębienia, a tuż obok wystawało pięć palców w kolorze, który zmroził piratom krew w żyłach.

— Toż to ludzka ręka! — wykrzyknęli Carmaux i Van Stiller.

— Mówiłem wam, *caballeros*, że pod tą czapką kryje się trup — powiedział ze smutkiem w głosie Katalończyk.

— Kimże może być ten nieszczęśnik, który utopił się w bagnie? — zapytał Czarny Korsarz.

— Jeden z żołnierzy z gwardii przybocznej gubernatora — odpowiedział Katalończyk. — Właścicielem tego beretu — sam widziałem — był Juan Barrero.

— Van Gould tędy przechodził?

— Mamy tego smutny dowód, panie.

— Czyżby wpadł do bagna przez przypadek?

— Wszystko na to wskazuje.

— Co za okrutna śmierć.

— Najokrutniejsza z możliwych, mój panie. Zostać żywcem pochłoniętym przez to cuchnące i gęste namulisko. To musi być naprawdę straszny koniec.

— Nie trapijmy się! Myślmy o żywych, nie o umrzykach — odparł Czarny Korsarz, kierując się w stronę lasu. — Mamy prawie pewność, że jesteśmy na tropie uciekinierów.

Już miał nakazać towarzyszom wędrówki, żeby przyspieszyli kroku, kiedy jego uwagę przykuł dobiegający z leśnej gęstwiny przeciągły gwizd o dziwnym brzmieniu.

— Co to ma być? — zapytał, zwracając się do Katalończyka.

— Nie mam zielonego pojęcia — odparł zapytany, spoglądając z niepokojem w kierunku olbrzymich drzew.

— Jakiś ptak śpiewa w taki sposób?

— Ten gwizd nic mi nie mówi, słyszę go po raz pierwszy.

— A ty Moko? — zapytał Czarny Korsarz Afrykańczyka.

— Ja też nie, panie kapitanie.

— Może to jakiś sygnał?

— Tego się obawiam.

— A może to twoi rodacy, którym depczemy po piętach?

— Hmm... — odparł na to Katalończyk, spuszcżając głowę.

— Nie masz takiego wrażenia?

— Nie wydaje mi się, panie. Obawiam się natomiast, że lada chwila będziemy musieli stawić czoło Indianom.

— Masz na myśli tubylczych Indianach czy hiszpańskich sprzymierzeńców? — zapytał Czarny Korsarz, marszcząc czoło.

— Raczej tych wysłanych przeciwko nam przez gubernatora Van Goullda.

— A zatem musi on wiedzieć, że go ścigamy.

— Być może tylko to podejrzewa.

— Jeśli chodzi o Indian, to bez trudu im uciekniemy.

— Na swoim terenie sięją postrach, być może są nawet niebezpieczniejsi niż biali. Trudno uniknąć pułapek, które zastawiają na wroga.

— Spróbujemy nie dać się zaskoczyć. Załadujcie broń i w razie czego nie szczędźcie nabożów. Gubernator i tak już wie, że depczemy mu po piętach, nie ma więc znaczenia, czy usłyszy wystrzały z muszkietów.

— Przekonajmy się zatem na własnej skórze, jacy są ci tutejsi Indianie — powiedział Carmaux. — Na pewno nie będą ani piękniejsi, ani groźniejsi od innych.

— Miej się na baczności, *caballero* — powiedział Katalończyk. — Wenezuelscy czerwonoskórzy to ludożercy i zapewniam cię, że radzi by byli wrzucić cię na ruszt.

— Na flaki rekina! — wykrzyknął Van Stiller. — Przyjacielu, pilnujmy zatem naszych żeberek!

ROZDZIAŁ XXV. LUDOŻERCY Z DZIEWICZEGO LASU

Piraci zagłębili się w dziewiczą dżunglę, zatracając się w bujnej leśnej roślinności i niezmiernym drzewostanie. Na swej drodze napotykali dziesiątki rozmaitych gatunków roślin: liczne skupiska palm, na przykład *Oenocarpus bacaba*; cekropki, ze względu na cudaczny układ gałęzi znane także jako drzewa-kandelabry; tak zwane *cari*, rodzaj palm o pniach i gałęziach porośniętych kolcami, które skutecznie bronią do nich dostępu; *Mauritia flexuosa*, inny rodzaj palmy, niebotycznie wysoki, o liściach tworzących szeroki wachlarz; jak również *sipò*, potężne i długie liany, wykorzystywane przez Indian do budowy szalasów.

Obawiając się przykrych niespodzianek, stąpali z niezwykłą ostrożnością, nadstawiali ucha i przepatrywali najgęstsze zarośla, w których mogli się czaić Indianie.

Odgłos już się nie powtórzył, wszystko jednak wskazywało na to, że ktoś tamtędy przechodził. Ptaki odfrunęły, nie było też śladu po małpach; z pewnością spłoszyła je obecność tubylców, ich odwiecznych nieprzyjaciół, którzy bezustannie na nie polują, gdyż małpie mięso jest ich największym przysmakiem.

Tu i ówdzie można było dostrzec świeżo połamane gałęzie, poruszone liście, ścięte chwilę temu liany, z których sączyły się jeszcze krople soku.

Szli już tak od dwóch godzin, wyczuleni na najdrobniejszy szmer, bacznie trzymając się obranej drogi prowadzącej na południe. W pewnym momencie usłyszeli dźwię-

Rośliny

ki wydobywające się najprawdopodobniej z jednej z indiańskich piszczałek wykonanych z bambusa.

Czarny Korsarz gestem dłoni dał znak, żeby wszyscy się zatrzymali.

— To sygnał, prawda? — zapytał Katalończyka.

— Tak, panie — odpowiedział tamten. — Trudno się łudzić, że jest inaczej.

— Indianie są już tuż, tuż.

— Być może nawet bliżej, niż nam się wydaje. Znajdujemy się pośród gęstych zarośli, które świetnie nadają się na pułapkę.

— Co radzisz zrobić? Czekamy, aż się pokażą, czy kontynuujemy wędrówkę?

— Jeśli zobaczą, że się zatrzymujemy, mogą pomyśleć, że się boimy. Idźmy dalej. A ci, którzy staną nam na drodze, będą się musieli z nami zmierzyć.

Odgłosy fletu stawały się coraz bliższe. Wydawało się, że dochodzą z gąszczu palm *cari*, które ze względu na swoje najeżone długimi i ostrymi kolcami pnie stanowią niezwykle trudną do pokonania przeszkodę.

— Van Stillerze — powiedział Czarny Korsarz, zwracając się do hamburczyka — postaraj się uciszyć tego tajemniczego, leśnego muzykanta.

Marynarz, który był doświadczonym strzelcem, wycelował w stronę zarośli, próbując namierzyć indiańskiego grajka, a raczej dostrzec miejsce, w którym poruszały się liście. Następnie nacisnął spust i strzelił na chybił trafił.

Zaraz za głośnym wystrzałem dało się słyszeć krzyk, który po chwili przemienił się w wybuch śmiechu.

— Do stu diabłów! Spudłowałeś.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Van Stiller wściekły jak osa. — Gdybym chociaż dojrzał kawałek jego czerepu, nie byłoby temu szubrawcowi do śmiechu.

— Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło — odpowiedział Czarny Korsarz. — Teraz przynajmniej wiemy, że jesteśmy uzbrojeni, więc będą się mieli na baczności. Naprzód, moje wilki morskie!

Dżungla stała się ponura i dzika. Piratów pochłonął prawdziwy labirynt drzew, olbrzymich liści, gąszcz lian i monstrualnych korzeni. Przez zwarte sklepienie zieleni z trudem przenikały słoneczne promienie.

U podnóża kolosów zwrotnikowej flory panowały w dodatku wilgoć i zaduch niczym w szklarni, przez co przemierzający rozległe połacie puszczy śmiałkowie niemiłosiernie się pocili.

Szli przed siebie gęsiego, w niedużej odległości jeden od drugiego, trzymając muszkiety gotowe do strzału, nasłuchując i bacznie się rozglądając. Krok za krokiem zagłębiali się coraz dalej w samo serce niezmiernie puszczy.

Rozglądali się dookoła, świdrowali spojrzeniem zarośla i krzaki, przyglądali się uważnie korzeniom i girlandom. Wystarczy, że w zasięgu ich wzroku pokaże się Indianin, a palec bez wahania naciśnie spust.

Złowroziej ciszy zalegającej w dziewiczym lesie nie zakłócił już więcej żaden inny odgłos. Jednak ani Czarny Korsarz, ani jego kamraci wcale nie czuli się przez to spokojniejsi, nie łudzili się, że nie grozi im niebezpieczeństwo. Wręcz przeciwnie, silny niepokój drażył ich serca, wyczuwali obecność wroga, który — choć był zaledwie o krok — pozostawał świetnie zamaskowany w leśnej gęstwinie.

Labirynt roślinności zagaęcił się, w końcu natrafili na barierę chaszczy, przez którą trudno byłoby się przedostać. Panował tam jeszcze większy mrok.

Nagle Katalończyk przykucnął, po czym uskoczył za konar drzewa.

Ledwo dosłyszalny świst przeciął powietrze, a następnie cienka strzała przeleciała przez gęstwinę i utkwiała w gałęzi znajdującej się na wysokości głowy.

— Strzała! — krzyknął Katalończyk. — Uważajcie!

Znajdujący się za nim Carmaux wypalił z muszkietu.

Jeszcze nie przebrzmiało echo wystrzału, gdy pośród leśnej gęstwiny rozległ się przenikliwy jęk bólu.

— Na flaki rekina! Mam cię! — krzyknął Carmaux.

— Uważajcie! — zawołał gromko Katalończyk.

Ponad głowami piratów przeleciała ze świstem kilka długich na czterdzieści cali strzał.

— To tam! W tamtych zaroślach! — krzyknął Carmaux.

Van Stiller, Murzyn i Katalończyk wystrzelili jednocześnie ze swoich muszkietów, lecz nie rozległ się już żaden jęk zwiastujący trafienie, jedynie donośne echo wystrzału poniosło się hen, w głąb lasu.

Jeszcze przez chwilę słychać było trzask łamanych gałęzi, szelest suchych liści, po chwili jednak zapadła zupełna cisza.

— Coś mi się zdaje, że mają już dość — powiedział Van Stiller.

— Cisza, schowajcie się za drzewami! — powiedział Katalończyk.

— Myślisz, że odpuszczą? — zapytał go Czarny Korsarz.

— Słyszałem szelest liści na prawo od ścieżki.

— A zatem to już właściwa zasadzka?

— Tak mi się zdaje, kapitanie.

— Jeśli Van Gould sądzi, że Indianie są w stanie nas powstrzymać, to srogo się myli. Będziemy szli dalej wbrew wszelkim przeszkodom.

— Idźmy przed siebie pod osłoną drzew, panie. Strzały mogą być zatrute.

— Naprawdę?

— Indianie mają w zwyczaju używać zatrutych strzał, zupełnie jak dzikusy znad Orinoko i Amazonki.

— Nie możemy jednak przecież tkwić tu w nieskończoność.

— Wiem, ale jednocześnie nie możemy wystawiać się na ostrzał.

— Panie, chcesz, żebym poszedł na zwiad i zorientował się, czy ktoś nie czai się w zaroślach? — zapytał Murzyn.

— Nie, bo w ten sposób narażasz się na pewną śmierć.

— Kapitanie, posłuchaj! — powiedział Carmaux.

Kilka nut wygranych na piszczalce rozbrzmiało w leśnej gęstwinie. Były to dźwięki melodii smutnej i monotonnej, jednocześnie tak przenikliwe, że rozchodziły się hen, daleko.

— Ciekawe, co mogą sygnalizować? — zastanawiał się na głos Czarny Korsarz, który powoli się już niecierpliwił. — Czyżby zbierali siły i chcieli przypuścić atak?

— Czy mógłbym coś doradzić, kapitanie? — zapytał Carmaux.

— Słucham.

— Przepędźmy tych natrętnych Indian, podpalając las.

— Tyle że wówczas i my możemy spłonąć żywcem. I kto potem ugasi ten pożar?

— W takim razie możemy iść przed siebie, strzelając we wszystkie strony na chybił trafił — zasugerował Van Stiller.

— To jest całkiem dobry pomysł — odpowiedział na to Czarny Korsarz. — Pomaszerujemy w rytm muzyki indiańskich grajków. No dalej, moi dzielni żołnierze, ognia! A ja będę narzucał tempo marszu.

Czarny Korsarz ustawił się na początku pochodu, trzymając szablę w prawej, a pistolet w lewej ręce, za nim zaś ustawili się najpierw dwaj piraci, a za nimi Katalończyk w parze z Murzynem.

Carmaux i Moko wychynęli zza drzew i zaczęli strzelać — pierwszy na prawo, a drugi na lewo. Chwilę później to samo zrobili Katalończyk i Van Stiller. W mgnieniu oka nabili muszkiety, po czym znów narobili piekielnego huk, nie bacząc wcale na zapasy amunicji. Czarny Korsarz tymczasem torował wszystkim drogę, trzebiąc liany i tnąc liście utrudniające przemarsz, jednocześnie zachowując pełną gotowość, by w razie spotkania z Indianami wypalić błyskawicznie z obu pistoletów.

Najwyraźniej ten wściekły hałas zrobił pewne wrażenie na tajemniczych przeciwnikach, bo żaden nie odważył się wyściubić nosa z zarośli. Co prawda wypuścili w kierunku piratów kilkanaście strzał, szczęśliwie jednak żadna z nich nikogo nawet nie drasnęła: niektóre nawet nie dosięgły przeciwników, inne zaś przeleciały im nad głowami.

Już myśleli, że udało im się uniknąć pułapki, kiedy tuż przed nimi z ogromnym trzaskiem runęło potężne drzewo, tarasując im drogę.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Van Stiller, którego o mały włos nie przygniótł wielki konar. — Pół sekundy i zostałyby ze mnie miazga.

Nie zdążyli dokończyć rozmowy, aż tu nagle rozległ się okropny wrzask i z zarośli ze świstem wyleciała chmara strzał, które utkwily głęboko w korze drzew.

Czarny Korsarz i jego ludzie padli na ziemię, chroniąc się za pnieniem zwałonego drzewa, które mogło pełnić rolę barykady.

— Miejmy nadzieję, że tym razem się pokażą — powiedział Carmaux. — Nie było mi jeszcze dane dowiedzieć się, z kim mam do czynienia i spojrzeć w oczy tym natrętnym Indianom.

— Rozproście się! — rozkazał Czarny Korsarz. — Jeśli zauważą, że zbiliśmy się w grupę, to spadnie na nas grad strzał.

Drużyna już miała się rozdzielić, chroniąc się za konarami drzew, kiedy nagle w bliskiej odległości odezwały się piszczałki.

— Zaraz tu będą Indianie — powiedział Van Stiller.

— Trzymajcie muszkiety w pogotowiu. Przywitamy ich gradem kul — rozkazał Czarny Korsarz.

— Nie, panie, zaczekaj — powiedział Katalończyk, który od kilku chwil wsłuchiwał się w smutne dźwięki piszczałki. — To nie jest dźwięk bojowy.

— A zatem jaki? Co zatem chcą nam powiedzieć? — zapytał Czarny Korsarz.

— Zaczekaj, panie.

Katalończyk wstał i wyrzwał zza drzewa.

— *Carramba!* To ich wysłannik, *piaye* plemienia. Właśnie idzie w naszym kierunku — wykrzyknął.

— *Piaye?* Czyli kto?

— Czyli czarownik.

Piraci zerwali się na równe nogi, trzymając w dłoniach muszkiety, albowiem za nic w świecie nie ufali tym ludożercom.

Spośród zarośli wyszedł Indianin, a za nim dwóch grajków.

Był to sędziwy starzec średniego wzrostu, jak zresztą większość wenezuelskich Indian, szeroki w barach, muskularny, o ziemistożółtej karnacji, być może nieco ciemniejszy z racji obyczaju kultywowanego przez Indian, a polegającego na wcieraniu sobie w skórę maści z oleju rybnego, z orzechów kokosowych i arnoty właściwej, co skutecznie chroniło przed ukąszeniami bezlitosnych komarów.

Jego okrągłej i szerokiej twarzy, na której malował się bardziej smutek niżli wściekłość, nie okalała broda, tubylcy bowiem mają w zwyczaju ją sobie wyrywać. Głowę natomiast porastała czarna czupryna o ciemnoniebieskim połysku.

Jako *piaye* całego plemienia, poza czymś w rodzaju spódnicy z błękitnej wełny miał na sobie całą kopalnię błyskotek i ozdób: naszyjniki z muszelek, pierścionki z rybich ości wykonane z dużą pieczołowitością, bransoletki z kości, zębów, pazurów jaguarów, z dziobów tukanów, z kawałków kryształu górskiego i z litego złota. Na głowie miał diadem z długich piór ary szafirowej, *ary ararauny* i bażanta złocistego. Jego nos natomiast przetykała rybia ość, długa na prawie cztery kciuki.

Pozostali dwaj też mieli na sobie spódniczki i ozdoby, ale w skromniejszym wydaniu, uzbrojeni byli za to w długie łuki wykonane z drzewa żelaznego¹¹³, garść strzał z grotom z kości i z krzemienia oraz w tak zwane *butú*, czyli długą na ponad czterdzieści cali maczugę zakończoną kolcami i pomalowaną w wielobarwną kratę.

Piaye zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu jardów od drzewa, gestem ręki uciszył obu grajków, po czym krzyknął donośnym głosem w bardzo kiepskim hiszpańskim:

— Biali ludzie mnie słuchać!

— Biali ludzie cię słuchać — odpowiedział mu Katalończyk.

— Wy znajdować się na terytorium należącym do plemienia Arawaków. Kto białym dać prawo, by biali naruszać granice naszego lasu?

— Nie mamy żadnego zamiaru niszczyć lasów należących do plemienia Arawaków — odpowiedział mu Katalończyk. — My je tylko przemierzamy, żeby dotrzeć do terenów zamieszkiwanych przez białych ludzi, znajdujących się na południe od zatoki Maracaibo. W stosunku do czerwonych ludzi jesteśmy nastawieni przyjaźnie i nie chcemy wszczynać z nimi wojny.

¹¹³*drzewo żelazne* — ogólna nazwa nazwa różnych gatunków drzew wyróżniających się bardzo ciężkim i twardym drewnem, rosnących w Ameryce Południowej, Środkowej i Indiach. [przypis edytorski]

— Trudno nam uwierzyć w przyjaźń białych ludzi. Czerwoni ludzie już swoje wiedzą. Te dzikie lasy są nasze. Wracajcie więc, skąd przybyliście, albo was wszystkich zjemy.

— Do czorta! — wykrzyknął Carmaux. — Jeśli dobrze zrozumiałem, chcą nas usmażyć na rożnie.

— My nie mamy nic wspólnego z tymi białymi ludźmi, którzy podbili tereny wzdłuż wybrzeża i którzy zniewolili Karaiby. To nasi śmiertelni wrogowie. Przemierzamy te lasy, żeby dorwać garstkę tych, którym udało się uciec — powiedział Czarny Korsarz, wychodząc z ukrycia.

— Ty tutaj dowodzisz? — zapytał *piaye*.

— Tak, dowodzę oddziałem białych ludzi, którzy mi towarzyszą.

— I podążasz za innymi białymi ludźmi?

— Tak. Bo chcę ich zabić. Przechodzili tędy?

— Widzieliśmy ich. Ale daleko nie zajdą, bo ich zjemy.

— A ja pomogę ci ich zabić.

— A więc żywisz wobec nich nienawiść? — zapytał *piaye*.

— To są moi wrogowie.

— A zatem możecie ich sobie zabić na wybrzeżu, skoro chcecie, ale nie na terytorium należącym do Arawaków. Biali ludzie, wracajcie albo przystąpimy do walki.

— Powiedziałem ci właśnie, że my nie jesteśmy wrogami czerwonych ludzi. Uszanujemy twoje plemię, twoje szalasy i twoje plony.

— Biali ludzie, wracajcie do siebie! — powiedział *piaye* jeszcze dosadniej.

— Daj się przekonać.

— Powiedziałem, żebyście odeszli, w przeciwnym razie was zabijemy i zjemy.

— Dość tego! Przejdziemy przez ten las na złość tobie i twojemu plemieniu.

— A my do tego nie dopuścimy.

— Mamy broń, która zije ogniem i grzmi.

— A my mamy zatrute strzały.

— Nasze szable są ostre i siekają niemiłosiernie.

— A nasze *butú* roztrzaskują najtwardsze głowy.

— Sprzyjasz białym, których ścigamy? — zapytał Czarny Korsarz.

— Nie, ich też zjemy.

— Czyli chcesz wojny?

— Tak, jeśli nie wróćcie tam, skąd przyszliście.

— Wilki morskie! — krzyknął Czarny Korsarz, zeskakując z pnia drzewa z szablą w dłoni. — Pokażmy tym Indianom, że wcale się ich nie boimy. Naprzód!

Na widok wycelowanych muszkietów i *piaye*, i dwóch grajków natychmiast dało drapak i schowało się w zaroślach.

Czarny Korsarz zabronił do nich strzelać podczas ucieczki, nie chcąc prowokować starcia. Kroczył odważnie przez las, gotów w każdej chwili przeciwstawić się atakowi dzikiej hordy Arawaków.

Wstąpił w niego na powrót niezłomny duch walki, znów był nieustraszonym piratem z Tortugi, który w przeszłości tyle razy wykazał się odwagą.

Trzymając szablę w prawej dłoni, a pistolet w lewej, prowadził niewielki oddział i torował wszystkim drogę pośród leśnego gąszczu, gotów w każdej chwili stawić czoło nieprzyjaciółom.

Spośród gałęzi wyleciało ze świstem kilka strzał. Van Stiller i Carmaux odpowiedzieli strzałem z muszkietu, tyle że na chybił trafił, albowiem tymczasem spłoszeni Indianie zdążyli pochować się w leśnej gęstwinie, wbrew zuchwałym zapewnieniom plemiennego negocjatora.

Drużyna zaczęła strzelać na osłep na lewo i prawo, w równych minutowych odstępach, ukryty zaś w zaroślach przeciwnik wypuścił ledwie kilka strzał i dzid, które nikogo nawet nie drasnęły. W końcu przedostali się przez najgęstszą część lasu i znaleźli się na polanie, pośrodku której znajdował się niewielki staw. W związku z tym, że słońce chyliło się ku zachodowi i że w zasięgu wzroku nie było już żadnego Indianina, Czarny Korsarz nakazał rozbić się obozem.

— W razie czego tutaj stawimy im czoła — powiedział, zwracając się do towarzyszy wędrowni. — Polana jest wystarczająco rozległa, aby z dużej odległości zauważyć, gdy wróg będzie się zbliżał.

— Trudno byłoby o lepsze miejsce — powiedział Katalończyk. — Indianie są niebezpieczni w leśnych ostępach, ale nie mają odwagi atakować na otwartej przestrzeni, a poza tym przysposobię w taki sposób obozowisko, że nawet gdyby chcieli, to i tak nie dadzą nam rady.

— Chcesz się okopać? — zapytał Carmaux. — To zbyt czasochłonne, mój kataloński przyjacielu.

— Wystarczy ściana ognia.

— Przecież przez nią przeskoczą. To nie jaguary czy kuguary, żeby przestraszyć się kilku pochodni.

— A co powiesz na to? — odparł Katalończyk, pokazując garść jagód pieprzu z Espelette. — Zbierałem podczas wędrowni, mam pełne kieszenie tego cudownika.

— Bardzo dobrze smakuje razem z mięsiwem, choć strasznie piecze w gardle.

— Przyda się przeciwko Indianom.

— Niby jak?

— Rzucimy je w ogień.

— Czyżby bali się ich skwierczenia?

— Boją się gryzącego dymu z płonących pieprzowych ziaren. Jeśli będą chcieli pokonać barierę ognia, to poczują pieczenie oczu i na parę godzin osłepną.

— Na flaki rekina! Masz zaprawdę diabelskie pomysły!

— Tej sztuczki nauczyli mnie mieszkańcy Karaibów, którzy wykorzystują ten sposób w walce z nieprzyjacielem, jeśli Arawakowie zaatakują, sami się przekonacie, że to zadziała. No już, bierzmy się do roboty! Trzeba zebrać chrust i potem w spokoju możemy na nich czekać.

ROZDZIAŁ XXVI. ZASADZKA ARAWAKÓW

Na kolację, zjedzoną zresztą w dużym pośpiechu, uraczyli się kilkoma sucharami i kawałkiem zółwia, który został im ze śniadania. Następnie zaczęli przetrząsać okoliczne knieje, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem nie zaczaili się w nich Indianie. Przetrzebili też chaszczę, przeganiając z nich jadowite węże, po czym otoczyli obozowisko pierścieniem ognisk, do których wrzucili garście pieprzu z Espelette, znanego jako niezwykle skuteczny środek przeciw komarom, działający jednocześnie odstraszająco na ludzi i dzikie zwierzęta.

Obawiając się — i zresztą słusznie — że nie spędzą spokojnej nocy, postanowili pełnić straż na zmianę, najpierw dwóch marynarzy i Murzyn, a potem Czarny Korsarz w towarzystwie Katalończyka.

Ci ostatni więc, trzymając nabitą broń w pogotowiu, jako pierwsi udali się na spoczynek, podczas gdy Carmaux i jego kamraci zajęli pozycje poza kręgiem ognia, usadowili się z muszkietami na kolanach i wypatrywali zagrożenia.

W wielkiej dżungli zapadła cisza. Była to jednak cisza, która nie wróżyła niczego dobrego. Wartownicy bowiem wiedzieli z doświadczenia, że Indianie wolą atakować nocą niżli za dnia, po pierwsze dlatego, że w dzień stanowią łatwy cel dla strzelców, po drugie dlatego, że ciemności pozwalają im się zbliżyć z większą łatwością, zwłaszcza w dzikich ostępach.

Sam Carmaux wolałby już słyszeć pomruki jaguarów i ryk pum. Obecność tych mięsożerców byłaby przynajmniej namacalnym dowodem nieobecności czerwonoskórych nieprzyjaciół. Siedzieli tak wokół obozowiska już od dwóch godzin, wpatrując się uważnie w otaczające ich zarośla i wrzucając od czasu do czasu w ogień kilka garści pieprzu. Wtem Afrykańczyk, który miał wyjątkowo czujne ucho, usłyszał lekki szelest, zupełnie jakby ktoś poruszył liśćmi.

— Słyszałeś to, biały kamracie? — zapytał szeptem, nachylając się w stronę Carmaux, który z lubością i z godnym pozazdroszczenia błogim spokojem zaciągał się właśnie kawałkiem cygara znalezionym w kieszeni.

— Nic a nic, mój czarny kamracie — odpowiedział pirat. — Żadnych ropuch, których donośny rechot dorównuje hałaśliwej pracy cieśli okrętowych naprawiających kadłub.

— Twój czarny kamrat słyszał, jak ktoś poruszył gałęzią.
— A zatem twój biały kamrat jest głuchy jak pień.
— O, teraz! Słyszałeś? Złamała się gałąź.
— Ja niczego nie słyszałem, ale jeśli to prawda, co mówisz, ktoś się do nas zbliża.
— Tak, kamracie.
— Kto to może być? Czy mój czarny przyjaciel poza świetnym słuchem nie ma przypadkiem kociego wzroku?
— Widzieć nie widzę niczego, jedynie słyszę, że ktoś się do nas zbliża.
— Jestem gotów do strzału. Siedź cicho i słuchaj.
— Połóż się, biały kamracie, w przeciwnym razie dosięgną cię strzały.
— Dobra rada nie jest zła. Zwłaszcza że nie mam najmniejszej ochoty zdechnąć na-faszerowany trucizną.

Obaj wyciągnęli się jak dżdzy w trawie, dając znak Van Stillerowi, który znajdował się po drugiej stronie, żeby poszedł w ich ślady. Następnie zaczęli nasłuchiwać, nie wypuszczając muszkietów z rąk.

Wszystko wskazywało na to, że ktoś się zbliżał. W odległości ponad pięćdziesięciu jardów, pośród leśnej gęstwiny, co jakiś czas dało się słyszeć szelest liści i odgłos łamanych gałęzi.

Nie ulegało wątpliwości, że nieprzyjaciel chciał ich podejść niepostrzeżenie na taką odległość, która dawałaby mu gwarancję, że wypuszczone przezeń strzały doleczą do celu i trafią przeciwnika.

Schowani w gęszczu Murzyn wraz z piratami siedzieli jak trusie, czekając z wycelowanymi muszkietami, aż nieprzyjaciel im się w końcu pokaże. W pewnym momencie Carmaux aż podskoczył, bo coś mu wpadło do głowy.

— Kamracie — zagaił — myślisz, że są jeszcze daleko?
— Indianie?
— A niby kto?
— Są jeszcze w zaroślach, ale lada chwila, minuta, góra dwie, będziemy ich mieć w zasięgu strzału.

— Tyle mi wystarczy. Van Stiller, rzuć mi swój kaftan i czapkę.

Hamburczyk posłusznie spełnił jego prośbę. Pomyślał, że skoro Carmaux poprosił go o swoje odzienie, z pewnością miał w głowie jakiś plan.

Pirat sam też ściągnął kaftan. Wziął kilka gałęzi, splótł je naprędce ze sobą, a następnie przykrył je kurtkami, a na samej górze położył kapelusze.

— No i zrobione! — rzekł, kładąc się na wznak.
— Mój biały brat to niezły spryciarz — zaśmiał się Murzyn.
— Zrobiłem te kukły, bo inaczej Indianie mogliby wziąć na cel Czarnego Korsarza i Katalończyka. Teraz są bezpieczni, już nic im nie grozi.

— Cicho, kamracie, nadchodzą!

— Jestem gotów. Hej, Van Stiller, dorzuć jeszcze garść pieprzu.

Hamburczyk miał już wstać, lecz szybko schylił głowę. Kilka strzał świsnęło mu koło ucha i wbiło się w kukły nieopodal.

— Cała trucizna na marne, jaka szkoda, moi drodzy — wymamrotał pod nosem Carmaux. — No już, pokażcie się! Zaraz posmakujecie moich ołowianych słodyczy.

Nie widząc oznak życia, Indianie wypuścili kolejną serię strzał, które ponownie utkwily w kukłach. Następnie najodważniejszy spośród nich wyskoczył z zarośli, trzymając w dłoni ogromną maczugę.

Carmaux podniósł muszkiet i wziął go na muszkę. Już miał nacisnąć spust, gdy pośród rozległego lasu, w odległości kilku mil od miejsca, gdzie się znajdowali, rozległy się nagle cztery strzały, którym towarzyszyły donośne okrzyki.

Indianin błyskawicznie zawrócił, wskakując z powrotem w zarośla, zanim Carmaux zdążył wziąć go znów na cel. Strzały i okrzyki wybudziły z błogiego snu Czarnego Korsarza i Katalończyka, którzy zerwali się na równe nogi jak oparzeni, sądząc, że Indianie przypuścili atak na obozowisko.

— Gdzie oni są? — zapytał Czarny Korsarz, rzucając się przed siebie.

— Kto taki, panie? — zapytał Carmaux.

— Indianie.

— Wzięli nogi za pas i uciekli, zanim dałem im skosztować ołowiu z mojego muszkietu.

— A te krzyki i strzały? Nie słyszysz? O, kolejne trzy!

— To w środku lasu toczą się jakieś walki — powiedział Katalończyk. — Indianie zaatakowali białych ludzi, panie.

— Gubernatora i jego oddział?

— Tak sądzę.

— Byłbym bardzo niepocieszony, gdyby to oni go zabili.

— Ja też, bo nie mógłbym przecież odpłacić za otrzymane cięgi umarlakowi, ale...

— Cicho bądź!

Odgłosy strzałów wciąż niesły się po lesie, oddalając się coraz bardziej od obozowiska piratów. Po krótkiej walce indiańskie plemię tryumfalnym okrzykami ogłosiło zwycięstwo. Potem padł jeszcze jeden strzał i zapadła cisza.

— No i po walce — powiedział Katalończyk, który przysłuchiwał się zajściu z niepokojem. — Ani mi się śni bronić gubernatora, dla którego palcem bym nie kiwnął, ale moi rodacy to zupełnie inna bajka...

— Pewnie chciałbyś wiedzieć, co się z nimi stało, prawda? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tak, kapitanie.

— A ja bym raczej chciał wiedzieć, czy mój śmiertelny wróg żyje, czy nie — odpowiedział pirat ponurym tonem. — Dasz radę nas poprowadzić?

— Panują ciemności, panie, ale...

— Ale?

— Możemy zapalić niektóre gałęzie drzew kauczukodajnych.

— I skierować na nas w ten sposób uwagę Indian.

— To prawda, panie.

— Ale za to możemy się kierować wskazówkami naszych busoli.

— Panie, nie mamy szans stawić czoło setkom tysięcy przeszkód, które czają się w tej puszczy, a...

— Prowadź!

— Widzicie? Tam w gąszczu jest pełno *cucuyos*, mogą się przydać. Dajcie mi pięć minut. Do mnie, Moko!

Ściągnął beret, po czym wraz z Murzynem skierował się w stronę drzew, wokół których w frenetycznym¹¹⁴ tańcu wirowała gromada punkcików, rozpraszając swym rozjarzonym zielonym światłem nocne otchłanie.

— Co też on kombinuje? — zastanawiał się na głos Carmaux, który nie mógł pojąć zamiaru szalonego Katalończyka. — *Cucuyos*? Niby co to takiego? Hej, hamburczyku, trzymaj broń w gotowości, bo to może być jakaś zasadzka.

— Bez obaw, przyjacielu. Nie spuszczam ich z oczu, osłonię ich w razie potrzeby.

Gdy Katalończyk dotarł do zagajnika, zaczął skakać to w lewo, to w prawo w pogoni za świetlnymi punkcikami.

Dwie minuty później wrócił do obozowiska, ściskając w dłoniach złożony wpół beret.

— Teraz możemy ruszać w dalszą drogę, mój panie — powiedział, zwracając się do Czarnego Korsarza.

— Ale w jaki sposób...? — zapytał tenże.

Katalończyk włożył jedną rękę do beretu i wyciągnął lśniącego jasnozielonym światłem owada. Rzucana przez niego poświata rozpraszająca ciemności na wcale niemalą odległość.

— Zróbmy tak, jak tubylcy, i przywiążmy sobie do nóg dwa *cucuyos*. A światło, którym emanują, pozwoli nam przedostać się nie tylko przez liany i korzenie tarasujące drogę, lecz także uniknąć spotkania z niebezpiecznymi węzami, które kryją się pośród liści. Macie ze sobą sznurek?

— Prawdziwy marynarz się z nim nie rozstaje — odrzekł Carmaux. — Ja się tym zajmę.

— Tylko nie przywiąż ich zbyt mocno.

— Bez obaw, Katalończyku. Robaczków mamy pod dostatkiem.

¹¹⁴frenetyczny — gwałtowny, entuzjastyczny. [przypis edytorski]

Carmaux, wspomagany przez Van Stillera, wyciągał delikatnie *cucuyos* i przywiązywał je parami do kostek swoich towarzyszy, zachowując przy tym dużą ostrożność, w obawie, że mógłby skrzywdzić te wdzięczne stworzenia. Uporał się z tym zadaniem — skądinąd wcale niełatwym — w ciągu pół godziny. I w końcu każdy z członków wyprawy był wyposażony w te dziwaczne żywe latareczki.

— Przedni pomysł! — powiedział Czarny Korsarz.

— Sprawdzony przez tubylców — odpowiedział Katalończyk. — Dzięki nim ominemy wszystkie napotkane na naszej drodze przeszkody.

— Jesteście gotowi?

— Zwarci i gotowi! — odpowiedział Carmaux.

— A zatem naprzód! Tylko nie róbcie hałasu.

Ruszyli przed siebie, gęsiego, dziarskim krokiem, stąpając ostrożnie i patrząc pod nogi.

Cucuyos były jak znalazł, ułatwiały wędrowcom przemarsz przez dziką puszcę, pomagały im dostrzec nie tylko wijące się liany i wystające z ziemi korzenie, lecz także nocne owady. Spośród wszystkich występujących w przyrodzie gatunków świetlików właśnie te są najwspanialsze i największe. Wytwarzane przez nie światło jest tak silne, że pozwala czytać z odległości ponad dwunastu cali.

Młode owady promieniują światłem jasnyniebieskim, wraz z wiekiem natomiast kolor ten ulega zmianie i przechodzi w niezwykle efektowną bladą zieleń. Lekko świecą również składane przez samice jaja.

W wyniku interesujących badań przeprowadzonych na *Pyrophorus noctilucus* — bo tak brzmi naukowa nazwa tych świetlików — a mających na celu bliższe poznanie narządów odpowiedzialnych za wytwarzanie tak intensywnego światła, okazało się, że składają się na nie trzy usytuowane w przedniej części tułowia płytki i jedna ukryta w brzuchu, a substancją generującą światło jest rozpuszczalny w wodzie albuminoid, który krzepnie w kontakcie z ciepłem.

Wyciągnięte z ciała owada narządy nie przestają świecić przez pewien czas. Swoje właściwości świetlne zachowują nawet zasuszone czy sproszkowane — wystarczy je wówczas poleć odrobiną czystej wody.

Piraci kontynuowali swój szybki marsz. Przedzierali się niestrudzenie przez chaszczę i gąszcz, szli pod girlandami lian, pokonywali labirynt uformowany przez ogromne korzenie i przeskakiwali przez powalone konary drzew, które zakończyły swój żywot ze starości lub na skutek uderzenia pioruna. Strzały ucichły. Gdzieś w oddali co jakiś czas rozbrzmiewały okrzyki, po czym na krótko milkły, by po chwili wybuchnąć ze zdwojoną siłą i zaraz potem na powrót ucichnąć. Raz po raz słychać było melodię piszczałek i głuchy odgłos wydawany przez coś w rodzaju bębna.

Wszystko wskazywało na to, że walka dobiegła końca, a plemię rozbiło obozowisko w jakimś oddalonym zakątku niezmiętej puszczy z zamiarem świętowania odniesionego zwycięstwa i delektowania się makabryczną ucztą — trzeba wiedzieć, że ówczesni wenezuelscy Indianie, zwłaszcza plemiona Karaibów i Arawaków, mieli w zwyczaju pożerać swoich więźniów i zabitych w walce przeciwników.

Katalończyka zżerała ciekawość, żeby dowiedzieć się, jaki los spotkał jego pobratymców, coraz to bardziej przyśpieszał więc kroku. Nie martwił go z kolei wcale los gubernatora, jego bowiem nawet chętnie zobaczyłby nadzianego na rożen i skwierczącego nad ogniem, ale jego rodacy to co innego. Szedł więc coraz szybciej, w obawie, że któryś z nich mógł wpaść w ręce tych ludożerców, a jednocześnie z nadzieją, że uda mu się dotrzeć do nich na czas i przynieść im wybawienie.

Okrzyki były już dość blisko, gdy nagle idący obok Katalończyka Carmaux, chcąc ominąć lianę, spojrział w górę i potykając się o coś masywnego, runął jak długi na ziemię, zgniatając przy tym przywiązane do kostek *cucuyos*.

— Do stu tysięcy bomb i kartaczy! — zaklął, powoli się podnosząc. — Przecież to trup!

— Trup! — zawtórowali mu Katalończyk i Czarny Korsarz, nachylając się ku ziemi.

— Spójrzcie tylko!

Na ziemi, pośród zbutwiałych liści i korzeni, leżał postawny Indianin w ciemnoniebieskiej opasce biodrowej. Jego głowę — rozpolowioną ostrzem szabli — zdobiło papuzie

pióro, a w klatce piersiowej najpewniej tkwiła kula. Śmierć musiała nastąpić nie tak dawno, jego rana bowiem broczyła jeszcze świeżą krwią.

— Być może walki rozegrały się właśnie tutaj — powiedział Katalończyk.

— Wszystko na to wskazuje — potwierdził przypuszczenie Van Stiller. — Nieopodal widzę maczugi i tkwiące w konarach drzew strzały.

— Zobaczmy, czy nie ma tu gdzieś moich rodaków — powiedział z przejęciem Katalończyk.

— To strata czasu — powiedział Carmaux. — Jeśli kogoś zabili, to teraz jest już opiekany na rożnie.

— Być może jednak komuś, kto został ranny, udało się ukryć w leśnym gąszczu.

— Szukajcie zatem! — powiedział Czarny Korsarz.

Katalończyk, Murzyn i Van Stiller zaczęli przeczesać zarośla, po cichu nawołując, lecz nikt im nie odpowiedział.

Natrafili natomiast na kolejnego indiańskiego trupa, któremu dwie kule przeszły serce. Poza tym znaleźli maczugi, luk i kołczan ze strzałami.

Upewnili się, że nikogo żywego tam nie było, i ruszyli przed siebie.

Plemienne okrzyki były coraz bliżej. Na ich podstawie zakładali, że w ciągu kwadransa szybkiego marszu dotrą do obozowiska ludożerców.

Wszystko rzeczywiście wskazywało na to, że Arawakowie świętowali zwycięstwo, albowiem okrzykom towarzyszyła radosna melodia wygrywana na piszczałce.

W końcu leśna gęstwina zaczęła się przerzedzać, w prześwitach liści i gałęzi dostrzegli wznoszący się wysoko ku górze snop światła.

— Czyżby Indianie? — zapytał Czarny Korsarz, zatrzymując się.

— Tak — potwierdził Katalończyk.

— Rozłożeni obozem wokół ogniska?

— Tak, ale co oni tam smażą na tym ogniu? — zapytał wzburzony Katalończyk.

— Pewnie któregoś z jeńców.

— Tego się właśnie obawiam, panie.

— Co za lotry — wyszeptał pod nosem Czarny Korsarz, którego przeszedł dreszcz przerażenia. — Za mną, przyjaciele, zobaczymy, czy Van Gould wywinął się z objęć śmierci, czy też dosięgła go za jego przewiny surowa ręka sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ XXVII. STRZAŁY I PAZURY

Kiedy piraci dotarli do rzędu drzew, za którym roztaczało się obozowisko Indian, ich oczom ukazał się makabryczny widok.

Wokół olbrzymiego paleniska siedziały dwa tuziny Arawaków, którzy z niecierpliwością czekali na chwilę, gdy w końcu będą mogli rozpocząć biesiadę i najeść się do syta, pałaszując smakowicie rumieniące się na długim rożnie pieczone. Nie byłoby w tym nic wstrząsającego, gdyby głównym daniem było mięso dzikich zwierząt — tapira¹¹⁵ czy jaguara. Tymczasem na rożnie obracały się dwa ludzkie trupy, prawdopodobnie Hiszpanie z oddziału Van Goullda. Dwaj opiekani nieszczęśnicy, którzy zaraz mieli trafić do żołądków tych odrażających dzikusów, byli już dobrze przyrumienieni, a ich ciała skwierczały, roznosząc po okolicy mdły zapach, który z kolei przyjemnie nęcił nozdrza okrutnych biesiadników.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Carmaux, którego przeszła gęsia skórka. — Aż trudno uwierzyć, że są ludzie, którzy żywią się ludźmi! Brak mi słów! Co za zwierzęta!

— Czy jesteś w stanie powiedzieć, kim są ci dwaj pechowcy? — zapytał Czarny Korsarz Katalończyka.

— Tak, mój panie — odparł Katalończyk zduszonym ze wzruszenia głosem.

— To ludzie Van Goullda?

— Tak, to dwóch żołnierzy, nie mam co do tego wątpliwości, choć ogień zniekształcił już ich twarze.

— Co zatem radzisz zrobić?

¹¹⁵tapir — ssak nieparzystokopytny z krótką trąbą, żyjący w lasach tropikalnych Ameryki Środkowej i Południowej oraz pld.-wsch. Azji. [przypis edytorski]

— Mój panie — powiedział Katalończyk, posyłając w stronę Czarnego Korsarza błagalne spojrzenie. — Czy chciałbyś wyrzucić ich ze szponów tych okrutników i zapewnić im godny pochówek?

— Ale to naraziłoby nas na niebezpieczeństwo. Arawakowie by nam tego nie odpuszcili.

— Niestraszne mi te dzikusy — powiedział z dumą Czarny Korsarz. — Poza tym to tylko dwa tuziny.

— Być może na ucztę sprosili swoich współplemieńców. Nie sądzę, żeby sami byli w stanie zjeść dwóch ludzi.

— Zanim więc zjawią się tu pozostali goście, my zdążymy pochować twoich rodaków. Carmaux i Van Stiller, macie świetne oko, nie chybicie więc celu.

— A ja się rozprawię z tym olbrzymem, który właśnie doprawia pieczeń ziołami — odpowiedział Carmaux.

— Tymczasem ja — odrzekł hamburczyk — rozłupię czaszkę temu, który opieka na widłach pieczeń.

— Ognia! — padł rozkaz Czarnego Korsarza.

Dwa wystrzały przerwały panującą w dziewiczym lesie ciszę. Olbrzymi Indianin opadł na rożen, ten zaś, który trzymał widły, osunął się na ziemię z rozłupaną od kuli czaszką.

Arawakowie zerwali się na równe nogi, chwytając za maczugi i łuki. Zaskoczeni nagłym atakiem, nie bardzo wiedzieli, jak się bronić. Zdezorientowanie przeciwników wykorzystali Katalończyk i Moko, którzy nabili ponownie broń i wystrzelili, kładąc trupem dwóch kolejnych dzikusów. Na widok śmiertelnie postrzelonych współplemieńców Arawakowie porzucili w popłochu tak długo wyczekiwane pieczyste i uciekli w poszukiwaniu schronienia w leśnej gęstwinie.

Piraci już mieli rzucić się za nimi w pogoń, gdy wtem usłyszeli dobiegające z oddali okrzyki.

— Do stu rekinów! — wykrzyknął Carmaux. — To cała horda ich współplemieńców.

— Szybko! — krzyknął Czarny Korsarz. — Jeśli nie zdążymy ich pogrzebać, schowajcie trupy w krzakach. Później po nich wrócimy.

— Ale oni ich znajdą po zapachu smażonego mięsa — powiedział Van Stiller.

— Zrobimy, co w naszej mocy.

Katalończyk wybiegł do przodu, doskoczył do rożna i energicznym ruchem przewrócił go na ziemię, a Van Stiller siarczystymi kopniakami rozrzucał dookoła żagwie z paleniska. Tymczasem Moko i Carmaux zaczęli w pośpiechu kopać dół w mokrym podłożu, podczas gdy Czarny Korsarz stał na straży ukryty w zaroślach.

Okrzyki Indian były coraz bliższe. Zaalarmowana wystrzałami część plemienia podążającego śladami Van Goulda postanowiła przybyć z odsieczą współplemieńcom, którzy zostali na tyłach i przygotowywali makabryczną ucztę. Przeczesał okoliczny teren, Czarny Korsarz usłyszał odgłos łamanych gałęzi, co nasunęło mu przypuszczenie, że biesiadnicy wcale nie uciekli, lecz ukryli się w zaroślach i szykują się do kontrataku. Wrócił więc natychmiast do swoich kamratów i rzekł:

— Uciekajmy stąd, bo inaczej za pięć minut zwali nam się na głowę całe plemię.

— Zrobione, kapitanie — powiedział Carmaux, ugniatając nogami ziemię, pod którą znaleźli spoczynek żołnierze z oddziału Van Goulda.

— Panie — zwrócił się Katalończyk do Czarnego Korsarza. — Jeśli zaczniemy uciekać, na pewno ruszą za nami w pogoń. Schowajmy się tam, pośród tamtego listowia na pewno nas nie zauważą — powiedział, wskazując rosnące nieopodal drzewo, które było tak duże, że samo mogłoby wystarczyć za las.

— Spryciarz z ciebie, kamracie — powiedział Carmaux. — Za mną, marynarze!

Najpierw Moko, a zaraz za nim Katalończyk i piraci rzucili się biegiem w stronę tego leśnego olbrzyma, chcąc jak najszybciej schronić się w jego gałęziach.

Tym drzewem była *summaeira* (*Eriodendron summauma*), jedno z największych rosnących na terenach Gujany i Wenezueli drzew. Od jego pni odchodzą liczne gałęzie, sękaty i bardzo długie, pokryte białą korą i gęstym listowiem. Wspierają się one na tak zwanych korzeniach przybyszowych, dzięki którym z łatwością można było dosięgnąć gałęzi, kontynuując dalej wspinaczkę nawet na wysokość ponad stu sześćdziesięciu stóp.

Carmaux usadowił się na rozwidlonej gałęzi. Wtem poczuł, że ta zaczęła się kołysać, zupełnie jakby ktoś usiadł na drugim jej końcu.

— To ty, Van Stiller? — zapytał. — Czy mam przez ciebie spaść i skręcić sobie kark? Niewiele trzeba, żeby pogruchotać sobie kości.

— Przecież Van Stiller siedzi nade mną — odparł Czarny Korsarz.

— W takim razie kto tak kołysze? Czyżby jakiś sprytny Indianin też postanowił się tu schronić?

Rozejrzał się dookoła i w odległości kilkunastu kroków, pośród liści rosnących na drugim końcu gałęzi, zobaczył dwa zielonkawożółte, lśniące punkciki.

— Do stu par fur becdek, furgonów, batalionów! — wykrzyknął Carmaux. — Co to za zwierzę dotrzymuje nam towarzystwa? Hej, Katalończyku, spójrz no tu tylko i powiedz mi, do kogo też mogą należeć te ślepia, które się we mnie tak namiętnie wpatrują.

— Jakie znowu ślepia?! — zdumiał się Katalończyk. — Czy na tym drzewie siedzi jakieś zwierzę?

— Owszem — powiedział Czarny Korsarz. — Coś mi się zdaje, że mamy nieciekawe towarzystwo.

— A Indianie zaraz tu będą — powiedział Van Stiller.

— Rzeczywiście, widzę te ślepia — odpowiedział Katalończyk, który właśnie się podniósł. — Trudno mi jednak orzec, czy należą do jaguara, czy kuguara.

— Jaguara?! — krzyknął Carmaux, któremu ciarki przerażenia przeszły po plecach. — Jeszcze tylko tego brakuje, żeby skoczył mi teraz na głowę, strącając mnie z drzewa wprost na głowy Arawaków.

— Cisza! — powiedział Czarny Korsarz. — Nadchodzą.

— A co mam zrobić z tym zwierzęciem, które się do mnie zbliża? — powiedział zdjęty strachem Carmaux.

— Być może nie odważy się nas zaatakować i odpuści. Nie ruszaj się albo nas zauważą.

— Tak jest, panie kapitanie, dam się zjeść, byleby tylko was uratować.

— Nie obawiaj się, Carmaux. Mam kordelas w pogotowiu.

— Cicho! Są! — powiedział Katalończyk.

Indianie nadbiegli, krzycząc jak opętani. Było ich około osiemdziesięciu, a może nawet więcej. Wszyscy byli uzbrojeni w maczugi, łuki, niektórzy trzymali w dłoniach dzidy.

Zatrzymali się na polanie, na której dogasały rozrzucone przez Van Stillera żagwie. Kiedy jednak zamiast oczekiwanego pieczystego znaleźli swoich poległych współplemieńców, miny im zrzedły, a twarze wykrzywiły się w grymasie niepohamowanej złości.

Zrobił się straszny rwetes, tubylcy krzyczeli wniebogłose, wyładowywali swój gniew, siekąc z rozmachem rosnące dookoła drzewa i czyniąc potworny hałas, wypuszczali z łuków na oślep strzały, które lądowały w zaroślach i dziurawiły liście palm daktylowych, budząc strach w ukrytych nieopodal piratach.

Gdy trochę ochłonęli, rozproszyli się po okolicy z nadzieją, że odnajdą zabójców swoich współplemieńców i tym samym zapewnią sobie nowy obiad, które zastąpiłby im ten zaginiony w tajemniczych okolicznościach.

Ukryci w konarach *summameiry* piraci siedzieli cicho jak myszy pod miotłą i wstrzymywali oddech, pozwalając ludożercom wyrzucić z siebie całą złość. Niepokoili ich jednak obecność przekłętego zwierzęcia, które też postanowiło się schować w konarach olbrzymiego drzewa. Obawiał się go zwłaszcza Carmaux, który znajdował się najbliżej drapieżnika i który widział pośród liści wpatrujące się w niego lśniące zielonkawożółte ślepia. Drapieżnik ten — nieważne już czy jaguar czy kuguar — póki co zastygł w bezruchu. Trudno było jednak przewidzieć, co zrobi, mógł przecież rzucić się w jednej chwili na pirata, co z pewnością nie uszłoby uwadze skradających się w okolicy Indian.

— Przekłęte zwierzę! — wyszeptał Carmaux, który wiercił się niespokojnie na gałęzi. — Ani na chwilę nie spuszcza mnie z oczu. Katalończyku, czy mógłbyś mnie oświecić, w czym żołądku zakończę swój żywot, kiedy bestia postanowi już się na mnie rzucić?

— Cicho bądź, bo inaczej nas usłyszą Indianie! — odpowiedział siedzący pod nim Katalończyk. — Po diabła nam było przejmować się tą makabryczną ucztą! Trzeba było pozwolić dzikusom zjeść posiłek w spokoju. Przecież życia to truposom i tak nie wróci. Choć ich pochwaliliśmy jak Bóg przykazał, i tak już nigdy nie będą żuć tytoniu ani nie zjedzą befsztyka! A poza tym...

Urwał zdanie w połowie na odgłos łamanej gałęzi. Spojrzał z przerażeniem na drapieżnika, któremu najwyraźniej zrobiło się niewygodnie i postanowił trochę rozprostować kości.

— Panie kapitanie, coś mi się zdaje, że zaraz zaspokoi mną swój głód.

— Nie ruszaj się! — upomniał go Czarny Korsarz. — Przecież ci powiedziałem, że mam w dłoni szablę.

— Nie mam wątpliwości, że nie ujdzie z życiem, jednak...

— Cisza, pod nami kręci się dwóch Indian.

— Jakże bym chciał im zrzucić na głowy tego nieznośnego kocura.

Spojrzał w kierunku końca gałęzi. Zwierzę wyglądało, jakby przygotowywało się do skoku.

„Czyżby chciał sobie pójść?” — pomyślał, ciężko oddychając. „Czas najwyższy, żeby zmienić miejsce”.

Spojrzał w dół i zobaczył dwa krążące wokół drzewa cienie. Indianie zagłądali pod korzenie, pod którymi mogło schować się wielu ludzi.

— To się źle skończy — wyszeptał pod nosem.

Dwaj Indianie stali przez chwilę u podnóża drzewa-olbrzyma, po czym zrezygnowali i oddalili się, ginąc w leśnym gąszczu. Współplemieńcy musieli być już daleko, bo ich odgłosy stawały się coraz cichsze.

Czarny Korsarz odczekał dłuższą chwilę, a następnie, kiedy już na dobre ucichły wszelkie odgłosy i rwetes i kiedy upewnił się, że Arawakowie oddalili się już definitywnie, powiedział do Carmaux:

— Potrząśnij gałęzią.

— Co chcesz robić, kapitanie?

— Pomóc ci się pozbyć tego niemiłego towarzystwa. Van Stiller, trzymaj szablę w pogotowiu.

— Ja też jestem gotów, kapitanie — odparł Moko, który chwycił muszkiet za lufę i stanął na gałęzi.

— Strąć tego kocura jednym ciosem — dodał z przekonaniem.

Gdy Carmaux zobaczył, że może liczyć na wsparcie kamratów, od razu poczuł się pewniej i zaczął skakać po gałęzi i zaczął gwałtownie skakać po gałęzi, potrząsając liśćmi.

Zwierzę natomiast, gdy poczuło się zagrożone i zrozumiało, że czyhają na jego życie, głucho zamruczało, po czym zaczęło prychać jak rozwścieczony kot.

— Śmiało, Carmaux — powiedział Katalończyk. — Jeśli nie atakuje, to znaczy, że obleciał go większy strach niż ciebie. Potrząśnij porządnie tym kawałkiem drewna i się go pozbadź! No już!

Pirat uchwycił się wiszącej nad jego głową gałęzi i zaczął skakać szybciej.

Zwierzęciu zaś wcale a wcale nie przypadło do gustu to bujanie, a swoje niezadowolenie okazywało coraz głośniejszym prychnaniem i miauczeniem.

W obawie przed utratą równowagi i upadkiem pruć gałąź pazurami, szukając miejsca, którego mogłoby się uczepić. Jego rozbiegane spojrzenie zdradzało silny strach.

Obawiając się, że nie spadnie wcale na cztery łapy, kot zdecydował się na groźny i ryzykowny ruch. Nastroszył się, przyczał i jednym susem przeleciał nad głową Katalończyka na znajdującą się pod nim gałąź, po czym skoczył w kierunku pnia, po którym zamierzał zbiec na sam dół.

W tej samej chwili Afrykańczyk zamachnął się z całej siły i uderzył kolbą muszkietu skaczące zwierzę, które ogłuszone ciosem spadło na ziemię martwe.

— Nie żyje? — zapytał Carmaux.

— Nawet nie zdążył zajęć z bólu — odparł z uśmiechem Moko.

— To był jaguar? Coś mi się wydaje za mały jak na przedstawiciela tych krwiożerczych bestii.

— Niepotrzebnie się bałeś — powiedział Afrykańczyk. — Wystarczyło dzielić go solidnie w łeb kijem.

— Powiesz mi w końcu, co to za zwierzę?

— Margaj.

— Pierwszy raz słyszę.

— Przypomina jaguara, ale to tylko duży kot — powiedział Katalończyk. — Poluje na małpy i ptaki, to drapieżnik, ale nie odważy się zaatakować człowieka.

— O ty draniu! — wykrzyknął Carmaux. — Gdybym to wiedział wcześniej, to bym go złapał za ogon. Jeszcze pożałujesz, zobaczysz, najadłem się przez ciebie tyle strachu. Ale w sumie nie ma tego złego... dobrze wypieczone koty są nawet smaczne.

— No proszę. Kotojad się znalazł!

— Dam ci spróbować, mój przyjacielu, i wtedy zobaczymy, czy będziesz się krzywił.

— Być może nie będę grymasić, biorąc pod uwagę, że mamy niedobór zapasów, a droga, którą podążamy, wcale nie obfituje w zwierzynę.

— Skąd wiesz? — zapytał Czarny Korsarz.

— To bagnisty las, mój panie, najtrudniejsze miejsce podczas przeprawy przez dżunglę.

— Jak wielki?

— Rozciąga się aż po Gibraltar.

— Ile czasu zajmie nam jego pokonanie? Chciałbym znaleźć się w Gibraltarze, zanim tam dotrze Franciszek l'Olonnais.

— Powinniśmy pokonać las w cztery czy pięć dni.

— Damy radę dotrzeć na czas — powiedział Czarny Korsarz, jakby rozmawiał sam ze sobą. — Byłoby dużą nieostrożnością wyruszyć teraz w dalszą drogę.

— Indianie nie oddalili się jeszcze wystarczająco, kapitanie. Radziłbym spędzić dzisiejszą noc na drzewie.

— A tymczasem Van Gould będzie coraz dalej...

— Jestem pewien, mój panie, że w bagnistym lesie go dogonimy.

— Obawiam się, że on może dotrzeć do Gibraltaru przede mną. I że znów wymknie mi się z rąk.

— Jak już będę w mieście, wtedy nie spuszczę go z oczu ani na chwilę. Trudno, żebym zapomniał o tych dwudziestu pięciu razach, którymi poczęstowano mnie na jego rozkaz.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Co to znaczy „jak już będę w mieście”?

— Że przekroczę bramy Gibraltaru przed wami i że dopilnuję, żeby ci nie uciekł.

— Jakim cudem wejdiesz do twierdzy?

— Mój panie, z całym szacunkiem, ale jestem Hiszpanem — odpowiedział z nutką powagi w głosie Katalończyk.

— I co w związku?

— Mam nadzieję, że pozwolisz mi umrzeć u boku moich kamratów i że nie zmusisz mnie, żebym walczył z tobą przeciwko Hiszpanii.

— Czyli jednak nie zmieniłeś zdania i nadal chcesz bronić Gibraltaru...

— Wziąć udział w jego obronie, kapitanie.

— Życie ci niemiłe?! Dobrze wiesz, że wszystkich Hiszpanów z Gibraltaru czeka śmierć.

— Owszem, ale przynajmniej umrą z bronią w ręku, broniąc chwały i flagi swojej dalekiej ojczyzny — powiedział Katalończyk ze wzruszeniem w głosie.

— To prawda, jesteś uczciwym człowiekiem — odpowiedział Czarny Korsarz i westchnął. — A zatem dobrze: wejdiesz do fortu, zanim piraci zaatakują miasto i będziesz walczyć u boku swoich rodaków. Van Gould jest Flamandczykiem, ale Gibraltar należy do Hiszpanów.

ROZDZIAŁ XXVIII. NAPASTLIWI KRWIOPIJCY

Noc upłynęła spokojnie. Właściwie nic nie zakłóciło smacznego snu piratów odpoczywających w rozgałęzionych konarach olbrzymiej *summameiry*. Może tylko raz zrobiło się groźnie, gdy niewielki oddział Arawaków, stanowiący być może straż tylną całego plemienia, przeszedł tuż pod drzewem. Tubylcy nie zauważyli jednak piratów i pomaszzerowali dalej na północ.

Czarny Korsarz długo wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z lasu. Kiedy w końcu zaległa cisza, która upewniła go, że nie grozi im już żadne niebezpieczeństwo, zarządził więc, by zejść z drzewa i udać się w dalszą drogę.

Carmaux z kolei ani przez chwilę nie zapomniał o margaju, przez którego najadł się tyle strachu. Znalazł go leżącego pod krzakiem. Upadek z dużej wysokości pogruchotał zwierzęciu wszystkie kości, a roztrzaskaną czaszkę zawdzięczał uderzeniu kolbą muszkietu przez Moko.

Pod względem umaszczenia zwierzę przypominało jaguara. Przypominało go także kształtem, tyle że miało mniejszą głowę, krótką, szczeciniastą sierść i długi na ponad trzydzieści cali tułów.

— Ty kanalio! — wycedził przez zęby krzyknął Carmaux, chwytając drapieżnika za ogon i zarzucając go sobie na plecy. — Gdybym wiedział wcześniej, że to taki brzdąc, to dostałby kopniaka i poleciał hen, wysoko. Ale nic to. Zemszczę się inaczej — upiekę go na rożnie i zjem.

— Pośpieszcie się! — powiedział Czarny Korsarz. — Za dużo czasu straciliśmy na tych dzikusów.

Katalończyk rzucił okiem na busołą otrzymaną w prezencie od Van Stillera, po czym ruszył przed siebie, torując sobie drogę pośród lian, korzeni i krzaków.

Dżungla była wszędzie tak samo gęsta, rosły w niej palmy *miriti* o masywnych pniach, z których wyrastały ostre kolce rozdzierające pirackie ubrania, a także cekropki, których układ gałęzi przypominał kształtem kandelabr.

Od czasu do czasu można było zobaczyć wspaniałe *jupati*, inny rodzaj palmy o pierzastych liściach, które osiągają długość pięćdziesięciu stóp, a których pień ledwo co liczy kilkanaście stóp wysokości. Niekiedy mijali też rosnące w grupie *bussu*, zwane także *manicariami*, których liście o postrzępionych obrzeżach upodabniających je do karbowanej piły były twarde jak ze stali. Ich długość dochodziła do trzydziestu sześciu metrów. Można było tam spotkać *pupunha*, gatunek palm, które wydają bardzo smaczne, rosnące w kiściach owoce.

W tej części dżungli prawie nie było zwierząt, małpy omijały te okolice szerokim łukiem, a ptaki były rzadkością, zwłaszcza kolorowo upierzone papugi, podobną rzadkością były też tukany o czerwono-żółtych dziobach i ognistoczerwonych tułowiach. Czasem można było usłyszeć wysoki i piskliwy odgłos tangary, ptaszka o niebieskich piórach i pomarańczowo-czerwonym podbrzuszu.

Minęły trzy godziny marszu, a po tubylcach ani śladu. W końcu piraci zauważyli, że dżungla zaczyna się zmieniać; palmy rosły coraz rzadziej, ustępując miejsca pękatym *iriartree*, roślinom wodolubnym; tatarakom, *bombaxom*, drzewom o porowatym, miękkim i białym drewnie, z wyglądu przypominającym ser, stąd nazywanych także serownikami; skupiskom *mangli*, które wydają słodkie soczyste owoce o smaku pistacji terpentynowej; całym skupiskom orchidei, paprociom, których korzenie korzenie wiszą w powietrzu prostopadle do ziemi oraz całym polacom przepięknych bromelii obficie obsypanych szkarłatnym kwieciem.

Spękane i twarde podłoże ustępowało miejsca terenom podmokłym, powietrze zaś przesiąknięte było wilgocią. Suchy las przeobrażał się w las wilgotny, o wiele bardziej niebezpieczny, w nim bowiem czaiła się gorączka, której skutki mogą się okazać fatalne i zgubne nawet dla zaaklimatyzowanych tubylców. Głęboka cisza panowała w tym zakątku tropikalnej puszczy, zupełnie jakby wszechobecna wilgoć wypędziła raz na dobre wszystkie ptaki i dzikie zwierzęta. Żadnych odgłosów małp, żadnego śpiewu ptaków, żadnego najmniejszego ryknięcia pumy czy miauknięcia jaguara.

Wyczuwało się w tej ciszy jednak pewien smutek, miała w sobie coś złowróbnego, coś, co przepełniało niepokojem nawet nieustraszonych piratów z Tortugi.

— Do stu rekinów! — wykrzyknął Carmaux. — Zupełnie jakbyśmy szli przez ogromny cmentarz.

— Z tą różnicą, że jest to cmentarz zalany wodą — dodał Van Stiller. — Czuję, że ta wilgoć przenika mi kości.

— Może to już początek gorączki bagiennej?

— Jeszcze tylko tego by nam brakowało — powiedział Katalończyk. — Jeśli kogoś z nas dosięgnie, to żywy stąd nie wyjdzie.

Las

— Mnie żadne lichy nie bierze! — odpowiedział hamburczyk. — Bagna na Jukata- nie mnie zahartowały, a dobrze wiesz, że one powodują *vomito prieto*¹¹⁶. Nie straszna mi gorączka. Jeśli się czegoś boję, to braku dziczyzny.

— Zwłaszcza teraz, kiedy powoli zaczyna nam brakować prowiantu — dodał Afry- kańczyk.

— Drogi kamracie — krzyknął Carmaux — czyżbyś zapomniał, że mamy kocura?! Przecież to pokaźna sztuka mięsa.

— Długo nie wytrzyma — odpowiedział Murzyn. — Jeśli nie zjemy go dzisiaj, to zgnije na skutek tej wilgoci i będziemy musieli go wyrzucić.

— Znajdziemy na pewno coś innego na ząb.

— Ty nie znasz tych wilgotnych lasów.

— Upolujemy ptaki.

— Nie ma tu ptaków.

— No to na pewno są jakieś czworonogi.

— Czworonogów też tu nie ma.

— To poszukamy owoców.

— Tu nie ma roślin, które owocują.

— Na pewno znajdziemy jakiegoś kajmana.

— Nie ma tu sawanny. Są tylko węże.

— No to będziemy jeść węże.

— Ach, kamracie. Co za głupstwa pleciesz!

— Do stu rekinów! Z braku innego pożywienia usmażymy je i zjemy, udając, że to węgorze.

— Fu!

— No proszę, co za kapryśny Murzyn! — zirytował się Carmaux. — Zobaczymy, co powiesz, gdy zgłodniejesz.

Tak się przekomarzając, szli dalej szybkim krokiem poprzez wilgotne tereny, ponad którymi unosiła się falująca mgła pełna niebezpiecznych wyziewów.

Intensywną duchotę wyczuwało się także pod kopułą roślinności. Wyciskał on z pira- tów siódme poty. Wylewał się z nich wszystkimi porami, wsiąkając w ich ubrania i niszc- ząc w dodatku ich broń, Carmaux nawet zwątpił, czy na wypadek zagrożenia lub ataku wroga jego broń będzie jeszcze w ogóle zdolna do użytku i czy wypali.

Od czasu do czasu zagradały im drogę niezliczone rozlewiska, w których zalegała brudna i śmierdząca ciecz, gęsto porośnięte wodną roślinnością — niejakiemi *agoa redon- da*, jak nazywali je hiszpańscy kolonizatorzy. Czasami natomiast musieli zwolnić kroku i zatrzymać się przed tak zwanym *igarapé*, czyli kanałami rzecznyymi połączonymi z potoki- em lub rzeczką. Tracili przy tym dużo czasu na przeprawę, szukali utwardzonej ścieżki i obawiali się, że zdradzieckie bagna mogłyby ich pochłonąć.

Wzdłuż brzegów nie było żadnego ptactwa, nie brakowało natomiast wszelkiej maści gadów, które czekały, aż zapadnie zmrok, żeby móc zapolować na ropuchy lub żaby. Ja- dowite żararaki o małej spłaszczonej głowie leżały skulone pod krzakami lub wylegiwały się na słońcu; małe kobry cipo, a także węże *kaniana*, które wpełzają do szalasów indiań- skich i zachłannie wysysają z piersi karmiących Indianek mleko. Nie brakowało też węży *coralli*, od których ukąszenia następuje błyskawiczna śmierć i na których jad jak dotąd nie wynaleziono antidotum. Z tą trucizną nie wygra nawet wywar z *calupo diavolo*, który zwykle wystarcza, żeby pokonać jad innych gadów.

Te paskudne gady napełniały piratów odrazą, ostrożnie więc stąpali, aby uniknąć śmiertelnego ukąszenia.

W samo południe, zmorzeni długim marszem, postanowili zrobić postój, choć nie udało im się odnaleźć śladu Van Gouldea i jego oddziału.

Jako że zapasy prawie się skończyły, postanowili upiec margaja. I choć już powoli zaczynał gnić i śmierdzieć, uznali jednak, że jest jeszcze jadalny. Carmaux stwierdził, że przysmak był wyborny i najadł się do syta, czego z kolei nie można powiedzieć o pozostających kamratkach.

¹¹⁶*vomito prieto* (hiszp.) — żółta febra, tropikalna choroba przenoszona przez komary, objawiająca się nar- wracającą gorączką i silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

Gdy minęła pora największego skwaru, piraci podjęli wędrówkę przez bagniska i mokradła, gdzie roiło się od zaciekle atakujących komarów, które do żywego rozwściczyły Carmaux i Van Stillera.

Pośród tych stojących wód, pełnych zbutwiałych roślin o żółtych liściach, które gnily, wydzielając mdlące zapachy na skutek niemiłosierniej spiekoty, od czasu do czasu wynurzała się głowa węża, innym zaś razem na chwilę pokazywał się żółw o grubej brunatnej skorupie pokrytej plamkami o nieregularnych kształtach.

Brakowało jednak wciąż ptaków wodnych, zupełnie jakby nie mogły znieść tych niebezpiecznych wyziewów.

Prowadzeni przez niestrudzonego Katalończyka piraci szli przed siebie gnani pragnieniem, by jak najszybciej opuścić tę ponurą puszcę: grzęźli w błocie, przechodzili przez powalone drzewa, twardą trzcinią odsuwali gałęzie i torowali sobie drogę przez gęste skupiska drzew, pośród których unosiły się chmary komarów.

Często przystawali i nasłuchiwali, mając nadzieję, że uda im się wychwycić odgłosy, które zdradziłyby obecność Van Goulda i jego oddziału, lecz nic z tego — po gubernatorze nie było ani śladu. Pośród leśnej głuszy zalegała głęboka cisza.

Pod wieczór dokonali odkrycia, które z jednej strony ich zasmuciło, a z drugiej strony ucieszyło, był to bowiem dowód, że nie zgubili tropu i wciąż szli po śladach uciekinierów.

Szukali właśnie odpowiedniego miejsca na postój, kiedy zobaczyli Afrykańczyka, który wcześniej oddalił się nieco w poszukiwaniu owoców. Wrócił cały zdyszany i przerażony, a jego wzrok zdradzał szczerą niepokój.

— Co się stało, Moko? — zapytał Carmaux, nabijając w pośpiechu broń. — Czyżby cię gonił jaguar?

— Nie, tam jest trup, biały człowiek nie żyje — odparł Murzyn.

— Biały człowiek! — wykrzyknął Carmaux.

— Czyli Hiszpan, tak? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tak, mój panie. Potknąłem się i upadłem na niego, był zimny jak głaz.

— Czyżby to ta kanalia Van Gould? — zapytał Carmaux.

— Chodźmy zobaczyć — powiedział Czarny Korsarz. — Moko, prowadź!

Afrykańczyk wskoczył w gęstwinę krzaków *calalupo*, wydających owoce, z których po posiekaniu przyrządza się orzeźwiający napój. Po przebyciu około trzydziestu jardów zatrzymał się przed pnem samotnej *simaruby* obsypanej kwieciami.

Ich oczom ukazał się widok, który zdjął ich grozą: w zaroślach leżał nagi mężczyzna, ręce miał skrzyżowane na piersi, a jego nogi i stopy były ogryzione z mięsa przez jakiegoś węża lub przez termity.

Jego twarz była woskowa, żółta, cała umazana krwią, która wypływała z niewielkiej rany na wysokości prawej skroni. Miał długą, zmierzwioną brodę i otwarte szeroko wargi, które odsłaniały uzębienie. Puste oczodoły broczyły krwią.

Zbroja z kordobańskiej skóry ozdobiona arabeskami nie pozostawiała złudzeń co do jego pochodzenia. Zdradzały je także krótkie spodnie w żółto-czarne paski, jakie mieli w zwyczaju nosić Hiszpanie oraz leżące nieopodal długa szpada i niewielki hełm z wystającym białym piórkiem.

Katalończyk, który zdawał się być bardzo przejęty, pochylił się nad nieszczęśnikiem, a następnie wstał i krzyknął.

— Pedro Herrera! Biedny człowiek, kto cię teraz zastąpi...

— Znasz go? Czy to jeden z tych, którzy towarzyszyli Van Gouldowi?

— Tak, mój panie, dzielny to był żołnierz i lojalny kompan.

— Czyżby zabili go Indianie?

— Na pewno go ranili, bo widzę broczącą krwią ranę w prawej skroni, ale zabił go nietoperz.

— Co masz na myśli?

— Że ten żołnierz wykrwawił się, bo wysał z niego krew dziki wampir krwiopijca. Widzisz ten niewielki otwór na skroni, przez który wypływa krew?

— Owszem, widzę.

— Być może oddział zostawił rannego Herrere, bo rana uniemożliwiła mu dalszą wędrówkę i nie był w stanie dotrzymać im kroku. Osłabiony, zemdlął i wtedy przysłał się do niego latający wampir.

— A zatem Van Gould tędy przechodził?
 — Na to wygląda.
 — Jak myślisz, od kiedy nie żyje?
 — Być może od rana. Gdyby umarł wczoraj wieczorem, to trupożerne robaki ogryzłyby go dawno do kości.
 — Ach! A więc ten łotr jest nieopodal! — wykrzyknął ponurym głosem Czarny Korsarz. — O północy wyruszymy, a już jutro będziesz miał okazję się odwdziżyć Van Gouldowi i wymierzysz mu dwadzieścia pięć razy. A ja oczyszczę ziemię, pozbywając się tego niegodziwego zdrajcy, i pomszczę swoich braci.
 — Mam nadzieję, panie.
 — Odpocznijcie trochę, bo potem nie zatrzymamy się, dopóki nie złapiemy Van Goulda.
 — A niech to! — mruknął pod nosem Carmaux. — Ani chwili wytchnienia.
 — Chce jak najszybciej wymierzyć mu karę i się zemścić — odparł Van Stiller.
 — No i chciałby pewnie jak najszybciej zobaczyć swoją „Błyskawicę”.
 — I zapewne też młodą księżniczkę.
 — To bardzo prawdopodobne, Van Stillerze.
 — Śpijmy, Carmaux.
 — Śpijmy? Nie słyszałeś, co mówił Katalończyk o latających wampirach, które wysysają krew? Do stu piorunów! A co, jeśli o północy będziemy tu leżeć martwi. Przy tak realnej groźbie trudno mi będzie spać.
 — Przecież Katalończyk chciał sobie z nas zażartować!
 — Nie, Van Stillerze, sam słyszałem, że mówił o wampirach.
 — Jakich wampirach? A co mówił?
 — Że to takie brudne ptaszyska. Że latają... Hej, Katalończyku, czy przypadkiem niczego nie widzisz w powietrzu?
 — Widzę. Gwiazdy — odparł na to zapytany wojak.
 — Ale ja cię pytam, czy wampirów nie widzisz?
 — Jeszcze za wcześnie. Opuszczają swoje schronienia dopiero, kiedy ludzie i zwierzęta smacznie śpią i głośno chrapią.
 — Jak one wyglądają? — zapytał Van Stiller.
 — To wielkie nietoperze o podługnych i smukłych pyskach, mają wielkie uszy, miękką sierść, czerwono-czarną na grzbiecie i żółto-czarną na brzuchu, a ich skrzydła mają rozpiętość piętnastu cali.
 — I mówisz, że wysysają krew?
 — Nawet nie poczujesz, jak cię ukłują.
 — A co, jeśli taki nietoperz się na nas rzuci?
 — Ja się nie boję, całej nocy by było trzeba, żeby wyssać ze mnie krew, i skończyłoby się na jednym niewielkim ukłuciu, w dodatku pożytecznym, zważywszy na klimat. Ale prawdą jest, że zadawane przez nich rany goją się bardzo długo.
 — Ale ten twój kamrat przez takie ukłucie poszedł do Abrahama na piwo — skonstatował Carmaux.
 — Prawdopodobnie się wykrwawił. Dobranoc, *caballeros*, o północy wymarsz.
 Carmaux położył się na trawie, ale zanim zasnął, przez dłuższą chwilę spoglądał na gałęzie *simaruby*, chcąc się upewnić, że nie ukrywa się pośród nich jakiś łakomy krwio pijca.

ROZDZIAŁ XXIX. UCIECZKA ZDRAJCY

Księżyc dopiero co wzeszedł ponad dżunglą, a Czarny Korsarz był już gotów podjąć pościg za Van Gouldem i wiernym mu oddziałem.

Obudził szturchnięciem Katalończyka, Moka i dwóch piratów, po czym bez słowa podjął wędrówkę, krocząc tak szybko, że jego kamraci z trudem za nim nadążali.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru już zarządzać żadnego postoju, zanim nie schwyta swojego śmiertelnego wroga. Tymczasem dość szybko nowe przeszkody zmusiły go do spowolnienia tempa tego szaleńczego pościgu, a nawet do zatrzymania się na dłuższą chwilę.

Co rusz napotykali na swej drodze mokradła, bagna, grząskie wrzosowiska i małe rzeczki, co zmuszało ich do szukania drogi, która pozwoliłaby im przejść suchą nogą, innym zaś razem musieli karczować rośliny i budować naprędce prowizoryczne mosty.

Cała drużyna wspomagała swojego dowódcę nadludzkiem wysiłkiem, choć powoli wszyscy zaczynali słabnąć i opadać z sił na skutek niekończącej się i wyczerpującej wędrówki, która trwała już od ponad dziesięciu dni, a także ze względu na brak żywności i bezsenne noce.

Wraz z nadejściem świtu całkiem opadli z sił i poprosili go o odpoczynek, bo ledwo trzymali się na nogach, poza tym byli piekielnie głodni, a od ostatniego posiłku, na który złożyły się strącony z drzewa kocur i suchary upłynęło już całe piętnaście godzin.

Rozejrzeli się za dziczyzną i za jakimiś owocami. Wszystko jednak wskazywało na to, że ten rosnący na mokradłach las nie mógł im zaoferować ani jednego, ani drugiego. Nie było słyhać ani skrzeku papug, ani krzyku małp, nie było też żadnego jadalnie wyglądającego owocu.

Tymczasem Katalończyk, który wraz z Mokiem poszedł na zwiad w kierunku pobliskiego bagna, miał szczęście, bo udało mu się schwytać rękami — choć nie uniknął przy tym pogryzienia — *prairę*, czyli uzbrojoną w ostre zęby rybę o czarnym grzbiecie, która żyje w tych martwych wodach. Szczęście miał też Moko, który złapał *casculo*, długą na czterdzieści cali rybę o twardych jak skorupa orzecha łuskach, u góry czarnych, a u spodu czerwonych.

W mgnieniu oka pochłonęli ten skromny posiłek, który rzecz jasna nie nappełnił im brzuchów. Głód wciąż ich dręczył, polowali więc dalej, zapuszczając się coraz głębiej w mroczny las, który zdawał się nie mieć końca.

Starali się podążać w kierunku południowo-wschodnim, żeby podejść w miarę blisko, aż na sam skraj jeziora Maracaibo, bo tam właśnie znajdował się fort Gibraltaru. Wszechobecne mokradła i bagna zmuszały ich do ciągłego zbaczania z głównego szlaku.

Marsz wydłużył się aż do południa, nie odnaleźli jednak ani śladów nieprzyjaciół, ani nie usłyszeli żadnych krzyków i strzałów. Około czwartej po południu, po dwugodzinnym odpoczynku, natrafili na ognisko, które tliło się jeszcze wątłym żarem.

Rozpalił je jakiś tubylec czy może któryś z uciekinierów? Pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo na suchym poszyciu nie odcisnęły się żadne ślady. Tym niemniej palenisko kazało im przypuszczać, że przeszedł tędy Van Gould, co nastroiło ich bardzo pozytywnie, dodało animuszu i ożywiło dalszą wędrówkę.

Aż w końcu zastała ich noc. Intuicja jednak podpowiadała im, że uciekinierzy znajdują się już naprawdę niedaleko. Jako że niczego nie znaleźli do jedzenia, udali się na spoczynek o pustych żołądkach.

— Na flaki rekina! — zdenerwował się Carmaux, który próbował oszukać głód, żując liście o słodkim smaku. — Jeśli tak dalej pójdzie, to do Gibraltaru dotrzemy w takim stanie, że od razu nas przyjmą do lazaretu¹¹⁷.

Czekała ich najgorsza z wszystkich nocy spędzonych w dżungli w okolicach Jeziora Maracaibo. Poza doskwierającym głodem cierpieli tortury od ukąszeń ze strony komarych rojów, które nie pozwoliły im zmrzyć ani na chwilę oka.

Kiedy około południa następnego dnia wyruszyli w dalszą drogę, byli bardziej zmęczeni niż poprzedniego wieczoru po całym dniu marszu. Carmaux mówił, że ani dwóch godzin nie przejdzie, jeśli nie upoluje i nie zje jakiegoś dzikiego kota albo choć z tuzina chrupiących ropuch. Van Stiller z kolei wolałby szaszłyki z papuziego lub małpiego mięsa, ale w tym przeklętym lesie nie było ani jednych, ani drugich. Szli, a raczej wlekli się od czterech godzin, na czele drużyny zaś podążał szybkim krokiem Czarny Korsarz, zupełnie jakby posiadał w sobie pokłady nadludzkiej siły. W pewnym momencie usłyszeli odgłos wystrzału.

Czarny Korsarz od razu się zatrzymał.

— Nareszcie! — wykrzyknął, stanowczym gestem dobywając szabli.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Van Stiller. — Coś mi się zdaje, że już ich mamy.

¹¹⁷lazaret — szpital polowy. [przypis edytorski]

— Miejmy nadzieję, że teraz nam się już nie wywiną — odpowiedział Carmaux. — Zwiążemy ich jak salami, w przeciwnym razie znów będziemy musieli się za nimi uganiać z wywieszonym jęzorem.

— Ten strzał padł w odległości nie większej niż pół mili od nas — powiedział Katalończyk.

— Zgadza się — odpowiedział Czarny Korsarz. — Morderca moich braci za kwadrans będzie mój.

— Panie, mam dla ciebie radę — powiedział Katalończyk.

— Zamieniam się w słuch.

— Proponuję urządzić zasadzkę.

— A dokładniej?

— Zaczaić się w leśnym gąszczu, wziąć ich z zaskoczenia i zmusić ich, żeby się poddali, wtedy obejdzie się bez rozlewu krwi. Ich pewnie jest siedmiu lub ośmiu, nas tylko pięciu, w dodatku wszyscy skrajnie wycieńczeni.

— Na pewno nie będą zuchwalsi od nas, w każdym razie dobrze, postąpimy zgodnie z twoją radą. Zaatakujemy ich z zaskoczenia, tak żeby nie zdążyli podjąć walki. Trzymajcie broń w pogotowiu i idźcie za mną, nie robiąc hałasu.

Nabili muszkiety i pistolety, a następnie zaczęli ostrożnie się czołgać.

Krajobraz uległ zmianie: bagna i podmokłe lasy ustąpiły miejsca tropikalnej puszczy, zalesionej długowiecznymi drzewami różnych gatunków jak choćby *bombax*, *arcaaba*, wszelkiej maści palmy, *simaruba*, *mauritie*, *jupati*, *bussú* i wiele innych wspaniałych gatunków, zdobnych w olbrzymich rozmiarów liście, bogate w kwiaty i owoce, które były nie tylko jadalne, ale i wyborne w smaku.

Ich oczom ukazały się pierwsze ptaki: papugi, *ararauny*, *canindé*, tukany, a z oddali ich uszu dobiegały donośne krzyki małp, których obecność rozwścieczyła Carmaux; nieborak musiał się pogodzić, że nici z polowania, nie mogli bowiem użyć broni, żeby nie zaalarmować Van Gouldea i jego oddziału.

— Jeszcze się spotkamy — burknął pod nosem. — Tyle dzikiej zwierzyny ustrzeleń, że będę jadł przez dwanaście godzin z rzędu.

Czarny Korsarz zupełnie jakby nie zauważył tej zmiany, tak bardzo był pochłonięty myślami o zemście. Pełzał niczym wąż, przeskakiwał przez przeszkody niczym tygrys, lustrując wzrokiem okolicę. Jego myśli zaprzętały tylko śmiertelny wróg.

Nie odwrócił się ani razu, by upewnić się, czy jego kamraci dotrzymywali mu kroku, zupełnie jakby był przekonany, że w pojedynkę jest w stanie stawić czoła przeciwnikowi i go zwyciężyć.

Cicho posuwał się naprzód, stąpając po liściach zupełnie bezszelestnie. Chyłkiem przedzierał się między zwisającymi lianami, prawie ich nie dotykając, a pomiędzy korzeniami pełzał zwinniej niż niejeden gad. Ani znój wędrówki, ani doskwierający głód nie pozbawiły go zapału.

W pewnym momencie Czarny Korsarz znieruchomiał. Jedną ręką wycelował pistolet przed siebie, a drugą unosił do góry szablę, zupełnie jakby miał zaraz rzucić się do walki.

Dwa ludzkie głosy dobiegły go zza drzew zwanych *calupo*.

— Diego... — mówił wątyły głos, ledwo słyszalny — jeszcze jeden łyk, jeszcze jeden... zanim zamknę oczy.

— Nie mogę, nie mogę — mówił ten drugi, bardziej ochrypły. — Nie mogę, Pedro.

— Oni są przecież daleko — mówił pierwszy.

— To już koniec, Pedro... ci przekłęci Indianie, ranili mnie śmiertelnie.

— A mnie wykończy ta przekłeta gorączka.

— Już po nas.

— Jezioro... jest blisko... a Indianin... wie... gdzie jest... łódka! ... kto żyje?...

Czarny Korsarz rzucił się między krzaki, gotów zadać cios szablą.

Pod wielkim drzewem leżało dwóch mizernie wyglądających, przykrytych jakimiś lachmanami żołnierzy. Na widok uzbrojonego mężczyzny nadludzkiem wysiłkiem woli dźwignęli się na kolana, próbując dosięgnąć leżące kawałek od nich muszkiety, ale od razu upadli na wznak zupełnie pozbawieni sił.

— Ani drgnijcie! — krzyknął Czarny Korsarz groźnym tonem.

Jeden z dwóch żołnierzy wsparł się na łokciu i rzekł, siląc się na uśmiech:

— Ej, *caballero!* Chyba nie będziesz strzelał do umarłaków!
W tym momencie między krzaki wskoczył Katalończyk:
— Pedro, Diego! Moi druhowie.
— Wielkie nieba! — krzyknęli dwaj żołnierze na widok swojego rodaka.
— To ja, tak, drodzy przy...
— Cisza! — powiedział stanowczym tonem Czarny Korsarz. — Mówcie szybko, gdzie jest Van Gould!
— Gubernator? — zapytał ten, który miał na imię Pedro. — Będą ze trzy godziny, jak ruszył dalej przed siebie.
— Sam?
— Z jednym Indianinem, który był naszym przewodnikiem po dżungli i z dwoma oficerami.
— Bardzo się oddalił? Mówcie, jeśli wam życie mile.
— Nie bardzo.
— Czy ktoś na niego czeka nad brzegiem jeziora?
— Nie, ale Indianin wie, skąd wziąć łódkę.
— Przyjaciele — powiedział Czarny Korsarz — trzeba nam ruszać w dalszą drogę, w przeciwnym razie Van Gould umknie.
— Panie — rzekł Katalończyk — chyba nie sądzisz, że zostawię tak tu swoich przyjaciół? Jezioro jest niedaleko stąd, czas mojej misji dobiega końca. Wolę zrezygnować z zemsty niż zostawić tu moich rodaków na pewną śmierć.
— Rozumiem cię — powiedział Czarny Korsarz — jesteś wolny, rób, co uważasz za stosowne, ale sądzę, że twoja pomoc na nic się tu zda.
— Być może uda mi się ich uratować, panie.
— Moko zostanie z tobą. Nas trzech wystarczy, żeby się rozprawić z Van Gouldem.
— Zobaczymy się w Gibraltarze, panie, obiecuję ci to.
— Czy twoi druhowie mają jakiś prowiant?
— Trochę sucharów, panie — odpowiedzieli dwaj żołnierze.
— Powinny wystarczyć — odparł Carmaux.
— I do tego mleko — dopowiedział Katalończyk, który rzucił okiem na drzewo, u którego pnia leżeli dwaj żołnierze.
Katalończyk zrobił *navaję* głębokie nacięcie w korze drzewa, które nie było darzylęcnią, ale *massaraudubą*, jego gatunkową kuzynką. W jej pniu płynie gęsty, biały płyn o smaku mleka, bardzo pożywny, który jednakże należy spożywać z umiarem, albowiem w nadmiernych ilościach może wywoływać bardzo poważne dolegliwości.
Napełnił manierki piratów, dał im kilka sucharów, po czym rzekł:
— Ruszajcie *caballeros*, w przeciwnym razie Van Gould znów wam ucieknie. Mam nadzieję, że się zobaczymy w Gibraltarze.
— Zegnaj! — odpowiedział Czarny Korsarz, podejmując marsz. — Będę tam na ciebie czekał.
Van Stiller i Carmaux nabrali trochę sił, posilając się w pośpiechu kilkoma sucharami i popijając mlekiem. Następnie ruszyli w ślad za swoim dowódcą, starając się wykrzesać z siebie energię i nie zostać w tyle.
Czarny Korsarz zamierzał nadrobić trzy godziny przewagi, którą mieli nad nim uciekinierzy. Zależało mu, żeby dotrzeć do brzegu jeziora jeszcze przed zapadnięciem zmroku. A była już piąta po południu, czasu więc do zmierzchu zostało niewiele.
Na całe szczęście las robił się coraz rzadszy. Drzewa nie rosły już splecione gęsto ze sobą lianami, ale w oddzielnych skupiskach, w związku z czym piraci mogli przemieszczać się bardzo szybkim tempem i nie tracili więcej czasu na trzebienie gęstej roślinności i torowanie sobie ścieżki.
Wyczuwało się już bliskość jeziora. Powietrze było świeższe, nasyczone solą, dookoła pojawiło się pełno wodnego ptactwa, zwłaszcza kilka sztuk bernikli białolicej, ptaków występujących na terenach wokół Zatoki Wenezuelskiej.
Czarny Korsarz szedł coraz szybciej, obawiając się, że nie zdoła dogonić uciekinierów. Nie maszerował, tylko biegł, wystawiając na ciężką próbę wytrzymałość nóg Carmaux i Van Stillera.

O godzinie siódmej, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, widząc, że towarzysze wędrówki zostali daleko w tyle, pirat zgodził się na piętnastominutowy postój, podczas którego opróżnili manierki i zjedli kilka sucharów.

Sam Czarny Korsarz natomiast nie spoczął. Podczas gdy Van Stiller i Carmaux zażywali odpoczynku, on przeszukiwał okolice, licząc, że uda mu się odnaleźć ślady zostawione przez uciekinierów. Oddalił się nieco na południe, mając nadzieję, że usłyszy jakieś odgłosy, a może i wystrzał, który pozwoliłby lepiej określić odległość dzielącą go od Van Goulda i jego oddziału. Po jakimś czasie wrócił i rzekł:

— No, ruszajmy, przyjaciele, dajmy z siebie wszystko, a Van Gould za chwilę będzie nasz. Jutro będziecie mogli sobie odpocząć do woli.

— Chodźmy — powiedział Carmaux, wstając z wielkim trudem. — Brzegi jeziora muszą być tuż, tuż.

Ruszyli przed siebie, przedzierając się pomiędzy krzakami. Powoli zapadał zmierzch, a z głębi lasu dochodziły odgłosy dzikich zwierząt.

Szli już od dwudziestu minut, wzdychając i sapiąc, wycieńczeni, kiedy w pewnym momencie usłyszeli dobiegający z naprzeciwka odgłos fali wyrzucającej wodę na brzeg. I w tej samej niemalże chwili dostrzegli światło między drzewami.

— Zatoka! — wykrzyknął Carmaux.

— A ten blask to obozowisko! — krzyknął Czarny Korsarz. — Trzymajcie broń w gotowości, wilki morskie! Morderca moich braci już mi się nie wywinie!

Zaczęli biec w kierunku płonącego na skraju lasu ogniska. Czarny Korsarz pokonał dzielącą go od niego odległość i z wyciągniętą szablą rzucił się na przeciwnika, gotów go posiekać na kawałki. Jednak zatrzymał się nagle, a z jego ust dobył się okrzyk wściekłości.

Wokół ogniska nie było nikogo. Widać było ślady niedawnego postoju, resztki pieczonej małpy, kawałki sucharów i zniszczoną manierkę. Ci jednak, którzy tu biwakowali, zdążyli już się oddalić.

— Do stu diabłów! Za późno — ryknął rozjuszony Czarny Korsarz.

— Kapitanie, może wcale nie jest tak, jak mówisz — próbował pocieszyć go Carmaux, który właśnie nadbiegł. — Być może są jeszcze w zasięgu naszych muszkietów... O, tam! Coś widać na plaży!

Czarny Korsarz skierował wzrok w tamtą stronę. W odległości ponad dwustu jardów kończył się las, a zaczynała się płaska plaża, na którą wody jeziora wyrzucały z szumem spienione fale.

Przy wątłym świetle pochłanianym przez zmierzch Carmaux zauważył indiańską łódź, która właśnie odpływała, kierując się na południe, w kierunku Gibraltaru.

Trzech piratów rzuciło się biegiem na plażę, trzymając broń gotową do strzału.

— Van Gould! Zatrzymaj się, ty tchórze!

Jeden z czterech znajdujących się na pokładzie ludzi wstał. W ciemnościach rozbłysnął mały ogienek i po chwili Czarny Korsarz usłyszał świst kuli, która przeszła okoliczne drzewa.

— Ty zdrajco! — krzyknął Czarny Korsarz, gotując się ze złości. — Ognia, strzelać do nich!

Van Stiller i Carmaux uklękli na piasku i wycelowali muszkiety. Chwilę później dało się słyszeć dwa strzały.

Na szerokich wodach jeziora rozległ się krzyk i ktoś spadł do wody. Ale łódka, zamiast przystanąć, oddalała się od brzegu w jeszcze większym pośpiechu, kierując się w stronę południowych brzegów i ginąc w mrokach, które na tej szerokości geograficznej zapadały z niezwykłą prędkością.

Czarny Korsarz, pijany wręcz wściekłością, rzucił się biegiem ku plaży z nadzieją, że znajdzie jakąś porzuconą łódkę.

— Kapitanie, spójrz! — krzyknął nagle Carmaux.

— Czego chcesz? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tam jest jakaś łódź.

— Dopadnę tego łotra! — krzyczał Czarny Korsarz.

W odległości dwudziestu jardów od nich, w małej zatoczce, którą osuszył odpływ, znajdowała się niewielka indiańska łódka wydrążona w pniu cedru, na pierwszy rzut oka

dość ciężka, ale w praktyce te tubylcze wynalazki potrafią doścignąć łodzie z prawdziwego zdarzenia.

Czarny Korsarz wraz z towarzyszami rzucili się pędem w kierunku małej zatoczki i energicznym ruchem zepchnęli łódkę do morza.

— Czy mamy wiosła? — zapytał Czarny Korsarz.

— Tak, kapitanie — odpowiedział mu Carmaux. — Ruszajmy, moi dzielni kamraci. Van Gould już nam nie ucieknie.

— Wiosłuj całą siłą swych mięśni, Van Stillerze — krzyknął Carmaux. — Piraci w wiosłowaniu nie mają sobie równych!

— Raz, dwa, trzy! — odpowiedział Van Stiller, pochylając się nad wiosłem.

Indiańskie czółno wypłynęło z zatoczki i sunęło z prędkością strzały śladem oddalającej się łodzi gubernatora Maracaibo.

ROZDZIAŁ XXX. HISZPAŃSKA KARAWELA

Łódź, którą płynął Van Gould, znajdowała się już w odległości przynajmniej tysiąca stóp od brzegu. Tym niemniej piraci, jak na zahartowane wilki morskie przystało, nie tracili animuszu. Zdawali sobie sprawę, że godnego wiosłarskiej siły rywala mieli wyłącznie w osobie Indianina, dwaj pozostali członkowie załogi — Van Gould i towarzyszący mu oficer — przyzwyczajeni byli raczej do władania bronią, a nie wiosłem.

Nie zważając na potworne zmęczenie ani dręczący ich głód, Van Stiller i Carmaux włożyli w pościg całą siłę swoich mięśni, dzięki czemu łódź zaczęła nabierać znacznej prędkości. Czarny Korsarz natomiast siedział na dziobie z muszkietami w ręku i zagrzewał ich okrzykami:

— Wiosłujcie, moje dzielne wilki morskie! Van Gould nam nie ucieknie, a ja w końcu pomszczę swoich braci. Pamiętajcie o Czerwonym i Zielonym Korsarzu!

Sunąca coraz szybciej łódka prula swym spiczastym dziobem spienione grzebienie fal.

Carmaux i Van Stiller wiosłowali co siłą, zmuszając mięśnie do większego wysiłku i zapierając się nogami. W obawie, że jakiś niespodziewany łut szczęścia pozwoli Van Gouldowi ponownie wymknąć się z rąk Czarnego Korsarza, nie zwalniali tempa ani na chwilę. Za wszelką cenę starali się dopaść jego łódź.

Wiosłowali już pięć minut, gdy nagle w coś uderzyli.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Carmaux. — Jakaś pływaczka czy co?

Czarny Korsarz wychylił się przez burłę i zobaczył czarny, obły kształt. Wyciągnął rękę, żeby sprawdzić co to takiego, zanim zniknie pod stępką.

— To trup! — wykrzyknął.

Podciągnął go trochę, żeby mu się przyjrzeć. Były to zwłoki hiszpańskiego kapitana, który dostał w głowę kulą z muszkietu.

— To jeden z towarzyszy broni Van Goulda — powiedział, po czym wrzucił go z powrotem do wody.

— Pozbyli się zbędnego balastu z pokładu. — odparł Carmaux, nie przestając wiosłować. — Raz, dwa, raz, dwa, Van Stiller! Ci szubrawcy są już niedaleko — dodał.

— Tam są! — krzyknął Czarny Korsarz.

Jakieś siedemset pięćdziesiąt jardów przed sobą dostrzegli świetlną smugę, która w miarę jak płynęli, stawała się coraz jaśniejsza.

Łódź wpłynęła akurat na miejsce, w którym znajdowała się cała kolonia nocoświatlików.

— Widać ich, kapitanie? — zapytali Carmaux i Van Stiller jednogłośnie.

— Tak, widzę szalupę na świetlnej połaci — odparł Czarny Korsarz.

— Damy radę ich dogonić?

— A jakże!

— Cała naprzód, Van Stillerze!

— Wiosłuj, co siłą, Carmaux!

— Przytrzymaj dłużej wiosła w wodzie, Van Stillerze. Mniej się zmęczymy, a szybciej popłyniemy.

— Cisza. Nie trwońcie energii na gadulstwo! — przywołał ich do porządku Czarny Korsarz. — Naprzód, moje dzielne wilki morskie! Prawie już go mamy.

Czarny Korsarz chwycił za muszkiet i wstał, starając się wypatrzeć pośród cieni na pokładzie łodzi znieawidzonego księcia.

W pewnym momencie położył się na dziobie, opierając broń o burtę, po czym wycelował i wystrzelił. Huk poniósł się echem hen, daleko. Odpowiedziała mu cisza. To mogło oznaczać tylko jedno — chybił celu.

— Pudło, kapitanie?

— Tak sędzę — odpowiedział Czarny Korsarz, zaciskając ze złości zęby.

— Wiosłuj szybciej, Van Stillerze!

— Zaraz mi mięśnie popękają, Carmaux — odpowiedział zasapany hamburczyk.

Łódź Van Goulda, pomimo nadludzkiego wysiłku Indianina, traciła na prędkości. Gdyby wiosłarz miał obok siebie towarzysza ze swojego plemienia, to z pewnością udało by mu się utrzymać stałą prędkość aż do świtu, powszechnie bowiem było wiadomo, że czerwonoskórzy zamieszkujący tereny Ameryki Południowej słyną z umiejętności wiosłarskich. Tymczasem tracił prowadzenie, głównie z winy hiszpańskiego oficera i Van Goulda, którzy bardzo nieumiejętnie zagrzewali go do wysiłku.

Łódź była już bardzo widoczna, zwłaszcza że wciąż płynęła po rozświetlonym przez nocoświatliki morzu. Indianin wiosłował co sił.

Gdy piratów dzieliła od Van Goulda odległość dwóch kabli, Czarny Korsarz wstał, wycelował w przeciwnika po raz kolejny i zawołał tubalnym głosem:

— Poddajcie się, bo będę strzelał!

Nikt jednak nie odpowiedział. Łódź zrobiła nagły zwrot, kierując się już nie na otwarte morze, ale w stronę przybrzeżnych mokradel, co wskazywałoby, że Van Gould postanowił szukać schronienia na nieodległej rzece Catatumbo.

— Radzę ci się poddać, morderco moich braci! — wykrzyknął po raz kolejny Czarny Korsarz.

Jednak także tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— A więc umrzesz, nikczemniku! — zagrział Czarny Korsarz.

Wziął na cel Van Goulda, który teraz znajdował się zaledwie czterysta jardów od niego. Wzburzone energicznymi uderzeniami wiosel fale chwiały łódką, co z kolei uniemożliwiało precyzyjne oddanie strzału.

Trzy razy opuszczał muszkiet i trzy razy go podnosił, celując w uciekinierów. Za czwartym razem padł strzał.

Rozległ się krzyk i ktoś wpadł do wody.

— Dostał? — krzyknęli jednogłośnie Carmaux i Van Stiller.

Czarny Korsarz zaklął. Trafił Indianina, nie Van Goulda.

— Samo piekło mu sprzyja, czy co?! — wykrzyknął z wściekłością Czarny Korsarz.
— Cała naprzód, moje wilki morskie! Weźmiemy go żywcem.

Łódź przeciwnika płynęła dalej, choć bez Indianina straciła znacznie na prędkości.

Dogonienie jej było już kwestią minut, musiałyby upłynąć jeszcze wiele czasu, zanim Carmaux i Van Stiller by się naprawdę zmęczyli.

Gubernator Van Gould i towarzyszący mu oficer, kiedy zdali sobie sprawę, że nie są w stanie stawić czoła piratom, skierowali się ku niewielkiej wysepce, od której dzieliło ich około trzech kabli, z nadzieją, że tam nie dosięgną ich kule groźnego przeciwnika.

— Carmaux — zauważył Czarny Korsarz — skróćli w stronę wysepki.

— Chcą zejść na ląd?

— Tak mi się zdaje.

— A zatem już się nam nie wymkną. Do stu piorunów!

— Do kroćset! — krzyknął Van Stiller.

W tym momencie ktoś krzyknął:

— Kto płynie?

— Hiszpanie! — odpowiedzieli gubernator i towarzyszący mu oficer.

Czarny Korsarz odwrócił się. Zza znajdującego się na wysepce wzniesienia wyłonił się nagle wielki cień przesuwający się w kierunku jeziora. Był to ogromny statek, który na pełnych żaglach płynął w kierunku dwóch łodzi.

— A niech to! — krzyknął Czarny Korsarz.

— To jeden z naszych statków? — zapytał Carmaux.

Czarny Korsarz nie odpowiedział. Siedział pochylony na dziobie, z dłońmi zaciśniętymi na lufie muszkietu.

— To hiszpańska karawela¹¹⁸! — wykrzyknął. — Niech będzie przeklęty ten nikczemnik! Po raz kolejny wymyka mi się z rąk!

— Jak nas złapie, każe nas wszystkich powiesić — dodał Carmaux.

— Tak łatwo nas nie dostanie — odparł Czarny Korsarz. — Szybko, płyncie do brzegu, zanim kule armatnie posła nas na dno.

— Do pioruna!

— Do stu piorunów! — dodał hamburczyk, pochylając się nad wiosłami.

Ich łódka zrobiła nagły zwrot i skierowała się ku brzegowi wysepki, odległej o niecałe dwa kable. W obawie przed ostrzałem przeciwnika piraci postanowili schować się za przybrzeżnymi skałami.

Tymczasem Van Gould i towarzyszący mu oficer weszli na pokład karaweli i powiadomili jej kapitana o zagrażającym im niebezpieczeństwie. Marynarze natychmiast zaczęli się uwijać, brasując żagle.

— Szybciej! — krzyknął Czarny Korsarz.

— Hiszpanie zaraz rozpoczną pościg.

— Jeszcze jakieś sto jardów do brzegu — odpowiedział Carmaux.

W tej właśnie chwili coś błysnęło, kłęb dymu zasnuł dziób statku, po czym grad pocisków spadł na przybrzeżne skały.

— Szybciej, szybciej — pogańiał piratów Czarny Korsarz.

Karawela przepłynęła obok cypla i przygotowywała się do zmiany kursu. Spuszczono na wodę trzy szalupy, które miały rozpocząć pościg za piratami. Carmaux i Van Stiller zamierzali pod osłoną przybrzeżnych skał jak najszybciej oddalić się z plaży.

Dobili do brzegu. Czarny Korsarz zabrał z łodzi muszkiety i skierował się w stronę najbliższych drzew, szukając za nimi schronienia.

Carmaux i Van Stiller, widząc w oddali błysk płonącego lontu na dziobie karaweli, padli na wznak za szalupą i skulili się w piasku. Ten manewr ocalił im życie, albowiem kilka sekund później kolejna armatnia salwa obróciła w perzynę krzaki i rosnące na plaży palmy, a ważąca trzy funty kula wystrzelona z działa mniejszego kalibru, które znajdowało się na rufie, roztrzaskała w drzazgi łódź piratów.

— Teraz! — krzyknął Czarny Korsarz.

Dwaj piraci, którzy cudem uszli z życiem spod ostrzału, pobiegli plażą w głąb lądu i zaszyli się między drzewami, zanim przeciwnik zdążył posłać za nimi kolejną serię kul.

— Jesteście ranni? — zapytał Czarny Korsarz.

— Piratów kule się nie imają — powiedział Carmaux.

— Za mną, nie traćmy czasu — rozkazał Czarny Korsarz.

Trzej piraci, nie bacząc na ostrzał prowadzony z karaweli, uciekli w głąb puszczy i zaszyli się w gęstwinie.

Wysepka znajdowała się naprzeciwko ujścia rzeki Catatumbo, niewielkiego ciekurodnego, który przecina rozpięte na mniej więcej pół mili tereny podmokłe i wpływa do jeziora Maracaibo. Miała kształt stożka, którego wierzchołek sięgał około czterystu metrów wysokości ponad poziom wody. Zbocza pokryte były gęstą roślinnością, na którą składały się zasadniczo przepiękne cedry, drzewa bawełniane, kolczaste rośliny z rodziny wilczomleczowatych i różne gatunki palm.

Na swej drodze piraci nie napotkali żadnego żywego stworzenia. Gdy w końcu dotarli do podnóża wierzchołka, postanowili zrobić postój, by zregenerować siły, byli bowiem wycieńczeni wędrówką. Po krótkim odpoczynku zaczęli przedzierać się przez cierniste krzewy i gęsto porastającą zbocza różnorodną roślinność. Zależało im, by jak najszybciej wspiąć się na szczyt, skąd mogli lepiej obserwować poczynania wroga i przewidzieć jego ruchy.

Wspinaczka na górę zajęła im dwie godziny, gdyż kordelasami musieli utorować sobie drogę poprzez gęste zarośla. W końcu jednak znaleźli się na wierzchołku z rzadka porośniętym roślinnością. Księżyc w pełni oświetlił morską toń, mogli więc bardzo dokładnie przyjrzeć się karaweli.

¹¹⁸karawela — rodzaj jednopokładowego, szybkiego żaglowca z XV–XVII w. [przypis edytorski]

Statek zakotwiczył półtora kabla od brzegu, natomiast trzy szalupy, które rozpoczęły pościg, zatrzymały się przy roztrzaskanej wybuchem indiańskiej pirodze¹¹⁹.

Marynarze już zesli na ląd. W obawie przed zasadzką nie mieli jednak odwagi zapuścić się w głąb dżungli. Rozłożyli się obozem na plaży i rozpalili kilka ognisk, które miały uchronić ich przez bezlitosnymi atakami komarów, latających w wielkich chmarach wzdłuż brzegu jeziora Maracaibo.

— Zaczekają z pościęciem do świtu — skonstatował Carmaux.

— Masz rację — odpowiedział Czarny Korsarz przytłumionym głosem.

— Do pioruna! Szczęście za bardzo sprzyja temu łotrzykowi!

— A może nawet sam diabeł we własnej osobie!

— Albo i jedno, i drugie. Bo to już drugi raz wymknął nam się z rąk.

— I co więcej, role się odwróciły — myśliwy stał się zwierzyną — dodał hamburczyk.

— To się jeszcze okaże — powiedział Carmaux. — Jesteśmy wciąż wolni, a poza tym mamy czym się bronić — dodał.

— Jak się niby chcesz bronić, kiedy cała załoga tej karaweli przypuści szturm? — zapytał Van Stiller.

— W Maracaibo byliśmy okrążeni w domu notariusza, a mimo to udało nam się wyjść z tego bez szwanku.

— Zgadza się — odparł Czarny Korsarz. — Tyle tylko, że to nie jest dom notariusza i nie ma tutaj żadnego hrabiego Lermy, który mógłby nam pomóc.

— A więc zadyndamy? Gdyby tak Franciszek l'Olonnais pośpieszył nam na ratunek!

— Pewnie jest jeszcze zajęty łupieniem Maracaibo — odpowiedział Czarny Korsarz. — Póki co nie możemy na niego liczyć.

— Myślicie, że jest stąd jakaś droga ucieczki?

— Nie mam pojęcia — odparł Carmaux.

— Kapitanie, czy Franciszek l'Olonnais jeszcze długo zabawi w Maracaibo?

— Właściwie to powinien już tu być. Ale dobrze znasz jego chciwość, pewnie podążył za Hiszpanami, którzy uciekli z miasta i pochowali się w lasach.

— Kapitanie, ale umówiłeś się z nim przecież.

— Tak, jesteśmy umówieni przy ujściu rzeki Catatumbo albo Suany — odpowiedział Czarny Korsarz. — Miejmy nadzieję, że wkrótce się tam zjawi.

— Ale ile mamy czekać?

— Do stu piorunów! Nie zasiedzi się chyba w Maracaibo całymi miesiącami! Przecież w jego interesie jest jak najszybciej zaatakować Gibraltar!

— Tak, wiem.

— Nie trać wiary, zobaczysz, że się zjawi, i to całkiem szybko.

— Tylko żeby zdążył przed naszą śmiercią... Myślisz, że Van Gould odpuści i zostawi nas żywych na tym wierzchołku? Nie, mój drogi, urządzi oblawę i zrobi wszystko, żeby nas schwytać, zanim nasi kamraci przyjdą nam z pomocą. Za bardzo mnie nienawidzi, żeby dać sobie spokój i pozwolić mi żyć. Być może nawet już teraz zarzucił na jakieś drzewo sznur, który będzie chciał zacisnąć na mojej szyi.

— Nie wystarczyła mu śmierć Czerwonego i Zielonego Korsarza? Ten nikczemnik jest jak wściekły pies.

— Nie, najwyraźniej nie wystarczyła — odpowiedział ponurym głosem Czarny Korsarz. — On chce zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko, co się wiąże z moją rodziną. Ale dopóki żyję, nie tracę nadziei, że uda mi się pomścić moich braci. Być może Franciszek l'Olonnais jest już niedaleko, i jeśli wytrzymamy kilka dni, zdąży nam przyjść na ratunek. A Van Gould zapłaci w końcu za swoje zdrady i zbrodnie.

— Co zamierzasz zrobić, kapitanie? — zapytali dwaj piraci.

— Trzeba będzie jak najdłużej stawiać opór.

— Tutaj? — zapytał Carmaux.

— Tak, na szczycie tego wzgórza.

— Trzeba będzie się okopać.

— Bierzmy się do roboty. Do świtu zostały jakieś cztery godziny.

¹¹⁹ *piroga* — indiańska łódź wykonana z wydrążonego pnia. [przypis edytorski]

— Do stu piorunów! Van Stillerze, przyjacielu, nie ma czasu do stracenia. Gdy tylko nadejdzie świt i wszędzie słońce, Hiszpanie z miejsca zaczną nas szukać.

— Jestem gotów! — odparł hamburczyk.

— Do roboty, mój drogi — odparł Carmaux. — Kapitanie, podczas gdy ty będziesz stał na straży i wypatrywał wroga, my się okopimy i wybudujemy barykadę, które wystawią na ciężką próbę siłę i cierpliwość naszych przeciwników. Chodź za mną, hamburczyku!

Szczyt wzniesienia zasłany był olbrzymimi głazami, z których piraci mieli doskonały punkt obserwacyjny. Tocząc je razem z mozołem, utworzyli okrągłą barykadę, zza której mogli skutecznie razić wroga z pozycji leżącej lub kłęczącej, nie wystawiając się tym samym na jego ostrzał. Całość zajęła im dwie godziny. Piraci byli zadowoleni z efektu. Za tak zbudowaną osłoną byli w stanie przetrzymać długie oblężenie.

Jednak mur miał pewne wady. O ile sprawdziłby się jako stanowisko obronne w przypadku ostrzału, o tyle nie powstrzymałby jednak błyskawicznego szturmego wroga. Piraci postanowili temu zaradzić i udali się na poszukiwanie ciernistych krzewów. Zapuscili się w tym celu do lasu i na naprędce splecionych z gałęzi noszach wnieśli na szczyt kłujące chaszczki, z których utworzyli kolczaste zasieki. Jego pokonanie z pewnością poraniłoby ręce i nogi nacierających żołnierzy.

— I oto mamy naszą małą twierdzę. Tak łatwo tej przeszkody nie pokonają, jeśli postanowią tu po nas przyjść — powiedział z przekonaniem Carmaux, zacierając ręce z satysfakcją.

— Ale jednej rzeczy brakuje. Mam na myśli coś takiego, czego w żadnym oddziale, nawet najmniejszym, nie może zabraknąć — zauważył hamburczyk.

— Mianowicie? — zapytał Carmaux.

— Spiżarni notariusza z Maracaibo, mój przyjacielu.

— Do stu piorunów! Zupełnie zapomnieliśmy, że nie mamy żadnej, choćby najmniejszej przekąski.

— Na pewno się ze mną zgodzisz, że trudno nam będzie przemienić te kamienie w chleb.

— Ruszajmy do lasu na polowanie. Jeśli tylko Hiszpanie na nas nie ruszą, z pewnością coś upolujemy — rzekł, po czym spojrzal w kierunku skały, na której Czarny Korsarz przyglądał się działaniom wroga i zapytał:

— Coś się dzieje?

— Na razie nic.

— A zatem wykorzystajmy to i chodźmy zapolować.

— Idźcie, ja będę stał na straży i pilnował.

— W razie zagrożenia daj nam, kapitanie, sygnał wystrzałem z muszkietu.

— Tak zrobię.

— Chodź, Van Stillerze — powiedział Carmaux. — Idziemy ogołocić drzewa, a przy okazji złapiemy jakieś dzikie zwierzę.

Dwaj piraci chwycili za splecione nosze, na których wnieśli na szczyt cierniste krzewy, po czym skierowali się w dół i po chwili zniknęli w leśnych ostępach.

Wrócili dopiero o świcie, obładowani jak zwierzęta juczne.

Okazało się, że trafili na ziemię, którą ktoś uprawiał, być może jacyś tubylcy z okolicznych wysp. Zaopatrzyli się w rosnące tam owoce. Przynieśli kokosy, pomarańcze, dwie główki kapusty i ogromnego żółwia błotnistego, którego znaleźli w pobliżu niewielkiego jeziora.

W sumie — jeśli oszczędnie gospodarować zapasami — wystarczyłoby wszystkiego przynajmniej na cztery dni.

Poza tym, że przynieśli owoce, warzywa i żółwia dokonali też zbawiennego odkrycia, które pomogłoby im unieszkodliwić na jakiś czas przeciwników.

— Ha! Ha! — krzyczał rozbawiony Carmaux, który nie posiadał się z radości. — Mój drogi hamburczyku, nieźle się zdziwi Van Gould i jego oddziały, jeśli najdzie go ochota, żeby tu po nas przyjść. W tym ukropie cały czas chce się pić, a przecież ani nie będą wracać się napić na swoją karawelę, ani też nie będą taszczyć ze sobą beczek z wodą. Ha! Ha! Spryciarze z tych Indian, nie ma co! *Niku* działa cuda!

— Jesteś pewien tego, co mówisz? — zapytał Van Stiller, który nie wyglądał na przekonanego. — Ja w to za bardzo nie wierzę.

— Do stu piorunów! Przecież na własnej skórze, a raczej brzuchu, tego doświadczyłem. To istny cud, że nie przekręciłem się z bólu.

— Jesteś pewien, że się na to nabiorą i skorzystają z tego wodopoju?

— A widziałeś jakieś inne w okolicy?

— Poza tym jeziorkiem żadnego.

— A więc nie ma innego miejsca, w którym mogliby zaopatrzyć się w wodę.

— Chciałbym zobaczyć, jak działa to twoje *niku*.

— Sam się przekonasz, będą się związać z bólu brzucha.

— A kiedy zatrujemy wodę?

— Kiedy tylko będziemy mieć pewność, że przypuszczą atak na wzgórze.

W tym momencie Czarny Korsarz, który przez cały czas stał na krawędzi skały i bacznie obserwował, co dzieje się w dole, zszedł z punktu obserwacyjnego i rzekł:

— Dookoła wyspy pływają szalupy.

— Myślą, że będziemy uciekać? — zapytał Carmaux.

— Nie inaczej.

— Kapitanie, my jesteśmy gotowi stawić im czoło w walce. Przez tę kamiennokolczastą barykadę niełatwo im się będzie przebić, być może wytrzymamy do przybycia Franciszka l'Olonnais i naszej pirackiej braci.

— Jeśli tylko Hiszpanie nam na to pozwolą. Widziałem, że na ląd zszedł czterdziestoosobowy oddział.

— Aj! — odparł na to Carmaux z niepokieszoną miną. — Sporo ich, cała nadzieja w *niku*.

— Co to takiego to *niku*? — zapytał Czarny Korsarz.

— Pozwól za mną, kapitanie. A Van Stiller tymczasem zostanie na straży.

Uzbroili się w muszkiety i zesli w dół, znikając w lesie, w którym rosły cedry, palmy, *simaruby* i drzewa bawełniane, torując sobie drogę pośród gęsto zwisających lian.

Ich obecność wypłoszyła z leśnej gęstwiny kilka skrzekliwych papug i wyjców rudych. Zesli około pięciuset stóp, aż w końcu dotarli do jeziora, które Carmaux przesadnie określił mianem jeziora; w rzeczywistości miało ono zaledwie około tysiąca stóp obwodu. Był to naturalny zbiornik wodny, raczej płytki, w którym rosło wiele gatunków roślin wodnych, zwłaszcza *mucumucú*, tworzących na jego powierzchni gęste skupiska.

Carmaux pokazał Czarnemu Korsarzowi obrośnięte pędami łądygi, przypominające wyglądem liany. Rosły splecione ze sobą niczym węże czy krzaki pieprzu.

— To za sprawą tych właśnie roślin Hiszpanie dostaną bolesnych kolek — powiedział pirat.

— W jaki sposób? — zapytał ciekawy Czarny Korsarz.

— Wkrótce sam zobaczysz, kapitanie.

Pirat dobył kordelasa i naciął całe namiętnie łądygi, przez wenezuelskich i gujańskich Indian zwanych *niku*, a przez naukowców określanych mianem robinii. Następnie utworzył z nich wiązki, które położył na pochyłej, wpadającej do stawu skale.

Kiedy zebrał już prawie czterdzieści wiązek, ściął dwie długie i masywne gałęzie, jedną z nich podając Czarnemu Korsarzowi.

— Kapitanie, posiekaj teraz te rośliny — rzekł pirat do Czarnego Korsarza.

— Co chcesz zrobić?

— Zatruć wody tego stawu, kapitanie.

— Tymi niby łądyżkami?

— Tak właśnie.

— Co to za bzdury?!

— Żadne bzdury, kapitanie. *Niku* upija ryby, u ludzi zaś wywołuje straszne bóle brzucha.

— Odurza ryby? Co ty pleciesz za androny?

— Nie słyszałeś nigdy, jak Karaibowie łowią ryby?

— Z pewnością, jak wszyscy, używają sieci.

Truczna

— Otóż nie, kapitanie. Wyciskają wprost do jeziora sok z tych roślin, a oszołomione trucizną ryby po chwili wypływają na powierzchnię, kotłując się niezdarne, a Indianie z łatwością łapią je gołymi rękoma.

— I mówisz, że u ludzi powoduje bóle brzucha?

— Tak, kapitanie, a w związku z tym, że na tym wzgórzu ani w okolicach nie ma żadnych innych jezior ani źródeł, właśnie tutaj hiszpańscy żołnierze będą musieli zaczerpnąć wody.

— Spryciarz z ciebie, Carmaux. A zatem zatrujmy to jezioro.

Chwycili za gałęzie i zaczęli mocno uderzać nimi w rośliny, rozbijając na miazgę pędy, z których w dużych ilościach wypływał trujący sok i spływał do stawu.

Woda najpierw zabarwiła się na białą, zupełnie, jakby ktoś wymieszał ją z mlekiem, a następnie przyjęła kolor macicy perłowej. Roślinny sok jednak szybko się rozrzedził i woda na powrót zyskała swoją naturalną barwę. Nikt by się nie zorientował, że wodę zatruto tą substancją, która sama w sobie nie stanowiła śmiertelnego zagrożenia, wywoływała za to bardzo nieprzyjemne dolegliwości.

Dwaj piraci wrzucili jeszcze do jeziora resztki łądyg z pędami, po czym zauważyli, że na powierzchni zaczęły się kotłować liczne ryby. Chciały się z niej jak najszybciej wyskoczyć, najwyraźniej nie czuły się już... jak ryby w wodzie. Wołały paść na piaszczystym brzegu niż wdychać truciznę, wpadając w oszalamiający trans.

Carmaux pomyślał, że warto skorzystać z okazji i zdobyć dodatkowe zapasy. Obawiał się, że na wypadek oblężenia wroga przyjdzie im później głodować. Zbiegł więc do brzegu i kilkoma uderzeniami gałęzi ogłuszył płaszczkę, piranię i jednego *pemercu*.

— Tego nam było trzeba! — krzyknął zadowolony ze zdobyczy Carmaux, po czym rzucił się biegiem przed siebie w kierunku kapitana.

— I tego też! — zdążył jeszcze dodać.

Nagle rozległ się ogłuszający huk. Kapitan dał nura w krzaki. Carmaux padł jak długi i znieruchomiał.

ROZDZIAŁ XXXI. SZTURM NA WZNIESIENIE

Czarny Korsarz był przekonany, że kamrat strzelił do jakiegoś zwierzęcia, ani na chwilę nie przypuszczał, że Hiszpanie dotarli już do podnóża wierzchołka.

Nie widząc go, zaczął krzyczeć:

— Carmaux! Carmaux! Gdzie jesteś?

W odpowiedzi usłyszał jednak tylko znajomy świst, podobny do syku węża. Zamiast rzucić się przed siebie, schował się szybko za konarem olbrzymiej *simaruby* i bacznie wpatrywał się w roztaczającą się przed nim przestrzeń.

Dopiero wówczas obok palmowego zagajnika zauważył obłoczek dymu, który powoli rozpływał się nad polaną.

„Strzelali stamtąd” — pomyślał w duchu. „Ale gdzie się podział Carmaux? Jeśli dał mi znak, to zapewne znajduje się w pobliżu i prawdopodobnie uszedł cało z zasadzki. No proszę, Hiszpanie już tu są. W takim razie do dzieła. Wreszcie wyrównamy rachunki!”

Znalazł sobie dobre stanowisko obserwacyjne — gruby konar *simaruby* osłaniał go przed ewentualnym atakiem nieprzyjaciół, a wysokie w tym miejscu trawy pozwalały mu z ukrycia niepostrzeżenie obserwować, co działo się na polanie. Niczego nie wypatrzył od strony lasu, skąd padł strzał. Ale jakieś pięćdziesiąt stóp od *simaruby*, w miejscu, w którym rosła kępka krzaków, zauważył, że coś się poruszyło.

„Ktoś czołga się w moją stronę” — powiedział w duchu. „To pewnie Carmaux. A może podstępem chce mnie wziąć jakiś Hiszpan? Arkebus jest nabity, a chybić celu mi się nie zdarza”.

Trwał nieruchomo przez kilka chwil, przystawiając ucho do ziemi. Słyszał wyraźnie czołgającego się wśród traw człowieka. Błyskawicznie powstał i zaczął przepatrywać wysokie trawy.

„Ach” — westchnął głęboko.

Pięćdziesiąt stóp od drzewa ostrożnie i podstępnie jak wąż czołgał się Carmaux.

„Spryciarz z niego” — pomyślał Czarny Korsarz. „Oto człowiek, który wyjdzie cało z każdej opresji. A co się stało z Hiszpanem, który do niego strzelał? Czyżby zapadł się pod ziemię?”

Carmaux nadal się czołgał, kierując się w stronę olbrzymiej *simaruby* i pozostając w ukryciu w obawie, że moment nieuwagi narazi go na kolejny strzał.

Dzielny Czarny Korsarz przez cały czas pilnował broni i ryb. A niech to licho! Przecież nie na darmo zadał sobie tyle trudu, żeby je złapać.

Na widok Czarnego Korsarza Carmaux przestał się obawiać, błyskawicznie się podniósł i kilkoma susami do niego dobiegł, chowając się za konarem *simaruby*.

— Jesteś ranny? — zapytał go Czarny Korsarz.

— Tak jak ty — odparł z uśmiechem.

— Myślałem, że cię trafili.

— Udawałem, że dostałem. Padłem jak kłoda na ziemię, żeby myśleli, że mnie trafili.

A ja jestem jeszcze żywszy niż przedtem. Te kapuściane głowy myślały, że dam się posłać na tamten świat, zupełnie jakbym, nie przymierzając, był jakimś głupim Indianinem. A Carmaux to przecież spryciarz.

— A gdzie się podział ten, co do ciebie strzelał?

— Wydaje mi się, że uciekł, gdy tylko usłyszał twój głos. Jednak trudno powiedzieć, w którą stronę, stałem i patrzyłem w kierunku zarośli, ale nie widziałem, w którą stronę pobiegł.

— Był sam?

— Tak.

— Hiszpan?

— Marynarz.

— Myślisz, że będzie nas śledzić?

— Tego nie można wykluczyć. Ale nie sądzę, żeby się odważył pokazać, skoro teraz jest nas dwóch.

— Carmaux, wracajmy na wierzchołek. Niepokoję się o Van Stillera.

— A jeśli zaatakują nas z zaskoczenia? Ten Indianin mógł nie być sam, reszta mogła zaiść się w zaroślach.

— Będziemy mieć oczy szeroko otwarte i palec na spuście. W drogę, kamracie!

Ruszyli w drogę, trzymając muszkiety wymierzone w zarośla, aż w końcu dotarli do gęstych krzaków, które dały im upragnioną osłonę.

Chwilę czekali w ukryciu, chcieli bowiem upewnić się, czy nie byli śledzeni. Nikt się nie pokazał ani nikogo nie było słyhać, ruszyli zatem dziarskim krokiem w dalszą wędrowną, wspinając się po stromych i gęsto porośniętych roślinnością zboczach.

Dwadzieścia minut wystarczyło, żeby pokonać odległość, która dzieliła ich od małego umocnionego obozowiska.

Pełniący wartę na samym szczycie Van Stiller wybiegł im naprzeciw:

— Słyszałem wystrzał. Kapitanie, czy to ty strzelałeś?

— To nie ja. Zauważyłeś kogoś?

— Nikogo nie widziałem. Poza tym cisza jak makiem zasiał. W pobliżu nikogo. W oddali natomiast i owszem — grupa marynarzy opuściła plażę i weszła w głąb puszczy.

— A karawela wciąż jest na kotwicy?

— Niezmiennie.

— A szalupy?

— Patrolują wybrzeże i blokują możliwość ucieczki z wyspy.

— Kto przewodził tej grupie, która weszła do lasu?

— Widziałem na ich czele jakiegoś siwobrodego starca.

— Przecież to on! — wykrzyknął Czarny Korsarz, mocno zaciskając ze złości zęby.

— Niech ten lajdak tylko się tu pojawi. Zobaczmy, komu będzie sprzyjało szczęście i czy fortuna go ochroni od mojego arkebuz.

— Jak myślisz, kapitanie, ile czasu im zabierze, żeby się tu dostać? — zapytał Carmaux, który zaczął właśnie zbierać chrust.

— Być może nie odważy się zaatakować nocą i zaczekają na nowy dzień.

— W takim razie możemy przygotować kolację i się posilić. Powiem wam szczerze, że nie wiem, gdzie się podziały moje jelita. Van Stiller, upiecz, proszę, te dwie wspaniałe płaszczki. Jestem pewien, że tak ci zasmakują, że będziesz jadł, aż ci się będą uszy trzęsły.

— A co jeśli zniecka nadejdą Hiszpanie? — zapytał wyraźnie zaniepokojony ham-burczyk.

— Wtedy jedną ręką będziemy jeść, a druga walczyć. Dla nas płaszczki, dla nich ołowiane kulki. Potem zobaczymy, kto co lepiej strawi.

Gdy Czarny Korsarz wszedł na wierzchołek i zaczął obserwować okolicę, dwaj piraci rozpalili ognisko i zabrali się do pieczenia ryb, uprzednio oczyściwszy je z długich ości.

Pół godziny później Carmaux ogłosił tryumfalnym tonem, że kolacja jest gotowa, Hiszpanie natomiast jak dotąd wcale się nie pojawili. Trzech piratów zasiadło do posiłku. Ledwie zdążyli ugryźć pierwszy kęs, kiedy od strony morza dało się słyszeć potężny huk armat.

— Działo! — wykrzyknął Carmaux.

Nie zdążył zamknąć ust, a występ skalny, który służył piratom za punkt obserwacyjny, runął i rozbił się z łomotem na drobne kawałki u stóp góry.

— Do kroćset...! — krzyknął Carmaux, skacząc na równe nogi.

— Furmanów fur beczek! — dokończył Van Stiller.

Czarny Korsarz rzucił się na skraj urwiska, żeby zobaczyć, skąd wystrzelono kulę.

— Na tabuny ludożerców! — krzyknął Carmaux. — Żeby nawet zjeść nie można było w świętym spokoju nad tym przeklętym jeziorem Maracaibo. Niech piekło pochłonie Van Goulda i wszystkich okazujących mu ślepe posłuszeństwo. Kolacja poszła z dymem! A takie smakowite płaszczki!

— Carmaux, nie złość się, przegryziesz sobie potem kawałek zółwia i ci przejdzie.

— Jeśli Hiszpanie nam na to pozwolą — powiedział Czarny Korsarz, który tymczasem wrócił do ogniska. — Nacierają od strony lasu, a od strony morza ostrzeliwuje nas karawela.

— Chcą nas zetrzeć na miazgę? — zapytał Carmaux.

— Raczej zrobią z nas to, co my z tych płaszczek! — odparł Van Stiller.

— Na szczęście my jesteśmy płaszczkami, które potrafią być groźne, mój drogi. Kapitanie, widać już Hiszpanów?

— Są jakieś sześćset jardów od nas.

— Do kroćset!

— Co się dzieje?

— Mam pomysł, kapitanie.

— Zamieniam się w słuch.

— Skoro karawela nas ostrzeliwuje, to i my ostrzelajmy Hiszpanów.

— Widzisz tu gdzieś jakieś działo, Carmaux? Czy może słońce przegrzało ci mózg?!

— Ani jedno, ani drugie, kapitanie. Miałem na myśli coś innego — trzeba tylko sturlać w dół te głązy. Zbocze jest strome, więc na pewno się nie zatrzymają w połowie.

— Pomysł jest dobry i w odpowiednim momencie go skuteczniemy. A tymczasem, moi dzielni kamraci, rozdzielmy się i niech każdy pilnuje swojego stanowiska. Ale oddalcie się od skały, bo jeszcze oberwiecie jakimś odłamkiem w głowę.

— Wystarczyły mi te, które spadły mi na plecy — powiedział Carmaux, pakując do kieszeni kilka mango. — Zobaczymy, czego mogą od nas chcieć te lotry. Słono mi zapłącą za te płaszczki.

Rozdzielili się i każdy poszedł na swoje stanowisko, ukryte pośród krzaków, które otaczały wierzchołek, czekając na nieprzyjaciela z wycelowanymi muszkietami.

Marynarze karaweli, licząc być może na sowitą zapłatę ze strony gubernatora, wspinali się zawzięcie po stromych zboczach, torując sobie drogę pośród gęsto rosnących krzewów. Byli jeszcze zbyt nisko, żeby mogli ich zobaczyć piraci, choć dobrze słyszeli odgłos ciętych gałęzi czy lian, które utrudniały marsz Hiszpanom, i ich głośnie rozmowy.

Nacierali z dwóch stron zbocza, w dużych, zwartych grupach, gotowi zmierzyć się z każdą niespodzianką. Jeden oddział już obszedł jezioro, drugi natomiast nadciągał od strony głębokiej doliny.

Czarny Korsarz upewnił się co do spodziewanego kierunku ataku, po czym postanowił wdrożyć plan zaproponowany przez Carmaux, chcąc staranować za pomocą rozpędzonych kamieni wspinających się wąskim gardłem zbocza marynarzy.

— Pozwólcie do mnie, moi dzielni przyjaciele — rzekł do swoich kamratów. — Najpierw zajmijmy się oddziałem, który chce nas zaatakować od tyłu. Potem zajmijmy się tymi, którzy nadchodzą od strony jeziora.

— W ich przypadku mam nadzieję, że unieszkodliwi ich *niku* — rzekł Carmaux. — Ugaszą pragnienie, po czym będą uciekać, gdzie pieprz rośnie, trzymając się za brzuchy.

— Na moją komendę... — rzekł Czarny Korsarz, widząc toczącego ogromny głaz hamburczyka. — Teraz! — dał rozkaz dowódcy.

Dwóm piratom nie trzeba było powtarzać, od razu zaczęli toczyć w kierunku krawędzi, z zawrotną prędkością, tuzin głazów, a następnie zepchnęli je wąskim gardłem zbocza.

Potężna kamienna lawina z siłą i prędkością huraganu potoczyła się przez las, podskakując, taranując krzaki i młode drzewa, które napotykała na swej drodze.

Na rezultat nie trzeba było długo czekać. Po kilku sekundach w dolinie podniosły się krzyki przerażenia, a zaraz za nimi odgłosy wystrzałów z muszkietu.

— Ha! Macie za swoje! — krzyknął Carmaux tryumfalnie. — Najwyraźniej ktoś tam na dole oberwał!

— Widzę wycofujących się biegiem w popłochu ludzi — powiedział Van Stiller, który wspiął się na szczyt wzniesienia, z którego miał dobrą widoczność na to, co działo się u jego podnóża.

— Wydaje mi się, że dostali za swoje i skutecznie wybiliśmy im z głowy szturm.

— Hamburczyku, pokażmy im, że stać nas na więcej. Nie będą mieli wątpliwości, z kim mają do czynienia.

— Jestem gotów, Carmaux. Dawaj!

Piraci zepchnęli jeszcze raz całą lawinę olbrzymich kamieni. Drugi zrzut stoczył się z takim samym hukiem, tratując roślinność porastającą zbocze i wysadzając z posad napotykaną na swojej drodze inne kamienie i głazy. Marynarze z karaweli salwowali się ucieczką na zbocza i chowali się za drzewami.

— Myślę, że póki co mamy od nich spokój — odrzekł Carmaux, zacierając z zadowolenia dłoń. — Dostali za swoje!

— Bierzmy się zatem za pozostałych — powiedział Czarny Korsarz.

— Jeśli nie dostali kolki od tej prędkiej ucieczki — dodał Van Stiller.

— Nie widać, żeby ktoś się wspinał.

— Cicho bądźcie.

Czarny Korsarz podszedł do krawędzi skały i przez kilka chwil nasłuchiwał.

— I co, nic? — zapytał zniecierpliwiony Carmaux.

— Cisza jak makiem zasiał — odparł Czarny Korsarz.

— Czyżby napili się *niku*?

— Czy może zakradają się, pełzając jak węże? — zapytał Van Stiller.

— Ostrożnie, żeby nas nie poczęstowali znienacka prochem.

— Pewnie się boją, że ich pozgniatamy jak robaki — skwitował Carmaux. — Być może nasza kamienna artyleria jest groźniejsza od tej, którą dysponuje karawela. A już na pewno nie jest tak kosztowna.

— Spróbuj oddać strzał w tamte zarośla — rozkazał Czarny Korsarz, zwracając się do hamburczyka. — Jeśli odpowiedzą, będziemy wiedzieć, jak się zachować.

Van Stiller poszedł w kierunku krawędzi, przykucnął za krzakiem i wypalił z arkebuza w sam środek zarośli.

Odgłos wystrzału poniósł się szerokim echem po lesie, lecz na tym się skończyło. Piraci odczekali chwilę, nadstawiając ucha i przepatrując gęste listowie, po czym wypalili z muszkietów każdy w innym kierunku.

Jednak także tym razem nie dało się słyszeć żadnej reakcji. Co zatem mogło się stać z drugim oddziałem, który wspinał się do góry od strony jeziora?

— Jak już strzelacie, to chociaż celnie — rzekł Carmaux. — Ta cisza ma w sobie coś złowróbnego, przeczuwam pułapkę. Kapitanie, co zamierzasz?

— Schodzimy, Carmaux — odpowiedział zaniepokojony Czarny Korsarz.

— A co, jeśli Hiszpanie się zaczęli i zechcą wziąć szturmem nasze obozowisko?

— Van Stiller zostanie tu na czatach. Chcę wiedzieć, co szykują nasi przeciwnicy.
— Chcesz to wiedzieć, kapitanie? — zapytał hamburczyk, który zrobił kilka kroków do przodu w kierunku krawędzi.

— I co, widzisz ich?

— Kilku tarza się po ziemi w spazmach.

— Gdzie?

— Tam na dole, zaraz przy jeziorze.

— Ha! Ha! — zaśmiał się na tę wiadomość Carmaux. — Chyba skosztowali *niku*. Trzeba im wysłać jakiś środek uśmierzający.

— W postaci kulki, prawda? — zapytał Van Stiller.

— Nie, dajcie im spokój — powiedział Czarny Korsarz. — Trzymajmy zapas amunicji na decydujące starcie. Poza tym nie ma sensu zabijać tych, którzy nam już nie zagrażają. Skoro spalili na panewce pierwszy ich atak, wykorzystajmy tę chwilę wytchnienia, by umocnić nasze obozowisko. To, czy się uratujemy, zależy tylko od nas samych.

— Dobrze by było, żebyśmy zjedli też kolację — powiedział Carmaux. — Mamy jeszcze żółwia, piranie i jednego *pemecru*.

— Oszczędzajmy prowiant, Carmaux. Możemy tu tkwić osaczeni nawet kilka dobrych tygodni. Franciszek l'Olonnais może zostać długo w Maracaibo, a dobrze wiesz, że tylko on nas może wyciągnąć z tej kabały.

— Zaspokoimy głód piraniami.

— Niech będzie.

Podczas gdy marynarz rozpałał wraz z hamburczykiem ognisko, Czarny Korsarz wdrapał się na skałę, żeby zobaczyć, co się dzieje na plaży małej wysepki.

Karawela stała na kotwicy, choć na jej pokładzie panowało spore zamieszanie i marynarze uwijali się jak w ukropie.

Wszystko wskazywało na to, że żołnierze ładowali kolubrynę¹²⁰, którą ustawili lufą w kierunku wzgórza, chcąc znów skierować ostrzał na szczyt wierzchołka.

Cztery szalupy pływały wzdłuż plaży, chcąc w razie czego uniemożliwić osaczonym jakkolwiek szansę ucieczki, choć obawa, że chcieliby uciec, była zupełnie bezpodstawna, zważywszy, że piraci nie mieli na wyposażeniu żadnej łódki ani też nie daliby absolutnie rady przepłynąć wpływ ogromnego dystansu dzielącego wyspę od ujścia rzeki Catatumbo.

Plaża była pusta. Wszystko wskazywało na to, że żaden z dwóch wysłanych przeciwko piratom oddziałów nie powrócił na brzeg.

ROZDZIAŁ XXXII. W RĘKACH VAN GOULDA

Podczas tego niekończącego się dnia ani Van Gould, ani marynarze na karaweli nie dawali znaków życia. Najwyraźniej byli przekonani, że ukrywający się na szczycie piraci prędeż czy później wpadną w ich łapy, uznali więc jakikolwiek szturm za bezcelowy.

Chcieli głodem i pragnieniem zmusić ich do kapitulacji, a nade wszystko zależało im na złapaniu słynnego Czarnego Korsarza żywcem, aby Van Gould mógł go potem powiesić, tak jak to uczynił z jego dwoma nieszczęsnymi braćmi na placu Maracaibo.

Carmaux i Van Stiller upewnili się, czy marynarze nie ruszyli się z obozowiska. Zapuścili się w knieje, zakradli się nieopodal miejsca, w którym rozbiły się obozem na zboczach wzniesienia liczne oddziały Hiszpanów. Nie spotkali natomiast żadnego z nich wokół jeziora, co było oczywistym dowodem na to, że napastnicy mieli okazję zasmakować *niku*.

Wraz z nastaniem wieczoru piraci zaczęli szykować się do zejścia ze wzgórza. Chcieli za wszelką cenę wyminąć wroga i przedrzeć się na jego tyły. Bezczyenne czekanie w okopach skazywało ich na powolną i pewną śmierć z głodu, a szanse na znalezienie pokarmu były bliskie zeru.

Około godziny jedenastej, kiedy upewnili się, że w okolicy żołdacy Van Goulda nie urządzili zasadzki ani nie zostawili swojego obozowiska, zabrali resztki prowiantu, a także podzielili się amunicją — dla każdego po trzydzieści pocisków — po czym opuścili po cichu niewielkie ufortyfikowane okopy i udali się w stronę jeziora.

¹²⁰kolubryna — ogólna nazwa ładowanych od przodu dział artyleryjskich używanych w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

Zanim jednak podjęli marsz, dokładnie wytyczyli jego trasę, tak żeby nie wpaść przypadkiem na oddziały Hiszpanów i nie poderwać ich do walki. Gdyby ich plan się nie ziścił, wszystko spaliłoby na panewce. A tylko tak mogli uniknąć konfrontacji z palającym żądzą zemsty i nienawiścią gubernatorem.

Istniało poza tym ryzyko, że spotkają na drodze pojedynczych wartowników i zwiadowców, mieli jednak nadzieję, że przy panujących w leśnej gęstwinie ciemnościach, a także dzięki ich sprytowi i ostrożności uda im się ich uniknąć.

Poruszali się powoli i ostrożnie, pelzając niczym gady. Musieli uważać, żeby nie strącić żadnego z leżących na zboczu kamieni. Po dziesięciu minutach dotarli do miejsca tak gęsto zalesionego, że nie docierały tam promienie słoneczne. Zatrzymali się i przez chwilę nasłuchiwali. Kiedy ujrzeli ogień obozowiska na zboczach wzniesienia, nie słysząc żadnych podejrzanych odgłosów, powzięli dalszą wędrówkę. W obawie, żeby nie szeleścić liśćmi i nie wpaść w jakieś zagłębienie czy zdradliwy lej, szli pochyleni, obmacując teren dłońmi.

Zeszli już na wysokość około tysiąca stóp, kiedy Carmaux, który szedł na czele pochodu, nagle się zatrzymał i schował za pnem dużego drzewa.

— Co jest? — zapytał go szeptem Czarny Korsarz, zatrzymując się tuż za jego plecami.

— Słyszałem odgłos łamiącej się gałązki — wyszeptał bardzo niewyraźnie pirat.

— Gdzieś w pobliżu?

— Nieopodal.

— Myślisz, że to jakieś zwierzę?

— Trudno powiedzieć.

— Czy może jakiś zwiadowca czy wartownik?

— Jest zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, kapitanie.

— Zatrzymajmy się na kilka minut.

Położyli się wszyscy trzej wśród traw i korzeni, po czym, wstrzymując oddech, zaczęli nasłuchiwać. Po kilku chwilach pełnego niepokoju oczekiwania usłyszeli dwóch ludzi, którzy szli w ich kierunku i rozmawiali po cichu:

— Zaraz się zacznie — powiedział jeden głos.

— Czy wszyscy są już gotowi? — zapytał drugi głos.

— Diego, nasi już pewnie opuścili obóz.

— Ale przecież na zboczu pali się jeszcze ognisko.

— To specjalnie, piraci mają myśleć, że nie ruszyliśmy się z miejsca.

— Gubernator to szczwany lis!

— To prawdziwy wojownik, Diego.

— Myślisz, że uda nam się ich złapać?

— Weźmiemy ich z zaskoczenia, zobaczysz.

— Ale będą się na pewno zajądło bronić. Sam Czarny Korsarz wart jest naszych dwudziestu ludzi, Sebastiano...

— Ale nas jest sześćdziesięciu, a poza tym sam Van Gould włada szpadą po mistrzowski.

— Według mnie to za mało, żeby powstrzymać tego zapaleńca Czarnego Korsarza. Coś mi się wydaje, że wielu z nas przywita się z zaświatami.

— Ale ci, co przeżyją, nieźle się obłowią: dziesięć tysięcy piastrow! Sam pomyśl, ile picia i jedzenia!

— Sumka niczego sobie, Sebastianie. Carrai! Gubernator chce zobaczyć trupa.

— Nie, Diego, on chce go dostać żywcem.

— Pewnie, żeby go powiesić później.

— Co do tego nie ma wątpliwości. Słyszałeś te odgłosy, Diego?

— Tak, nasze oddziały wyruszają w drogę.

— A zatem chodźmy z nimi, u góry czeka na nas dziesięć tysięcy piastrow.

Czarny Korsarz i jego kamraci ani drgnęli. Leżeli nieruchomo i cicho jak myszy pod miotłą pośród wysokich traw i lian, gotowi strzelać, gdyby tylko okazało się to konieczne.

Wyteżając wzrok, zobaczyli, jak niewyraźne sylwetki marynarzy torują sobie drogę, odgarniając zwisające liany i odchylając gałęzie, po czym na dobre znikają w mroku. Jeden z nich przystanął nagle i rzekł:

— Diego, słyszałeś?

— Nie.

— A ja słyszałem jakby syknięcie.

— To pewnie jakiś owad.

— A może wąż?

— Tym bardziej zatem trzeba się stąd oddalić. Chodź, nie chcę dołączyć do walki jako ostatni.

Po tej krótkiej wymianie zdań dwóch marynarzy kontynuowało swój marsz, ginąc powoli w mrocznym tunelu roślinności.

Trzej piraci zczekali chwilę w obawie, że Hiszpanie zechcą jeszcze zawrócić czy może postanowią się zatrzymać, a następnie Czarny Korsarz wstał z kolan i rozejrzał się bacznie dookoła.

— Do stu piorunów! — wymamrotał pod nosem Carmaux, swobodnie nabierając powietrza. — Powoli zaczynam wierzyć, że szczęście nam sprzyja.

— Ja bym nie dał ani piastra za naszą skórę — powiedział Van Stiller. — Jeden z tych dwóch przeszedł mi tuż pod nosem, prawie na mnie nadepnął.

— Dobrze zrobiliśmy, opuszczając nasze obozowisko. Sześćdziesięciu ludzi! Przecież nie dalibyśmy rady odeprzeć ataku!

— Czeka ich niemiła niespodzianka u góry, Carmaux. Znajdą tam tylko ości i kamienie.

— Zawsze coś. Zniosą je potem gubernatorowi.

— Naprzód — powiedział Czarny Korsarz. — Musimy dotrzeć do plaży, zanim Hiszpanie zauważą, że uciekliśmy. Jeśli będą bić na alarm, wtedy nie uda nam się ukraść niepostrzeżenie żadnej szalupy.

Byli pewni, że nie napotkają na swojej drodze żadnych innych przeszkód, ani im przez myśl nie przeszło, że może im grozić jeszcze większe niebezpieczeństwo i że zostaną schwytani. Udali się w kierunku jeziora, potem przedostali się na drugą stronę, schodząc dalej tym samym wąwozem, którym wcześniej toczyły się zrzucane przez nich z góry kamienie. Chcieli jak najszybciej dotrzeć do plaży u południowego wybrzeża wyspy i jak najbardziej oddalić się od karaweli.

Dotychczas los im sprzyjał i nie spotkała ich żadna przykra niespodzianka. O północy byli już na plaży.

Ich oczom ukazała się wciągnięta na brzeg jedna z czterech szalup. Dwaj marynarze — najpewniej stanowiący jej załogę — leżeli pogrążeni we śnie obok dogasającego ogniska. Spali snem sprawiedliwego, ufni, że żołnierze z karaweli rozpoczęli szturm na wzgórze, otaczając piratów zwartym pierścieniem.

— Bez trudu sobie poradzimy — wymamrotał pod nosem Czarny Korsarz. — Jeśli ci dwaj się nie obudzą, wypłyniemy w morze i dopłyniemy do ujścia rzeki Catatumbo.

— Nie zabijemy ich? — zapytał Carmaux.

— To nie ma najmniejszego sensu — odparł Czarny Korsarz. — Nie stanowią dla nas zagrożenia, przynajmniej tak mi się wydaje.

— A gdzie są pozostałe szalupy? — zapytał hamburczyk.

— Jedna jest na lądzie, zaraz przy skałach przybrzeżnych, jakieś pięćset pięćdziesiąt jardów od nas — odpowiedział Carmaux.

— No to już, migiem, pakujemy się do łodzi — poruczył Czarny Korsarz. — Za kilka minut Hiszpanie zauważą naszą ucieczkę.

Na paluszkach weszli na niewielkie wzniesienie, przechodząc pod nosem obu marynarzy, którzy smacznie sobie spali, chrapiąc w najlepsze. Zepchnęli łódź z plaży do wody, wskoczyli do środka, po czym chwycili za wiosła.

Przez cały czas mieli nadzieję, że uda im się niepostrzeżenie wypłynąć na szerokie morze. Odpłynęli jakieś pięćdziesiąt jardów, aż tu nagle dało się słyszeć strzały z muszkietów. To Hiszpanie dotarli na szczyt i przypuścili szturm na obozowisko piratów, przekonani, że ci się tam ukrywają.

Na odgłos wystrzałów dwóch marynarzy śpiących na plaży zerwało się na równe nogi. Widząc odpływającą szalupę z piratami na pokładzie, rzucili się biegiem w kierunku plaży.

— Stać! Zatrzymać się! Co wy za jedni? — krzyczeli.

Zamiast odpowiedzieć, Carmaux i Van Stiller pochylili się i zaczęli z zapalem wiosłować.

— Do bronii! — krzyknęli dwaj marynarze, kiedy dotarło do nich, że dali się przechytrzyć.

Następnie zagrzmiały dwa strzały z muszkietu.

— Do diabła z wami! — krzyknął Carmaux, kiedy jedna kula złamała mu wiosło.

— Trzymaj drugie wiosło.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Van Stiller.

— Co się dzieje?!

— Jakaś inna szalupa ruszyła za nami w pogoń, kapitanie.

— Zajmijcie się wiosłowaniem, a ja będę strzelał, nie pozwolę im się zbliżyć — odparł z przekonaniem Czarny Korsarz.

Tymczasem na szczycie wzniesienia nadal było słycać wystrzały z muszkietów. Prawdopodobnie Hiszpanie, kiedy dotarli do zbudowanych z ciernistych gałęzi i kamieni okopów, zatrzymali się w obawie przed pułapką.

Zamaszyście wiosłujący piraci odbili szybko od brzegu w kierunku ujścia rzeki Catatumbo, oddalonego o jakieś pięć mil. Odległość była spora, jednakże przy odrobinie szczęścia — gdyby żołnierze pełniący straż na karaweli nie zauważyli, co się dzieje na południowym brzegu wysepki — istniała szansa, że umkną pogoni.

Dwaj przechytrzeni Hiszpanie wrzeszczeli wniebogłosy, wołając o pomoc swoich rodaków. W sukurs przyszła im kolejna szalupa, co jednak trwało dłuższą chwilę. Czas ten wykorzystali piraci, by oddalić się na około sto jardów.

Na nieszczęście wszczęto alarm także na południowym brzegu wysepki. Nieprzyjaciel nie dał się zwieść, że strzały z muszkietów dwóch marynarzy pochodziły ze szczytu wzniesienia, co od razu zauważyli uciekinierzy.

Nie udało im się odплыnąć dalej niż pół mili, gdy dostrzegli, że ścigają ich inne szalupy, z których jedna wyposażona była w niewielkie działo.

— No to już po nas! — krzyknął mimochodem Czarny Korsarz. — Przyjaciele, przygotujmy się na śmierć.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Carmaux. — Czyżby szczęście się rozmyśliło i postanowiło przejść na stronę wroga? Raz na wozie, raz pod wozem. Ale zanim polegniemy, chociaż kilku zabierzemy ze sobą na tamten świat.

Wypuścił z dłoni wiosło i chwycił za muszkiet. Ścigające ich szalupy — łącznie tuzin — znajdowały się teraz w odległości półtora kabla, a na ich czele płynęła łódź pokaźnych rozmiarów.

— Poddajcie się, bo inaczej pošlemy was na dno!

— Nie ma mowy — odpowiedział Czarny Korsarz grzmiącym głosem. — Ludzie morza umierają, ale się nie poddają!

— Gubernator obiecuje darować wam życie.

— Oto moja odpowiedź!

Czarny Korsarz wycelował i wystrzelił, trafiając jednego z wiosłarzy.

Rozwścieczyło to na dobre załogę wszystkich szalup.

— Ognia! — padła komenda.

Niewielka kolubryna huknęła, zasnuwając się dymem. Kula zniszczyła dziób, szalupa przechyliła się na bok i zaczęła nabierać wody.

— Wyskakujemy! — krzyknął Czarny Korsarz, wypuszczając z dłoni arkebuz.

Dwóch piratów strzeliło jeszcze w kierunku dużej łodzi, a następnie skoczyli do wody, podczas gdy ich szalupa, trafiona niewielką kulą, przechylała się coraz bardziej, wciągana wirem w wodną głębinę.

— Kordelasy w zęby i szykować się do abordażu! — krzyknął rozwścieczony Czarny Korsarz. — Przecież nie będziemy umierać w wodzie!

Z trudem utrzymywali się na powierzchni, bowiem woda wlewała im się do butów z wysokimi cholewami. Zaczęli płynąć w kierunku hiszpańskiej łodzi z zamiarem powzięcia nierównej, desperackiej walki. Poddanie się w ogóle nie wchodziło w rachubę — pragnęli walczyć za wszelką cenę i zginąć jak na piratów przystało.

Hiszpanom z kolei zależało na tym, żeby dostać ich żywcem. Gdyby chcieli ich zabić, nie mieliby z tym żadnych trudności — wystarczyłoby ostrzelać ich w wodzie gradem kul. Ich łodzi z impetem uderzyły dziobem w płynących wplaw piratów.

Zza burty wychyliło się dziesięć par rąk, które wyciągnęły ich z wody na pokład. Ogłuszeni uderzeniem łodzi, ani się spostrzegli, a już byli związani.

Gdy Czarny Korsarz zorientował się, co się wydarzyło, siedział już na rufie nieprzyjacielskiej łodzi, z rękoma związanymi za plecami, jego dwóch kamratów natomiast posadzono spętanych sznurem na dziobie. Przy sterze stał dostojny mężczyzna ubrany w elegancki strój kastylijskiego szlachcica.

Kiedy Czarny Korsarz się ocknął, zdumiony wykrzyknął:

— To ty! Hrabia...

— Tak, to ja, panie — odpowiedział Kastylijczyk z uśmiechem.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że hrabia Lermy tak szybko zapomni, że uratowałem mu życie, a przecież mogłem zabić go w domu notariusza w Maracaibo — odparł Czarny Korsarz z goryczą.

— A co ci każe przypuszczać, panie, że zapomniałem o dniu, w którym miałem szczęście cię poznać? — odparł książę po cichu.

— Jeśli się nie mylę, stałem się właśnie twoim więźniem.

— Tak sądzisz?

— I że prowadzisz mnie przed oblicze księcia flamandzkiego?

— Czyżby?

— Zapomniałeś, że Van Gould powiesił moich dwóch braci?

— Nie, panie, nie zapomniałem.

— To może zapomniałeś, że się nienawidzimy?

— Ależ skąd.

— Przecież wiesz, że mnie powiesi?

— Tak myślisz?

— Nie wierzysz mi?

— Nie wątpię, że Van Gould chce cię powiesić, zapominasz jednak, że i ja tu jestem, i że karawela należy do mnie, a marynarze na jej pokładzie słuchają wyłącznie moich rozkazów.

— Van Gould jest gubernatorem Maracaibo i wszyscy Hiszpanie słuchają jego rozkazów.

— Spełniłem jego życzenie i pojmałem was żywcem, nic więcej — powiedział hrabia pod nosem z tajemniczym uśmiechem. Następnie, pochylając się, szepnął Czarnemu Korsarzowi na ucho: — Gibraltar i Maracaibo są daleko stąd, wkrótce się przekonasz, jak hrabia Lermy wszystko po mistrzowsku rozegra i wystawi Flamandczyka rufą do wiatru.

I dokładnie w tej samej chwili łódź eskortowana przez dwie inne szalupy dopłynęła do burty karaweli. Na dany przez hrabiego znak marynarze pochwycili piratów i wciągnęli ich do góry. Gdy znaleźli się już na pokładzie, usłyszeli pełen tryumfu głos:

— Nareszcie! Wszyscy w komplecie!

ROZDZIAŁ XXXIII. OBIETNICA KASTYLIJSKIEGO SZLACHCICA

Słowa te padły z ust mężczyzny, który zszedł z rufówki i zatrzymał się przed Czarnym Korsarzem. Na jego rozkaz piratowi przecięto krępujący dłonie sznurek.

Był to mężczyzna w dojrzałym wieku, z długą, siwą brodą, o masywnej klatce piersiowej i szeroki w barach, krótko mówiąc — silny i postawny, pomimo swoich prawie sześćdziesięciu lat.

Z wyglądu przypominał dożów republiki weneckiej, którzy prowadzili ku zwycięstwu galery¹²¹ królowej mórz przeciwko nieustraszonym korsarzom tureckiego półksiężycu. Miał na sobie stalową, starannie wyczelowaną zbroję, z przypiętą u boku długą szpadą, którą szlachcic posługiwał się wciąż z niezmienną wprawą, natomiast do pasa przyczepiony miał sztylet ze złotym uchwytem.

Pozostała część stroju była w iście hiszpańskim stylu: obszerne, bufiaste rękawy z czarnego jedwabiu, jedwabna koszula tego samego koloru i wysokie buty z rozszerzającymi się ku górze cholewami z żółtej skóry i ze srebrnymi ostrogami.

¹²¹galera — daw. okręt wojenny lub statek handlowy o niskich burtach, z dwoma lub trzema żaglami, poruszany głównie wiosłami. [przypis edytorski]

Przez kilka chwil wpatrywał się w niego płomiennym spojrzeniem, a następnie spokojnym tonem rzekł:

— Widzisz, panie, los się do mnie uśmiechnął. Poprzysiągłem sobie, że wszystkich was powieszę i obietnicy dotrzymam.

Na te słowa Czarny Korsarz gwałtownym ruchem uniósł głowę, spojrział na niego pogardliwie i rzekł:

— Szczęście na tym padole zawsze sprzyja zdrajcom, ale przekonamy się, po czyjej będzie stronie w życiu po śmierci. Śmiało, morderco moich braci, dokończ dzieła. Panom z Ventimiglii śmierć nie jest wcale straszna.

— Chciałeś się ze mną zmierzyć — kontynuował zimnym tonem leciwy szlachcic. — Jednak przegrałeś i przyjdzie ci za to zapłacić.

— Na co czekasz, zdrajco, każ mnie powiesić!

— Po co ten pośpiech?!

— No już! Co cię powstrzymuje?!

— Przyjdzie na to czas. Wolałbym cię powiesić w Maracaibo, ale skoro w mieście panoszy się ta piracka banda, postanowiłem przygotować przedstawienie dla mieszkańców Gibraltaru.

— Łajdaku! Jeszcze ci mało?! Nie wystarczyła ci śmierć moich braci?

Księżu oczy rozgorzały wściekłością.

— Tak, jeszcze mi mało — odpowiedział po cichu. — Jesteś zbyt niewygodnym świadkiem moich poczynań we Flandrii, żeby darować ci życie. A poza tym, jeśli cię nie zabiję, to któregoś dnia, prędzej czy później, ty zabijesz mnie. Być może nie nienawidzę cię wcale tak bardzo, jak ty nienawidzisz mnie, po prostu się bronię, to wszystko. A może zwyczajnie pozbywam się przeciwnika, który nie pozwoliłby mi w spokoju cieszyć się życiem.

— Nie zwlekaj zatem, tylko mnie zabij, bo jeśli bym ci przypadkiem uciekł, to już od jutra zacznę cię znowu ścigać.

— Zdaję sobie z tego sprawę — powiedział książę po kilku chwilach głębszego namysłu. — Jeszcze jakimś cudem mógłbyś się wywinąć od stryczka, na który w pełni sobie zasłużyłeś.

— Już ci powiedziałem, że nie boję się śmierci — odparł Czarny Korsarz z wyniosłą dumą.

— Znana jest mi odwaga ludzi z Ventimiglii — odpowiedział książę.

Jego twarz zniknęła pod oparami mgły, która snuła się po pokładzie.

— Miałem się okazać przekonana, tu na tych morzach, ale i gdzie indziej, co znaczą piracki duch walki, ich odwaga i pogarda wobec śmierci — kontynuował Van Gould, po czym ze spuszczoną głową zaczął się przechadzać w zamyśleniu po mostku karaweli. Następnie podszedł znów do Czarnego Korsarza i rzekł:

— Pewnie nie wierzysz, ale czuję się już zmęczony tą nienawiścią. Chciałbym to raz na zawsze zakończyć.

— Nie wątpię — odparł Czarny Korsarz z nutą ironii w głosie. — I powieszysz mnie, żeby ją zakończyć!

Książę podniósł gwałtownie głowę, spojrział Czarnemu Korsarzowi prosto w oczy, po czym rzekł:

— A gdybym puścił cię wolno, co byś wtedy zrobił?

— Nie opuściłbym ani o krok — odpowiedział szlachcic z Ventimiglii.

— A zatem nie mam wyboru i muszę cię zabić. Mógłbym nawet darować ci życie, głównie ze względu na wyrzuty sumienia, które od czasu do czasu chwytają moje serce, lecz w zamian oczekiwałbym jednak, że wówczas zaprzestaniesz mnie ścigać, zaniechasz zemsty i powrócisz do Europy. Z tego jednak, co słyszę, chcesz mnie zamordować za wszelką cenę, w związku z czym nie pozostaje mi nic innego, jak cię zabić, tak jak zabiłem Czerwonego i Zielonego Korsarza.

— Czyżbyś zapomniał, że jeszcze w Europie zabiłeś najstarszego z moich braci?

— Zamilcz! — wykrzyknął książę głosem zdradzającym głęboki niepokój. — Dlaczego rozdrapywać rany przeszłości? Pozwól mu odpoczywać spokojem wiecznym.

— Zatem przejdź do czynów i dopełnij swojego dzieła, jak na zdrajcę i mordercę przystało — odparł Czarny Korsarz. — Zabij ostatniego z korsarzy, wiedz jednak, że walka się na tym nie zakończy, albowiem znajdzie się inny, równie nieustraszony, waleczny i odważny pirat, który weźmie sprawy w swoje ręce i będzie cię tropił jak pies gończy swą ofiarę, aż w końcu cię dopadnie.

— Niby kto by to miał być, co? — zapytał książę z nutą obawy w głosie.

— Franciszek l'Olonnais.

— Trudno, będę więc musiał powiesić też jego.

— Chyba że on cię w tym zamiarze uprzedzi. Jest właśnie w drodze do Gibraltaru i za kilka dni cię dopadnie.

— Tak sądzisz? — zapytał z ironią książę. — Gibraltar to nie to samo, co Maracaibo, i natarcie piratów zostanie odparte przez potężne hiszpańskie siły. Niech Franciszek l'Olonnais przybędzie, czekamy niecierpliwie, dostanie za swoje.

A następnie, zwracając się do marynarzy, rzekł:

— Zaprowadźcie więźniów do ładowni i nie spuszczajcie ich z oczu. Zasłużyliście na nagrodę: zgodnie z obietnicą otrzymacie ją, gdy tylko dopłyniemy do Gibraltaru.

Po tych słowach odwrócił się plecami do Czarnego Korsarza i poszedł w kierunku rufy, by stamtąd zejść pod pokład. Był już prawie przy schodach, kiedy książę Lermy zatrzymał go i zapytał:

— Książę, jesteś pewien, że chcesz powiesić Czarnego Korsarza?

— A jakże — odparł książę pewny powziętej decyzji. — Przecież to jest pirat, jest wrogiem Królestwa Hiszpanii. Razem z Franciszkiem l'Olonnais napadł na Maracaibo i choćby za to powinien zawisnąć.

— To bardzo odważny szlachcic. Nie szkoda ci go?

— A jakie to ma znaczenie?

— Przykro patrzeć, gdy tacy ludzie odchodzą z tego świata.

— To nasz nieprzyjaciel, hrabio.

— A ja bym go jednak nie zabijał.

— Niby dlaczego?

— Wiesz przecież, książę, że krążą słuchy, jakoby twoja córka została uprowadzona przez piratów z Tortugi.

— Słyszałem o tym — westchnął książę. — Jednak nie mamy żadnej pewności, że statek, którym płynęła, padł łupem piratów.

— A co, jeśli te pogłoski się sprawdzą?

Starzec wbił w hrabiego przerażone spojrzenie.

— Czyżbyś wiedział coś więcej niż ja? — zapytał zdjęty grozą.

— Nie, mój panie. Uważam jednak, że gdyby, odpukać, okazało się to prawdą, wówczas można by dokonać wymiany zakładników, oddając piratom ich dowódcę.

— To nie wchodzi w grę, panie — odparł książę pewnym tonem. — Wystarczy duża suma pieniędzy, żebym odzyskał córkę, gdyby rzeczywiście miało się okazać, że została uprowadzona, w co osobiście szczerze wątpię, albowiem podróżowała incognito. Gdybym puścił wolno Czarnego Korsarza, musiałbym nadal obawiać się o własne życie. Jestem wycieńczony długą walką, którą musiałem toczyć z nim i z jego ludźmi, czas zakończyć to szaleństwo. Panie hrabio, każ swoim ludziom rozwinąć żagle i obrać kurs na Gibraltar.

Hrabia Lermy uklonił się bez słowa, po czym skierował się w stronę rufy, mówiąc sobie po cichu:

— Jestem szlachcicem, więc dotrzymam słowa.

Właśnie dopłynęły do karaweli szalupy z marynarzami, którzy wzięli udział w szturmie na wzgórze.

Kiedy ostatni z nich był już na pokładzie, hrabia polecił rozwinąć żagle. Zanim jednak kazał wciągnąć kotwicę, postanowił zagrać na zwłokę — zwlekał z podjęciem rejsu przez kilka godzin, oszukując zniecierpliwionego księcia Van Goulde, że karawela utkwiała na mieliźnie i że trzeba zaczekać na przypływ.

Dopiero około czwartej po południu podniesiono kotwicę i karawela odplynęła.

Żeglowała wzdłuż brzegu wysepki, następnie odbiła ku ujściu rzeki Catatumbo, lecz jakieś trzy mile od brzegu niespodziewanie utknęła na płyciźnie.

W tej części rozległego jeziora panowała prawie zupełna cisza.

Van Gould, któremu bardzo było śpieszno do Gibraltaru, kilkakrotnie wychodził na pokład. W końcu kazał hrabiemu, by szalupy wzięły statek na hol. Nic jednak nie wskórał, usłyszał w odpowiedzi, że załoga jest zmęczona, a dno jeziora nie pozwala na swobodny manewr.

Mniej więcej około siódmej wieczorem zaczęła wiać lekka bryza i żaglowiec mógł znów popłynąć, choć nie oddalił się za bardzo od brzegu.

Hrabia Lermy, po kolacji, którą zjadł w towarzystwie księcia Van Goulda, stanął obok marynarza przy sterze i wdał się z nim w pogawędkę. Najwyraźniej dawał mu wskazówki dotyczące manewru, który miał wykonać, by ominąć zdradzieckie mielizny, które są rozsiane od ujścia rzeki Catatumbo aż po Santa Rosa, niewielką miejscowość znajdującą się o kilka godzin drogi od Gibraltaru.

Ta dość tajemnicza rozmowa trwała do dziesiątej wieczorem, kiedy to Van Gould udał się na spoczynek do swojej kajuty. Wówczas hrabia puścił ster i pod osłoną nocy — tak, żeby nie zobaczył go żaden z marynarzy — zszedł pod pokład, a stamtąd do ładowni.

„Teraz moja kolei, więc do dzieła! Hrabia Lermy spłaci swój dług, a potem niech się dzieje, co chce” — dodawał sobie kurażu¹²² w myślach.

Zapalił ślepa latarnię, którą ukrył w cholewie jednego ze swoich wysokich butów, a następnie skierował jej światło na smacznie śpiących w ładowni więźniów.

— Panie — powiedział po cichu.

Jeden z leżących mężczyzn podniósł się do pozycji siedzącej, choć miał mocno związane dłonie.

— Kto mnie niepokoi? — zapytał zniecierpliwiony.

— To ja, panie.

— A to ty, hrabio! — odrzekł Czarny Korsarz. — Chcesz mi dotrzymać towarzystwa? Co cię tu sprowadza?

— Coś znacznie ważniejszego... — odpowiedział Kastylijczyk.

— Co takiego?

— Przyszedłem spłacić swój dług.

— Nie rozumiem...

— *Carrai!* — odpowiedział hrabia z uśmiechem. — Chyba nie zapomniłeś o naszym spotkaniu w domu notariusza?!

— Zaiste.

— A więc przychodzę, bo chciałbym dotrzymać złożonej obietnicy. Dzisiaj to twoje życie jest w niebezpieczeństwie, więc pozwól, że ci się odwdzięczę czymś, co z pewnością docenisz.

— Mów jaśniej!

— Przyszedłem cię ocalić z rąk Van Goulda.

— Co takiego?! — wykrzyknął Czarny Korsarz zdumiony. — Nie obawiasz się go?

— Śpi teraz.

— Ale jutro się obudzi.

— I co z tego? — odparł tamten spokojnym tonem.

— Wścieknij się na ciebie, uwięź cię i powiesi zamiast mnie. Czy wzięłeś to pod uwagę, hrabio? Dobrze wiesz, że z Van Gouldem nie ma żartów.

— A ty sądzisz, że będzie mnie podejrzewał? Flamandczyk to szczwany lis, wiem, ale nie sądzę, że przyjdzie mu do głowy, żeby mnie obarczyć za to winą. Karawela jest moja, załoga jest pod moimi rozkazami, nie oplaca mu się przeciwstawiać, to strata czasu i energii. Uwierz mi, sława wyniosłego okrutnika, która doń przyłgnęła, nie przysparza mu zwolenników wśród członków załogi, moi rodacy odnoszą się do niego z dużą niechęcią. Być może źle robię, że cię uwalniam, zwłaszcza w tej chwili, kiedy Franciszek l’Olonnais lada chwila przypuści szturm na Gibraltar, ale jestem szlachcicem, a szlachectwo zobowiązuje — muszę przede wszystkim wywiązać się z danej obietnicy. Uratowałeś mi życie, a teraz ja uratuję twoje i wyrównamy w ten sposób rachunki. Jeśli zrzędzeniem losu przyjdzie nam znaleźć się w tym samym czasie w Gibraltarze, każdy z nas będzie robił swoje — ty będziesz czynił swoją piracką powinność, ja zaś stanę po stronie Hiszpanów. Będziemy walczyć jak zawzięci wrogowie.

¹²²kuraż (z fr. *courage*) — odwaga, śmiałość. [przypis edytorski]

— Nie, hrabio, nie jak śmiertelni wrogowie.

— A zatem jak szlachcice, którzy walczą każdy pod inną chorągwią — odparł ze szlachecką dumą Kastylijczyk.

— Niech tak się stanie, hrabio.

— Uciekaj stąd, panie. Trzymaj, weź tę siekierę, pomoże ci roztrzaskać drewniane belki bakburty, a tu masz kilka sztyletów, żebyście mieli się czym bronić przed dzikimi zwierzętami, kiedy już zejdziecie na ląd. Jedna z szalup jest holowana przez karawelę. Musicie do niej dopłynąć, potem odetnijcie linę i czym prędzej płynicie do brzegu. Możecie być spokojni — ani ja, ani sternik niczego nie widzieliśmy. Żegnaj, panie. Mam nadzieję, że spotkamy się w murach Gibraltaru i że będę miał okazję zmierzyć się z tobą w pojedynku na szpady.

To powiedziawszy, hrabia rozciął sznurek pętający jego dłonie, dał mu sztylety, uściśnął mu dłoń i oddalił się szybkim krokiem, znikając na schodach prowadzących pod pokład.

Czarny Korsarz przez chwilę siedział nieruchomo głęboko zamyślony, jakby szlachetny gest Kastylijczyka wprowadził go w zdumienie. Ocknął się w końcu, po czym szturchnął Van Stillera i Carmaux, mówiąc:

— W drogę, przyjaciele!

— W drogę! — wykrzyknął Carmaux, wytrzeszczając oczy. — Ale zaraz, zaraz, jakie w drogę? Niby jak mamy uciekać, skoro jesteśmy obwiązani jak salami.

Czarny Korsarz kilkoma szybkimi ruchami przeciął sznur pętający dłonie dwóch kamratów.

— Do kroćset fur bezek! — wykrzyknął Carmaux.

— Kartaczy i batalionów! — odpowiedział hamburczyk.

— Jesteśmy wolni? Jak to się stało, panie? Czyżby ten nikczemny gubernator nagle odnalazł w sobie jakieś nieznanne sobie wcześniej pokłady dobroci i postanowił zwrócić nam wolność?

— Cisza, idźcie za mną!

Czarny Korsarz, trzymając siekierę w dłoni, podszedł do bakburty. Wykorzystując moment, w którym marynarze okropnie hałasowali przy wykonywaniu manewru, czterema silnymi ciosami roztrzaskał dwie belki, robiąc wystarczający wyłom, żeby można się przez niego przecisnąć.

— Tylko bądźcie ostrożni i uważajcie, żeby nikt was nie zauważył — poruczył piratom.

Przeszedł przez wyłom w burcie i zawisł na najniższej belce, tak nisko, że do pasa był już w wodzie. Zaczekał chwilę, aż fala uderzy w burtę, wtedy odbił się i zaczął energicznie płynąć w kierunku szalupy. W ślad za nim poszli Carmaux i Van Stiller, którzy opuścili się do wody, trzymając w zębach podarowane przez Kastylijczyka sztylety. Oczekali, aż karawela ich minie i nadpłynie przywiązana do niej na długiej linie szalupa. Chwycili ją we trzech, wdrapali się na łódź jednocześnie z obu stron, tak żeby nie straciła równowagi.

Już mieli chwycić za wiosła, gdy lina, do której przyczepiona była pływająca za karawelą szalupa, spadła do morza przecięta przez przyjacielską rękę.

Czarny Korsarz spojrzał do góry i pośród spowijających noc ciemności dostrzegł sylwetkę człowieka, który w geście pożegnania podniósł do góry dłonie.

— Prawdziwie szlachetna dusza — powiedział po cichu Czarny Korsarz, doceniając gest Kastylijczyka. — Niech Bóg ma go w swojej opiece i uchroni przed złością Van Goulda.

Karawela płynęła na pełnych żaglach w kierunku Gibraltaru. Na statku nie podniósł się żaden alarm, nikt niczego nie zauważył. Widać było, jak halsuje, by po jakimś czasie zniknąć w końcu za zalesionymi wysepkami.

— Do stu piorunów! — krzyknął Carmaux, przerywając ciszę panującą na pokładzie. — Nie mogę się połapać: czy to się dzieje naprawdę, czy może wciąż śnię. Przed chwilą byliśmy uwięzieni w ładowni statku i o świcie słońca mieliśmy już wisieć, a tymczasem jesteśmy wolni. Kto by pomyślał! Doprawdy trudno w to uwierzyć. Co zatem się takiego stało, kapitanie? Kto pomógł uciec temu staremu ludożercy?

— Hrabia Lermy — odpowiedział Czarny Korsarz.

— Co za dobry człowiek! Jeśli na niego trafimy w Gibraltarze, to go oszczędzimy, prawda, Van Stillerze?

— Potraktujemy go jak jednego z nas, jak kogoś z Bractwa Wybrzeża — odpowiedział hamburczyk.

— Płyniemy do brzegu, kapitanie?

Czarny Korsarz nie odpowiedział. Nagle wstał i spojrzał w kierunku południa, uważnie lustrując wzrokiem linię horyzontu.

— Przyjaciele — zwrócił się do dwóch piratów tonem zdradzającym pewien niepokój — czy niczego nie widzicie w oddali?

Dwaj piraci powstali, spoglądając we wskazanym kierunku. Tam, gdzie linia horyzontu zlewała się z wodami rozległego jeziora, widać było pojedyncze błyski, podobne do małych gwiazd. Człowiek, który nie spędził połowy życia na morzu, pewnie pomyliłby je z gasnącymi o świcie gwiazdami, lecz doświadczony wilk morski nie mógł mieć wątpliwości.

— To salwy ognia armatniego — powiedział Carmaux.

— To działa na statku — dodał hamburczyk.

— Czyżby więc Franciszek l'Olonnais przypuszczał atak na Gibraltar? — zastanawiał się na głos Czarny Korsarz, a jego oczy rozgorzały żywym ogniem. — Jeśli to prawda, to zdążę się jeszcze zemścić za śmierć moich braci.

— Tak, kapitanie — powiedział Carmaux. — Te błyski pochodzą ze statków i łodzi. Franciszek l'Olonnais rozpoczął natarcie.

— Szybko, za mną, dobijmy do brzegu i rozpalmy na plaży ognisko, żeby po nas przypłynęli.

Carmaux i Van Stiller chwycili za wiosła i zaczęli energicznie wiosłować w kierunku brzegu, który był oddalony o około cztery mile.

Pół godziny później trzej piraci schodzili na ląd w oddalonej o około trzydzieści mil od Gibraltaru małej zatoce, jednak wystarczająco rozległej, żeby mógł do niej wpłynąć tuzin małych żaglowców.

Wyciągnęli szalupę na brzeg, zebrali chrust i liście, po czym rozpalili ogromne ognisko, które widać było na przynajmniej dziesięć mil.

Światne punkty robiły się coraz większe, coraz szybciej płynęły w ich kierunku.

— Przyjaciele — wykrzyknął Czarny Korsarz, który wszedł na przybrzeżną skałę. — To flotylla Franciszka l'Olonnais.

ROZDZIAŁ XXXIV. FRANCISZEK L'OLONNAIS

Okolo drugiej w nocy cztery żaglowce zwabione słupem ognia wpłynęły do niewielkiej zatoki i zarzuciły kotwicę.

Znajdowało się w nich stu dwudziestu piratów, którym przewodził Franciszek l'Olonnais. Stanowiły one awangardę¹²³ flotylli, a jej zadaniem było odbić Gibraltar z rąk Hiszpanów.

Czarny Korsarz był chyba ostatnią osobą, którą Franciszek l'Olonnais spodziewał się zobaczyć na tej bezludnej plaży. Był przekonany, że ten przemierza jeszcze niedostępną puszcę i mokradła w pogoni za gubernatorem. Co więcej — stracił już nadzieję, że będzie walczył z nim ramię w ramię o Gibraltar.

Kiedy kamraci opowiedzieli mu o swoich przygodach, rzekł:

— A niech mnie kule biją! Drogi przyjacielu, masz prawdziwe utrapienie z tym Van Gouldem. Mam nadzieję, że tym razem to mnie się poszczęści i że to ja dostanę go w swoje ręce. Otoczymy Gibraltar i odetniemy mu drogę ucieczki, na wypadek gdyby chciał umknąć morzem. Powiesimy go na maszcie twojej „Błyskawicy”, obiecuję ci to.

— Mam wątpliwości, czy znajdziemy go w Gibraltarze — odparł na to Czarny Korsarz. — On wie, że zamierzamy szturmować miasto, ma świadomość, że przeszukam każdy dom, byleby tylko go znaleźć i pomścić braci, dlatego właśnie wydaje mi się, że jego noga tam nie postanie.

— A nie mówiłeś, że popłynął karawelą hrabiego do Gibraltaru?

— Tak, ale sam wiesz, jaki z niego szczwany lis, bardzo możliwe, że później zmienił kurs, żeby nie dać się złapać w mieście.

¹²³awangarda — straż przednia. [przypis edytorski]

— To prawda — powiedział Franciszek l’Olonnais, po czym zasępił się. — Ten przekłety książę jest sprytniejszy od nas i być może rzeczywiście nie chciał się narażać i zamiast do Gibraltaru popłynął na wschodnie brzegi jeziora. Słyszałem, że ma krewnych i duże posiadłości ziemskie w Hondurasie, w Porto Cavallo, i być może będzie chciał szukać schronienia właśnie tam.

— Sam widzisz, mój drogi, że urodził się pod szczęśliwą gwiazdą.

— Ale prędzej czy później odpuści. Ach, gdybym tylko miał pewność, że schronił się w Porto Cavallo, ani chwili bym się nie wahał i z miejsca ruszyłbym w ślad za nim. To miasto zasługuje na odwiedziny i jestem przekonany, że wszyscy piraci z Tortugi popłynęliby ze mną, wiedząc, ile jest tam bogactw, które mogłyby wypełnić ich sakiewki. Jeśli nie znajdziemy go w Gibraltarze, wówczas zastanowimy się, co robić dalej. Obiecałem, że ci pomogę. Nie zdarzyło się, od kiedy się znamy, żeby Franciszek l’Olonnais nie dotrzymał słowa.

— Dziękuję, bardzo na to liczę. A gdzie jest moja „Błyskawica”?

— Stała u ujścia zatoki i wraz z dwoma statkami Harrisa broni do niej dostępu.

— Ilu ludzi ze sobą zabrałeś?

— Stu dwudziestu, ale jeszcze dzisiejszego wieczoru powinien dołączyć do nas Bask, a wraz z nim czterystu korsarzy. Jutro rano rozpoczniemy szturm na Gibraltar.

— Myślisz, że wszystko pójdzie zgodnie z planem?

— Jestem o tym przekonany, choć dowiedziałem się, że Hiszpanie zebrali ośmiuset najodważniejszych żołnierzy i patrolują ulice prowadzące przez góry do samego miasta. Wzdłuż tych traktów ustawili liczne działa. Twardy orzech do zgryzienia, obawiam się, że możemy ponieść znaczne straty, ale jestem dobrej myśli, że nam się uda, przyjacielu.

— A ja cię wesprę, mój drogi.

— Przyznam, że bardzo liczę na twoje sprawne ramię i waleczną naturę. Zapraszam cię na pokład mojej łajby, zjemy razem kolację, a potem odpoczniesz. Coś mi się zdaje, że to ci dobrze zrobi.

Czarnego Korsarza na nogach utrzymywała tylko jakaś nadzwyczajna, wewnętrzna siła. Udał się wraz z Franciszkiem l’Olonnais na statek, podczas gdy piraci schodzili na plażę i rozbijali obozowisko tuż pod lasem, by tam oczekiwać na przybycie Baska i jego ludzi.

Ten dzień wcale jednak nie należał do straconych, albowiem piraci byli ludźmi o niespożytej wręcz energii i od razu wysłali zwiadowców na obchód okolicy, z nadzieją, że uda im się zniecka zaatakować jakiś hiszpański oddział stacjonujący w głębi lądu. Zapuscili się daleko, aż pod broniące dostępu do miasta forty Gibraltaru. Chcieli się przekonać, jakimi siłami dysponuje wróg i w jaki sposób zamierza się bronić. Niektórzy nawet, udając rybaków, których łodzie poszły na dno, a którzy sami cudem dopłynęli do brzegu, wypytywali żołnierzy o szczegóły planowanej walki.

To, czego się dowiedzieli, wcale ich jednak nie podniosło na duchu, lecz przeciwnie — zgasiło wolę walki, choć byli przecież przyzwyczajeni stawiać czoła sytuacjom naprawdę bez wyjścia i niejednokrotnie dawali dowód swojej odwagi.

Na wszystkich drogach prowadzących do miasta ustawiono zasieki i działa, wykopano rowy, które zalano wodą, wzniesiono barykady i palisady, które sterczały nachylone i wymierzone ostrzem w przeciwnika. W dodatku okazało się też, że dowódca fortu — jeden z odważniejszych ludzi, jakich Hiszpania wówczas miała w Ameryce — kazał przysiąc swoim żołnierzom, że będą bronić dostępu do miasta do ostatniego człowieka, byleby tylko nie dopuścić do utraty sztandaru powiewającego dumnie nad miastem.

W obliczu tak niewesołych wieści niepokój zagościł w sercach nawet najbardziej walecznych piratów, pomyśleli, że wyprawa zakończy się fiaskiem.

Franciszek l’Olonnais, gdy zwiadowcy podzielili się z nim zdobytymi informacjami, nie stracił ducha i zapału. Jeszcze tego samego wieczora zwołał naradę wszystkich dowódców i wypowiedział słowa, które przeszły do historii. Z jego mowy jasno wynikało, ile wiary pokładał w sobie i w piratach walczących pod jego komendą:

— Jest dziejową koniecznością, moje wilki morskie, żebyśmy jutro wykazali się odwagą i walecznością — powiedział. — Pamiętajcie, że ryzykujecie nie tylko życie, ale i wszystkie kosztowności, które wywalczyliście sobie w znoju, przelewając krew. Ale

przecież pokonywaliśmy nieprzyjaciół o wiele liczniejszych niż ci, którzy teraz znajdują się w Gibraltarze, ale i większe będą skarby, które być może zdobędziemy. Niech wasz dowódca będzie dla was przykładem, jak należy walczyć.

O północy statki pod dowództwem Michała Baska, z około czterystoma ludźmi na pokładzie, zacumowały w zatoczce.

Piraci z oddziału Franciszka l'Olonnais już zwinęli obozowisko i gotowali się do marszu w stronę Gibraltaru, do którego mieli nadzieję dotrzeć skoro świt, nie chcieli bowiem podejmować szturm w nocy.

Czterystu ludzi Baska zeszło na ląd, uformowało kolumny i żwawo pomaszerowało przez dżunglę, zostawiając na plaży dwudziestu ludzi do pilnowania szalup.

Carmaux i Van Stiller, pożywieni i wypoczęci, ustawili się za Czarnym Korsarzem, z niecierpliwością wyczekując szturm, a jeszcze bardziej spotkania z Van Gouldem.

— Przyjacielu Van Stillerze — zagał wesoły Carmaux — miejmy nadzieję, że tym razem dopadniemy tego łotra i przekażemy go w ręce kapitana.

— Kiedy tylko zdobędziemy twierdzę, pobiegniemy do miasta i nie pozwolimy mu uciec. Słyszałem, że kapitan już wydał rozkaz pięćdziesięciu ludziom, którzy w razie ucieczki Hiszpanów mają za zadanie odciąć im drogę w dżungli.

— Poza tym jest tam Katalończyk, który będzie go mieć na oku.

— Myślisz, że już jest w Gibraltarze?

— Jestem tego pewien. Jeśli nie damy rady zabić Van Goulda od razu, to ruszymy za nim w pogoń.

I właśnie w tej chwili poczuł, jak ktoś kładzie mu na ramieniu rękę, po czym usłyszał za plecami znajomo brzmiący głos:

— Nie inaczej, kamracie.

Carmaux i Van Stiller odwrócili się i zobaczyli Moka.

— Ty tutaj?! — wykrzyknął Carmaux. — Spod ziemi wyrosłeś czy co?

— Już dziesięć godzin was szukam, biegając wzdłuż plaży jak dziki koń. To prawda, że gubernator was schwycił?

— Skąd wiesz?

— Słyszałem od kilku piratów.

— To prawda, ale jak widzisz, jesteśmy cali i zdrowi. Wymknęliśmy mu się dzięki pomocy hrabiego Lermy.

— Tego hiszpańskiego szlachcica, któregośmy schwytali w domu notariusza z Maracaibo?

— Właśnie tego, kamracie. A co z dwoma rannymi, których z tobą zostawiliśmy?

— Zmarli wczoraj rano — odpowiedział Moko.

— Biedne diabły! Jakże mi ich żal! A Katalończyk?

— O tej porze zapewne jest już w Gibraltarze.

— Miasto będzie stawiać zawzięty opór, kamracie.

— Obawiam się, że wielu z nas nie zasiądzie już razem do wieczerzy. Dowódca fortu to człowiek, który będzie się bronił rękami i nogami. Wszędzie rozstawił wojsko, działa i zasieki, blokując dojazd do miasta.

— Miejmy nadzieję, że nas śmierć nie dosięgnie i że osobiście powiesimy Van Goulda.

Tymczasem cztery długie kolumny przedzierały się po cichu przez leśną gęstwinię, która otaczała Gibraltar, a przed nimi szły niewielkie, złożone z kilku ludzi oddziały zwiadowcze, składające się głównie z bukanierów.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Hiszpanie są przygotowani na atak swoich odwiecznych wrogów, gdyż zostali odpowiednio wcześniej o nim uprzedzeni. Zachodziła więc obawa, że głównodowodzący obroną fortów przygotowuje zasadzki mające na celu zdziesiątkowanie przeciwnika jeszcze zanim ten dotrze do broniącej dostępu do miasta twierdzy. Nagle w głębi lasu rozległy się strzały, które zaalarmowały Franciszka l'Olonnais, Czarnego Korsarza i Baska. Przekonani, że to zasadzka, pośpieszyli ku zwiadowcom wraz ze stuosobowym oddziałem. Po dotarciu na miejsce okazało się, że nie doszło do ataku Hiszpanów, tylko do niegroźnej wymiany ognia ze strażą przednią.

Franciszek l'Olonnais, wiedząc, że przeciwnik ma ich na widelcu, zarządził postój w oczekiwaniu na nadejście świtu. Chciał się najpierw rozeznać, jakimi siłami obronnymi

dysponowali przeciwnicy, a także na jakim terenie przyjdzie im stoczyć walkę, zauważył bowiem, że ten, po którym się poruszali, stawał się coraz bardziej grząski.

Po prawej stronie widniało pokryte lasem wzgórze. Pirat wspinał się na nie razem z Czarnym Korsarzem, by z góry przyrzeć się położonemu w pobliżu miasteczku.

Kiedy dotarli na szczyt, zaczęło świtać. Poranne światło zabarwiło czerwienią całe niebo i wschodni brzeg jeziora, odbijając się w jego tafli różowymi odblaskami. Zapowiadał się wspaniały dzień.

Franciszek l'Olonnais i Czarny Korsarz przyglądali się wznoszącemu się na wprost nich szczytowi i dwóm górującym na nim fortach. Na ich basztach łopotały hiszpańskie flagi, za murami natomiast widać było białe ściany domostw oraz szeregi pokrytych słomą dachów i szałasów.

Franciszek l'Olonnais zmarszczył brwi.

— Do kata! — wykrzyknął. — Czekają nas ciężka walka, trudno będzie zdobyć ten fort bez dział i drabin oblężniczych. Cała nadzieja w męstwie naszych ludzi, w przeciwnym razie Hiszpanie dadzą nam takiego łupnia, że raz na zawsze odechcą nam się ich atakować.

— Tym bardziej, że droga wiodąca przez góry jest zablokowana — odparł Czarny Korsarz. — Została zamknięta, usiana jest palisadami i działami, będziemy musieli ją pokonać, a oni będą z góry ziać w nas ogniem swoich dział.

— I jakoś będzie trzeba się przedostać przez te grzędzawiska, które się przed nami rozciągają. Coś mi się zdaje, że jedynym wyjściem będzie wybudować kładkę i po niej przejść.

— Innego wyjścia nie ma.

— Gdyby można było je jakoś obejść... pójść równiną... a tu nic, jak na złość! Równina została podtopiona. Zobacz, jak się podnosi poziom wody.

— Mamy do czynienia z dowódcą zaprawionym w boju. Jak mało kto zna on wojenne rzemiosło.

— Trudno temu zaprzeczyć.

— Co zatem zamierzasz zrobić?

— Rzucić wyzwanie losowi, kamracie. W Gibraltarze są ukryte znacznie większe skarby niż w Maracaibo. Nieźle się obłowimy. Wyobraź sobie, co by o nas mówiono, gdybyśmy teraz odpuścili? Wszyscy byśmy stracili w oczach naszych kamratów, rezygnacja dozgonnie zniszczyłaby nam reputację, a tego byśmy przecież nie chcieli.

— Masz rację, legenda o śmiałych i niepokonanych piratach rozwiłaby się. A poza tym weź pod uwagę, że w tej twierdzy ukrywa się mój śmiertelny wróg.

— Wiem, a ja chcę go wziąć jako swojego osobistego jeńca. Tobie i Baskowi chciałbym powierzyć najtrudniejsze zadanie — przeprawę przez grzędzawiska i przez góry. Ja z kolei przejdę drugą stroną, przedzierając się przez dżunglę, i spróbuję dotrzeć niezauważony pod mury pierwszego fortu.

— A co z drabinami?

— Już o to się nie martw, wiem, co robić. Ty zajmij się Hiszpanami, a resztę zostaw mnie. Jeśli w ciągu trzech godzin Gibraltarcie nie będzie nasz, to nie zasługuję już więcej na miano Franciszka l'Olonnais. Pożegnajmy się, kamracie, bo nie wiem, czy jeszcze zobaczymy się żywi.

Dwaj piraci uścisnęli się po przyjacielsku, a następnie zeszli w dół wzgórza.

Piraci tymczasem rozłożyli się obozem na skraju lasu, tuż przed mokradłami, które zatrzymały ich marsz. Po drugiej stronie, na niewielkim wzniesieniu, zauważyli małe stanowisko obronne składające się z dwóch dział.

Carmaux i Van Stiller, razem z kilkoma innymi piratami, sprawdzili, czy warto kontynuować wędrówkę przez mokradła, jednak dość szybko zrozumieli, że lepiej nie ryzykować — nogi grzęzły w bagnie na dobre, ktokolwiek postawiłby tam stopę, stałby się natychmiast ich ofiarą.

Ta trudna do pokonania przeszkoda okazała się dla nich prawdziwą niespodzianką, ostudziła entuzjazm wielu z nich, choć nikt nie brał w ogóle pod uwagę możliwości odwrotu.

Gdy jednak piraci zobaczyli Franciszka l'Olonnais i Czarnego Korsarza schodzących ze wzgórza, na powrót poczuli w sercu ducha walki, pokładali bowiem w swoich dowódcach bezbrzeżną wiarę i zaufanie.

— Odwagi, moje wilki morskie! — wykrzyknął Franciszek l'Olonnais. — Za tymi fortami znajdziecie o wiele większe skarby niż w Maracaibo. Pokażmy naszym nieprzyjaciółom, że nadal jesteśmy niepokonani.

Na jego rozkaz utworzono dwie kolumny. Następnie dowódca nakazał piratom nie cofać się w obliczu przeszkód, które po drodze napotkają, po czym zarządził wymarsz.

Czarny Korsarz i Bask stanęli na czele najliczniejszego oddziału, podczas gdy Franciszek l'Olonnais wraz ze swoimi ludźmi pomaszerował skrajem dżungli, chcąc ominąć zalaną równinę i podkraść się niezauważenie do najbardziej wysuniętych fortów.

ROZDZIAŁ XXXV. ZDOBYCIE GIBRALTARU

Oddział żołnierzy, który Czarny Korsarz i Michał Bask mieli poprowadzić przez mokradła, składał się z trzystu osiemdziesięciu żołnierzy uzbrojonych w krótkie szable i pistolety, z zapasem zaledwie trzydziestu kul każdy; piraci uznali, że nie ma sensu zabierać ze sobą muszkietów, albowiem w ich mniemaniu jest to broń mało skuteczna podczas forsowania twierdzy i fortów, a w przypadku walki wręcz dość uciążliwa.

A było to trzystu osiemdziesięciu diabłów wcielonych gotowych na wszystko, skłonnych bić się z każdym, kto tylko stanie im na drodze. Co więcej — poza tym, że zawsze byli gotowi do walki, nigdy nie tracili nadziei, że z każdej z nich wyjdą obronną ręką.

Na rozkaz swoich dowódców od razu ruszyli przed siebie, zbierając po drodze drewniane belki i wielkie gałęzie, niezbędne do skonstruowania naprędce kładki, która umożliwiłaby im przedostanie się na drugą stronę rozległych grzęzawisk.

Gdy tylko dotarli na brzeg bagniska, ich oczom ukazały się wymierzone w nich hiszpańskie działa, które znajdowały się na drugim jego końcu. Na sam początek — dla odstraszenia przeciwnika — Hiszpanie oddali kilka ostrzegawczych salw. Nie na tyle silnych jednak, żeby przestraszyli się ich zahartowani w niejednym boju piraci.

Nagle dały się słyszeć wojenne okrzyki Czarnego Korsarza i Michała Baska:

— Naprzód, wilki morskie!

Piraci, słysząc zagrzewające do boju zawołanie swoich dowódców, zaczęli budować z przytaszczonych ze sobą belek i gałęzi pomost, po którym mogliby przedostać się na drugą stronę grzęzawiska. Jednocześnie w ogóle nie zważali na nieprzyjacielskie działa, które z minuty na minuty intensyfikowały ostrzał, w wyniku którego co chwila dookoła wzbijały się w powietrze fontanny wody zmieszanej z błotem.

Przeprawa przez bagna stawała się z każdym krokiem coraz bardziej niebezpieczna. Kładka, którą na bieżąco budowali, była zbyt mała, żeby mogli się po niej przedostać wszyscy. Piraci spadali z belek, zapadając się w bagno po sam pas. I gdyby nie ich towarzysze broni, trudno by im się było z niego wydostać. W dodatku, jakby tego było mało, zabrali ze sobą niewystarczające zapasy drewna do wybudowania mostu niezbędnego do przeprawy na drugą stronę mokradeł.

Musieli więc raz po raz zanurzać się w bagnie i układać kładkę na bieżąco, wykorzystując te belki, po których już przeszli. Przy silnym, nieprzerwanym ostrzale nieprzyjacielskim było to nie tylko trudne, ale i niebezpieczne ze względu na muliste dno, w którym coraz bardziej się zapadali.

Tymczasem Hiszpanie wzmożli ostrzał. Kule świstały między trzcinami, cięły je i siekały, wzbijając do góry fontanny błotnistej lawy i kładąc trupem żołnierzy znajdujących się na pierwszej linii natarcia, pozbawionych jakiegokolwiek skutecznej możliwości obrony, wszak mieli oni przy sobie zaledwie pistolety, których zasięg był niewystarczający.

Czarny Korsarz i Michał Bask zachowali jednak pośród tego bitewnego zgiełku zimną krew. Nie tylko zagrzewali okrzykami swoich ludzi do walki, ale wspomagali ich także własnym przykładem, dodawali otuchy rannym, ustawicznie się przemieszczali — raz dopingowali tych, którzy byli na samym przedzie, po czym cofali się i wspierali tych, którzy nieśli drzewne pnie i grube gałęzie, wskazując im osłonięte roślinnością miejsca, w których mogliby się schronić przed ostrzałem, nie narażając się na pewną śmierć.

Mimo że piraci zaczęli już powoli powątpiewać w powodzenie tej wyprawy, uważając ją za prawdziwe szaleństwo, nie tracili ducha walki i uparcie nacierali, przekonani, że aby przełamać opór Hiszpanów, wystarczy przedostać się na drugi koniec grzęzawiska.

Walka

Nieprzerwany ostrzał dziesiątkował pierwsze szeregi. Ponad tuzin piratów dokonało żywota trafionych armatnią kulą i wchłoniętych przez bagniska, ponad dwudziestu natomiast odniosło rany i szukało schronienia za trzciniami i naniesionymi belkami drewna. Mimo tego nie słyhać było narzekań, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby się poddać. Zagrzewali do boju kolejnych nadchodzących kamratów.

— Naprzód! Pomścijcie nas!

Zuchwałość, godny podziwu upór, odwaga i wspaniała postawa dowódców musiały wziąć górę nad przeszkodami i przełamać w końcu opór Hiszpanów. Stanęli w końcu na twardym gruncie, choć nie obyło się bez kolejnych ofiar.

Przygotowywali się właśnie do natarcia na stanowiska strzelnicze Hiszpanów. Nic i nikt nie było już w stanie powstrzymać furii spragnionych zemsty korsarzy. Żadne działa, nawet największe i najcięższe, nie były już w stanie ich odeprzeć.

Trzymając w jednej ręce szablę, a w drugiej pistolety, piraci z impetem zaczęli natarcie na fortyfikacje. W jednej chwili rozpętało się piekło.

Pierwsze szeregi nacierających padły trafione serią z muszkietów, lecz następne rzuciły się do walki, położyły trupem kanonierów, stratowały żołnierzy broniących dostępu do fortu, choć jego załoga próbowała jeszcze stawiać zacięty opór.

Gromkie „hurra!” było sygnałem dla Franciszka l’Olonnais, że pierwsza, być może najważniejsza przeszkoda, została właśnie pokonana.

Ich radość jednak nie trwała długo. Czarny Korsarz i Michał Bask, którzy czym prędzej zwołali naradę, żeby zastanowić się nad dalszym planem ataku, uświadomili sobie, że mieli przed sobą kolejną przeszkodę.

Za niewielkim lasem zauważyli łopoczącą na wietrze flagę Hiszpanów, zwiastującą obecność kolejnego fortu lub stanowiska obronnego.

— Na śmierć wszystkich Basków! — krzyknął wściekły Michał Bask. — Kolejny twardy orzech do zgryzienia! Ten przeklęty dowódca Gibraltaru naprawdę chce nas zetrzeć na miazgę! Co ty na to, przyjacielu?

— Wydaje mi się, że nie warto się wycofywać.

— Ponieśliśmy już za dużo szkód.

— Wiem.

— A nasi ludzie są wykończeni.

— Dajmy im chwilę wytchnienia, a potem przypuścimy natarcie na kolejne stanowisko.

— Myślisz, że mają działa?

— Tak sądzę.

— A co z Franciszkiem l’Olonnais, który dotarł już do głównej twierdzy?

— Nie słyszałem żadnych wystrzałów od strony gór, więc pewnie dotarł na miejsce, nie napotkawszy żadnego oporu.

— Szczęściarz z niego, jak zwykle.

— Miejmy nadzieję, Michale, że nam też szczęście będzie sprzyjać.

— Co teraz robimy?

— Wyślemy mały oddział zwiadowczy.

— Chodźmy, przyjacielu. Nasi ludzie nie powinni za bardzo ostygnąć.

Weszli na sąsiadujące z lasem wzniesienie i zebrali oddział gotowy pójść na zwiady w pobliże stanowiska nieprzyjaciela.

Zwiadowcom towarzyszył oddział bukanierów, który miał ich ochraniać na wypadek zasadzki.

Piraci właśnie kończyli budowę kolejnej kładki, gdy zwiadowcy i bukanierzy wrócili. Przynieśli raczej złe wieści: Hiszpanie wycofali się wprawdzie z lasu, ale utrzymali stanowisko na równinie, a broniły go liczne działa i dobrze uzbrojony regiment. I żeby przedostać się dalej, trzeba było najpierw stawić im czoło i ich pokonać. Nie było natomiast wiadomo, co się dzieje z Franciszkiem l’Olonnais i jego oddziałami, zwiadowcy nie słyszeli żadnych strzałów.

— Naprzód, moje dzielne wilki morskie! — wykrzyknął Czarny Korsarz, wyjmując z pochwy szpadę. — Jeśli pokonaliśmy pierwsze stanowisko, na pewno nie cofniemy się przed kolejnym.

Piratom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Prowadziła ich jedna, uporczywa myśl — zdobyć Gibraltar. Niewielki oddział został na tyłach, by opatrzyć rannych, pozostali zapuścili się w leśny gąszcz i dziarskim krokiem maszerowali naprzód, niecierpliwie wyglądając wroga.

Na swej drodze nie napotkali żadnych niespodzianek, nikogo, kto stawilby im opór. Jednak widok tego, co ujrzeli po wyjściu z lasu wprost na równinę sprawił, że oniemieli ze zdumienia: stanowisko nieprzyjaciela wyglądało doprawdy imponująco.

Nie było to zwyczajne umocnienie, ale prawdziwy fort, otoczony fosami, palisadą i kamiennym murem, z którego wystawało osiem dział.

Także Czarny Korsarz i Michał Bask wyglądali na mocno zaskoczonych.

— A to jeszcze twardszy orzech do zgryzienia od poprzedniego — powiedział Michał Bask do Czarnego Korsarza. — Nie będzie łatwo przedostać się przez równinę.

— Ale odwrót też przecież nie wchodzi w rachubę, biorąc pod uwagę, że Franciszek l'Olonnais zaczyna już oblegać główną twierdzę. Poza tym poczytano by nam to za tchórzostwo.

— Gdybyśmy chociaż mieli jakieś działo...

— Wykorzystamy to, które znajduje się na zdobytym przez nas stanowisku. Do ataku!

Czarny Korsarz, nie patrząc wcale, czy ktoś za nim biegnie, rzucił się z impetem przed siebie.

W pierwszej chwili piraci się zawahali. Widząc jednak, że zaraz za Czarnym Korsarzem pobiegli do ataku także Michał Bask, Van Stiller, Carmaux i Moko, otrząsnęli się z wątpliwości i ruszyli przed siebie, wnosząc na całe gardło bojowe okrzyki.

Hiszpanie broniący fortu odczekali, aż piraci podejną na odległość mniej więcej tysiąca kroków, po czym rozpoczęli ostrzał.

Jego efekt okazał się tragiczny w skutkach. Zaczęła się prawdziwa rzeź. Wszyscy ci, którzy biegli w pierwszym szeregu, padli od razu trupem. Pozostali z kolei przestraszyli się i zaczęli się wycofywać, pomimo zagrzewających do walki okrzyków dowódców.

Kilka oddziałów próbowało się jeszcze przegrupować, ale i one musiały ustąpić pod naporem nieprzyjacielskiego ostrzału i rozpocząć odwrót w kierunku mokradeł.

Czarny Korsarz jednak się nie wycofał. Uformował niewielki, składający się z tuzina ludzi oddział, który zasilili między innymi Carmaux, Van Stiller i Moko. Postępowali naprzód truchtem, chowając się w porastających boki równiny krzewach, aż przedostali się do samego podnóża wzniesienia.

Wtedy też dobiegły ich odgłosy kanonady z dwóch twierdz broniących dostępu do Gibraltar. Było już pewne: piraci pod wodzą Franciszka l'Olonnais przystąpili do oblężenia.

— Przyjaciele! — wykrzyknął. — Franciszek l'Olonnais szturmuję miasto. Naprzód, moje dzielne wilki morskie!

— Idziemy wziąć udział w kolejnym przyjęciu — powiedział Carmaux.

— Miejmy nadzieję, że na tamtym zatańczą tak, jak my im zagramy.

Choć wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni, zaczęli wspinać się po zboczu, karczując tarasujące im drogę krzaki i osty.

Dwie potężne twierdze broniące dostępu do Gibraltar rozpoczęły kanonadę: Hiszpanie zauważyli natarcie Franciszka l'Olonnais i przystąpili do desperackiej obrony. Na ostrzał z dział piraci pod wodzą tegoż odpowiadali okrzykiem bojowym, być może chcieli dać do zrozumienia nieprzyjacielowi, że było ich więcej niż w rzeczywistości. Nie mając muszkietów do obrony, chcieli przestraszyć obrońców twierdzy swoimi okrzykami.

Kule armatnie spadały gdzie bądź, docierały nawet do samego podnóża wzniesienia. Potwornie świszczwały, przelatując nad głowami, a poza tym ścinały roślinność i stuletnie drzewa, które waliły się z łoskotem na ziemię.

Czarnemu Korsarzowi bardzo zależało, żeby jak najszybciej dołączyć do szturm i wespół w walce Franciszka l'Olonnais. Szczęśliwie udało mu się znaleźć przetarty szlak, dzięki czemu w ciągu niespełna pół godziny znalazł się na tyłach jego oddziałów.

— Gdzie jest wasz dowódca? — zapytał Czarny Korsarz.

— Na skraju lasu — usłyszał w odpowiedzi.

— Atak już się zaczął?

— Czekamy na odpowiedni moment, na razie nie chcemy się za bardzo narażać, bo nas wybiją jak kaczkę.

— Prowadźcie mnie do niego!

Dwaj piraci odłączyli się od pozostałych i zaprowadzili Czarnego Korsarza do miejsca, w którym zatrzymał się wraz z innymi dowódcami Franciszek l'Olonnais.

— Do stu piorunów! — nie krył radości pirat. — Oto posiłki, które przychodzą w porę.

— Niestety bardzo wzięte posiłki — odpowiedział na to Czarny Korsarz. — Przypro-
wadziłem ci zaledwie dwunastu ludzi.

— Dwunastu? — zdumiał się pirat i zbladł. — A gdzie pozostali?

— Wróg zepchnął ich na mokradła, ponieśliśmy bardzo duże straty.

— Do stu piorunów! A ja właśnie na nich liczyłem.

— Być może ponownie zaatakowali stanowisko Hiszpanów, aby otworzyć sobie drogę pod mury miasta, a być może udało im się je obejść. Przed chwilą słyszałem ostrzał z dział na równinie.

— Nieważne. Tymczasem przypuścimy atak na większą twierdzę.

— A jak się dostaniemy do środka? Przecież nie posiadamy drabin.

— To prawda, ale mam nadzieję skłonić Hiszpanów do opuszczenia twierdzy.

— Niby jak?

— Symulując atak i nagły zwrot. Uprzedziłem już ludzi o swoim zamiarze.

— A zatem na co jeszcze czekamy? Do ataku!

— Piraci z Tortugi! — krzyknął Franciszek l'Olonnais. — Za mną!

Oddziały piratów, które do tej pory siedziały w ukryciu pod drzewami lub między krzakami, gdzie schroniły się przed bezlitosnym, nieprzerwanym ostrzałem dział z dwóch twierdz, na rozkaz swojego dowódcy rzuciły się w stronę równiny.

Franciszek l'Olonnais i Czarny Korsarz przejęli dowództwo nad bitwą, wysunęli się na czoło szturmujących oddziałów i biegli co sił, chcąc oszczędzić swoim żołnierzom największych strat.

Hiszpanie stojący na straży tej twierdzy, która pełniła ważniejszą pod względem mi-
litarnym rolę i była lepiej uzbrojona, na widok rozpedzonych oddziałów otworzyli ogień i bronili się, jak tylko mogli. Jednak chyba już na próżno. Piraci wspinali się po pochyłej skarpie, rażąc ogniem pistoletów Hiszpanów. Niektórym — choć wielu z nich poległo — udało się dobiec do murów.

Nagle zabrzmiał donośny głos Czarnego Korsarza:

— Wilki morskie! Wycofujemy się!

Piraci, których położenie było skazane na porażkę — nie dysponowali ani drabinami, ani działami, Hiszpanie zaś stawiali zaciekły opór — porzucili swoje zamiary, po czym, nie wypuszczając broni z rąk, uciekli w stronę nieodległego lasu.

Obrońcy fortu, przekonani, że teraz z łatwością zdepczą wroga, zaniechali dalszego ostrzału z dział i szybko opuścili mosty zwodzone, otwierając drogę gotowej do natarcia piechocie. Na to tylko czekał Franciszek l'Olonnais.

Uciekający w udawanym popłochu piraci nagle wykonali w tył zwrot i rzucili się na przeciwnika.

Wzięci z zaskoczenia Hiszpanie, nie spodziewając się takiego zwrotu akcji, zaczęli się wycofywać. Po chwili jednak się zatrzymali i odwrócili w stronę przeciwnika, obawiali się bowiem, że jeśli nie spróbują zatamować wezbranej fali szturmującej przed murami, ta wleje się do środka twierdzy wraz z nimi.

Roztaczająca się przed Gibraltarem równina stała się teatrem krwawego starcia. Zarówno piraci, jak i Hiszpanie walczyli zajadłe, wyzynając się nawzajem szablami i strzelając z pistoletów, podczas gdy obrońcy stojący na blankach fortu siekli żelastwem na chybił trafił, kosząc zarówno swoich ludzi, jak i przeciwnika. Hiszpanie, którzy pod względem liczebnym dwukrotnie przewyższali siły piratów, byli już bliscy odparcia przeciwnika i uratowania miasta, kiedy na pole walki wkroczył Michał Bask, któremu udało się przedostać przez puszcę porastającą góry.

To właśnie tych trzystu ludzi zdecydowało o losach bitwy.

Pod naporem przeciwnika Hiszpanie uciekali z pola bitwy i szukali schronienia w twierdzy, ale wraz z nimi wbiegli do środka także piraci, na czele z Franciszkiem l'Olonnais,

Walka

Czarnym Korsarzem i Michałem Baskiem, którzy cudem wyszli z tego starcia bez szwanku czy choćby najmniejszego draśnięcia.

Hiszpanie nie dawali za wygraną i nadal zajadłe się bronili w murach twierdzy. Woleli chwalebnie polec w walce niż patrzeć, jak wrogowie ściągają z masztu flagę Hiszpanii.

Czarny Korsarz wbiegł na dziedziniec i próbował przedostać się przez szeregi zażarcie walczących w obronie Gibraltaru żołnierzy.

Ostrzem szpady przeszył kilku arkebuzerów, którzy stanęli mu na drodze, po czym ujrzał biegnącego ku niemu mężczyznę, ubranego w eleganckie szaty, w szarym kapeluszu z długim strusim piórem.

— Broń się, panie! — krzyknął ów jegomość, dobywając swej lśniącej szpady. — Już po tobie!

Czarny Korsarz skończył właśnie pojedynek z dowódcą arkebuzerów, który właśnie konał u jego stóp. Na widok nadbiegającego mężczyzny wykrzyknął zdumiony:

— To ty, hrabio?

— We własnej osobie — odpowiedział Kastylijczyk, wymachując swą długą szpadą. — Broń się, bo czasy przyjaźni już się skończyły. Ty walczysz po stronie piratów, ja bronię flagi Kastylii.

— Pozwól mi przejść, hrabio — odpowiedział Czarny Korsarz, próbując się przedostać przez tłum walczących ze sobą Hiszpanów i piratów.

— Nie, panie, jeśli chcesz, będziesz musiał mnie zabić — odpowiedział zdecydowanym tonem Kastylijczyk.

— Hrabio, nie stawiaj oporu, pozwól mi przejść, nie zmuszaj mnie do pojedynku. Jeśli chcesz się bić, za moimi plecami masz setki piratów. Ja winny ci jestem wyrazy uznania, a nie śmiercionośną szpadę.

— Nie, panie wyrównaliśmy już rachunki. Nie opuście tej flagi, zanim ostatni z nas — ja, dowódca twierdzy i jego ludzie — nie polegniemy w jej obronie.

Po tych słowach porwał się na Czarnego Korsarza i zaczął go atakować.

Czarny Korsarz zdawał sobie sprawę, że hrabia Lermy nie dorównuje mu w fechtunku i wcale nie zamierzał pozbawiać życia tego zacnego i wielkodusznego szlachcica. Zrobił więc dwa kroki do tyłu i raz jeszcze krzyknął dla ostrzeżenia:

— Proszę cię, nie zmuszaj mnie, panie, żebym cię zabił!

— Walcz! — krzyknął z uśmiechem hrabia. — Walcz, panie Ventimiglii!

Dookoła nich toczyła się krwawa walka, żołnierze krzyczeli i przeklinali, słychać było jęki rannych i wystrzały z muszkietów i pistoletów. W tym bitewnym ferworze stanęli do walki także oni dwaj gotowi zabić i dać się zabić.

Hrabia atakował z dużą determinacją, wyprowadzając cios za ciosem, jednak Czarny Korsarz z wprawą parował wszystkie. Obaj wyciągnęli też sztylety, żeby skuteczniej odparać ciosy szpadą. Raz nacierał jeden, raz drugi, raz jeden robił kilka kroków do przodu, a drugi się cofał, by po chwili przejść do ofensywy. Trudno im się walczyło, brodzili we krwi, która spływała już po całym dziedzińcu, musieli więc bardzo ostrożnie stawiać stopy, żeby się nie poślizgnąć.

W pewnym momencie Czarny Korsarz, który nie miał zamiaru zabijać kastylijskiego szlachcica, jednym ciosem wytrącił z jego rąk szpadę, w podobny sposób, w jaki uczynił to w domu notariusza.

Tuż obok hrabiego — jak się miało okazać na całe jego nieszczęście — dogorywał pokonany wcześniej przez Czarnego Korsarza dowódca arkebuzerów. Hrabia doskoczył do niego w mgnieniu oka, wyrwał z jego zaciśniętych dłoni szpadę i znów rzucił się na Czarnego Korsarza. Dokładnie w tej samej chwili napatoczył się jeden hiszpański żołnierz. Czarny Korsarz, zmuszony teraz stawić czoła dwóm przeciwnikom jednocześnie, nie miał już więcej skrupułów i nie zamierzał już nikogo oszczędzać.

Jednym silnym ciosem powalił na ziemię żołnierza, a następnie odwrócił się do atakującego go z boku hrabiego, po czym doskoczył do niego i wbił ostrze szpady w sam środek piersi tak, że wyszło plecami.

— Hrabio! — krzyknął Czarny Korsarz, chwytając przeciwnika w ramiona, zanim ten osunął się na ziemię. — Wcale nie cieszy mnie ta wygrana, ale sam się o to prosiłeś!

Kastylijczyk, który przeszyty szpadą zbladł jak ściana i zamknął oczy, nagle je otworzył i spojrzał na Czarnego Korsarza, po czym ze smutnym uśmiechem rzekł:

Pojedynek

— Los tego chciał, panie. Przynajmniej... nie będę musiał patrzeć... jak flaga Hiszpanii... spada na ziemię...

— Carmaux, Van Stiller! Pomocy! — krzyknął Czarny Korsarz.

— To na nic, panie — odparł hrabia półprzymtomnie, gasnącym już głosem. — Ja umieram, żegnaj, mój panie... i...

Lecz urwał w pół zdania, a struga krwi wypłynęła mu z ust. Zamknął oczy, uśmiechnął się po raz ostatni, po czym wyzionął ducha.

Czarny Korsarz, wzruszony bardziej, niż mógł przypuszczać, położył ciało hrabiego na ziemi, złożył pocałunek na jego jeszcze letnim czole, z westchnieniem pochwycił jego ociekającą krwią szpadę, po czym rzucił się w sam środek toczącej się wokoło bitwy i głosem, który łamał mu się ze wzruszenia, krzyknął:

— Do mnie, wilki morskie!

Wewnątrz twierdzy trwała jeszcze zjadła walka.

Na blankach, na wieżach, na korytarzach, w salach i w kazamatach, wszędzie Hiszpanie walczyli jeszcze ze wściekłością, która mieszała się z rozpaczą. Stary, waleczny dowódca Gibraltaru i wszyscy jego oficerowie polegli, ale szeregowi żołnierze nie składali broni.

Rzeź trwała jeszcze około godziny, garstka obrońców otoczyła kręgiem flagę swojej dalekiej ojczyzny. Nie chcieli się poddać, przyszło im więc wszystkim polec.

Podczas gdy piraci pod wodzą Franciszka l'Olonnais zajmowali pierwszą twierdzę, Michał Bask szturmował drugą, zmuszając obrońców do kapitulacji, ale w zamian darując im życie.

Trwająca od samego rana walka zakończyła się o godzinie drugiej porażką Hiszpanów. Pochłonęła życie czterystu Hiszpanów i stu dwudziestu piratów, z których wielu poległo jeszcze w lesie, pozostali podczas oblężenia twierdzy, której tak walecznie bronił gubernator Gibraltaru.

ROZDZIAŁ XXXVI. PRZYSIĘGA CZARNEGO KORSARZA

Żądni łupów piraci niczym rwąca rzeka wdzierali się w zaułki bezbronno miasta, chcąc dopaść mieszkańców, zanim ci zdążą schronić się w okolicznych lasach wraz ze swymi kosztownościami. Tymczasem na zewnętrznym dziedzińcu fortu Czarny Korsarz, Carmaux, Van Stiller i Moko układali na stosach ciała poległych, z nadzieją, że gdzieś pośród nich odnajdą martwego Van Goulde.

Widok dziedzińca przejmował grozą. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie piętrzyły się góry trupów; zdeformowane ciała piratów i obrońców fortu leżały jedne na drugich, miały odcięte ręce i nogi, rozplątane piersi, strzaskane głowy i rozprute wnętrzości, były pokryte okropnymi ranami, wciąż jeszcze broczącymi krwią, która spływała po schodach twierdzy, tworząc u ich stóp czerwone kałuże, nad którymi unosił się cierpki odór.

Noże i kordelasy, które pozbawiły życia tych nieszczęśników, wciąż sterczały z ciał. Niektórzy z nich zwarli się ze swym wrogiem w śmiertelnym uścisku i tak skonali, z zębami zatopionymi w jego szyi, inni jeszcze zastygli w ostatnim skurczu z szablą zaciśniętą w dłoni. Tu i ówdzie na tym pobojowisku słychać było rżenie rannych, którzy z wielkim wysiłkiem zrzucali z siebie trupy i ukazywali światu blade, umazane krwią twarze, wątlym głosem błagając o łyk wody.

Czarny Korsarz nie żywił nienawiści do hiszpańskich żołnierzy, dlatego też śpieszył na ratunek wszystkim rannym i pomagał wygrzebywać ich spod stosu rozrzuconych wkoło ciał. Z pomocą Moka i dwóch kamratów przenosił nieszczęśników w bezpieczne miejsce, powierzając ich trosce opatrzenie ran.

Uporali się już ze wszystkimi wzywającymi pomocy, jakich udało im się odnaleźć. Zatrzymali się teraz tuż przy skraju wewnętrznego dziedzińca, gdzie ciała Hiszpanów i piratów leżały pokotem, jedne na drugich, gdy nagle usłyszeli dobrze znany im głos.

— Do stu zdechłych wielorybów! — wykrzyknął Carmaux. — Czy mnie się zdaje, czy to znajomy nosowy świergot?

— Ja też to słyszałem! — potwierdził Van Stiller.

— Może to mój rodak Darias?

— Nie wydaje mi się — stwierdził Czarny Korsarz. — To był głos jakiegoś Hiszpana.

— Wody, *caballeros!* Wody! — krzyczał ktoś spod stosu trupów.

— Do stu hamburskich piorunów! — krzyknął Van Stiller. — To głos Katalończyka! Czarny Korsarz i Carmaux rzucili się w kierunku, z którego dobiegało wołanie, odrzucając w pośpiechu sztywne ciała. W końcu z tej płataniny rąk i nóg wyłoniła się zbryzgana krwią głowa, potem długie, pajęczne ramiona, a na końcu wydłużony korpus osłonięty skórzanym napierśnikiem, mocno zabrudzonym krwią i zbryzgany czymś mózgiem.

— *Carrai!* — krzyknął Katalończyk na widok Czarnego Korsarza i Carmaux. — W samą porę! Co za szczęście!

— To ty! — wykrzyknął Czarny Korsarz.

— Ahoj, mój drogi Katalończyku! — radośnie powitał go Carmaux. — Cieszę się bracie, że widzę cię przy życiu! Chyba nikt nie przetrzął ci tych twoich chudych kości?

— Jesteś ranny? — zapytał Czarny Korsarz, pomagając wojakowi wstać na nogi.

— Otrzymałem cios szabłą w plecy i drugi w twarz, ale — bez obrazy przyjaciele — pirata, który mnie tak urządził, nadałem na moją szabłę jak barana na rożen. Przysięgam wam, *caballeros*, że rad jestem, widząc was całych i zdrowych.

— Jesteś poważnie ranny?

— Nie, panie. Ale tak mocno mnie usiekli, że straciłem przytomność. Pić, *caballeros*, chociaż łyceek...

— Proszę, przyjacielu — powiedział Carmaux podając mu piersiówkę z wodą i odrobina gorzalki. — Po tym od razu staniesz na nogi.

Wstrząsany gorączką Katalończyk wychylił zawartość manierki do dna, po czym spojrział na Czarnego Korsarza i powiedział:

— Szukasz gubernatora, prawda?

— Zgadza się — odparł — widziałeś go?

— A jakżeby inaczej! Co za pech! Straciłeś okazję, żeby go powiesić, a ja żeby odplacić mu za dwadzieścia pięć bolesnych razów.

— Co masz na myśli? — zapytał Czarny Korsarz świszczącym głosem.

— Że ta gadzina przewidziała upadek fortu i wcale nie przybiła do brzegu.

— Gdzie więc popłynął?

— Dowiedziałem się tego od jednego z towarzyszących mu żołnierzy, który później zjawił się tutaj: Van Gould na karaweli hrabiego z Lermy popłynął ku wschodnim brzegom jeziora, omijając tym samym waszą flotę, i przybił do Coro, gdzie, jak wiedział, rzuciła kotwicę hiszpańska fregata.

— Wiesz, co dalej zamierza?

— Uda się do Porto Cavallo, gdzie ma liczne ziemie i wielu krewniaków.

— Jesteś pewien?

— Najzupełniej, panie.

— Śmierci i zniszczenia! — strasznym głosem odgrażał się Czarny Korsarz. — Już go prawie miałem w garści, a on znowu się wymknął! Niech i tak będzie! Może uciec nawet i do samego piekła, lecz Czarny Korsarz wygrzebie go nawet stamtąd! Choćbym miał roztrwonić cały swój majątek na poszukiwania, i tak go znajdę. Choćbym miał popłynąć na Honduras! Przysięgam na Boga!

— A ja udam się z tobą, panie, jeśli nie masz nic przeciwko — odparł Katalończyk.

— Zgadza się, nasza nienawiść jest tak samo wielka. Odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie, przyjacielu.

— Pytaj, panie.

— Jak myślisz, czy warto od razu pójść jego tropem?

— Myślę, że Van Goud znajduje się już na pokładzie hiszpańskiej fregaty. Zanim dopłyniemy do Maracaibo, będzie już hen, daleko, u wybrzeży Nikaragui.

— Niech ucieka, proszę bardzo, lecz kiedy wrócimy na Tortugę, zorganizuję wyprawę, jakiej jeszcze nie widziano w Zatoce Meksykańskiej. Carmaux, Van Stiller, zajmijcie się naszym przyjacielem, powierzam go waszej opiece, Moko, chodź ze mną do miasta. Muszę się spotkać z Franciszkiem l'Olonnais.

Po tych słowach Czarny Korsarz i Moko opuścili fort i udali się do osady.

Napadnięte przez piratów miasto, które nawet nie stawiało wielkiego oporu, przedstawiało widok godny pożałowania, tak samo zresztą jak zewnętrzne szanse. Grabież trwała

w najlepsze. Zewsząd dochodziły krzyki mieszkańców, zawodzenie kobiet, płacz dzieci, przekleństwa, dzikie wrzaski i pojedyncze strzały.

Ścigani przez korsarzy i bukanierów mieszkańcy tłumnie uciekali z miasta, starając się ocalić co cenniejsze rzeczy. Między Hiszpanami a rabującymi piratami wywiązywały się bójkę. Zwycięzcy nie oszczędzali nawet trupów, wyrzucając przez okna ciała zabitych, które z głuchym płaskiem upadały na bruk.

Piraci za wszelką cenę próbowali wydrzeć od miejscowych informacje o ukrytych skarbach. Torturowani przez nich notable krzyczeli teraz w niebogłosy, albowiem morscy rozbójnicy nie wzdrali się przed użyciem najokrutniejszych metod, byle tylko zdobyć złoto.

Opustoszałe domy płonęły, a buchający zewsząd ogień oświetlał ulice groźnym blaskiem i strzelał w górę pióropuszem iskier, grożąc pożogą całego miasta.

Czarny Korsarz naogładał się już podobnych scen we Flandrii, nie krzywił się więc na rozgrywające się przed nim sceny grabieży. Przyśpieszał tylko kroku, chcąc jak najszybciej minąć dziejące się na jego oczach gwałty i bezceństwa, które napełniały go obrzydzeniem.

Na głównym placu miasta zastał Franciszka l'Olonnais. Dowódca, w otoczeniu piratów, którzy zgonili na plac wielu mieszkańców miasta, pochłonięty był wazieniem złota znoszonego przez jego wiernych kamratów ze wszystkich stron.

— Na mą brodę! — wykrzyknął pirat na widok Czarnego Korsarza. — Myślałem, że już jesteś daleko stąd i właśnie wieszasz Van Goulda na gałęzi! Nie wyglądasz na uradowanego, przyjacielu.

— Masz słusność.

— Jakie wieści?

— Van Gould zmierza właśnie w stronę nikaraguańskich wybrzeży.

— Uciekł ci?! Może to diabeł wcielony? Na mą brodę! To prawda?

— Tak, Piotrze. Zdrajca zamierza schronić się w Hondurasie.

— W takim razie, co zamierzasz?

— Przyszedłem ci oznajmić, że wracam na Tortugę, by zorganizować kolejną wyprawę.

— Beze mnie?! Jak to tak?

— A zechcesz mi towarzyszyć?

— Obiecuję na mą głowę. Wyruszymy za kilka dni. Jak dotrzemy na Tortugę, raz dwa zbierzemy nową flotę i wykurzymy tego szczura z jego nory.

— Dziękuję, Piotrze. Liczę na ciebie.

*

Trzy dni później, po złupieniu Gibraltaru, piraci wsiedli do szalup, które przyplłynęły ze statków oczekujących przy ujściu do jeziora. Wieźli ze sobą ponad dwustu jeńców, za których mieli nadzieję prędzej czy później otrzymać sowity okup. Oprócz tego zdobyli ogromne zapasy żywności, różnego rodzaju mienie, a nade wszystko złoto o wartości dwustu sześćdziesięciu tysięcy piasstrów. Niebawem cała ta suma miała zostać roztrwonią na wesołą biesiadę na plażach Tortugi.

Piraci bez przygód przepłynęli jezioro i nazajutrz znaleźli się na pokładach swoich statków, które odpłynęły w stronę Maracaibo, z zamiarem ponownego złupienia miasta, o ile cokolwiek do zrabowania jeszcze tam pozostało.

Czarny Korsarz wraz ze swymi druhami płynął na statku Franciszka l'Olonnais, albowiem „Błyskawica” była daleko, przy ujściu do Zatoki. Zabezpieczała tyły pirackiej flotylli, by zapobiec ewentualnej zasadzce ze strony hiszpańskich okrętów, które, wysłane w te rejony dla ochrony morskich portów Meksyku, Jukatanu, Hondurasu, Nikaragui i Kostaryki, nieustannie patrolowały wybrzeża.

Carmaux i Van Stiller nie zapomnieli oczywiście o Katalończyku, który na szczęście w całym zamieszaniu nie odniósł groźnych ran.

Tak jak podejrzewano, mieszkańcy Maracaibo wrócili do miasta, ludząc się, że korsarskie statki nie przyplyną po raz drugi. Nieszczęśni! Nie dość, że zostali już ograbieni do cna i nie mogli stawić piratom żadnego oporu, to jeszcze zostali zmuszeni do zapłacenia

daniny w wysokości trzydziestu tysięcy piastrów, byle tylko uniknąć nowych gwałtów i puszczania miasta z dymem.

Nie do końca zadowoleni i wiecznie nienasyчени piraci, korzystając z chwilowego postoju, dodatkowo ograbili jeszcze kilka kościołów, skąd ukradli święte relikwie, przedmioty kultu, obrazy, krzyże a nawet dzwony, a wszystko po to, by było w co wyposażyć planowaną na Tortudze kaplicę!

Po południu tego samego dnia piraci w końcu opuścili zatokę Maracaibo i śpiesznie odpłynęli w kierunku przesmyku prowadzącego na pełne morze. Czas naglił i wszyscy chcieli jak najszybciej opuścić te niepewne strony.

Od gór Sierra di Santa Maria napływały czarne chmurzyska, kłębiąc się groźnie i zakrywając prawie całkowicie tarczę zachodzącego już słońca, a niewinny dotąd wietrzyk począł dmuchać z siłą małego huraganu.

Morgan, gdy tylko spostrzegł umówiony znak i światła pozycyjne floty, wykonał zwrot ustawiając się dziobem w stronę pełnego oceanu. „Błyskawica” czterema halsami zbliżyła się do szalupy, w której Czarny Korsarz wraz z przyjaciółmi odbił od statku Franciszka l’Olonnais. Gdy kapitan wszedł na pokład, powitał go oghuszający krzyk:

— Niech żyje nasz kapitan!

Czarny Korsarz wraz z Carmaux i Van Stillere, którzy podtrzymywali rannego Katalończyka, przemaszerował przez pokład między marynarzami ustawionymi w dwóch rzędach i szybkim krokiem zbliżył się do białej postaci, która ukazała się na schodach nadbudówki.

Z ust pirata wyrwał się okrzyk pełen radości:

— Honorato!

— Panie! — wykrzyknęła młoda niewiasta, biegnąc Czarnemu Korsarzowi na spotkanie. — Jakże się cieszę, że wróciłeś cały i zdrow!

W tej chwili ciemności nocy rozerwał oślepiający błysk i głuchy grzmot poniósł się po morzu. Na widok znajomej kobiecej postaci oświetlonej przez błyskawicę z ust Katalończyka wydobył się krzyk:

— Dobry Boże! To ona! Córka Van Goulda tutaj?

Czarny Korsarz, który już chciał porwać dziewczynę w ramiona, stanął jak wryty, po czym gwałtownie odwrócił w stronę Katalończyka, który patrzył na dziewczynę zagubionym wzrokiem. Pirat zapytał nieludzkim głosem:

— Co powiedziałaś? Mów albo cię zabiję!

Katalończyk nie odezwał się słowem. Pochylony do przodu, spoglądał w milczeniu na księżniczkę, która cofała się powoli, zataczając się, jakby ktoś ugodził ją sztyltem prosto w serce.

Przez kilka chwil na mostku panowała cisza, przerywana tylko przez łoskot fal uderzających o burty. Stu dwudziestu marynarzy wstrzymało oddech. Spoglądali to na księżniczkę, która wciąż się cofała, to na kapitana, który stał nad Katalończykiem, zaciskając pięści.

Wszyscy czuli podskórną, że stało się coś strasznego.

— Mów! — powtórzył zduszonym głosem Czarny Korsarz. — Mów! To rozkaz.

— To... to córka Van Goulda — wydusił z siebie Katalończyk, przerywając złowrogie milczenie.

— Znasz ją?

— Znam.

— Przysięgnij, że to ona!

— Przysięgam.

Słyszając to uroczyste zapewnienie, Czarny Korsarz zawył jak ranione zwierzę. Skulił się tak, jakby go ktoś z całej siły uderzył kijem w żołądek, i przez chwilę się nie ruszał, po czym nagle wyprężył się jak struna.

Jego ponury głos zagłuszył łoskot fal.

— Tamtej nocy, gdy przemierzałem te wody z ciałem Czerwonego Korsarza na pokładzie, złożyłem pewną przysięgę. Niech będzie przeklęta ta noc, w którą stracę tę, którą kocham!

— Kapitanie... — rzekł Morgan, podchodząc do swego dowódcy.

— Cisz! — krzyknął Czarny Korsarz, a z jego piersi wyrwał się rozdzierający szloch.
— Tu rządzą moi bracia, nikt inny!

Przesadną na wskroś załogę przeszedł dreszcz strachu. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli ku morzu, które lśniło tak jak tej nocy, gdy Czarny Korsarz wypowiedział słowa straszliwej przysięgi, będąc przekonany, że ciała dwóch jego braci wynurzyły się z morskiej mogiły.

Flamandka cofała się, przytrzymując rękami rozwiane na wietrze włosy. Czarny Korsarz postępował za nią krok w krok, a oczy mu płonęły. Ani jedno, ani drugie nie odzywało się, jakby nagle oniemieli.

Milczący, nieruchomi, wstrząśnięci do głębi rozgrywającą się przed ich oczami sceną piraci śledzili ich wzrokiem. Nawet Morgan nie miał już odwagi zbliżyć się do kapitana.

W pewnej chwili Flamandka dotarła do schodów prowadzących do nadbudówki. Zatrzymała się na chwilę, w desperackim geście załamując dłonie, tyłem zeszła po schodach, a za nią postępował Czarny Korsarz.

Obydwoje weszli do kajuty. Tam Flamandka ponownie się zatrzymała. Cała jej odwaga naraz ją opuściła i dziewczyna bezwładnie opadła na krzesło.

Czarny Korsarz zamknął drzwi i krzyknął do niej urywanym głosem:

— Nieszczęsna!

— Tak — cicho wyszeptła dziewczyna. — Jestem nieszczęsna.

Zapadła cisza, przerywana tylko głuchym łkaniem księżniczki.

— Przekłeta przysięga! — odezwał się zrozpaczony Czarny Korsarz — Jesteś córką Van Goulda! A ja przysięgłem mu nienawiść po wsze czasy! Jesteś córką zdrajcy, który zamordował moich braci! Boże jedyny! To straszne!

Przerwał na chwilę, po czym kontynuował z pasją:

— Przecież wiesz, że przysięgłem zabić wszystkich, którzy mają pecha należeć do rodziny mojego śmiertelnego wroga! Przysięgałem to w noc, gdy pochowałem trzeciego brata, którego powiesił twój ojciec. Bóg, morze i moi marynarze są mi świadkami. A teraz za te słowa przyjdzie zapłacić jedynej kobiecie, którą w życiu szczerze kochałem, ponieważ ty, pani, musisz umrzeć!

— Niech więc tak będzie! — odpowiedziała. — Zabij mnie! Los chciał, by mój ojciec stał się zdrajcą i mordercą. Zabij mnie, ale zrób to własnymi rękoma. Umrę szczęśliwa, wiedząc, że ginę z ręki człowieka, którego do głębi kocham.

— Ja miałbym cię zabić? — wykrzyknął Czarny Korsarz, cofając się z przestraczem.
— Ja? Nie... nie... zabić ciebie? Nie zrobię tego! Nie mógłbym. Spójrz!

Chwył księżniczkę za ramię i przyprowadził pod duże okno, które wychodziło na prawą burzę. Morze wciąż delikatnie fosforyzowało, jaśniało tak jasnym blaskiem, jakby pod powierzchnią wody płynęła rzeka płynnego złota, a mglisty, spowity chmurami horyzont od czasu do czasu przecinały błyskawice.

— Zobacz! — zawołał rozgorączkowany Czarny Korsarz. — Morze lśni tak jak w tamte noce, podczas których chowałem w tych wodach moich braci, ofiary twego ojca. Oni tam są, śledzą mnie, obserwują mój statek... Wciąż widzę ich oczy wpatrzone we mnie, domagają się zemsty... Widzę ich ciała unoszące się wśród fal, wypływające na powierzchnię, żądając, bym dopełnił słów przysięgi. Kochani bracia! Zostaniecie pomszczeni. Kochałem tę kobietę, czuwajcie nad nią. Naprawdę ją pokochałem!

Głos mu się załamał i przeszedł w szloch, bredził teraz jakby był niespełna rozumu. Wyjrzał przez okno i przez chwilę obserwował fale, które z głuchym pomrukiem wspięły się jedna na drugą. Kto wie, być może, zdjęty bólem, oczyma duszy widział właśnie szkielety Czerwonego i Zielonego Korsarza wynurzające się z otchłani oceanu.

Spojrzął na Flamandkę, która odsunęła się od niego.

Z jego twarzy znikły wszelkie oznaki cierpienia. Wracał stary, dobry Czarny Korsarz, nieustraszony morski rozbójnik, który dla wrogów miał tylko nienawiść.

— Przygotuj się na śmierć, pani — powiedział ponurym głosem. — Proś Boga i mych braci, by wstawili się za tobą. Czekam na ciebie na mostku.

Opuścił kajutę wolnym krokiem, nie odwracając się za siebie, po czym wszedł po schodach na górny pokład i udał się na mostek kapitański.

Przez te kilka chwil załoga nie ruszyła się z miejsca. Tylko sternik, wyprostowany na rufie, prowadził „Błyskawicę” na północ, w ślad za korsarskimi statkami, których światła mrugały w oddali.

Miłość, Zemsta, Rozpacz

Morze

— Morgan — powiedział Czarny Korsarz do swego zastępcy. — Każ przygotować łódź i opuść ją na wodę.

— Co zamierzasz, kapitanie? — zapytał.

— Dotrzymać przysięgi — odparł cicho.

— Kto zejdzie do szalupy?

— Córka zdrajcy.

— Kapitanie!

— Cisza! Moi bracia na nas patrzą. Macie usłuchać! To rozkaz! Na tym statku panuje tylko wola Czarnego Korsarza.

Nikt jednak nie ruszył się z miejsca, by spełnić jego żądanie. Załoga, która przecież nie składała się z pierwszych lepszych majtków, ale ludzi dumnych i silnych tak samo jak ich kapitan, którzy z desperacką odwagą nadstawiali karku w wielu potyczkach, teraz w tej tragicznej chwili stała jak wrośnięta w ziemię, przykuta do miejsca wszechogarniającym strachem.

Czarny Korsarz podniósł głos:

— Wilki morskie! Winnicie mi posłuszeństwo!

Z szeregu wystąpił kwatermistrz, gestem nakazując kilku marynarzom, by poszli za nim. Razem opuścili na morze szalupę, tuż obok trapu zawieszono na prawej burcie, i wrzucili do niej suchy prowiant; zrozumieli już bowiem, co Czarny Korsarz zamierzał uczynić z nieszczęsną córką Van Goulda.

Gdy tylko łódź znalazła się na wodzie, z kajuty w nadbudówce wyszła Flamandka.

Ubrana w białą suknię, ze złotymi włosami, które spływały jej na plecy, zdawała się być zjawą.

Lekko niczym duch, w milczeniu przeszła przez pokład. Szła dumna i wyprostowana, nie okazując żadnych emocji.

Podeszła do drabinki, gdzie kwatermistrz wskazał jej szalupę, która kołysana przez fale głucho uderzała w burtę. Honorata przystanąła na chwilę i spojrzała w kierunku rufy, gdzie na tle czarnego nieba wyraźnie rysowała się sylwetka Czarnego Korsarza oświetlana raz po raz przez oślepiające błyskawice.

Patrzyła przez długą chwilę na dumnego wroga jej ojca, który wyprostowany stał na mostku z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Następnie pożegnała go skinieniem ręki, po czym szybko zeszła do czekającej na nią łodzi.

Kwatermistrz odwiązał cumę, zanim kapitan zdołał go powstrzymać.

Z gardeł całej załogi wyrwał się krzyk:

— Daruj jej, kapitanie!

Czarny Korsarz milczał. Wychylił się za burtę i wzrokiem odprowadzał łódź, którą fale groźnie huśtały na boki, rzucając na pełne morze.

Powiał mocniejszy wiatr, a niebo rozbłysło piorunami, loskot fal i huk grzmotów zły się w jedno.

Szalupa oddalała się. Na jej dziobie można było dostrzec białą postać młodej dziewczyny, która z dłońmi uniesionymi w kierunku „Błyskawicy” wpatrywała się w Czarnego Korsarza.

Marynarze podbiegli do prawej burty i obserwowali łódź. Nikt się nie odzywał. Wszyscy zrozumieli, że przekonywanie kapitana do zmiany zdania było bezcelowe.

Szalupa oddalała się coraz bardziej. Na tle błyszczących fal i wodnej toni oświetlanej przez pioruny była już tylko niewielkim, czarnym punktem. Wspięła się na morskie grzywacze, by po chwili zniknąć w głębokich, wodnych przepaściach, ale za każdym razem wyłaniała się znów na powierzchnię, jakby chroniła ją czyjaś niewidzialna ręka.

Jeszcze przez chwilę można było ją dostrzec, aż w końcu rozmyła się na pochmurnym, spowitym chmurami atramentowym horyzoncie.

Piraci z przerażeniem spojrzeli na mostek: kapitan zgiął się w pół i upadł na zwoje lin, ukrywając twarz w dłoniach. Pośród ryku wiatru i szumu fal piraci usłyszeli urywany szloch.

Carmaux przybliżył się do Van Stillera i wskazując na mostek powiedział ze smutkiem:

— Przyjacielu! Spójrz! Czarny Korsarz płacze...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/salgari-czarny-korsarz>

Tekst opracowany na podstawie: Emilio Salgari, Czarny Korsarz, Fundacja Nowoczesna Polska 2019.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z Funduszu Promocji Kultury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5835-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.